



Kathleen
Glasgow

DZIEWCZYNA

W rozsypce

Tłumaczenie
Zuzanna Byczek



SPIS TREŚCI

Dedykacja

Część pierwsza

Część druga

Część trzecia

Od autorki

Podziękowania

O autorce

Przypisy

Dla mamy M. E.

i siostry Weasie.

CZEŚĆ PIERWSZA

Opowiedz swoją historię

JESTEM CAŁKIEM BIAŁA JAK MŁODE FOKI GRENLANDZKIE. Przedramiona są ciasno obandażowane, ciężkie jak kłody. Uda również, biała gaza wystaje z szortów, które pielęgniarka Ava wyciągnęła z pudła ze znalezionymi rzeczami, stojącego za punktem pielęgniarskim.

Jak sierota znalazłam się tutaj bez ubrania. Jak sierotę zawinięto mnie w powoli nasiąkające krwią prześcieradło w kwiatki, zostawiono w lodowatej chlapie i śniegu na trawniku przed szpitalem Regions.

Strażnika, który mnie znalazł, otaczał obłok woni mentolowych papierosów i mdłego smrodu kawy z automatu. Z jego nozdrzy sterczał kędzierzawy las białych kłaków.

– Matko Boska, dziewczyno, co oni ci zrobili? – powiedział.

Moja matka się nie pojawiła.

Z tamtej nocy zapamiętałam gwiazdy. Wyglądały jak sól na tle nieba, jakby ktoś upuścił solniczkę na bardzo ciemną tkaninę. Ich niezamierzone piękno miało dla mnie znaczenie. Pomyślałam, że może to być ostatnia rzecz, jaką widzę, zanim umrę na zimnej, mokrej trawie.

DZIEWCZYNY PRÓBUJĄ SKŁONIĆ MNIE DO MÓWIENIA. Chcą wiedzieć. Opowiedz swoją historię. Wysłuchuję ich historii każdego dnia w trakcie terapii grupowej, podczas lunchu, na zajęciach plastycznych, przy śniadaniu, obiedzie, bez ustanku. Nie mogą powstrzymać słów, które z nich wypływają, czarnych wspomnień. Te opowieści zżerają je żywcem, wywracają na drugą stronę. Dziewczyny nie potrafią przestać gadać.

Ja odcięłam się od wszystkich słów. Za bardzo wypełniały moje serce.

DZIEŁĘ POKÓJ Z LOUISĄ. JEST STARSZA ODE MNIE, a jej włosy przypominają czerwonozłoty wzburzony ocean. Jest ich mnóstwo, nie potrafi ich okiełznać za pomocą warkoczy, upięć czy gumek. Pachną truskawkami. Nie znam dziewczyny, która pachniałaby tak jak Louisa. Mogłabym ją wachać bez końca.

Pierwszej nocy, kiedy na łóżku podciągnęła bluzkę, żeby się przebrać, zanim jej szalone włosy zdążyły zasłonić ciało niczym ochronna peleryna, zobaczyłam je wszystkie i wstrzymałam oddech.

Powiedziała wówczas:

– Nie bój się, mała.

Nie bałam się. Po prostu nigdy nie widziałam dziewczyny z taką skórą jak moja.

CZAS JEST DOKŁADNIE ROZPLANOWANY. Wstajemy o szóstej. O szóstej czterdzieści pięć pijemy letnią kawę lub rozwodniony sok. Mamy trzydzieści minut, żeby rozsmarować ser na kartonowych bułkach, wepchnąć blade jajka do ust czy przełknąć gruzłowatą owsiankę. O siódmej piętnaście możemy wziąć prysznic w łazience mieszczącej się przy pokoju. Nie ma drzwi i nie wiem, z czego zrobiono lustra, w każdym razie nie ze szkła, bo kiedy myje się zęby czy szczotkuje włosy, twarz wygląda w nim na zamgloną i zagubioną. Jeśli chce się ogolić

nogi, musi przy tym asystować pielęgniarka bądź sanitariuszka. Nikt nie ma na to ochoty, więc nasze nogi są owłosione jak u chłopaków. O ósmej trzydzieści mamy terapię grupową – ciągną się opowieści, płyną łzy, niektóre dziewczyny krzyczą, inne jęczą, ja po prostu siedzę i milczę, a Blue, ta okropna starsza dziewczyna o fatalnym użębieniu, powtarza każdego dnia: „Przemówisz dzisiaj, Cicha Sue? Chciałabym usłyszeć głos Cichej Sue, a ty, Casper?”.

Casper mówi, żeby odpuściła. Tłumaczy, że mamy oddychać, rozkładać ramiona jak akordeon, szeroko na boki, a potem ścisnąć, ścisnąć, ścisnąć i znów rozkładać. Pyta, czy nie czujemy się lepiej, kiedy tak po prostu oddychamy. Po grupie są leki, potem cisza, później lunch, po nim zajęcia plastyczne, potem spotkanie sam na sam z lekarzem, czyli terapia indywidualna, i znów się płacze, o piątej jest obiad, niezmiennie zimne jedzenie i znowu Blue: „Lubisz makaron z serem, Cicha Sue? Kiedy zdejmą ci te bandaże, Cicha Sue?”. Potem relaks, a po nim telefon i znowu łzy.

Później nadchodzi dziewiąta. Leki i do łóżka. Dziewczyny strasznie narzekają na rozkład dnia, jedzenie, na terapię grupową, leki, na wszystko. Ja się nie skarżę. Mam jedzenie i łóżko, jest ciepło, znajduję się w środku i jestem bezpieczna.

Nie mam na imię Sue.

JEN S. JEST Z TYCH, CO TNA PŁYTKO; podobne do gałązek krótkie blizny pokrywają jej nogi i ramiona. Nosi błyszczące sportowe spodenki, góruje nad wszystkimi wzrostem, nie licząc doktora Dooleya. Odbija niewidzialną piłkę, drybluje wzdłuż beżowego korytarza, wrzuca niewidoczną piłkę do niewidzialnego kosza. Francie to poduszczyka do szpilek. Kłuje się drutami do robótek, patykami, igłami, co jej wpadnie pod rękę. Ma gniewne oczy i pluje na podłogę. Sasha to gruba dziewczyna wypełniona wodą. Płacze na grupie, przy posiłkach, płacze w swoim pokoju – przecieka bez końca. Tnie się klasycznie – ukośne jasnoczerwone linie znaczą jej ramiona, nie wbija głęboko. Isis przypała. Ramiona ma usiane brzydkimi okrągłymi wypukłościami. Na grupie mówiła coś o sznurze, kuzynach i piwnicy, ale nie słuchałam, włączyłam wewnętrzną muzykę. Blue to skomplikowana istota, ma wszystkiego po trochu: złego tatę, zęby zniszczone od mety, ślady po przypalaniu papierosem, ślady po żyłtce. Linda/Katie/Cuddles nosi babcine podomki, jej kapcie śmierdzą. Ma zbyt wiele wersji, można się pogubić, jej blizny są w środku, podobnie jak wszyscy ludzie. Nie wiem, co robi wśród nas, w każdym razie jest. Przy obiedzie rozsmarowuje sobie tłuczone kartofle na twarzy. Czasem wymiotuje bez powodu. Nawet jeśli siedzi całkiem cicho, wiadomo, że w jej wnętrzu mnóstwo się dzieje i nie jest to nic dobrego.

Znałam takich jak ona na zewnątrz, trzymam się od niej z daleka.

CZASAMI NIE MOGĘ ODDYCHAĆ W TYM ZASRANYM MIEJSCU, klatka piersiowa jest jak przywalona piachem. Nie rozumiem, co się dzieje. Za długo marzłam, za długo przebywałam na zewnątrz. Dziwi mnie czysta pościel, słodko pachnąca narzuta, magiczne jedzenie, które pojawia się przede mną w stołówce. Zaczynam panikować, trzęsę się i dławię, Louisa podchodzi bardzo blisko do mnie, wciśniętej w kąt pokoju. Oddech, którym owiewa mi twarz, pachnie herbatą i miętą. Dotyka mojego policzka, chociaż się wzdrygam, i mówi:

– Mała, nie jesteś sama.

W POKOJU JEST ZA CICHO, więc nocami chodzę po korytarzach. Płuca mnie boją. Poruszam się powoli.

Wszędzie jest zbyt cicho. Przesuwam palcem wzdłuż ściany. Mogłabym tak godzinami. Wiem, że rozważają, czy nie podawać mi środków nasennych, kiedy rany mi się wygoją i już nie

będę musiała łykać antybiotyków. Nie chcę pigułek na spanie. Muszę czuwać, zachować czujność.

On może być wszędzie. Także tutaj.

LOUISA JEST JAK KRÓLOWA. Mieszka tu od zawsze. Powiedziała mi:

– Byłam tu, kurwa, pierwsza, zaraz jak otworzyli.

Nieustannie notuje coś w czarno-białych zeszytach, nigdy nie chodzi na grupę. Większość dziewczyn nosi luźne dresowe spodnie i T-shirty, a Louisa codziennie się stroi: czarne rajstopy i błyszczące pantofle na płaskim obcasie, eleganckie suknie z lat czterdziestych, kupione w sklepach z używaną odzieżą. Włosy upina w jakąś dramatyczną fryzurę. W walizkach ma mnóstwo apaszek, filmowych koszul nocnych, kremowych podkładów, czerwonych jak krew szminek. Louisa jest jak gość, który nie zamierza wyjechać.

Mówi, że śpiewa w zespole, i dodaje cicho:

– Przeszkadza mi nerwowość, mój problem.

Ma na brzuchu koncentryczne koła po przypalaniu, a na wewnętrznej stronie ramion blizny przypominające korzenie. Jej nogi są poparzone i poznaczone starannymi, czystymi nacięciami. Plecy pokrywają tatuaże.

Louisa wybiega z pokoju.

KAZDĄ GRUPĘ CASPER ZACZYNA W TEN SAM SPOSÓB. Akordeon, oddychanie, rozciąganie szyi, skłon do palców u nóg. Casper jest drobna i łagodna. Używa drewniaków na niewielkim obcasie. Pozostali lekarze noszą buty, które wydają mnóstwo głośnych dźwięków nawet na dywanie. Jest blada i całkowicie pozbawiona ostrych kątów. Ma ogromne oczy, okrągłe i bardzo niebieskie.

Przebiega po nas wzrokiem, jej wargi układają się w ciepły uśmiech.

– Wasza praca tutaj to wy same – mówi. – Jesteśmy tu, by poczuć się lepiej, prawda?

Co znaczy: aktualnie wszystkie tkwimy w kupie gówna.

Ale to już wiemy.

TAK NAPRAWDĘ NIE MA NA IMIĘ CASPER. Nazywają ją tak z powodu ogromnych niebieskich oczu i ponieważ jest taka cicha. Jak duch pojawia się czasem rano przy naszych łóżkach, by uzupełnić kartę. Ciepłe palce wsuwa za brzeg moich bandaży, by zmierzyć puls. Jak duch zjawia się niespodziewanie za moimi plecami w korytarzu, uśmiecha się, kiedy odwracam się zaskoczona.

– Jak się masz? – pyta.

W jej gabinecie stoi wielkie akwarium, a w nim żyje powolny, tłusty żółw, który pływa, pływa i pływa, ledwo posuwając się do przodu. Za każdym razem przyglądam się biednemu skurwielowi, mogłabym patrzeć na niego przez długie godziny, nawet przez całe dni. Podziwiam jego niesamowitą cierpliwość, z jaką poświęca się czynności, która tak naprawdę nie ma żadnego znaczenia. Przecież nieprędko wydostanie się z tego zasranego akwarium.

Casper przygląda się, jak obserwuję żółwia.

CASPER ŁADNIE PACHNIE. Zawsze wygląda schludnie, jej ubrania delikatnie szeleszczą. Nigdy nie podnosi głosu. Głaszcze Sashę po plecach, kiedy ta dławi się łkaniem. Otacza ramionami Lindę/Katie/Cuddles, gdy któryś ze złych ludzi wydostaje się na wolność. Widziałam ją nawet w pokoju Blue, kiedy dostała od mamy ogromne pudło z książkami. Dotykała okładek i uśmiechała się do Blue, która pod wpływem tego uśmiechu tak trochę,

odrobinę tajała.

Casper mogłaby być czyjąś matką. Powinna być moją matką.

NIGDY NIE JEST CIEMNO. W każdym pokoju, na ścianie, są lampy, które robią „ping” o czwartej po południu i o szóstej rano. Małe, ale bardzo jasne. Louisa nie lubi światła. Wieczorem przed pójściem spać bardzo starannie zaszuwa szorstkie zasłony w oknach, by nie wpuszczać do środka kwadratów żółtego światła z sąsiedniego budynku biurowego. A potem na wszelki wypadek zakrywa głowę kołdrą.

Dzisiejszej nocy, kiedy tylko zasypia, skopuję pościel i rozsuwam zasłony. Może szukam gwiazd z soli. Sama nie wiem.

Sikam do metalowej toalety, przypatrując się cichemu wybrzuszeniu na łożku Louisy. W dziwnym lustrze moje włosy wyglądają jak węże. Ściskam w palcach sfilcowane kosmyki. Pachną ziemią i betonem, strychem i kurzem, ten zapach doprowadza mnie do mdłości.

Jak długo tu jestem? Budzę się z jakiegoś stanu. Jakiegoś miejsca. Ciemnego miejsca.

Żarówki umieszczone w suficie na korytarzu przypominają długą jasną rzekę.

Przechodząc, zaglądam do pokoi. Tylko Blue nie śpi, przysuwa książkę blisko do lampki.

Żadnych drzwi, żadnego szkła, żadnych żyłek, tylko miękkie jedzenie, które da się nabierać łyżką, i ledwo ciepła kawa. Tutaj nie można zrobić sobie krzywdy.

Czekam przy punkcie pielęgniarstwa, bębnię palcami w kontuar. Czuję się poszarpana w środku. Dzwonię małym dzwoneczkiem. W cichym korytarzu jego dźwięk wydaje się bardzo głośny.

Zza rogu wylania się Barbero, usta ma pełne czegoś chrupkiego. Na mój widok marszczy brwi. Barbero o grubym karku jest byłym zapaśnikiem z Menominee. Nadal zalatuje maścią i plastrami. Lubi tylko ładne dziewczyny. Wiem, bo Jen S. jest bardzo ładna, ma długie nogi i nos w piegach, a Barbero zawsze się do niej uśmiecha. Tylko do niej.

Kładzie stopy na biurku i wsadza do ust garść chipsów.

– Ej – mówi, a słone okruchy sypią się na niebieski strój – czego tu, kurwa, szukasz w środku nocy?

Biorę do ręki plik przyklejonych karteczek i długopis i szybko piszę. Pokazuję mu kartkę: *JAK DŁUGO TU JESTEM?*

Patrzy na kartkę i kręci głową.

– E-e. Zapytaj.

Piszę: *NIE. POWIEDZ MI.*

– Nie mogę, Cicha Sue. – Barbero zgniata torebkę po chipsach, wpycha ją do śmietnika. – Musisz otworzyć swoje pieprzone usteczka i posłużyć się głosem.

Barbero sądzi, że się go boję, ale to nieprawda. Boję się tylko jednego człowieka na świecie, ale on jest bardzo daleko, po drugiej stronie rzeki, nie może mnie tu dopaść.

W każdym razie tak mi się wydaje.

Kolejna karteczka: *NO POWIEDZ, BURAKU.* Kiedy ją podnoszę, ręce trochę mi drżą.

Barbero się śmieje. Między zębami ma kawałki chipsów.

Oczy zaczynają błyszczeć, muzyka w mojej głowie gra bardzo głośno. Kiedy odchodzę, skóra mi drętwieje. Chciałabym oddychać zgodnie z zaleceniami Casper, ale nie potrafię. W moim przypadku, kiedy wpadam w gniew i zaczyna grać muzyka, to nie działa. Po chwili skóra już nie jest odrętwiała, tylko porządnie swędzi. Idę przed siebie, szukam, szukam, a kiedy znajduję i się odwracam, Barbero już się nie śmieje. Tylko, kurwa, robi unik.

Plastikowe krzesło odbija się od kontuaru. Pojemnik z długopisami ozdobionymi przyklejonymi kwiatkami z plastiku spada na podłogę, długopisy rozsypują się na beżowej

wykładzinie, nieskończonej i wszechobecnej. Zaczynam kopać w kontuar. To niezbyt dobry pomysł, ponieważ nie włożyłam butów, ale ból jest przyjemny, więc nie przestaję. Barbero zrywa się z miejsca, ale ja znów chwytam krzesło, a on wyciąga ręce i mówi bardzo łagodnie: „Uspokój się, pojebie”. Może trochę się mnie boi. Nie wiem dlaczego, ale to mnie jeszcze bardziej rozwściecza.

Znów podnoszę krzesło, ale w tym momencie pojawia się doktor Dooley.

NAWET JEŚLI CASPER JEST ROZCZAROWANA z mojego powodu, to tego nie okazuje. Przypatruje mi się tylko, jak ja przyglądam się żółwiowi, a on robi swoje. Chciałabym nim być, żyć pod wodą w ciszy i samotności. Co za, kurwa, wspaniałe, spokojne życie ma ten żółw.

Casper mówi:

– Oto odpowiedź na pytanie, które zadałaś w nocy Bruce’owi: jesteś w Creeley Center od sześciu dni. Wcześniej byłaś w szpitalu, gdzie cię leczono i obserwowano przez siedem dni, potem trafiłaś do nas. Wiesz, że miałaś atypowe zapalenie płuc? Właściwie nadal je masz, ale antybiotyki powinny pomóc.

Bierze do ręki przedmiot leżący na biurku i przesuwa w moją stronę. To kalendarz. Sama nie wiem, czego szukam, ale moje oczy spoglądają na górny brzeg strony.

Kwiecień. Jest połowa kwietnia.

Casper ciągnie:

– Przegapiłaś Wielkanoc w Creeley. Trochę nie kontaktowałaś, ale niewiele straciłaś. W końcu nie możemy pozwolić, żeby po oddziale psychiatrycznym kicał gigantyczny królik, prawda? – Uśmiecha się. – Wybacz. Humor branżowy. Odbyły się zawody w szukaniu jajek. Święto Dziękczynienia jest znacznie bardziej zabawne; wiórowaty indyk, grudkowy sos. Coś wspaniałego.

Wiem, że próbuje mnie rozweselić i skłonić do mówienia. Obracam głowę w jej stronę, ale gdy napotykam jej wzrok, czuję szczypanie łez pod powiekami, więc znów spoglądam na zakichanego żółwia. Czuję się tak, jakbym budziła się i jednocześnie wracała w ciemność.

Casper pochyla się do przodu.

– Przypominasz sobie, że byłaś w szpitalu?

Pamiętam strażnika i las kłaków w jego nosie. Jaskrawe jak słońce światła nad moją głową, pikający dźwięk, który nie chciał ucichnąć. Pamiętam, że chciałam kopać, kiedy mnie dotykali, rozcinali moje ubranie i ściągali buty. A także ciężar w płucach, jakby wypełniało je błoto.

Pamiętam przerażenie, że w drzwiach zaraz pojawi się Jebany Frank i zabierze mnie ze sobą, z powrotem do Seed House, do pokoju, w którym płaczą dziewczyny. Ja też płakałam.

Pamiętam wymiociny na butach pielęgniarki i jej twarz, która nawet nie drgnęła, jakby zdarzało się to na okrągło, próbowałam oczami powiedzieć jej „przepraszam”, ponieważ brakowało mi słów, ale jej twarz i wtedy się nie zmieniła.

A potem nic.

Nic, aż do Louisy.

– Jeśli sobie nie przypominasz, to nic nie szkodzi – kontynuuje Casper. – Nasza podświadomość jest niesamowicie plastyczna. Czasem wie, kiedy trzeba zabrać nas daleko, ochronić. Mam nadzieję, że rozumiesz.

Żałowałam, że nie wiem, jak jej wyjaśnić, iż moja podświadomość widocznie jest zepsuta, ponieważ nie zabrała mnie od Jebanego Franka, gdy mi groził, ani wtedy z tunelu, kiedy tamten facet chciał mnie skrzywdzić.

Złamany duży palec u nogi mrowi w szynach i dziwacznym bucie ortopedycznym, w który zapakował mnie doktor Dooley. Teraz kiedy chodzę, faktycznie wyglądam jak kompletny pojeb: kołtun zamiast włosów, ramiona jak klody, ręce i nogi w bandażach.

Co ze mną będzie?

Casper mówi:

– Uważam, że potrzebny ci projekt.

TO NIEPRAWDA, ŻE CHCĘ BYĆ JAK ŻÓŁW, ZOSTAĆ SAMA. W rzeczywistości chcę, żeby Ellis wróciła, chociaż nigdy nie wróci. Nigdy, a w każdym razie nie taka jak przedtem. Jest też prawdą, że tęsknię za Mikeyem i DannyBoyem, nawet za Evanem i Dumpem, czasem za matką, chociaż to uczucie przypomina bardziej wściekłość niż smutek, który odczuwam, myśląc o Ellis. Nawet to ostatnie nie jest do końca prawdziwe, ponieważ pod „smutkiem” kryje się czarna dziura w moim wnętrzu, wypełniona gwoździami, kamieniami i kawałkami szkła oraz słowami, których już nie mam.

Ellis, Ellis.

CHOCIAŻ NOSZĘ CIUCHY Z PUDŁA ze znalezionymi rzeczami, nie jest do końca prawdą, że nie mam nic, ponieważ jednak coś mam, tylko że mi tego nie dają. Raz widziałam swoje rzeczy, kiedy doktor Dooley przyszedł w czasie relaksu i powiedział, że mam przerwać oglądanie filmu i udać się do punktu pielęgniarskiego. Gdy tam dotarłam, wyciągnął spod biurka mój plecak. Doktor Dooley jest niesamowicie wysoki i przystojny, i to w taki sposób, że wiesz, iż on zdaje sobie sprawę, że jest atrakcyjny i że jego życie jest dzięki temu znacznie łatwiejsze. Zwykle stara się być miły i wyluzowany wobec nas, nie tak atrakcyjnych jak on. Kiedy wyjaśnił: „Podrzuciło to dwóch chłopaków. Wygląda znajomo?”, na chwilę oślepiła mnie biel jego zębów i zafascynowała aksamitna miękkość zarostu.

Chwyciłam plecak i osunęłam się na kolana, rozpięłam zamek i włożyłam ręce do środka. Był znajomy. Wzięłam go w dłonie, wzdychając z ulgą, a doktor Dooley powiedział:

– Nie ekscytuj się. Jest pusty.

Wyjęłam zestaw awaryjny, umieszczony w pudełku po apteczce wojskowej, którą znalazłam, kiedy miałam czternaście lat i przeszukiwałam z Ellis używaki St. Vincent de Paul na Siódmej Zachodniej. Metal był miejscami wyszczerbiony, wielki czerwony krzyż na wierzchu podrapany, farba obłaziła.

W pudełku znajdowało się wszystko: maść, gaza, kawałki rozbitego słoika w woreczku z niebieskiego aksamitu, papierosy, zapalniczka, guziki, bransoletki, pieniądze, zdjęcia owinięte w kawałek lnu.

Kiedy potrząsnęłam pudełkiem, nie wydało żadnego dźwięku. Jeszcze raz wsadziłam rękę do zielonego plecaka, pogrzebałam, ale był pusty. Zero zapasowych skarpetek i bielizny, papieru toaletowego, żadnych pojemników po filmie wypełnionych wyżebraną kasą ani tabletek czy zwiniętego wełnianego koca. Moje szkice też znikły. Podobnie jak woreczek z ołówkami i węglem oraz Polaroid Land Camera. Spojrzałam na doktora Dooleya.

– Dla twojego bezpieczeństwa musieliśmy wszystko wyjąć.

Wyciągnął do mnie dłoń. Nawet ona była ładna – palce smukłe, paznokcie wypolerowane. Zignorowałam ją i wstałam, przyciskając do piersi pudełko i plecak.

– Musisz to oddać – dodał. – Przechowamy te rzeczy do czasu, kiedy cię wypuszczą.

Wyjął plecak i pudełko z moich rąk. Położył je za biurkiem.

– To możesz zatrzymać.

Doktor Dooley wcisnął mi w dłonie lniane zawiniątko. W środku, chronione miękką

tkaniną, leżały nasze zdjęcia: ja i Ellis, Mikey i DannyBoy. Idealni, razem, zanim wszystko się spierdoliło.

Odeszłam, przyciskając zdjęcia do piersi, a doktor Dooley zawołał za mną:

– Ci chłopcy powiedzieli, że im przykro!

Nie zatrzymałam się, ale czułam, że w środku przystaję, chociaż tylko na sekundę.

KIEDY JEN S. ZNAJDUJE MNIE W NOC PO WYPADKU z palcem, właśnie zachłannie przeglądam zdjęcia, jak zwykle gdy pozwalam sobie myśleć o Ellis. Wbijam wzrok w czarno-białe obrazy przedstawiające naszą czwórkę na cmentarzu. Przybieramy pozy gwiazd rocka, z papierosami w kącikach ust, zajęcza wargą DannyBoya jest prawie niewidoczna, trądzik Ellis też. DannyBoy powtarzał, że ludzie lepiej wychodzą na czarno-białych fotografiach, i miał rację. Zdjęcia są małe i kwadratowe. Aparat był stary, chyba z lat sześćdziesiątych, pierwszy typ polaroida. Podarowała mi go babcia. Miał miech i sprawiał, że czułam się superfajna. Znaleźliśmy film w sklepie fotograficznym koło Macalester College. Był w rolce, wsadzało się go do aparatu, robiło zdjęcie, zrywało część filmu z boku i ustawiało mały okrągły licznik. Kiedy rozlegał się sygnał, trzeba było oderwać film. I oto my, tacy retro i nieskazitelni w czerni i bieli. Ellis piękna, z czarnymi włosami. I ja, mała głuptaska, ramiona splecione na piersi, dziurawy sweter i skołtunione włosy ufarbowane na czerwono i niebiesko w prawdziwym kolorowym świetle, ale błotnistej barwy w świetle czarno-białym. Zresztą, czy jest ktoś, kto zdołałby nie wyglądać beznadziejnie obok Ellis?

– Fajne. – Jen S. wyciąga rękę, ale ja szybko owijam zdjęcia w len i wsuwam pod poduszkę.

– Dziewczyno – mówi z westchnieniem. – Dobra, nieważne. Rusz się, Barbero czeka w świetlicy. Mamy dla ciebie niespodziankę.

Powietrze w świetlicy jest przesiąknięte zapachem popcornu, który jedliśmy wcześniej, oglądając film. Pusta miska nadal stoi na okrągłym stole. Jen oblizuje palce i przejeżdża nimi po wnętrzu naczynia, wsysa sól i kawałeczki zastygłego masła. Wydaje przy tym pełne zadowolenia pokwikiwanie. Barbero krzywi obwisłe wargi.

– Schumacher, zabijasz mnie – mówi.

Jen wzrusza ramionami, wyciera mokre palce o brzeg workowatego zielonego T-shirtu.

Zapuszcza nura w jeden z koszy „na wszystko”, szuka ulubionej talii kart. Kolorowe kosze są ustawione jeden na drugim pod ścianami o barwie kości słoniowej. Są w nich karty, wystrzępione pudełka z kredkami, flamastry, gry.

Pod jedną ze ścian stoją rzędem trzy komputery. Barbero odpala jeden z nich, strzela palcami w moją stronę, wpisuje hasło.

– Oto umowa, świrusko.

Barbero ciska we mnie broszurą. Pochylam się, by ją podnieść, a on zaczyna wstukiwać litery. Pokazuje się napis: SZKOŁA ALTERNATYWNA. MIEJSCE DLA CIEBIE.

– Dobra pani doktor uważa, że powinnaś mieć coś do roboty, by zapanować nad wybuchami złości, które najwyraźniej często się zdarzają, a także pozbyć się dziwnego zwyczaju niespania po nocach. Wygląda na to, że wracasz do szkoły, kretynko.

Patrzę na Jen S., która uśmiecha się szeroko, tasując karty.

– Mam być twoją nauczycielką – mówi i chichocze.

Barbero pstryka palcami tuż przed moją twarzą.

– Skup się, jestem tutaj! Tutaj.

Rzucam mu wściekle spojrzenie.

Barbero zabiera paluchy.

– Umowa przewiduje, że możesz przeglądać wyłącznie strony szkoły. Żadnego Facebooka, Twittera, poczty, w ogóle nic, tylko szkoła. Twoja koleżanka Schumacher zgodziła się zostać nauczycielką, będzie sprawdzała klasówki i te wszystkie gówna po skończonej lekcji.

Barbero patrzy na mnie, a ja na niego.

– Jeśli nie zechcesz – dodaje – to, jak mówi dobra pani doktor, będziesz musiała zacząć brać środki na sen, a coś mi się wydaje, że tego też byś nie chciała. Dobra pani doktor woli, żebyś siedziała tutaj, niż włóczyła się po korytarzach. Bo to jest, kurwa, naprawdę dziwaczne.

Nie chcę leków, a szczególnie na noc, kiedy najbardziej się boję i muszę zachować czujność. Lekarze pakowali we mnie leki od ósmego do trzynastego roku życia. Ritalin nie podziałał. Obijałam się o ściany, a raz wsadziłam ołówek w pękaty jak chmura brzuch Alison Jablonsky. W ósmej klasie po adderallu zesrałam się w gacie i do końca roku szkolnego siedziałam w domu. Matka zostawiała dla mnie w lodówce jedzenie owinięte plastikową folią: kanapki z gąbczastymi kotletami, rozmiękłe tosty ze śmierdzącą sałatką jajeczną. Po zolofcie czułam się, jakbym połykała bardzo ciężkie powietrze i przez wiele dni nie mogła go wypuścić. Większość dziewczyn tutaj jest naszprycowanych lekami po uszy, przyjmują kubeczki z tabletkami z rezygnacją lekko zabarwioną wkurwem.

Siadam na krześle i wpisuję nazwisko w okienko: *WPISZ NAZWISKO*.

– Dobry wybór, świrze.

– Jezu, Bruce – odzywa się Jen. – Wagarowałeś tego dnia, kiedy w szkole pielęgniarskiej uczyli podejścia do pacjenta?

– Mam doskonale podejście do pacjenta, słonko. Daj znać, jak będziesz chciała je przetestować. – Barbero zwała się na trzeszczącą brązową sofę i wyciąga z kieszeni iPoda.

Jedną ze ścian świetlicy zajmuje długie okno. Zasłony są odsunięte. Na zewnątrz jest ciemno, już po dziesiątej. Nasze skrzydło ma trzy piętra; z Riverside Avenue dochodzi szum samochodów w deszczu. Jeśli zacznę się uczyć, Casper będzie zadowolona. Ostatni raz, kiedy byłam w szkole, wywalili mnie w środku roku. Wydaje się, że od tego czasu upłynęła cała wieczność.

Patrzę na ekran, próbuję przeczytać akapit, ale widzę tylko słowa „pojem” i „głupia kurwa” na drzwiczkach mojej szkolnej szafki. Czuję w ustach smak wody z toalety, wrywam się, ale mój kark przytrzymują czyjeś ręce, słyszę śmiechy. Mrowią mnie palce, ścisną w piersi. Kiedy wywalili mnie ze szkoły, wszystko totalnie się popieprzyło. Nawet bardziej niż przedtem.

Rozglądam się po wnętrzu świetlicy. W mojej głowie myszkują myśli o tym, kto za to wszystko płaci. Odsuwam je. Matka przez lata pichciła w jadłodajni kotlety z cebulą i keczupem, i kupą tłuczonych ziemniaków na dodatek, a potem i to się skończyło. Nie należymy do zamożnych; jesteśmy z tych, którzy w poszukiwaniu drobnych muszą głęboko pogrzebać w portfelu i plecaku i przez cztery dni w tygodniu jedzą na kolację makaron z masłem. Zastanawiam się, jakim cudem stać mnie na pobyt tutaj, czuję lęk i niepokój.

Mam dach nad głową, jest mi ciepło, myślę. Mogę to zrobić, jeśli dzięki temu zostanę, a teraz tylko to się liczy. Trzeba przestrzegać reguł, żeby pozwolili mi zostać.

Palce Jen tasują karty. Dźwięk przypomina ptaki zrywające się z drzewa do lotu.

CASPER PYTA:

– Jak się czujesz?

Zadaje to pytanie każdego dnia. Raz w tygodniu pyta ktoś inny, na przykład doktor Dooley, jeśli akurat ma dyżur dzienny, albo lekarka o schrypniętym głosie, sztywnych włosach i zbyt grubo nałożonym tuszu do rzęs. Chyba ma na imię Helen. Nie lubię jej, przy niej staję się zimna w środku. Raz w tygodniu, w niedzielę, nikt nas nie pyta, jak się czujemy, i niektóre z nas

są przez to zagubione. Jen S. powiedziałaaby żartobliwie: „Mam zbyt wiele uczuć! Ktoś musi o nich usłyszeć!”.

Casper czeka. Wyczuwam jej oczekiwanie. Podejmuję decyzję.

Zapisuję wszystko na kartce i przesuвам ją w stronę Casper. *Moje ciało bezustannie płonie, spala się w dzień i noc. Muszę usunąć ten czarny żar. Kiedy się myję i dbam o siebie, czuję się lepiej, chłodniejsza w środku i spokojna. Jak chłodny mech daleko w głębi lasu.*

Czego nie napisałam: Jestem tak samotna, że mam ochotę zerwać z siebie całe mięso, by zostały tylko kości i chrząstki, i wejść prosto do rzeki, dać jej się pochłonać, tak jak zrobił mój ojciec.

Zanim poczuł się gorzej, zabierał mnie na długie przejażdżki na północ.

Zatrzymywaliśmy się i łaziliśmy po trasach prowadzących głęboko w gąszcz pachnących jodeł i obfitych świerków. Czasem mogło się wydawać, że zapadła noc, ponieważ było tam tyle drzew, iż nie było widać nieba. Byłam wtedy mała, często potykałam się na kamieniach, lądowałam na pagórkach z mchu. Na zawsze pozostał mi w pamięci dotyk kojącego chłodnego mchu pod palcami. Ojciec potrafił tak chodzić godzinami. Powtarzał: „Chcę tylko, żeby było cicho”. Wędrowaliśmy i wędrowaliśmy, szukając cichego miejsca. Las wcale nie jest taki cichy, jak się wszystkim wydaje.

Po jego śmierci matka zmieniła się w kraba; schowała wszystko w środku, został tylko pancierz.

Casper czyta do końca, starannie składa kartkę i wsuwa ją do segregatora na biurku.

– Chłodny mech. – Uśmiecha się. – Całkiem miłe uczucie. Gdybyśmy tylko mogli cię do niego doprowadzić, nie raniąc cię przy tym. Jak mamy tego dokonać?

Casper zawsze ma dla mnie na biurku czyste kartki papieru. Piszę, popycham w jej stronę. Marszczy brwi. Wyciąga teczkę z szuflady, przeciąga palcami wzdłuż strony.

– Na liście rzeczy z twojego plecaka nie widzę szkicownika – mówi i spogląda na mnie.

Wydaję cichy dźwięk. W szkicowniku było wszystko, cały mój świat. Portrety Ellis, Mikeya, krótki komiks o życiu na ulicy, o mnie, Evanie i Dumpie.

Czuję mrowienie w palcach. Muszę rysować. Muszę się pogrzebać. Wydaję kolejny dźwięk.

Casper zamyka teczkę.

– Porozmawiam z panią Joni. Zobaczymy, co da się zrobić.

MÓJ OJCIEC TO BYŁY PAPIEROSY i czarno-białe puszkę piwa. Brudne białe T-shirty i brązowy fotel bujany, niebieskie oczy i drapiący zarost na policzkach, i „O, Misty”, kiedy mama rzuciła mu karcące spojrzenie. Przez całe dni potrafił nie wstawać z fotela, a ja bawiłam się u jego stóp na podłodze, zapełniałam kartki słońcami, domami i pyszczkami kotów za pomocą kredek, ołówków i długopisu. Nie zmieniał tych swoich T-shirtów przez całe dni, czasem pełne ciszy, a kiedy indziej zbyt częstego dziwnego śmiechu, który zdawał się łamać go od środka, aż nie brzmiał już jak śmiech, ale płacz. Łzy ciekły mi po twarzy, kiedy wspinałam mu się na kolana i kołysałam razem z nim, w przód i w tył, w przód i w tył, w rytm bicia serca, a tymczasem światło na zewnątrz zmieniało się i świat wokół nas coraz bardziej ciemniał.

LOUISA MÓWI:

– Jesteś taka cicha. Cieszę się, że dali mi do pokoju taką osobę. Nie masz pojęcia, jakie to męczące, bez przerwy słuchać czyjegoś gadania.

Milczała tak długo, że pomyślałam, że śpi.

– Mówię do ciebie, wiesz o tym? Znaczący, w mojej głowie. Opowiadam ci wszystko, bo wyglądasz na dobrą słuchaczkę, ale nie chcę zajmować twojej przestrzeni do myślenia. Jeśli to ma sens.

Wydaje senny odgłos: „Mmmmm”.

– Opowiem ci całą swoją historię. Jesteś dobrym człowiekiem, aniołem.

Dobrym człowiekiem, aniołem, dobrym człowiekiem, aniołem – kołysanka dziewczyny, która się tnie.

CASPER NIE LUBI, KIEDY PODCZAS TERAPII GRUPOWEJ używamy słów: „ciąć się, przypalać, dźgać”. Tłumaczy, że nieważne, co ktoś robi czy jak to robi. Możesz chlać, ciąć się, brać metę, wciągać kokę, przypalać się, dźgać, chlastać, wyrwać rzęsy, rznąć się aż do krwi, ale zawsze chodzi o to samo: samookaleczenie. Tłumaczy, że kiedy ktoś cię zranił czy sprawił, że czujesz się zła, bezwartościowa, brudna, zamiast racjonalnie dojść do wniosku, że ten ktoś jest palantem czy psycholem i należałoby go zastrzelić bądź powiesić, trzymać się od niego z daleka, to internalizujesz krzywdę, zaczynasz obwiniać siebie i wymierzać sobie karę. Kiedy człowiek raz zacznie się ciąć, przypalać czy rznąć, bo czuje się gówniany i bezwartościowy, ciało wydziela ten przyjemny szit znany pod nazwą endorfin, który sprawia, że czujemy się, kurwa, wspaniale, a świat przypomina watę cukrową i wesołe miasteczko, tyle że krwawe i zainfekowane. Beznadziejna strona tego wszystkiego jest taka, że gdy zaczynasz robić sobie krzywdę, to stajesz się świrem, pojebem, ponieważ twoje ciało przypomina pełne blizn i oparzeń pole bitwy, a nikt nie chce oglądać takich rzeczy na dziewczynie, nikomu nie może się to spodobać, więc każda z nas jest totalnie popierdolona. Umyj, spłucz, kurwa, powtórz.

PRÓBUJĘ PRZESTRZEGAĆ REGUŁ. Usiłuję chodzić tam, dokąd powinnam, i siedzieć grzecznie, chociaż nic nie mówię, ponieważ moje gardło wypełniają gwoździe. Próbuję przestrzegać reguł, ponieważ nieprzestrzeganie ich oznacza ryzyko, że znów znajdę się NA ZEWNĄTRZ.

KIEDY DOKTOR DOOLEY POWIEDZIAŁ, że dwaj chłopcy podrzucili mój plecak? Ci chłopcy uratowali mnie raz, dwa razy, jak sądzę. Czy powiedział też, że kazali przekazać, że im przykro? Zastanawiam się nad tym.

Evan i Dump. Czy było im przykro, że uratowali mnie przez facetem w tunelu, który próbował mnie skrzywdzić? Było im przykro, że zima w Minnesocie jest mroźna i cała nasza trójka musiała zamieszkać z Jebanym Frankiem? Byłam chora i dłużej nie mogliśmy tkwić w vanie. Evan potrzebował dragów, a Dump szedł tam, gdzie Evan. Było im przykro, że nie mogłam zrobić tego, co kazał Jebany Frank? (Kazał to zrobić wszystkim dziewczynom w Seed House, jeśli chciały zostać.) Było im przykro, że nie pozwolili mi umrzeć na strychu w Seed House?

Przykroprzykroprzykroprzykroprzykroprzykroprzykroprzykro.

Mogłabym odciąć również to słowo, ale ono wciąż odrasta, coraz mocniejsze i bardziej złośliwe.

LOUISA NIE CHODZI NA TERAPIĘ GRUPOWĄ. Z Casper spotyka się wieczorami, a w nocy rozmawia przez telefon, przyciska się do ściany w świetlicy, zwija sznur między palcami, czubkiem błyszczącej balerinki delikatnie muska dywan. Może przychodzić i wychodzić, kiedy tylko jej się podoba, nie potrzebuje przepustki. Szepcze w ciemnościach:

– Muszę ci to powiedzieć. Nie jesteś taka jak my, wiesz? Rozejrzyj się. Pościel, łóżko,

leki, lekarze – wszystko pachnie pieniędzmi. Słuchasz mnie?

Łóżko trzeszczy, kiedy Louisa się przesuwa, wspiera na łokciu, by jej twarz znalazła się naprzeciw mojej twarzy. W półmroku jej oczy mają kształt jajek, z cieniami pod spodem.

– Mówię tylko, że musisz się przygotować.

Pozwalam, by jej słowa po mnie spłynęły, śliskie i ciepłe. Odwraca się. Pieniądze, pieniądze. Nie chcę się zastanawiać, skąd pochodzą, a skąd nie.

Chcę tylko, by znów zasnęła, żebym mogła zjeść kanapkę z indykiem, którą trzymam schowaną pod łóżkiem.

DRZWI DO SALI, W KTÓREJ ODBYWA SIĘ TERAPIA GRUPOWA, otwierają się ze świstem. Do środka wślizguje się Casper, zajmuje miejsce obok Sashy, która wierci się na krześle i uśmiecha do niej jak szczeniaczek. Casper ma na sobie brązowe spodnie i swoje elfie drewniaki. Żółtawe włosy przytrzymuje opaska z czerwonej chustki, jej kolczyki są w kształcie księżyców. Ma różowe policzki i wygląda jak cholerna tęcza.

Zastanawiam się, jaka była w liceum. Z pewnością należała do grzecznych dziewczynek, tych, co przyciskają podręczniki do cyków, zawsze są uczesane, zagryzają wargi podczas pisania sprawdzianu. Pewnie należała do grupy przygotowującej księgę pamiątkową, do kółka matematycznego, może chodziła na zajęcia z debaty.

Musi być coś jeszcze pod tą wypolerowaną powierzchnią, czego nie widzimy. Ukryta rana, sekret czy coś innego, bo z jakiego powodu miałyby poświęcać życie takim jak my?

Rozdaje kartki i pisaki, a my się spinamy. Kiedy trzeba pisać, wiadomo, że będzie ciężko. Casper każe nam położyć przybory na podłodze i wykonać ćwiczenia z akordeonem. Nie mogę się skupić. Patrzę na zegar ścienny, bo muszę wcześniej wyjść. Dzisiaj zdejmują mi bandaż. Na samą myśl o tym czuję łaskotanie w żołądku.

Casper mówi:

– Chcę, byście zapisały, co do siebie mówicie, kiedy dokonujecie samookaleczenia.

Blue wydaje głośny jęk, przeciąga językiem po wargach, wygina gołe stopy. Nigdy nie nosi butów. Na trzech palcach u nóg błyszczą srebrne pierścionki. Kiedy siedzi się w kręgu naprzeciw niej, wygląda tak młodo, jak my wszystkie, ale z bliska, na stołówce czy w świetlicy, widać głębokie linie w kącikach jej oczu. Od dawna nie rysowałam, rzadko pojawiając się na plastyce. Patrzenie na Blue nie jest łatwe, ponieważ sprawia, że zaczynam tęsknić za ołówkami i węglem. Jest w niej coś, co chciałabym oddać na papierze.

Początkowo nic nie piszę, tylko stawiam drobne kreski czerwonym flamastrem i zerkam na Blue, by ją lekko, w zarysie, naszkicować. Uczucie jest przyjemne, palce trzymają flamaster, wyznaczają linie jej kocich oczu, pełnych warg. Trochę niewygodnie jest przyciskać kartkę do ud, ale palce nie zapomniały, co trzeba robić, jakby czekały na mój powrót.

Blue ma niezwykle pełne wargi. Moje są raczej cienkie. Ellis powiedziałaaby: „Musisz je podkreślić”. Wzięłaby mój podbródek w palce, przycisnęła chłodną szminkę do warg. Jednak ten zabieg nie zdawał egzaminu. Nie widziałam w lustrze osoby z pięknymi ustami, tylko kogoś pomalowanego szminką.

Umysł zaczyna kręcić się w kółko, chociaż nie przestaję rysować. Dzieją się rzeczy, o których nie chcę myśleć, nie w tym momencie. Słowa, takie jak przykro mi, strych, tunel i boli. Sasha pociąga nosem. Francie odchrząkuje.

Mój flamaster pisze: WYRZUĆ TO Z SIEBIE. ODETNIJ WSZYSTKO. Stawiam wielkie czerwone X na twarzy Blue, mnę papier i wsuwam pod udo.

– Isis. – Casper składa dłonie i czeka, aż dziewczyna odczyta swoją notkę.

Isis dotyka swojego nosa, czerwienieje.

– Dobrze – mówi w końcu. Niemal szeptem czyta: – Czy ty się, kurwa, nigdy nie nauczysz? To ci pomoże. – Zaciska powieki.

Francie:

– Nikt. Pustka. Kogo to obchodzi. – Przedziera kartkę na pół.

Ciało Sashy jest tak rozgrzane od płaczu, że emanuje dziwnym żarem. Nieco odsuwam krzesło. Czuję na sobie wzrok Blue.

Sasha spogląda na swoją kartkę, krztusi się.

– Ty. Tłusta. Dupo. Kurwa.

Blue, szybka jak ptak, pokonuje dzielącą nas przestrzeń i wrywa kartkę spod moich ud. Rzuca mi mordercze spojrzenie.

Casper spogląda na nią spokojnie.

– Blue. – To ostrzeżenie.

Blue rozwija kartkę, wygładza ją. Na jej twarzy powoli rozlewa się uśmiech.

– To ja? Naprawdę niezłe, Cicha Sue. Podoba mi się ten iks.

Pokazuje rysunek reszcie.

– Przekreśliła mnie – dodaje. Gniecie kartkę i rzuca mi na kolana. Pozwalam, by spadła na podłogę. Wracając na miejsce, Blue mówi do Casper:

– Zrobiła to lepiej, niż bym sama potrafiła. Mniej więcej to właśnie dzieje się w mojej głowie, kiedy dokonuję samookaleczenia. Próbuję się przekreślić.

Casper zwraca się do Sashy, ale Blue nie dopuszcza jej do słowa:

– Pani doktor, to bardzo niesprawiedliwe.

– Co jest niesprawiedliwe? – Casper przygląda się Blue.

Twarz zaczyna mi płonąć. Patrząc na zegarek. Jeszcze dziesięć minut i będę mogła wyjść, pozbyć się bandażowych kłód.

– Ona nigdy nie musi nic mówić. My wszystkie musimy gadać, wywalać na wierzch flaki, a ona nie. Może jesteście dla niej jak przedstawienie komediowe.

– Zajęcia grupowe są dobrowolne, Blue. Jeśli ktoś nie chce mówić, nikt nie będzie go zmuszał. W przy...

– Powiedz wszystkim, co napisałaś na kartce, Cicha Sue – mówi Blue. – Nie? No dobrze, ja powiem. Napisała: „Wyrzuć to z siebie. Odetnij wszystko”. Co odetnij? Nadszedł czas zapłaty. Gadaj.

Jebany Frank nosił ciężkie srebrne pierścienie, groźnie wyglądające czaszki, którymi bezustannie pocierał o koszulę, aż idealnie błyszcząły. Palce miał poplamione i poprzepalane od zapalniczek, zagłębiły się w mojej szyi, kiedy podniósł mnie z podłogi strychu. Evan i Dump popiskiwali jak kociaki za jego plecami, ale to byli tylko chłopcy potrzebujący dragów. Na zewnątrz było zimno. Kwiecień przyniósł niespodziewany śnieg, który zmienił się w zamarzającą chlapę. Najgorszy rodzaj pogody, kiedy nie ma się dachu nad głową: lodowata woda mrozi nagą twarz i przemienia palce w twarde kawałki kości.

Powinam była się domyślić, że Jebany Frank nie pozwoli mi zostać za darmo, już w chwili, kiedy powitał nas w drzwiach. Powinam była przyjrzeć się dziewczynom siedzącym na porwanej kanapie, kiedy Evan i Dump wnieśli mnie do środka. Czułam się otępiała, płuca miałam jak z cementu, wzrok nieostry, myślałam, że dziewczyny są po prostu naćpane, iż ich oczy zamglily się od dragów. Teraz wiem, że ich oczy były martwe.

„Zrób to” – powiedział Jebany Frank tamtej nocy, a mój oddech zniknął w mocnym uścisku jego palców. „Zrób to jak inne dziewczyny albo ci pomogę”.

Na dole znajdował się pokój, w którym były tylko materace. Frank wsadzał tam dziewczyny. Mężczyźni przychodzili, płacili Frankowi i wchodzili do tego pokoju. Jeśli byłaś

dziewczyną, mieszkałaś w Seed House i chciałaś tam zostać, musiałaś się podporządkować Jebanemu Frankowi.

WYRZUĆ TO Z SIEBIE. ODETNIJ WSZYSTKO. Mojego ojca. Moją matkę. Nieobecną Ellis. Faceta z tunelu, Jebanego Franka, mężczyzn na dole, ludzi na ulicy, gdzie mieszka ich zbyt wielu. Głód, smutek i zmęczenie. Świadomość bycia nikim, brzydkim i niekochanym. Po prostu odetnij, skurcz się, znikaj, aż nic nie zostanie.

To właśnie słyszałam w swojej głowie wtedy na strychu, kiedy wyjęłam z zestawu awaryjnego odłamki szkła i zaczęłam się ciąć na maleńkie kawałki. Robiłam to od dawna, od lat, ale to miał być ostatni raz. Zamierzałam pójść dalej niż Ellis. Nie chciałam spierdolić sprawy tak jak ona: umrę, nie utknę gdzieś w połowie.

Tym razem naprawdę bardzo, kurwa, próbowałam umrzeć.

Ale wciąż jestem.

Muzyka w mojej głowie zasnuwa mi oczy mgłą. Ledwo widzę Blue, jej lizusowską twarz i zjebane zęby, ale kiedy ruszam w jej stronę, niemal namacalnie czuję, jak by to było, wcisnąć tę twarz w podłogę. Moje ciało jest ciężkie i lekkie zarazem i jakaś część mnie oddziela się, odfruva – Casper określa ten stan mianem „dysocjacji” – ale ja wciąż zmierzam w kierunku Blue, która zaczyna się śmiać ciut nerwowo.

– O kurwa – rzuca i czujnie zrywa się z miejsca.

Jen S. również wstaje.

– Proszę, nie – mówi.

Na ulicy, gdzie kiedyś mieszkałam, nazywałam to czuciem ulicznym. Przypomina elektryczny prąd płynący przez moje ciało. Dzięki niemu mogłam zacisnąć pięści i walczyć z dwiema starszymi kobietami o porzucony nad rzeką śpiwór. Dzięki niemu mogłam robić przeróżne rzeczy, by tylko przerwać noc do początku kolejnego dnia wypełnionego niekończącym się chodzeniem.

Głos Casper jest równy i jasny.

– Charlie. Jeszcze jedna sprzeczka i nie będę mogła ci pomóc.

Przystaję. Charlie. Charlie Davis. „Charlotte”, powiedział tamtej nocy na strychu pijany Evan, oczy mu lśniły, na policzku miał rozsmarowaną moją krew. „Jakie piękne imię”. Całował moją głowę, raz po raz. „Proszę, nie zostawiaj nas, Charlotte”.

Ojciec nauczył mnie, że można poznać godzinę, określając, ile jeszcze czasu zostało. „Długie ramię jest tutaj, a krótkie tutaj. Kiedy krótkie ramię znajdzie się w tym miejscu, a długie w tym, mama wróci do domu”. Zadowolony z siebie, zapalił papierosa i zakołysał się w fotelu.

Ramiona zegara na ścianie w sali terapii grupowej mówią, że czas zdjąć bandaż.

Ruszam do wyjścia, zasrany but zaczepia się o chodnik. Wreszcie dopadam do drzwi i zatraskuję je głośno za sobą.

BANDAŻE ZDEJMUJE VINNIE, jeden z pielęgniarzy dyżurujących w ciągu dnia. Ma szorstkie dłonie i działa metodycznie. W gabinecie jest chłodno, schludnie. Siadam na stole, niechcący mnąc papier. Spoglądam na szklane słoje, wypełnione patyczkami higienicznymi, butelki z alkoholem, starannie oznakowane szuflady. Vinnie przygotował tackę, na której leżą nożyczki, pęsety, zaciski i kremy.

Nie od razu zaczyna odwijać opatrunki z moich ramion, najpierw pyta:

– Chcesz, żeby ktoś przy tym był? Doktor Stinson za kwadrans skończy zajęcia grupowe.

Ma na myśli Casper.

Posyła mi swój specjalny uśmiech, ten, który obnaża wszystkie zęby. Każdy z nich otacza

ramka ze złota, jak obraz czy fotografię. Ogarnia mnie chęć, by dotknąć któregoś z tych lśniących zębów.

Vinnie się śmieje.

– Podobają ci się moje ząbki? Ten uśmiech sporo kosztował, pod wieloma względami, jeśli wiesz, co mam na myśli. Chcesz lekarza czy nie?

Przecząco kręcę głową. Nie.

– No jasne. Jesteś twardzielką, Davis.

Delikatnie odwija gazę. Zdejmuje długie bawełniane płaty z mojego lewego ramienia. Potem z prawego. Kiedy wrzuca je do metalowego śmietnika, robią miękkie mokre „ffok”. Moje serce trochę przyspiesza. Jeszcze nie patrzę.

Vinnie przysuwa się bliżej i przecina szwy. Pachnie jedwabście i ostro zarazem, jak olejek do włosów i kawa. Tak intensywnie wpatruję się w lampy na suficie, że przed oczami pokazują mi się ciemne chmury. Na jednym z paneli widnieje plama w kształcie nerki, o barwie masła zbyt długo podgrzewanego na patelni.

– Boli? – pyta Vinnie. – Staram się najlepiej, jak tylko potrafię, koleżanko.

Szumi woda. Pielęgniarka myje ręce. Unoszę ramiona.

Są blade i lekko spuchnięte, bo dużo czasu spędziły w opatrunkach. Obracam je, spoglądam na czerwone sznurowate blizny, biegnące od nadgarstków do łokci. Dotykam ich ostrożnie. Vinnie nuci. Melodia jest wesoła i żywa.

Jestem dla niego następną koszmarną dziewczuchą, którą zajmuje się podczas kolejnego dnia w pracy.

– Mogę? – Rozciera krem na dłoniach i podnosi je wysoko.

Pod nowymi bliznami widzę stare. Moje blizny są jak tama, jak żeremia. Bobry przynoszą kolejne gałęzie, układają je na poprzednich.

Kiwam głową. Krem ogrzał się na jego dłoniach, sprawia przyjemne wrażenie na skórze.

Kiedy pocięłam się za pierwszym razem, najbardziej podobała mi się część, która nastąpiła potem: ocieranie rany wacikiem, osuszanie, staranne oględziny, z tej strony i z tamtej, opiekuńcze przyciskanie ramienia do brzucha. Tam, tam.

Tnę się, ponieważ sobie nie radzę. To bardzo proste. Świat staje się oceanem, który mnie zalewa, odgłos nacierającej wody brzmi ogłuszająco, woda zatapia mi serce, panika rośnie do rozmiarów planet. Potrzebuję ulgi, muszę zranić samą siebie mocniej, niż może zranić mnie świat, wtedy znajdę ukojenie.

Tam, tam.

Casper powiedziała nam:

– To niezgodne z intuicją, prawda? Że zadany sobie ból sprawi, iż poczujemy się lepiej. Że można w pewnym stopniu pozbyć się bólu, sprawiając sobie ból.

Problem zaczyna się później.

Jak teraz, jak to, co dzieje się w tej chwili. Więcej blizn, więcej szkód. Błędne koło: więcej blizn = większy wstyd = większy ból.

Do rzeczywistości sprowadza mnie dźwięk płynącej wody. Vinnie myje ręce.

Kiedy patrzę na swoją skórę, ściska mnie w żołądku.

Vinnie odwraca się od umywalki.

– Druga runda. Jesteś pewna, że nie chcesz, by ktoś przy tym był?

Kręcę głową, a Vinnie rzuca mi prześcieradło, mówi, żebym położyła się na stole, pokazuje, że mam ściągnąć szorty. Robię to pod prześcieradłem, szybko, wstrzymując oddech, przyciskając tkaninę do bielizny. Uda pokrywa gęsia skórka, w pomieszczeniu jest chłodno.

Chyba nie boję się Vinniego, ale uważnie śledzę ruchy jego dłoni, wydobywam na

wierzch czucie uliczne, tak na wszelki wypadek. Kiedy byłam mała i nie mogłam spać, pocierałam prześcieradło między kciukiem a palcem wskazującym. Teraz pocieram nowiutkie majtki z miękkiej różowej tkaniny, znalazłam je na swoim wąskim łóżku z dołączoną karteczką. Siedem par, na każdy dzień tygodnia. Nie miały dziur ani plam i pachniały plastikowym opakowaniem, nie brudem czy moczem lub krwią miesięczną. Kiedy myślę o bieliznie, gdy czuję w palcach czystą bawełnę, nagle następuje we mnie zmiana, jakby obsunął się stos kamieni, bo ktoś wyjął jeden z nich. Jęk, przesunięcie, haust powietrza...

– Ava. Pielęgniarka. Kupiła. Mi. Te. Majtki.

Nie wiem, dlaczego się odezwałam. Skąd wziął się ten szept. Nie wiem, dlaczego słowa uformowały się akurat teraz i dlaczego właśnie te słowa. Głos mam ochryply od nieużywania, brzmię jak żaba. To długie zdanie, pierwsze od nie wiem ilu dni, i mam świadomość, że Vinnie pilnie zanotuje: *C. Davis wypowiedziała pełne zdanie podczas zdejmowania opatrunków. C. Davis poskarżyła się, że nie ma bielizny. Pacjentka zwykle nie mówi, mutyzm wybiórczy.*

– To niesamowicie miło z jej strony. Podziękowałaś?

Potrząsam głową.

Kiedy pocięłam się na strychu, miałam na sobie T-shirt, bieliznę, skarpetki i wysokie buty. Było strasznie dużo krwi. Evan i Dump nie wiedzieli, co robić. Zawinęli mnie w prześcieradło.

– Powinnaś podziękować.

Przyjechałam do Creeley w szpitalnym stroju i kapciach. Ava znalazła dla mnie ubranie. Przyniosła mi nowiuteńkie majtki. Faktycznie powinnam jej podziękować.

Vinnie ściąga gazę i waciki z moich ud, wrzuca je do śmietnika. Wyglądają jak plamiaste wstążki. Pociąga i przecina szwy.

Jest tak samo jak w przypadku ramion: nie boli, kiedy je wyciąga, ale cała skóra łaskocze i kłuje za każdym razem, gdy porusza pęsetą.

Znów nawiedza mnie to uczucie, tyle że tym razem jest jak wspomnienie, jak to jest, ciąć się, ciąć się mocno. Jak trzeba głęboko i równo wcisnąć szkło, by przerwać skórę, a potem pociągnąć bardzo mocno, by zrobić rzekę wartą tego, by w niej zatonać.

O, robienie rzeki naprawdę boli. Ból jest ostry i mętny zarazem, zasłony rozsuwają się i zaciągają przed oczami, z nozdrzy wylatuje gwałtowny oddech.

Boli, boli jak cholera, ale kiedy pojawia się krew, wszystko staje się ciepłe i spokojne.

Vinnie chwyta moje spojrzenie, bo za szybko oddycham. Wie, co się dzieje.

– Gotowe. – Patrzy na mnie uważnie, kiedy siadam. Pode mną rozdziera się delikatny papier.

Blizny na udach wyglądają jak szczelble drabiny. Przesuwam palcami po kolejnych wybrzuszeniach, od kolana po górną część ud. Dłonie Vinniego z warstwą kremu są bardzo ciemne na tle mojej bladej skóry. Miłe uczucie. Potem każe mi podciągnąć szorty i podaje niebiesko-białą tubę z kremem.

– Nakładaj dwa razy dziennie. Teraz, na powietrzu, będzie szczypać jak cholera. Skóra będzie wydawać się napięta i jakby mrowiąca.

Przyciskam tubkę do piersi. Wciąż czuję na nogach jego dłonie, delikatny dotyk palców na mojej szpetocie. W pewnym sensie chciałabym, żeby wróciły, może tym razem objęłyby całe ciało. Może dotykałyby tak lekko, że głowa opadłaby w jego stronę i mogłabym tak posiedzieć przez chwilę, powdychać go, to nic takiego. Bicie serca, bicie serca, bicie serca, jak przy tacie. Czuję ucisk pod powiekami.

Ocieram twarz, nie zważając na drżenie rąk. Gorąco. Moje ciało zaczyna się nagrzewać. Ogarnia mnie lęk. Vinnie odchrząkuje.

– Wszyscy są na zajęciach plastycznych. Chcesz, żebym cię zaprowadził?

– Do pokoju. – Mocniej przyciskam tubkę do piersi. – Do pokoju.

Vinnie robi smutną minę.

– Dobrze, dziecko. Dobrze.

Louisy nie ma. Wszystkie są na zajęciach, pochylone nad patyczkami po lodach, torbami guzików i włóczki, ryzami naklejek w kształcie brokatowych gwiazdek.

Oczy gwałtownie wypełniają się wodą, zagrzebuję głowę w poduszce, żeby nikt nie słyszał. Całe ciało mnie boli. Chcę Ellis, która obmyłaby skaleczenia i ukradła tacie wino. Razem płakałybyśmy w jej pokoju, sącząc wino z butelki i słuchając naszej muzyki, patrząc, jak lampka nocna w kształcie układu słonecznego obraca się i świeci na suficie. Kiedy cierpisz, ale jest ktoś, kto cię kocha, to powinien ci pomóc, prawda? Gdy cierpisz, ta osoba całuje cię z czułością, przytyka ci butelkę do ust, gładzi twoje włosy, prawda? Casper byłaby dumna, że tak racjonalnie myślę.

Znajduję się w miejscu pełnym dziewczyn, które są przepelnione tęsknotą, ale nie chcę żadnej z nich. Chcę tylko tej, które nie mogę dostać, tej, która nigdy nie wróci.

Gdzie mam ich wszystkich trzymać, martwych, żywych, tych wszystkich ludzi, którzy krążą nade mną jak duchy? Ellis powiedziała kiedyś: „Straciłaś ojca w zbyt młodym wieku”.

Nieco ponad rok temu Mikey płakał podczas naszej rozmowy przez telefon. „Ona nigdy się nie cięła, to nie było w jej stylu”, mówił. „Czemu się pocięła? Byłaś obok”. On był mile stamtąd, w college’u, i nie miał pojęcia, co się wydarzyło między mną a Ellis. Wtedy rozmawialiśmy po raz ostatni, potem znalazłam się na ulicy i zmieniałam się w ducha.

Moja matka żyje, ale też jest duchem, jej zapadnięte oczy patrzą na mnie z oddali, jej ciało jest całkowicie nieruchome.

Jest tylu ludzi, którzy już nigdy nie wrócą.

KIEDY MOJE CIAŁO OGARNIA TO ZNUŻONE, sprane uczucie po zbyt długim płaczu, wstaję i ruszam nadmiernie oświetlonym korytarzem do punktu pielęgniarskiego. Vinnie miał rację, blizny potwornie swędzą.

Na zewnątrz stoję w ogniu, a moje wnętrze jest puste, puste. Nie mogę się ciąć, ale potrzebuję, by coś się ode mnie oddzieliło, potrzebuję ulgi.

Vinnie posyła mi złoty uśmiech zza kontuaru. Wszystkie pielęgniarki i pielęgniarze przypinają zdjęcia do ścianki umieszczonej z tyłu. Dzieci, całe mnóstwo. Pulchne i chude. Ponure nastolatki, a także psy, pełno fotografii psów. Córki Vinniego to pewnie te w falbaniastych białych sukienkach, o bardzo ciemnych włosach, takich samych jak jego włosy.

Dotykam swoich. Koszmarne gniazdo. Nagle sam ich zapach przyprawia mnie o mdłości. Chcę, by znikły, ostatni ślad po mieszkaniu na ulicy.

– Ściąć – mówię ochryple.

Vinnie unosi ręce.

– Ej. Zaczekaj, aż dostaniesz przepustkę, dziewczyno. Pójdiesz z innymi do salonu Supercuts czy gdzieś tam. Nie dotknę włosów żadnej dziewczyny.

Walę pięścią w kontuar i pochylam się.

– Teraz. Ma być teraz.

– *Putta madre* – mówi cicho Vinnie.

Wskazuje palcem gabinet.

– Dobra, chodź. Tylko nie płacz. W przypadku takich włosów można zrobić tylko jedno.

PIERWSZA NA STOŁÓWCE ODZYWA SIĘ ISIS, jej drobne usta otwierają się, makaron z serem wypada na talerz.

– O w mordę, ale widok.

Blue zaczyna się śmiać głośno i zaraźliwie, alarmując Francie, która siedzi obok niej i nigdy nic nie je. Francie uśmiecha się. Blue mówi:

– Nie cierpię cię, Cicha Sue, ale wyglądasz o niebo lepiej. Prawie jak człowiek.

Wcześniej nawet Vinnie gwizdnął, przejeżdżając maszynką elektryczną po mojej czaszce. Włosy spadały na podłogę kołtunami.

– Twarz! Ta dziewczyna ma twarz – powiedział.

Przyjrzałam się sobie w lustrze wiszącym na drzwiach w gabinecie, prawdziwym długim lustrze. Staralam się utrzymać wzrok powyżej ramion i patrzeć tylko na twarz, ale niezbyt długo, bo widząc się, znów poczułam smutek.

Zaczynam jeść, a dziewczyny milkną. Można by pomyśleć, że nie powinnam czuć się dziwnie, pokazując blizny grupie osób, które składają się wyłącznie z blizn, a jednak. Wbijam wzrok w talerz.

Po obiedzie zamierzam poszukać w koszu ze znalezionymi rzeczami bluzki z długim rękawem. Czuję się wystawiona na widok publiczny i przemarznięta. Tęsknię za rozpinanym swetrem w musztardowym kolorze, który nosiłam, zanim wyprowadziłam się z domu. Czuję się w nim ukryta i bezpieczna. Tęsknię za ubraniami, tymi z dawniejszych czasów, koszulkami z logo zespołów, spodniami w kratę i wełnianymi czapkami.

Isis przetyka jedzenie i mówi:

– Jezu, Chuck, czym to zrobiłaś? Nieźle zaszalałaś.

Isis ma nerwową, szczupłą twarz teriera. Obraca w palcach puszyste warkocze. Pozostałe czekają. Siedząca na końcu stołu Louisa posyła mi słaby uśmiech.

Uwielbiałam rozbijać słoje typu mason. Trzeba wałnąć naprawdę mocno, bo szkło jest grube. W odróżnieniu od innych rozbija się na spore kawałki, zaokrąglone, błyszczące i niesamowicie ostre. Zostawiają szerokie i głębokie cięcia. Grube kawałki łatwo było myć i przechowywać wsunięte do aksamitnego woreczka i ukryte w zestawie awaryjnym do następnego razu.

Na myśl o tym czuję przyjemny dreszczyk, jak chwilę wcześniej w gabinecie, co, jak twierdzi Casper, jest niedopuszczalne, to czynnik spustowy. Widzę inne dziewczyny, między innymi bladą Sashę o błękitnych jak morze oczach. Marszczy brwi. Blue i Jen S. czekają z obojętnymi minami i uniesionymi widelcołyżkami.

Chyba chcę do nich przemówić. Czuję szum w piersi i podejrzewam, że może mam jakieś słowa, chociaż nie jestem pewna, jak je uporządkować i co mogłyby znaczyć. Mimo to otwieram usta...

Nagle odzywa się Louisa. Ma zmysłowy gardłowy głos, kiedyś śpiewała w zespole o nazwie Loveless.

– Szkło. – Louisa zbiera swoje rzeczy. Lubi dziobać w talerzu, nigdy nie siedzi długo przy stole. – Użyła szkła. Śniadanie zdesperowanych mistrzów. – Wzrusza ramionami, rusza w stronę śmietnika z tekturowym kubkiem, plastikowym talerzem i widelcołyżką.

Powietrze wokół stołu najpierw gęstnieje – każda z dziewczyn przypomina sobie swoje ulubione narzędzia – a potem rzednie.

Isis wraca do jedzenia.

– Ostra jazda, Chuck.

Wbijam wzrok w lśniącą górkę makaronu na moim talerzu, rządkiem zielonego groszku,

brązową kałużę sosu.

– Nie Chuck, Isis. Charlie. Charlie Davis. – Mój głos już nie jest schrypnięty, lecz dźwięczny jak dzwon.

Jen S. mówi:

– Wow. Ktoś ma głos.

Blue kiwa głową, wpatrując się we mnie.

– Robi się interesująco – stwierdza, z namysłem upijając kawy.

CASPER POSYŁA MI UŚMIECH.

– Wielkie zmiany. Mówisz. Obcięłaś włosy. Zdjęłaś bandaż. Jak się czujesz?

Sięgam po leżące na biurku kartki i niebieski długopis.

– Nie – mówi Casper.

Żółw zamarł w bezruchu, jakby też na mnie czekał. Jego drobne ciało podskakuje w wodzie. Ciekawe, czy lubi stateczek na dnie akwarium, z otworem akurat tej wielkości, by mógł sobie przezeń przepływać. A skałę, na którą może się wspiąć i odpocząć? Czy kiedykolwiek myśli o tym, że chciałby się stąd wydostać?

Otulam się mocniej bluzą z kapturem, którą znalazłam w pudle, zaciskam kaptur wokół twarzy.

– Wstrętnie – odpowiadam. Głos mam zduszony, a twarz schowaną pod kapturem. – Wstrętnie. Wciąż czuję się wstrętnie.

TO NIE BYŁO TAK, ŻE NIE ZAUWAŻYŁAM, iż każdego wieczoru Jen S. znika, jak tylko Barbero zaśnie na kanapie w świetlicy. Za każdym razem uprzedzała. „Idę do łazienki”, oznajmiała, pochylając się, by sprawdzić, co robię na komputerze, aż jej długi koński ogon opadał na ramię. „Chyba mam coś z żołądkiem. To może chwilę potrwać”. Albo: „Pobiegam trochę po korytarzach. Czuję się tu jak w więzieniu. Bądź grzeczna”. Następnie znikała.

Zajęcia szkolne nawet mnie wciągnęły. Przerobiłam już dwanaście rozdziałów i zbliżałam się do połowy mitycznej ostatniej klasy. Z zadowoleniem klikałam *AKCEPTUJ* i czekałam, aż Jen S. wróci i dokona oceny za pomocą sekretnego hasła. Okazuje się, że szkoła jest niezwykle prosta, kiedy usunie się wszystkich innych uczniów, beznadziejnych nauczycieli i całe gówno, które zwykle się tam dzieje.

Tak więc czekam na nią i czekam, patrząc na Barbera chrapiącego na sofie, gdy nagle przychodzi mi do głowy, że być może Jen wcale nie zajmuje się dokładnie tym, co deklarowała. Nie zastanawiam się jednak, co ona w rzeczywistości robi, tylko jak ja mogłabym wykorzystać to, że jej nie ma, a Barbero śpi.

Zajmuje mi to tylko kilka minut. Otwieram kolejne okno w przeglądarce, tworzę konto *gmail*, przeszukuję pamięć, odnajduję jego ostatni znany adres, wpisuję w nadziei na sukces i otwieram okienko czatu. Nie rozmawiałam z nim od ponad roku. Może tam jest, może nie.

Hej, piszę.

Czekam, skubiąc podbródek. Trochę zimno mi w głowę, bo nie mam włosów. Naciągam kaptur. On musi tam być, bo nie widzę żadnej informacji.

I jest.

O kurwa, to naprawdę ty?

Tak.

Wszystko ok?.

*Nie, tak, nie. Jestem w wariatkowie.
Wiem, mama mi powiedziała, a jej twoja mama.
Noszę, kurwa, ciuchy z pudła ze znalezionymi rzeczami.
Jestem na koncercie.
Kto gra?*

Firemotuth w klubie Flycatcher. Znasz Firemouth? Spodobaliby ci się.

Moje palce zawisają nad klawiaturą. *Tęsknię za tobą.*

Nic. Żołądek lekko mi się zaciska. Powracają wspomnienia: jak bardzo lubię-lubiłam Mikeya, jak się czułam, kiedy odkryłam, że

on woli Ellis, chociaż nie podobał jej się w ten sposób. Ellis już nie ma. Zagryzam wargi.

Znów zerkam na Barbera. Jedna noga opadła mu na podłogę.

Michael pisze... a potem: *Powiem mamie, żeby przyniosła ci trochę rzeczy T.*

Tanyi, jego siostry. Chyba już skończyła college. W domu Mikeya zawsze było ciepło. Zimą jego mama piekła wielkie, miękkie bochenki chleba i gotowała garnki parującej zupy.

Czat znowu ogłasza: *Michael pisze*. Nie powiedział, że za mną tęskni czy coś w tym stylu. Biorę głęboki oddech, próbuję uciszyć głosik w mojej głowie, który powtarza: Jesteś brudna i odrażająca, debilko. Niby czemu ktoś miałby cię chcieć?

Przyjeżdżam w maju na koncert w 7th Street Entry z grupą, z którą teraz pracuję. Zostanę dwa dni. Wpiszesz mnie na listę gości?

Tak! Szczerzę się jak wariatka. Moje ciało jest zrobione z piórek, czuję się taka lekka, zobaczę Mikeya! Mikey!

Michael pisze: *Muszę lecieć, koncert się kończy, jutro szkoła. Nie mogę uwierzyć, że to ty. Masz telefon?* Zrywam się i lecę do telefonu wiszącego na ścianie świetlicy, numer wypisano markerem permanentnym obok: *Zakaz rozmów telefonicznych po 21:00. Zakaz rozmów telefonicznych przed 06:00.* Wracam, powtarzając numer w myślach, ale nagle zaczepiam butem o plastikowe krzesło i wywalam się na podłogę. Barbero natychmiast się zrywa, rusza się zdumiewająco szybko, wyciąga słuchawki z uszu. Obraca się na pięcie.

– Gdzie jest Schumacher? Gdzie jest, kurwa, Schumacher?

Podczas gdy się gramolę, on już czyta to, co widnieje na ekranie komputera. Przyciska tłusty paluch do klawisza i ekran robi się czarny. Mikey znika.

– Wracaj do klatki, króliczku. Idę wytropić twoją koleżankę.

BARBERO I SIOSTRA AVA ODNAJDUJĄ JEN S. na schodach ewakuacyjnych. Wcale nie miała kłopotów żołądkowych, nie biegała też po korytarzach. Zajmowała się, jak później tego wieczoru poinformowała mnie Louisa, doktorem Dooleyem.

Leżę zakryta kołdrą. Kiedy mrugam, moje rzęsy ocierają się o tkaninę. Wydaję nieokreślony dźwięk.

– Różni się już od baaardzo dawna – szepcze Louisa. – Dziwne, że dopiero teraz ich przyłapali.

Za drzwiami naszego pokoju sporo się dzieje: dzwonią telefony, Jen S. płacze w punkcie pielęgniarskim.

Louisa stwierdza:

– Szkoda. Wywałą i ją, i jego. A może jego nie, może dostanie upomnienie. W końcu jest tylko rezydentem. Oni zawsze muszą coś spieprzyć. – Urywa i po chwili dodaje: – Mam

nadzieję, że Jen nie liczy na ciąg dalszy poza szpitalem, bo to na pewno nie wchodzi w grę.

Odsuwa kołdrę z mojej twarzy.

– Jesteś młoda, nie rozumiesz. – Jeszcze nie zmyła makijażu. Pod oczami ma rozmazany tusz. – Wybrał ją, bo jest łatwa. Wszystkie jesteśmy łatwe, nie? Też raz mi się zdawało, że kogoś znalazłam.

Mówię z wahaniem:

– Może... może on naprawdę ją polubił.

Przecież to niewykluczone, prawda? Doktor Dooley jest niesamowicie atrakcyjny, nie musi wykorzystywać zaburzonych pacjentek. Mógłby dostać każdą, o której by zamarzył.

Louisa ucieka wzrokiem w bok.

– Mała, faceci są dziwni. Nigdy nie wiadomo, co im chodzi po głowie.

Zakrywa moją twarz i wchodzi do łóżka. Jej głos jest teraz stłumiony, może też leży pod kołdrą.

– Pozwoliłam tamtemu facetowi. Uważałam, że jest taki piękny i miły... Pozwoliłam, żeby robił mi zdjęcia. A potem wyjął się na mnie i sprzedał je na jakąś internetową stronę dla pojebów.

Czy ona płacze? Nie jestem pewna. Jen S. głośno łka, słyszę, jak Sasha zaczyna w swoim pokoju, niski miaukliwy odgłos.

To miejsce jest krainą płaczących dziewczyn.

Louisa też popłakuje. Cały korytarz płacze, tylko ja nie, bo ja już się wypłakałam.

Skopuję kołdrę i wstaję. Mikey był tak blisko, a ja go straciłam. Straciłam go.

Louisa mamrocze:

– Powinni mówić każdej, w chwili kiedy tu przyjeżdża, że ta część życia jest skończona. Po tym, co robiłyśmy, nikt nas nie pokocha. W każdym razie nie w normalnym sensie.

Jej ręce wypelzają spod kołdry, chwytają powietrze. Podchodzę bliżej i łapię jej palce. Paznokcie są pomalowane błyszczącym niebieskim lakierem, z maleńkimi kropkami czerwieni. Łkanie ściska gardło Louisy.

– Musisz zrozumieć, mała. Rozumiesz, jak będzie?

Robię to, co podobno należy zrobić, kiedy ktoś cierpi i potrzebuje pomocy, by wiedział, że ktoś go kocha. Siadam na brzegu łóżka, na kołdrze z Hello Kitty. Louisa jako jedyna spośród nas ma własną pościel i kilka par puchatych kapci, wystających spod łóżka. Powoli odsuwam z jej twarzy różowo-białą kołdrę, ale tylko o tyle, by móc pogłodzić ją po włosach, tej wspaniałej niesfornej burzy włosów.

PÓŹNIEJ, KIEDY W KORYTARZU ZAPADA CISZA, myślę o Jen S. Zaprowadzono ją z powrotem do pokoju i kazano się spakować. Pieprzyła się z doktorem Dooleym praktycznie od samego początku. Dokąd chodzili? Może zakradali się do gabinetu, rozkładali na podłodze płachty marszczącego się papieru? Może robili to na stole, a może zawsze na klatce? Nie marzli? O czym rozmawiali? Oboje są wysocy i piękni, mają szlachetne rysy i są seksowni. Wyobrażam sobie, jak to robią, i wewnątrz moich ud robi się ciepło. A potem w głowie pojawia się Mikey z tymi swoimi miękkimi jasnymi dredami, zawsze ładnie pachnącymi, uśmiecha się do mnie i Ellis, siedzi w starym fotelu ogrodowym w swoim pokoju, pozwala nam dziczeć i puszczać muzykę tak głośno, jak tylko nam się podoba. Nigdy nie byłam z Mikeyem, ale chętnie bym spróbowała, to znaczy, bardzo chciałam, ale on kochał Ellis. Chłopcy, których spotykałam, pachnieli jak palone szkło i gniew. Mieli skórę poznaczoną smugami brudu, tatuażami i trądzikiem. Mieszkali w garażach bądź samochodach. Wiedziałam, że żaden z nich nie zostanie.

Byli jak pokryci olejem, wyslizgiwali się po tym, co robiliśmy na brudnym zapleczu po koncercie czy w łazience na imprezie.

Ellis chodziła z chłopakiem. Miał wilcze zęby i długi czarny płaszcz. Rznął ją w suterenie w domu jej rodziców, na grubym białym dywanie, a ja leżałam na drugim końcu pokoju, zawinięta w śpiwór. Dawał jej różne rzeczy: srebrne bransoletki, delikatne pończochy, matryoszki wypełnione okrągłymi niebieskimi pigułkami. Jeśli nie dzwonił, płakała, aż gardło zaczynało ją boleć. Kiedy wymieniała jego imię, Mikey patrzył w bok, a ja widziałam, jak zaciska szczęki, a jego twarz tężeje.

Kiedy myślę o złączonych ciałach, staję się smutna i głodna, sama nie wiem czego. Przekręcam się na posłaniu, wciskam twarz w poduszkę, próbuję oczyścić umysł, zignorować swędzące rany. Louisa niespokojnie wzdycha przez sen.

Nie chcę wierzyć, że ma rację.

MATKA JEN JEST PULCHNA JAK CIASTO, ma okrągłe policzki i ściągnięte wargi. Tata jest tłusty, suwak kurtki napina mu się na brzuchu. Stoją na korytarzu, przyglądają się nam lękliwie. Po chwili Winnie prowadzi nasze stadko do świetlicy i zamyka drzwi na klucz. Nie będzie nam wolno pożegnać się z Jen. Dziewczyny latają dookoła, wyciągają z kosza karty i gry, sadowią się z Winniem przy okrągłym stole. Blue stoi przy oknie. Dzisiaj upięła szaroblond włosy w niedbały kok, na jej karku słabo połyskuje tatuaż w kształcie jaskółki. W pewnym momencie mówi:

– Idzie.

Podbiegamy do okna. Na parkingu ojciec Jen pakuje dwie zielone walizki do bagażnika czarnego subaru. Dzień jest szary i zimny. Ojciec zajmuje miejsce kierowcy, samochód ugina się pod jego ciężarem. Jen góruje nad matką jak giętkie źdźbło trawy. Matka poklepuje ją po ramieniu i otwiera tylne drzwi, a Jen pochyla się i siada z przodu, obok ojca.

Ani razu nie patrzy w naszą stronę.

Samochód włącza się w ruch uliczny i znika pośród budynków ciągnących się wzdłuż ulicy, gdzie jest mnóstwo kafejek i barów, sklepów ze świecidełkami z Bliskiego Wschodu i miejsce, gdzie sprzedają hot dogi w dwudziestu dwóch rodzajach. Mikey pracował tam któregoś lata, jego skóra pachniała sosem i kapustą kiszoną.

Niebo pokrywa papka ciemnych chmur. Ostatnio często zdarzają się burze, szczególnie jak na kwiecień. Głos Blue sprowadza mnie z powrotem.

– Biedny Bruce – mówi cicho, wskazując za okno.

Barbero stoi w rogu parkingu. Dzisiaj nie ma na sobie uniformu; włożył jasnoniebieską bluzę z kapturem, koszulkę z kołnierzykiem, džinsy i białe adidas, wygląda jak przeciętny facet z ulicy.

– O – mówię. I znowu: – O.

Lubił Jen. Ma na imię Bruce.

Na jego nosie tkwią małe okulary w metalowych oprawkach, sprawiają, że nie wygląda tak... buracko jak zwykle, ale raczej miło. Blue i ja patrzymy, jak ociera oczy, wsiada do swojego samochodu, małego pomarańczowego hatchbacka, i odjeżdża.

– Biedny, biedny Bruce – mruczy Blue.

Ciała czasem pasują do siebie. A czasem nie.

ISIS DOTYKA PALCAMI KOSTEK DO SCRABBLE’A. Paznokcie ma ogryzione jeszcze mocniej niż ja. Przesuwa językiem w kąciku ust.

– Prawie gotowe, Chuck. – Gwałtownym ruchem zdejmuję jedną kostkę z planszy. –

Prawie.

Mnę w dłoniach T-shirt i kolorową hipisowską spódnicę. Mama Mikeya rzeczywiście przywiozła mi pudło ze starymi ciuchami Tanyi, z okresu kiedy słuchała Grateful Dead: koszulki farbowane metodą tie-dye, zwiewne szeleszczące spódnice, sandały ze sznurka, babcine szale. Było tam też kilka starych swetrów, mam teraz na sobie najlepszy: niebieski w romby, zapinany na srebrne guziki w kształcie żółędzi. Nie porozmawiałam z mamą Mikeya. Jeśli ktoś nie figuruje na liście gości, to nie wejdzie, a ja nie mam listy gości, ponieważ złamałam zasady. Zresztą i tak nie wiem, kto mógłby mnie odwiedzić, nie licząc Mikeya, ale do jego przyjazdu zostało kilka tygodni. Casper obiecała, że umieści go na liście. Wiem, że poza tym jest na niej jeszcze tylko nazwisko mojej matki. Nie spodziewam się jednak, by mnie odwiedziła, a Casper nigdy o tym nie wspomina.

Kiedy dzwoni telefon w świetlicy, wszyscy szukają Barbera. Dzieje się tak dopiero wtedy, kiedy rozmówcę zaakceptowano na dole, na podstawie listy. Nazwisko musi widnieć na liście zaakceptowanej przez lekarza prowadzącego i pojawia się na niej wyłącznie za jego zgodą.

Mimo to i tak nie możemy same odbierać telefonów.

– Pewnie polazł do sracza – stwierdza Blue, wzruszając ramionami.

Telefon wciąż dzwoni. Francie daje kuksańca Sashy.

– Odbierz.

– Sama odbierz. – Sasha wraca do gry w czwórki. Nikt nie lubi z nią grać, bo oszukuje.

Blue podnosi się z sofy.

– Miękkie Krwawe Ciasteczka – rzuca w naszą stronę. Tak nas nazywa od czasu do czasu. „Mogłybyśmy być takie śliczne, nie sądzicie?”, powiedziała raz na terapii grupowej. „Gdybyśmy tylko nie wyglądały jak jebane zombie!”. Uniosła ramiona. Blizny nadawały jej wygląd źle zszytej szmacianej lalki.

– Wariatkowo. Słucham? – Kręci w palcach kablem od telefonu. Nagle wypuszcza słuchawkę, która uderza o ścianę, „ta-dam”, kołysze się bezbrinnie na białym sznurze. – To twoja matka, Cicha Sue. – Blue wraca do lektury, wciskając się w kąt twardej zielonej sofy.

Wstrzymuję oddech. Isis przesuwają kostki, mrużąc pod nosem. Francie ogląda film.

Powoli podchodzę do telefonu. Przyciskam słuchawkę do ucha, odwracam się plecami do dziewczyn, twarzą do ściany, moje serce wali jak szalone.

– Mama? – szepczę z nadzieją.

Oddech jest głośny i chrapliwy.

– Nieee, Charlie. Zgadnij! – Głos przenika moje ciało.

Evan.

– Udawałem, że jestem twoją mamą! Znalazłem jej imię w rzeczach w twoim plecaku. – Urywa i chichocze, po czym mówi słodkim piskliwym głosem: – Halo, chciałabym rozmawiać z córką, panną Charlotte Davis.

Nie odzywam się. Sama nie wiem, czy czuję ulgę, czy rozczarowanie.

– Musieliśmy wziąć twoją kasę, Charlie. – Kaszle, śluz odrywa mu się od gardła. –

Wiesz, jak jest.

Puste opakowania po filmie w moim plecaku, który podrzucili z Dumpem. Trzymałam w nim pieniądze, tę odrobinę, którą udało mi się zgromadzić.

Evan ma astmę, a drągi i życie na ulicy bynajmniej mu nie pomagają. Widziałam, jak zwija się w kłębek i rzezi, aż staje się fioletowy i sika w gacie z wysiłku, próbując nie zemdleć. W darmowej przychodni dają inhalatory wyłącznie po badaniach, nawet na ciebie nie spojrzą, jeśli jesteś naćpany, a życie Evana polega na tym, że ciągle łązi naćpany. Pochodzi z Atlanty. Nie

mam pojęcia, jak to się stało, że dotarł tak daleko na północ.

Przysuwam się blisko do ściany, żeby dziewczyny mnie nie słyszały. Głos Evana zabiera mnie z powrotem do ciemnego miejsca. Próbuję oddychać równo i spokojnie, trzymać się chwili, jak zaleca Casper.

– Wiem – mówię ostrożnie. – W porządku. Dzięki, że podrzuciliście mój plecak.

Evan znowu kaszle.

– Koszmarnie wyglądałaś na tym strychu, wiesz? Myślałem, że ze strachu zesramy się w majtki. Ta cała krew.

– No – mówię.

Pyta tak cicho, że ledwo go słyszę.

– Czy to przez Jebanego Franka? Czy... czy w końcu cię dorwał? Dlatego to zrobiłaś?

Drapię ścianę resztkami paznokci, które mi pozostały. Jebany Frank, jego czarne oczy i pierścienie. Seed House i czerwone drzwi, za którymi znikają dziewczyny. Na półkach trzymał pudełka ze słodkimi płatkami śniadaniowymi, w lodówce piwo i napoje, a dragi w specjalnych zamykanych na klucz pojemnikach. Miał ohydną skórę, ale zęby lśniące jak perły.

Mężczyźni, którzy przychodzi do Seed House z powodu pokoju za czerwonymi drzwiami, mieli głodne oczy, zębate oczy, które przesuwały się po tobie, próbując, smakując. Dlatego tak długo chowałam się na strychu. Jak wstrzymująca oddech mysz, by nikt jej nie zauważył.

– Nie, nie dorwał mnie – mówię.

Evan oddycha z ulgą.

– Ej, no to super. To dobrze.

– Evan.

– No?

– Ale częściowo zrobiłam to z jego powodu. Rozumiesz? Kropla, czara i te sprawy.

Wszystko. Rozumiesz?

Evan milczy. W końcu odpowiada:

– Tak.

Ciekawe, skąd dzwoni – chudy Evan o kiepskich płucach, w porwanych spodniach i śmiesznym sportowym płaszczu w pepitkę.

Pytam, jak mnie odszukał.

Mówi, że tu odsyłają wszystkie walnięte dziewczyny.

– Dump i ja znaleźliśmy podwózkę do Portland.

Tej nocy, kiedy uratowali mnie w tunelu, Dump rozwalił tamtemu facetowi butelkę na głowie. Stało się to niesamowicie szybko. Zobaczyłam przestraszone oczy nad ramieniem faceta i uniesioną butelkę połyskującą w żółtawym świetle. Potem jeszcze przez wiele dni wyjmowałam kawałki szkła z włosów.

Dump patrzył z zafascynowaniem na szkło lśniące we wnętrzu jego dłoni. Spojrzał na mnie, a jego uśmiech przypominał głębokie zaokrąglone nacięcie. Zakrwawione odłamki szkła lśniły na czubkach jego czarnych butów.

Facet, który na mnie napadł, leżał na ziemi; nieruchoma kupka ciemnych ubrań. Evan otulił mnie swoim płaszczem.

Teraz mówi:

– Chciałem tylko sprawdzić, czy u ciebie wszystko w porządku i tak dalej, nie?

Powiedzieli: „O kurwa mać. Spierdalamy”. Powiedzieli: „Głupia pindo, nie możesz tu sama mieszkać”.

– Byłaś naprawdę spoko jak na świra. – Śmiech i kaszel.

Zaprowadzili mnie, a może raczej zaciągnęli do vana i posadzili z tyłu. Siedzenia wyjęto,

podłoga była wilgotna, przerdzewiałe dziury zakrywały niedbale rzucone kawałki brudnego chodnika. Evan i Dump byli podenerwowani, oczy wyłaziły im z orbit, ręce się trzęsły.

Zabiliśmy, kurwa, tego gościa?

Zostałam z nimi na siedem miesięcy.

Evan umrze na ulicy, gdzieś, kiedyś. Widziałam, do czego jest zdolny dla dragów. Dostrzegalam smutek na jego twarzy, kiedy mu się wydawało, że nikt na niego nie patrzy.

– No i ten, chciałem ci powiedzieć, że, no, przykro mi i tak dalej, ale zabrałem twoje rysunki. – Evan odchrząkuje. – Wiesz, ten komiks. Sam nie wiem, po prostu mi się podoba. Fajne uczucie, widzieć tam siebie. Jakbym był sławny czy coś. Czytam codziennie po kawałku.

Szkicownik. To on ma mój szkicownik. Dump powiedziałby: „Tylko pamiętaj, żeby dać mi jakieś supermoce, rentgenowski wzrok czy coś, okej? Chciałbym widzieć laski przez ubranie”.

Bicie serca przyspiesza.

– Evan, muszę go odzyskać. Proszę?

Kaszle, nic nie mówi.

– Zobaczę, czy uda nam się wpaść, ale sam nie wiem, wcześniej wyruszamy. No, naprawdę potrzebuję tego komiksu. Sam nie wiem. Dzięki niemu czuję, że istnieję. Kiedy widzę się na obrazkach.

Evan, mówię, ale tylko w głowie.

– Jak wyjdiesz, przyjedziesz do Portland, dobra? Idź na nabrzeże, popytaj o mnie.

Będzie fajnie.

– Jasne, Evan.

– Nara. – Telefon milknie.

Isis skubie kolejną kostkę. Splatam dłonie na kolanach. To moje dłonie. Wyciągały żarcie ze śmietników. Walczyły o miejsce do spania i brudne koce. Miały totalnie inne życie niż to tutaj – gry w ciepłym wnętrzu, podczas gdy noc za oknem oddala się ode mnie.

Isis pyta:

– Jak mama? Pewnie dziwnie się czujesz, co?

Ułożyła słowo „piłka”. Zajęło jej to dziesięć minut.

Wsadzam dłonie pod uda, przyciskam. Przyjemnie. Evan ma mój szkicownik, ale ja mam jedzenie i łóżko.

– Doskonale. – Mój głos jest łagodny i zwyczajny. – Wybiera się na wakacje do Portland.

KIEDY ODPOWIEDZIAŁAM NA PYTANIE CASPER, wiecie, jak zareagowała? Spytała: „TO jest wstrętne czy TY czujesz się wstrętna, Charlie? Bo jest różnica i chcę, byś zastanowiła się, na czym ona polega. To będzie integralna część twojego procesu zdrowienia”.

Naprawdę zadają tu, kurwa, strasznie dużo pytań.

NA TERAPII GRUPOWEJ CASPER PYTA, kim są nasi przyjaciele, czy jesteśmy częścią jakiejś wspólnoty. Czy istnieją osoby, z którymi możemy porozmawiać, przy których czujemy się bezpieczne na zewnątrz.

– Kto zna wasze sekrety?

WIEM, KIM JESTEM. TO ZNACZY, nie wiem w sensie „wiem” – mam tylko siedemnaście lat. W każdym razie wiem, kim jestem w towarzystwie innych ludzi albo kiedy na mnie patrzą, wkładają do szufladki w swoim umyśle. Jeśli macie zdjęcie klasowe, założę się, że znajdziecie mnie na nim bez trudu. Kim jest ta dziewczyna, która się nie uśmiecha? Która,

choć stoi w grupie, wygląda, jakby była sama, bo pozostałe dzieciaki odrobinę się od niej odsuwają? Jej ciuchy są może trochę... nijakie? Brudne? Za luźne? Takie nic. Pamiętajcie jej imię? Z łatwością odnajdziecie takie dziewczyny. Nawet nie muszę ich opisywać. Bez trudu wyłowicie z grupy te, które sobie radzą, bo są inteligentne, i te, które sobie radzą, bo są twarde czy wysportowane. I jeszcze jestem ja, ta zaniedbana (powiedzmy to: uboga), której nigdy nic się nie udaje, siedzi sama w stołówce, która przez cały czas rysuje, na korytarzach jest popychana i wyzywana, ponieważ to jest jej szufladka, i czasem wpada we wściekłość i bije, bo co jej pozostało? A więc kiedy Casper pyta: „Kto zna wasze sekrety?”, odpowiadam w myślach: nikt. Nikt, aż do Ellis. Była moją jedyną szansą, wybrała mnie. Pewnie nie wiecie, co to znaczy, bo przywykliście do tego, że macie przyjaciół. Prawdopodobnie macie też mamę i tatę – albo przynajmniej jedno z nich nie jest martwe – i was nie biją. Od was nikt się nie odsuwa na zdjęciu klasowym. Nie wiecie więc, jakie to uczucie każdego dnia, każdego, kurwa, dnia, być tak samotnym, że ta czarna dziura w środku powoli pożera was żywcem, aż nagle w szkole zjawia się ta osoba, ta niesamowicie piękna osoba. Najwyraźniej ma w nosie, że wszyscy gapią się na jej sukienkę z czarnego aksamitu, kabaretki, wielkie czarne buciory, niesamowite fioletowe włosy i bardzo czerwone usta. Pierwszego dnia staje w drzwiach stołówki, nawet nie ustawia się w kolejce po tacę, tylko omiata wzrokiem całe pieprzone zoo, jakim jest długa przerwa, i nagle rusza prosto w twoją stronę, jej wielkie czerwone usta uśmiechają się, ogromny czarny plecak spada na stolik. Wyciąga z niego torebki ze słodyczami i przesuwa w twoim kierunku (ołówkę zawisa w powietrzu nad szkicownikiem, ponieważ podejrzewasz żart, podstępny plan wymyślony przez grupę ówków, ale nie), i mówi: „Jezu, jesteś jedyną normalną osobą w tym piekle. Muszę coś wziąć, bo umrę. Chcesz się przyłączyć po szkole? Podobają mi się twoje włosy. I T-shirt. Kupiłeś w sklepie czy w Internecie? Co rysujesz? To jest, kurwa, normalnie anielskie”. Tak właśnie określa rzeczy, które jej się podobają. „Ta trawa jest, kurwa, anielska, Charlie, ten zespół jest anielski”. Od tej chwili świat pokrył się złotem. Lśnił. To znaczy, wiem, że nadal był gównem, ale jakby lepszym gównem, rozumiecie? I poznałam różne sekrety. Dowiedziałam się, że pod warstwą mocnego białego makijażu kryje się trądzik, z którego powodu Ellis zalewała się łzami. Pokazała mi torby pełne śmieciowego jedzenia, które chowała w szafie, pokazała, jak wymiotuje, kiedy zje za dużo. Powiedziała, że jej ojciec ma romans z ciotką, dlatego się przeprowadzili, i że rodzice nad tym pracują. I że tak naprawdę nie ma na imię Ellis, tylko Eleanor, ale postanowiła spróbować czegoś nowego po przeprowadzce, tylko, o Jezu, nie mów tego przy matce, bo babcia miała na imię Eleanor i niedawno umarła, więc matka dostanie szału, normalnie szału. Wow, Charlie, twoje ręce. Ty to zrobiłaś? Piękne. Trochę przerażające, ale jednocześnie w jakiś sposób piękne. Wczoraj poznałam w Hymie’s jednego gościa, ma na imię Mikey. No wiesz, w sklepie z płytami. Byłaś tam? Jasne, że tak, wystarczy na ciebie spojrzeć. Zaprosił nas. Wybierzesz się? Ma anielsko niebieskie oczy.

W jej pokoju, o ścianach pomalowanych na intensywny błękit i oklejonych plakatami, z lampą przedstawiającą układ słoneczny na suficie, mogłam powiedzieć jej wszystko. I mówiłam. „Charlie, Charlie, jesteś taka piękna, kurwa, anielska”. Jej dłoń w mojej dłoni. Nosila białą flanelową piżamę w czarne czaszki.

To ona. Ta, która знаła moje sekrety.

W CZWARTEJ KLASIE MIAŁAM TAKĄ NAUCZYCIELKĘ. Była dla wszystkich strasznie miła, nawet dla najgorszych ówków. Nigdy nie krzyczała. I nigdy się mnie nie czepiała, nie kazała wychodzić na przerwy ani uczyć na wuef. Pozwalała mi siedzieć w klasie i rysować, podczas gdy sama wystawiała oceny lub patrzyła przez wielkie kwadratowe okno. Raz powiedziała: „Charlotte, wiem, że w tym momencie różne sprawy wydają ci się bardzo

trudne, ale będzie lepiej. Czasem musi trochę potrwać, nim znajdzie się przyjaciela, wyjątkową osobę, ale kiedyś to nastąpi. O rany, miałam bliską przyjaciółkę chyba dopiero na studiach”. Bawiła się złotym serduszkami na łańcuszku otaczającym jej szyję.

Miała rację. Znalazłam tę wyjątkową osobę. Tylko nikt mnie nie uprzedził, że ona się, kurwa, zabije.

CO WIECZÓR LOUISA SKROBIE w jednym ze swoich czarno-białych zeszytów. Na koniec zamyka pióro, zatrząskuje zeszyt i wychyla się z łóżka, tak że jej włosy opadają niczym wodosпад, i widzę jej kark bez blizn, błądy, porośnięty delikatnym meszkiem. Wsuwa zeszyt pod łóżko, mówi „dobranoc” i naciąga kołdrę na twarz. Tego wieczoru czekam, aż zaśnie, wyłażę z łóżka i klękam na podłodze. Zaglądam pod brzeg prześcieradła. Leżą tam całe stopy zeszytów, wszystkie sekrety starannie poukładane w czarno-białych rzędach.

POWINNAM COŚ SKORYGOWAĆ. Nie chciałabym nikogo wprowadzić w błąd. Powiedziałam, że Ellis się zabiła, lecz ona nie umarła w tym sensie, że leży pod ziemią, mogę odwiedzić jej grób, położyć stokrotki na starannie utrzymanej trawie lub zaznaczyć rocznicę w kalendarzu. Były narkotyki, był chłopak-wilk. Ellis odpływała coraz dalej ode mnie, wilk pożerał jej serce, był łapczywy. A kiedy skończył, oblizwał łapy i zostawił ją wyniszczoną, moją Ellis, niegdyś pulchną i promieniejącą. Zabrał całe jej światło. A potem chyba próbowała stać się taka jak ja. Usiłowała wyczerpać samą siebie, skurczyć się, tyle że spierdoliła. Jak zauważył Mikey, cięcie się nie było w jej stylu. Wyobrażam sobie jej pokój cały we krwi. Rzeki krwi, rodzice walczą z nurtem, by do niej dotrzeć. Przesadziła, rozumiecie? Nie można stracić zbyt wiele krwi, nie można pozbawiać mózgu tlenu, bo inaczej dostanie się uszkodzenia mózgu spowodowanego niedotlenieniem na skutek wstrząsu krwotocznego, który zostawił moją przyjaciółkę całkiem pustą, zostawił tylko jej ciało. Rodzice wysłali ją do podobnego miejsca jak to, w którym teraz przebywam, tylko bardzo, bardzo daleko, na drugim krańcu Stanów. Umieścili ją w nowym domu pełnym miękkiej pościeli, w świetle codziennych powolnych spacerów i śliny na brodzie. Koniec z farbowaniem włosów, z rżnięciem, koniec z dragami, koniec z iPodem, z wielkimi buciorkami, kabaretkami, z rzyganiem, ze złamanym sercem, koniec ze mną. Zostały tylko dni wypełnione nicością, spodnie na rzepy i pieluchy. A ja nie mogę, nie mogę, nie mogę zrobić tego, co powinnam: dotknąć jej, sprawić, by poczuła się lepiej, odgarnąć dzikie włosy z twarzy, wyszeptać: przykromiprzykromiprzykromiprzykromi.

MUSZĘ COŚ ZROBIĆ, BO WYBUCHNĘ.

Porozmawiać z Evanem, odnaleźć Mikeya, czekać, aż mnie odwiedzi, myśleć o Ellis, tak strasznie, strasznie tęsknię.

Wszystkie dziewczyny są na zajęciach plastycznych, pochylone nad długimi stołami z plastiku. Panna Joni chodzi dookoła, mrużąc głębokim, ciepłym głosem. Nosi fioletowe turbany i koszule drwała. Kiedy na pierwszych zajęciach tylko usiadłam i nic nie robiłam, powiedziała: „Możesz sobie siedzieć, koleżanko, w porządku. Siedź, ile ci się zamarzy?”.

Nie tkwiłam beczynnym dlatego, że nie chciałam naklejać błyszczących gwiazdek na arkusze kolorowego papieru czy mieszać wodnistych farb, tylko dlatego, że ramiona mnie bolały. Bolały mnie aż po koniuszki palców i były ciężkie, całe w bandażach.

Nadal bolą, ale dzisiaj panna Joni mówi:

– Porozmawiałam sobie z doktor Stinson.

Przesuwa w moją stronę piękny czysty blok papieru oraz nowiutki kawałek węgla, a ja

łapczywie chwytam go w palce. Ból rozchodzi się iskrami wzdłuż przedramienia. Blizny są wciąż wrażliwe i ściągnięte i będą takie jeszcze długo, ale nie przejmuję się tym. Mocno oddycham. Ciężko nad tym pracuję. Moje palce roztaczają nade mną opiekę. Minęło sporo czasu, ale wiedzą, co trzeba robić.

Rysuję ją. Ich. Zapełniam kartkę portretami Ellis, Mikeya, Evana i Dumpa, nawet DannyBoya. Zapełniam każdy fragment, aż mam cały świat utraconych.

Kiedy podnoszę głowę, okazuje się, że wszyscy poszli, została tylko panna Joni. Włączyła światła. Za oknem jest ciemno. Upija kawy ze styropianowego kubka i przegląda coś w różowym telefonie.

Unosi głowę i uśmiecha się.

– Lepiej?

Kiwam głową.

– Lepiej.

DZISIAJ NIE MOGĘ DOCZekać SIĘ SPOTKANIA Z CASPER. Chcę jej opowiedzieć o zajęciach plastycznych, o tym, co narysowałam i co znaczy dla mnie rysowanie. Myślę, że może się ucieszyć. Kiedy otwieram drzwi, okazuje się, że nie jest sama. W gabinecie jest też doktor Helen.

Żółw chowa się w zatopionym statku.

Doktor Helen odwraca się i mówi:

– Och, Charlotte, usiądź, proszę. – Poklepuje brązowe krzesło, na którym zawsze siadam.

Patrzę na Casper, ale jej uśmiech nie jest tak miły jak zwykle. Jest jakby... mniejszy.

Doktor Helen jest znacznie starsza od niej, w kącikach oczu ma zmarszczki i używa różu w zbyt ciemnym odcieniu do swojej karnacji.

– Razem z doktor Stinson przejrzałyśmy twój rozwój, Charlotte. Z przyjemnością stwierdzam, że poczyniłaś spore postępy w bardzo krótkim czasie.

Nie wiem, czy powinnam odpowiedzieć, a może się uśmiechnąć, więc nic nie mówię. Szczypię się po udach przez kwiecisty materiał spódnicy, Casper dostrzega to i marszczy brwi, więc przestaję.

– Wiele przeszłaś jak na tak młody wiek, po prostu... – Dziwne, ale w tym miejscu doktor Helen urywa, zaciska usta i po chwili zwraca się bardzo ostrym tonem do Casper: – Nie zamierzasz pomóc, Bethany?

Przez chwilę przetrawiam imię Casper. Bethany Bethany Bethany, i dopiero po chwili dociera do mnie, co ona powiedziała.

– Co? – pytam.

Casper powtarza:

– Jesteś zwolniona.

Potem znów mówi doktor Helen, opowiada o jakiejś fundacji psychiatrycznej, dzięki której mogli mnie leczyć w szpitalu, i o tym, że moja matka musiała spotkać się z sędzią i podpisać papiery, ponieważ „stanowiłam zagrożenie dla siebie i otoczenia”, o ubezpieczeniu i babci, o której nie myślałam od bardzo dawna. Wszystkie słowa tłuką się w mojej głowie, a serce zaciska się coraz mocniej. Pytam o mamę, ale się jąkam. Gryzę się w język, aż czuję w ustach smak krwi.

Casper mówi:

– Twoja matka obecnie nie pracuje, więc nie ma możliwości pokrycia kosztów. Z tego, co rozumiałam, część uiściła twoja babka, lecz dłużej nie może tego robić z powodu kłopotów

zdrowotnych i finansowych.

– Czy mojej babci stało się coś złego?

– Nie wiem – odpowiada Casper.

– Rozmawiałaś z moją matką?

Casper przytakuje.

– Czy ona... czy wspominała o mnie?

Casper spogląda na doktor Helen, która mówi:

– Robimy wszystko, co w naszej mocy, by znaleźć dla ciebie miejsce pobytu. Bethany, co z tym łóżkiem w Palace?

Casper nie odpowiada, a doktor Helen zaczyna przeglądać papiery leżące na jej kolanach.

– Jest taki ośrodek resocjalizacyjny, znajdują tam dla ciebie pokój prawdopodobnie nawet już w przyszłym miesiącu. Specjalizują się w uzależnieniach, ale to w końcu jeden z twoich problemów. Do tego czasu musisz zamieszkać z matką, ponieważ nie możesz zostać tutaj. Nikt nie chce, byś wróciła do poprzedniej sytuacji, nikt.

Poprzednia sytuacja. Znaczą bezdomność, nurkowanie w śmietnikach. Znaczą zimno, choroby i Jebany Frank. Faceci przychodzący rznąć dziewczyny.

Patrzę na żółwia. Jego nogi drgają, jakby wzruszał ramionami i mówił: „I co niby mam zrobić? Jestem tylko zakichanym żółwiem uwięzionym w akwarium”.

Niebo za oknem staje się szare i nieprzyjazne. Jebany Frank. Ośrodek resocjalizacji. Znowu mnie wyrzucają na ulicę.

– Jest zimno – odzywam się i brzmię jak małe dziecko, przez co robię się jeszcze bardziej wściekła.

Doktor Helen stwierdza:

– Cóż, robimy wszystko, co w naszej mocy. Czy naprawdę nie istnieje szansa, byś pogodziła się z matką? Może z pomocą psychologa? Zgodziła się, żebyś z nią mieszkała do czasu, aż zwolni się łóżko w ośrodku. Moim zdaniem ona się stara.

Rzucam Casper zrozpaczone spojrzenie. Od dawna nie widziałam czegoś równie smutnego, jak jej oczy.

Bardzo, bardzo powoli kręci głową.

– Nie widzę innej opcji, Charlotte. Przykro mi.

Pewnego razu matka tak mi przyłożyła w ucho, że przez cały tydzień słyszałam wyjące pociągi. Wstaję i ruszam do wyjścia.

Casper dodaje:

– Nie porzucamy cię, Charlotte. Wypróbowaliśmy wszystkie możliwości, po prostu nie ma...

– Nie. – Otwieram drzwi. – Dziękuję. Idę do swojego pokoju.

Casper woła za mną, ale się nie zatrzymuję. W uszach brzęczą mi roje pszczoł. Pokoje znajdują się na trzecim piętrze, w skrzydle Dinnakena. Mijam Louise, wchodzę do łazienki i stoję tam przez chwilę. Louisa wypowiada moje imię.

Potem wchodzę pod prysznic i walę głową w ścianę, aż pszczoły zdychają.

Casper wbiega do środka, chwytam mnie w talii i ciągnie, żebym przestała. Biorę w dłonie jej piękne żółtawe włosy, przypominające puch pisklaka, i szarpię mocno, a Casper krzyczy i odskakuje. Osuwam się na podłogę, ciepła krew napływa mi do ust.

Mówię:

– Przykromiprzykromiprzykromiprzykromi.

Pierzaste kosmyki Casper trzepoczą w moich dłoniach. Nigdy nie będę piękna ani normalna jak ona i ta myśl sprawia, że wszystko ze mnie wypływa, wszystko, o co Casper

kiedykolwiek pytała.

Teraz opowiadam jej, że po śmierci mojego ojca matka zwinęła się w koszmarny ciasny kłębek, w domu już nie grała muzyka, nie było dotykania. Zmieniła się w ducha, który poruszał się i palił papierosy. Gdy weszłam jej w drogę, zadzwonili ze szkoły, kiedy wzięłam pieniądze z jej portmonetki czy po prostu byłam sobą, zaczynały się wrzaski. Przez wiele lat wrzeszczała, a kiedy się zmęczyła, zaczęła bić.

Casper ociera mi twarz ręcznikiem. Louisa stoi w drzwiach, załamując ręce. Za jej plecami tłoczą się dziewczyny, popychają się, próbują coś dojrzeć.

Mówię:

– Biła mnie od bardzo dawna. Zaczęłam oddawać.

Mówię:

– Proszę, nie wyrzucajcie mnie na ulicę.

Opowiadam o facecie z tunelu, który złamał mi ząb, złamał mnie. Wyrzucanie tego z siebie boli, ale daję jej to, wszystkie koszarne słowa skryte w moim sercu – o Ellis, o Jebanym Franku.

Milknę. W jej oczach lśnią łzy. Dałam jej za dużo. Dwaj sanitariusze przeciskają się między dziewczynami. Na głowie Casper widać drobne kropki czerwieni pośród żółci – kropki krwi. Sanitariusze pomagają jej wstać, a ona milczy. Wychodzi, z trudem stawiając kroki.

LINIA CZASU

Dziewczynka przychodzi na świat.

Jej ojciec ją kocha. Jej matka kocha ojca.

Ojciec jest smutny.

Ojciec pije i pali, buja się w fotelu i płacze.

W końcu wchodzi do rzeki.

Matka zmienia się w pięść.

Dziewczynka jest sama.

Jest jej źle.

Nikt jej nie lubi.

Próbuje.

Ale jej usta wypełnia papka.

Głupia dziewczyna. Wściekła dziewczyna.

Lekarze: dać jej leki.

Leniwa dziewczyna. Po lekach ma w głowie papkę.

Matka bije dziewczynę. Dziewczyna się kurczy.

Dziewczyna cichnie. Cicha w domu. Cicha w szkole. Cicha myszka.

Dziewczyna słucha radia. Znajduje muzykę. Odkrywa całkiem nowy świat.

Wkłada słuchawki. Świat znika.

Rysuje, rysuje i rysuje. Świat znika.

Dziewczyna znajduje nóż. Robi się mała, coraz mniejsza. Świat znika.

Na pewno jest zła, więc się tnie. Zła dziewczyna. Świat znika.

Dziewczyna spotyka inną dziewczynę. Piękną Dziewczynę! Razem patrzą, jak planety przemieszczają się po suficie.

Oszczędzają pieniądze, by kiedyś pojechać do Paryża, Londynu, na Islandię.
Gdziekolwiek.

Dziewczynie podoba się chłopak, ale on kocha Piękną Dziewczynę.

Piękna Dziewczyna spotyka chłopaka-wilka. On ją napełnia, lecz sprawia, że staje się

mniejsza.

Piękna Dziewczyna jest zawsze zajęta.

Dziewczyna oddaje matce. Ich ramiona są jak wiatraki. Dziewczyna ląduje na ulicy.

Dziewczyna mieszka u Pięknej, ale wilk zostawia dragi.

Piękni Rodzice są wściekli. Piękna Dziewczyna kłamie i mówi, że to wina Dziewczyny.

Dziewczyna znów ląduje na ulicy. Wraca do domu.

Piękna Dziewczyna pisze: *Coś nie tak. Boli.*

Dziewczyna wkłada słuchawki. Wsuwa telefon pod poduszkę.

Piękna Dziewczyna krwawi zbyt obficie.

Dziewczyna już dłużej nie może, zranione serce, wyrzuty sumienia.

Łamie matce nos.

Znów na ulicy.

Świat znika.

ZOSTAJĘ, ALE NIE WIEM NA JAK DŁUGO. Zwolniono mnie z sesji indywidualnych u Casper. Porządkują moje papiery i zastanawiają się nad datami. Sędzia po raz kolejny nakazał zakwaterowanie doraźne, a oni tymczasem próbują znaleźć rozwiązanie, pertraktują z moją matką i ośrodkiem resocjalizacji.

Casper nadal jest dla mnie miła, lecz powstał między nami dystans, który sprawia, że boli mnie serce. Znów zaczynam z „przykro mi”, ale Casper tylko potrząsa głową ze smutkiem.

Każdego ranka Vinnie ogląda szwy na moim czole, cmokając ustami. Blue nazywa mnie Frankensteinem, szepcze głosem jak z horroru. Chodzę tam, dokąd mam chodzić. Wieczorami udaję, że odrabiam lekcje online. Próbuję pisać do Mikeya, kiedy Barbero jest zajęty czy drzemie, ale zawsze odpowiada mi puste białe okienko czatu. Nocami przyglądam się, jak somalijscy sprzątacze poruszają się za oknami sąsiedniego budynku, pchają wózki ze środkami czyszczącymi, mopami i ścierkami.

Niebo wygląda teraz jak z pocztówki, z chmur rzadziej pada deszcz, z każdym dniem słońce świeci coraz mocniej. Jeśli popatrzę trochę dalej, między wysokie srebrne budynki, to dostrzegam teren uniwersytetu, a dalej zakręcającą jak wąż rzekę płynącą w stronę St. Paul i Seed House, głodu, brudu, bólu i zmęczenia. Znowu, bo nie mam dokąd pójść.

Sasha przygotowuje popcorn. Vinnie przyniósł małe pojemniki z dodatkami smakowymi w proszku: masłem, cayenne, parmezanem. Upiekł w domu brownie, czekoladowe ciasto, a teraz Francie pomaga je lukrować. Dzwoni telefon. Przerzucam kanały, jeden po drugim, gdy nagle słyszę swoje imię. Vinnie kiwa w moim kierunku słuchawką.

Przez chwilę słucham oddechu po drugiej stronie, w końcu mówię na próbę „cześć”.

– Charlie, nie wpisałaś mnie na listę!

To Mikey.

O mało nie upuszczam telefonu. Chwytam słuchawkę w obie dłonie, żeby się nie trzęsły.

– Mówiłem przecież, że przyjeżdżam! Miałaś umieścić mnie na liście gości czy coś takiego. Zostanę jeszcze tylko jeden dzień. Wieczorem mam koncert, a rano wyjeżdżamy.

– Wpisałam cię na listę! – Mój umysł gorączkowo pracuje. Czyżby Casper zapomniała? A może go skreślili, skoro i tak odchodzę? – Gdzie jesteś? Potrzebuję cię. Oni...

– Zaczekaj, Charlie. Jest tam okno? Stoję na parkingu od frontu!

Odwieszam słuchawkę, biegnę do okna i przyklejam twarz do szyby. W oczy razi mnie pomarańczowy blask. Mikey stoi na parkingu, machając pomarańczowym pachołkiem drogowym. Dostrzega mnie i opuszcza go na ziemię.

Wygląda chyba tak samo jak zwykle. Otwarty i zmartwiony. I bezpieczny.

Mży, drobne krople błyszczą na jego dreadach. Nabrał trochę ciała, lecz nadal jest drobny. Podnosi ręce, jakby pytał, co się stało.

Czuję na czole zimny dotyk szyby. W kącie Vinnie gra w karty z Sashą i Francie. Blue siedzi na sofie, nuci pod nosem.

Moja twarz tonie we łzach. Patrzę na niego, jak stoi w deszczu, ma rozchylone usta i zaczerwienione policzki.

Vinnie mówi znacząco:

– Charlie.

Blue wierci się na sofie. Wstaje i podchodzi do okna.

– Chłopak. – Jej oddech zmienia się w mgliste kółko na szkle. – Prawdziwy, żywy chłopak.

Sasha i Francie rzucają karty.

Kiedy Ellis za pierwszym razem zabrała mnie do siebie – to było w dziewiątej klasie, znałyśmy się od tygodnia – nawet nie mrugnęła okiem, gdy okazało się, że w suterenie już siedzi jakiś starszy chłopak. Czytał komiks, trzymając go w jednej dłoni, a drugą grzebał w torbie z solonymi preclami. Spojrzał na Ellis z ustami pełnymi jedzenia i uśmiechnął się.

– Twoja mama mnie wpuściła. A to kto?

Miał na sobie koszulkę Black Flag.

Nie mogłam się powstrzymać, zapytałam, cytując tekst piosenki:

– „Masz załamanie nerwowe?”.

Odłożył komiks.

– „Głowa strasznie mnie boli” – odparł drugim wersem. Czekał, a jego oczy błyszcząły.

Ku własnemu zaskoczeniu zaczęłam śpiewać dalszy ciąg. Stojąca przy barku Ellis drgnęła i rzuciła mi mordercze spojrzenie.

Mikey i ja zaśpiewaliśmy piosenkę do końca, a tymczasem Ellis przeszukała minilodówkę rodziców. Była nieco urażona, nie dało się ukryć. Nie lubiła tego rodzaju muzyki. Wolała rock gotycki i ponure rzeczy w rodzaju Bauhausu czy Velvet Underground. Byłam przekonana, że nikt inny w naszej szkole nie znał tekstu do *Nervous Breakdown*.

Nie miała jednak powodów do zmartwienia. Mikey ją kochał.

– O – mówią chórem Sasha i Francie, podchodząc do okna.

Podciągam rękawy swetra i przyciskam ramiona do szyby. Czy z tak daleka widać moje blizny?

Mikey zakrywa twarz rękami. Pamiętam ten gest. Często go używał, kiedy Ellis i ja robiłyśmy rzeczy, które go przerastały. „Ej, wy”, mawiał ze znużeniem „natychmiast przestańcie”.

Vinnie staje obok Blue i mruczy:

– Cholera. Dziewczyny. Cholerne dziewczyny i chłopcy. – Wali w szybę, aż Sasha odskakuje. – Idź stąd! – drze się do Mikeya przez szybę. Pod nosem dodaje: – Nie zmuszaj mnie, żebym kogoś zawołał, synu. – Odwraca się w moją stronę. – A ty opuść te zakichane ramiona.

– To zupełnie jak w tym filmie! – wykrzykuje Francie. Czekam, aż Mikey oderwie dłonie od twarzy. Jego koszulka przesiąkła deszczem.

Sasha zaczyna płakać.

– Mnie nigdy nikt nie odwiedza! – wyje.

Vinnie znowu mruczy:

– Cholera. – Zaczyna przyciskać guziki pagera.

Blue kładzie palce na moim ramieniu.

– Zamknij się, kurwa! – Francie jest wyraźnie wzburzona. – Mnie też nikt nie odwiedza. –

Przyciska paznokcie do brody, aż pokazują się drobne kropelki krwi.

Blue mówi cicho:

– Patrz.

Mikey otworzył torbę kurierską i teraz pisze coś zaciekle flamastrem w notesie opartym na kolanach. Podnosi go. Mrużę oczy, by zobaczyć coś przez szybę, przez deszcz.

NIE

Wypuszcza kartkę, która sfruwa i przykleja się do mokrej ziemi obok jego buta. Mikey wrywa kolejną kartkę.

WAŻ SIĘ

Vinnie wali pagerem o szybę, a Sasha wyje coraz głośniej.

Francie mówi:

– Zamknij się.

Szczypie ją, a wycie przybiera na sile.

– Drobnny kryzys – mówi Vinnie do telefonu.

Mikey walczy z kolejną kartką, która utknęła w kółeczkach notesu. Na parkingu pojawia się dwóch sanitariuszy. Krzyczą coś do niego; podnosi głowę dokładnie w tym samym momencie, kiedy kartka wreszcie puszcza i odfruwa, porwana podmuchem wiatru. Mikey biegnie za nią, niechcący trafia w kałużę, przewraca się. Blue wstrzymuje oddech. Patrzymy na siebie. Jej oczy błyszczą.

– Niesamowite – szepcze. – Totalnie niesamowite. – Splata swoje palce z moimi palcami na szybie. – To dowód skrajnego oddania, Cicha Sue. Chyba zdajesz sobie z tego sprawę?

Mężczyźni, właściwie studenci dorabiający w weekendy, o muskularnie rzeźbionych ramionach i krótko przyciętych włosach, biorą Mikeya pod pachy i podnoszą. Walczy, podeszwy jego butów ślizgają się w kałuży. Płacze rozpaczliwymi łzami chłopięcego zażenowania. Stawiają go, na ich twarzach irytacja ustępuje zaciekawieniu. Dziwnie widzieć go tak, drobnego, z tymi szalonymi dreadami, w ciuchach z używaków, obok tych dwóch facetów, których mięśnie prawie rozsadzają oślepiająco białe stroje. Wszyscy trzej są mniej więcej w tym samym wieku, ale dzielą ich lata świetlne.

– Ścierwa! – wrzeszczy Vinnie. – Cholerne ścierwa, nie pozwólcie mu, kurwa!

Sanitariusze tylko wruszają ramionami, a Vinnie dalej wścieka się za oknem na trzecim piętrze.

Mikey podnosi przemoczoną kartkę.

UMRZEĆ.

Nie waż się umrzeć. Atrament krwawi w deszczu.

Sasha wali głową w szybę. Vinnie odciąga ją, czule poklepuje po ramionach z tak bliska, na ile pozwala mu odwaga. Do pokoju wchodzi Ava, która nie dba o przepisy i wszystkie dotyka, pozwala, by Francie się do niej przytuliła, słycać łkanie stłumione przez białą bluzkę. Blue i ja patrzymy, jak sanitariusze otrzepują nagie ramiona z deszczu. Mikey wygląda obok nich na siedemnaście lat, ale ma dwadzieścia jeden i przyszedł specjalnie, żeby się ze mną spotkać. Chce przebić szybę, sfrunąć na parking, dać się objąć. „Skrajne oddanie”, powiedziała Blue. Może teraz, gdybyśmy zostali tylko we dwoje, Mikey mógłby mnie pokochać.

Nadzieja wypełnia moje ciało.

Mikey ociera twarz, wsuwa mokry notes do torby kurierskiej. Unosi rękę.

Pa.

Sanitariusze go popychają. Powłócząc nogami, rusza mokrym chodnikiem, po chwili znika.

WSZYSTKO DZIEJE SIĘ SZYBKO.

Wpatruję się w ekran komputera. Jestem na stronie szkoły online, ale nie mam zamiaru się uczyć. Rano wyjeżdżam, wracam z matką do domu. W ośrodku resocjalizacji nie będzie dla mnie wolnego łóżka jeszcze przez kilka tygodni.

Kiedy odśpiewaliśmy z Mikeyem piosenkę Black Flag, Ellis zrobiła obrażoną minę. Odwróciła się do nas plecami i umieściła płytę w gramofonie. Podobnie jak ja miała prawdziwy gramofon i prawdziwe płyty, całe mnóstwo, a nie przeciętny zbiór CD czy przeładowanego iPod'a bądź telefon jak inne dzieciaki. Na ścianach wisiały oprawione w ramki albumy bluesowe i wielkie plakaty Velvet Underground i the Doors. Pod ścianą z boazerii stała zniszczona, poplamiona zamszowa kanapa, za barek służyła ścianka ze sztucznej cegły, trzy wysokie stołki i szumiąca lodówka. Sufit w suterenie był niski, powietrze wilgotne i zatęchłe. Lubiłam to miejsce, ciasne i wygodne. Emanowało swobodą, w przeciwieństwie do mieszkania mojej matki, w którym trzymała ona ciemność, czasopisma i przepełnione popielniczki.

Ellis postawiła na blacie trzy puszki z piwem.

Zastanawiałam się, czemu wybrała mnie na swoją przyjaciółkę. Dziewczynę z niedbale przyciętymi czerwono-czarnymi włosami, w dziurawych swetrach i porwanych dżinsach, skrywających rzeczy, o których jeszcze nie miała pojęcia. Przywykłam przemykać się bokiem, ignorować chamskie napisy na mojej szafce, zaciskać zęby, kiedy znów ktoś popchnął mnie w łazience – a ona jakimś sposobem mnie znalazła. Istota w aksamitnych sukienkach, pasiastych rajstopach i wielkich ciężkich buciorach, o twarzy upudrowanej na biało i ustach pokrytych ciemnofioletową szminką. Przyglądałam się, jak starszy chłopak patrzy na Ellis. Na jego twarzy uwidaczniała się intensywność uczucia, która wywoływała we mnie jednocześnie zainteresowanie i zawód.

Ellis upiła wielki haust piwa, otarła usta i potrząsnęła głową, świeżo ufarbowane na kruczą czerń włosy uderzyły o upudrowane policzki.

– Mikey mieszka przy tej samej ulicy, ale chodzi do jakiejś zwariowanej szkoły społecznej.

Nieustępliwa energia The Smiths, porywający dźwięk gitary Johnny'ego Marra, dźwięk, któremu nie mogłam się oprzeć, chociaż wołałam muzykę, która dławiła mój mózg i szturmem podbijała serce, i dźgała moje ciało.

Chłopak imieniem Mikey wstał, rzucił komiks na bok i chwycił dłonie Ellis. Skakali dookoła, śpiewając chórem *Is It Really So Strange?* Wyciągnęli do mnie ręce, twarz Ellis była zarumieniona i oszołomiona.

Kiedy tego popołudnia szliśmy do Ellis, powiedziała:

– Jedyne, co pomaga mi dotrzeć do końca kolejnego zasranego dnia, to świadomość, że na koniec mogę wrócić do domu i się nawalić.

Piwo chlupało gorącą falą w moim żołądku, muzyka przenikała skórę. W suterenie pachniało starą boazerią, zwietrzałym popcornem i brudnym różowym dywanikiem. Przez tyle lat nikt mnie nie chciał. Przez tyle lat ludzie popychali mnie, darli się na mnie i mieli ze mnie ubaw, a teraz miałam przy sobie dwie wspaniałe osoby, które mnie wybrały. Mnie.

Dałam im się wciągnąć.

Potrząsam głową, by rozjaśnić sobie w umyśle. Pieprzyć to. Co mogą mi teraz zrobić, na tym etapie? Oglądam się i patrzę na Barbera, który wzrusza ramionami i wlepia wzrok w iPod'a. Od dnia, kiedy odeszła Jen S., nie jest sobą. Loguję się do poczty i otwieram okienko czatu, moje

serce bije bardzo szybko. Proszę, bądź tam, bądź, błagam w myśli.

Krótki sygnał i *Michael pisze*, a potem:

Sorry, że tak zareagowałem. Nie chcę, żebyś skończyła jak E. Wyjeżdżam jutro rano w trzytygodniową trasę. Spróbuję znów zadzwonić do ciebie do szpitala.

Wilgotne mieszkanie mojej matki na Edgumbe, na pierwszym piętrze w krzywym budynku z odpadającym sidingiem, na balkonie puszka z petami i zawleczkami od puszek. Nie mam wyboru. Muszę zaryzykować.

Piszę: *Mikey, proszę, uratuj mnie.*

ŚNIA MI SIĘ MUCHY, CAŁE CHMARY, siadają na mnie, wgrzając się w ubranie. Muchy to demony ludzi żyjących na ulicy. Dziobią, pełzają po twoim brudzie, żywią się tobą, przyprawiają o mdłości. Budzę się, waląc rękami dookoła, słyszę:

– Przestań.

To Blue klęczy przy moim łóżku, odpycha moje młójące ramiona. Włosy opadają jej na twarz.

– Posłuchaj. Muszę ci coś powiedzieć. Raz uciekłam od taty. Dotarłam do Indiany, ze wszystkich miejsc na świecie. Pierdolona Indiana.

Opowiada, jak wzięła crack i poszła do pracy w supermarkecie. Mówi:

– Całe moje ciało było jak podłączone do prądu elektrycznego, mogłam myśleć tylko o tym, żeby stamtąd spieprzać, wrócić do gównianego mieszkania, pociąć się, poczuć się lepiej, zapomnieć o tej zastranej robocie.

Pracowała szybciej i szybciej, gorączkowo ustawiała pudła z płatkami w odpowiednim porządku na półkach, naklejała ceny. Pociła się, ocierała twarz fioletowym fartuchem i nagle usłyszała śmiech.

– Jakby cały sklep się ze mnie śmiał. Pudełka, metkownica, jebany wózek, lampy.

Towary na półkach śmiały się ze mnie. Jakby teraz nawet przedmioty wiedziały, jaka jestem pierdolona. – Ma plamy na twarzy, jej oczy są mokre. – I w tym momencie już wiedziałam. Wiedziałam, że pójde do domu i się zabiję. No. I. Jestem.

Słyszę, jak Louisa oddycha na drugim łóżku. Nie śpi, słucha.

Blue wbija we mnie mokre oczy i bierze głęboki wdech.

– Morał z tej historii jest taki, Charlie: nie daj się pożreć płatkom. To tylko zakichane pudło z płatkami, ale pożre cię żywcem, jeśli tylko na to pozwolisz.

– CZUJĘ SIĘ BARDZO NIESWOJO, ŻE ZABIERASZ ZESTAW. Nawet jeśli jest pusty – mówi Casper.

Siedzę na brzegu łóżka. Plecak z pustym zestawem awaryjnym leży koło moich stóp. Louisa dała mi swoją staromodną walizkę – sztywną i prostokątną, którą pokryła odrysowanymi od szablonu czaszkami i różami. Wzruszyła ramionami.

– Na razie to i tak mój ostatni przystanek.

Miała na twarzy blady uśmiech, który mnie zmartwił, ale tylko pogładziła koniuszki swoich włosów. Zrobiła krok do przodu i lekko jak piórko musnęła mnie w policzek.

– Szkoda, że nie możesz dłużej zostać – wyszeptwała. – Mam ci tyle do opowiedzenia. Wiem, że byś zrozumiała.

Zwrócili mi wszystkie rzeczy. Leżą w walizce: polaroid, skarpetki, woreczek z węglem i ołówkami. Panna Joni dała mi też nowusieńki szkicownik, niesamowicie fajny, pewnie kupiła go z własnych pieniędzy, przez co mam lekkie wyrzuty sumienia.

Casper siedzi naprzeciwko mnie na składanym krześle, pożyczonym ze świetlicy.

Lekarzom nie wolno siadać na łózkach pacjentów. Jej ogromne niebieskie oczy patrzą tak łagodnie. Wciąż czuję się strasznie w związku z tym, co jej zrobiłam.

Unosi ręce i rysuje w powietrzu kontur mojej postaci. Kiedy jej palce docierają do butów, mówi:

– Masz na własność wszystko, czym jesteś, Charlie. Co do kawałeczka. – Milknie na chwilę. – Rozumiesz, co teraz nastąpi, prawda?

Z trudem przełykam ślinę.

– Wracam do matki.

Casper dała mi kartkę z numerami do ośrodka resocjalizacji, grupy wsparcia i telefonu zaufania oraz swoim adresem mailowym. Kartka leży na dnie plecaka.

– Żadnych narkotyków, żadnego alkoholu i milczenia. Musisz ciężko pracować, Charlotte, by utrzymać się z dala od dawnych nawyków. Stare sprawy i przyzwyczajenia są wygodne, nawet jeśli wiemy, że sprawiają nam ból. Idziesz w nieznane.

Podnoszę plecak, stawiam go sobie na kolanach i przyciskam do piersi. Nie jestem w stanie spojrzeć na Casper. Zamiast tego skupiam wzrok na śliskiej strukturze materiału, z którego uszyto plecak. Mamamamamama.

– Chłodny mech – mówi Casper i uśmiecha się. Nie odpowiadam. Próbuje ponownie: – Wyglądasz jak farmer, Charlotte. Niezrównoważony, łysiejący farmer.

Spoglądam na siebie, na ogrodniczki po siostrze Mikeya T-shirt z Grateful Dead, wytartą dwurzędową kurtkę wełnianą – ciuchy, które włożyła do pudła jego matka. Poruszam stopami w wysokich butach. Tęskniłam za nimi, za tym odczuwalnym ciężarem na nogach. Kiedy Vinnie mi je przyniósł, długo je do siebie tuliłam.

W milczeniu mijamy zamknięte drzwi świetlicy. Słyszę, jak rozmawiają w środku stłumionymi głosami. Tak jak w przypadku Jen, nie mogą się ze mną pożegnać. Winda zjeżdża, ciepło w moim brzuchu zmienia się w ogromną kulę. Słowa znów zaczynają się wymykać. Drzwi się rozsuwają.

Stoi przy biurku, w rękę trzyma plik papierów i kopertę. Jest cała szara: szara kurtka na suwak, szare dżinsy z dziurą na jednym kolanie, szare adidasy, szara włóczkowa czapka.

Jedyny kolor to jej włosy.

Są jak ogień w odcieniu głębokiej czerwieni. Związała je w koński ogon.

Moje ciemnoblond są schowane pod czerwoną wełnianą czapką od siostry Mikeya i króciuteńkie, bo przecież ścięłam farbowany czarny kołtun z czasów życia na ulicy.

Matka nie uśmiecha się, ale wcale tego nie oczekiwałam. Jednak dostrzegam coś, falę czegoś, która przepływa przez jej oczy.

I zaraz znika.

Drżą mi dłonie, które schowałam do kieszeni. Zaciskam je w pięści tak mocno, jak tylko potrafię. Nie widziałam jej od niemal roku.

Casper zachowuje się bardzo rzeczowo. Podchodzi do matki.

– Dziękuję, że zechciała pani przyjechać. – Ogląda się i daje mi znak. – Charlie, już czas.

Z każdym krokiem czuję coraz mniej siebie. Odpływam – znów to, co Casper nazywa dysocjacją. Gdyby tylko matka się uśmiechnęła, dotknęła mnie, cokolwiek.

Patrzy na mnie przez krótką chwilę, po czym zwraca się do

Casper:

– Miło, że wreszcie się poznałyśmy. Dziękuję za wszystko. Za Charlotte i w ogóle.

– Nie ma za co. Trzymaj się, Charlie.

Casper nie uśmiecha się, nie marszczy brwi, tylko dotyka mojego ramienia, po czym bardzo lekko mnie popycha, a potem odwraca się w stronę wind.

Matka rusza do wyjścia, koński ogon objija się o kurtkę.

– Idziesz? – pyta, nie odwracając się.

Niebo pokrywa warstwa puchatych chmur. Tanie buty matki skrzypią na chodniku.

– Nie mam samochodu – mówi, pochylając głowę i zapalając papierosa. Zastanawiam się, jak dotarła do szpitala, czy ktoś ją podrzucił. Zawsze nienawidziła autobusów.

Jest ciepło, koniuszek jej nosa błyszczy. Już czuję, że będzie mi za gorąco w wełnianej kurtce. Kiedy dochodzimy do rogu, oglądam się – są w oknie na trzecim piętrze, wyglądają jak siedzące rzędem lalki, patrzą na mnie, Blue przykładła dłoń do szyby.

Matka skręca za róg.

Muszę biec, żeby ją dogonić. Zaczynam mówić to, co powtarzałyśmy z Casper. Staram się, by brzmiało to wiarygodnie, ponieważ wiem, jaka jest alternatywa.

– Będę przestrzegać zasad, mamó. Cokolwiek sobie zażyczysz. Znajdę pracę i tak dalej, okej?

Zatrzymuje się tak gwałtownie, że uderzam o jej ramię. Teraz niemal dorównuję jej wzrostem, co jednak niewiele znaczy. Obie jesteśmy niskie.

Podaje mi kopertę.

– Twoje papiery, akt urodzenia, bilet na autobus i tak dalej.

Nie rozumiem.

– Co?

Nie przyjmuję koperty, więc matka chwytą mnie za rękę i zaciska moje palce na brzegach papieru.

– Na więcej nie możesz liczyć, Charlotte. Masz tu wszystko, co ci potrzebne, w porządku?

– Myślałam... myślałam, że wracam do domu. Z tobą.

Kiedy ściska w palcach papierosa, widzę, jakie ma suche ręce, jakie popękane. Bierze ostatniego macha, przydeptuje peta.

Zerkam na nią, na niewielki garb na grzbiecie nosa. Nosa, który złamałam patelnią. Jej wargi poruszają się z wahaniem. Przygląda się samochodom przejeżdżającym ulicą. Nie spojrzy na mnie, a ja nie mogę patrzeć na nią zbyt długo.

Zbyt wiele się między nami popsuło. Widzę mgłę przed oczami.

– Twój kolega Mike wpadł wczoraj późnym wieczorem. Obie wiemy, że to nie wyjdzie, ty w jednym mieszkaniu ze mną albo ty w ośrodku resocjalizacji dla nastolatków. To nie w twoim stylu, Charlotte. Nie wiem, co jest w twoim stylu, ale na pewno nie ja i na pewno nie ośrodek, w którym obowiązuje godzina policyjna. Mama Mike'a kupiła ci bilet na autobus do Arizony. Zatrzymasz się w jego mieszkaniu. Obiecał, że ci pomoże.

Wyciąga z kieszeni kolejnego papierosa.

– Zostawił list. Przez jakiś czas będziesz mieszkać sama, do jego powrotu. Chyba jest w trasie z jakimś zespołem, tak? Mike to dobry dzieciak, Charlotte. Spróbuj tego nie spieprzyć.

A więc Mikey jednak coś zrobił po mojej wiadomości. Nie wracam do matki. Wsiadam do zasranego autobusu. Jadę na zasraną pustynię. Daleko, daleko od Jebanego Franka, zasranej rzeki, tego wszystkiego.

Jestem taka szczęśliwa i jednocześnie taka przerażona i zdezorientowana, że nie wiem, co robić.

Powoli trzęsącymi się dłońmi otwieram kopertę, przeglądam papiery: bilet, stara legitymacja, akt urodzenia i złożony list, na pewno od Mikeya. I coś jeszcze, co sprawia, że serce mi podskakuje.

Zwitek banknotów związanych gumką i owiniętych folią samoprzylepną. Gapię się na

pieniądze, powoli dociera do mnie, co to jest.

– Skąd... skąd to masz?

Zaciąga się głęboko.

– Matka Eleonor znalazła to jakiś czas temu. Sprzedają dom, przenoszą się na zachód, żeby być bliżej niej. Jest w Idaho, wiesz.

Paryż, Londyn, Islandia. Gdziekolwiek. Ellis i ja kosiłyśmy ludziom trawniki, pomagałyśmy pani Hampel wysprzątać garaż. To była ciężka praca i pochłonęła mnóstwo czasu. Pani Hampel była pisarką czy kimś takim i miała całe mnóstwo teczek z wycinkami i starych magazynów. Chwytałyśmy się wszystkiego, by zarobić.

– Judy uznała, że powinnaś to dostać.

Wsuwam zwitek do kieszeni kurtki, prędko ocieram oczy. Nie chcę, żeby matka widziała, że płaczę.

Coś utyka w moim gardle – przykromiprzykromiprzykromitęsknięzatobą – ale nie chce go opuścić. Matka mówi:

– Muszę już iść, Charlotte. Mam coś do załatwienia.

Rusza przed siebie, ale nagle zawraca, obejmuje mnie tak mocno, że nie mogę oddychać, tak mocno, że widzę czerwone kółka wokół puchatych obłoków, a potem przyciska wargi do mojego ucha i szepcze:

– Nie myśl sobie, że to nie łamie mi serca.

Idzie sobie, a moje ciało staje się zimne, zimne. Stoję na rogu Riverside i Dwudziestej Drugiej, pustka świata jest taka wielka i taka mała zarazem. Dworzec autobusowy leży spory kawałek stąd. Nawet nie wiem, która godzina.

Spoglądam na bilet.

Odjazd Minneapolis, Minnesota; przyjazd Tucson, Arizona. Przebiegam wzrokiem po całej reszcie, nazwy miast, w których autobus się zatrzyma, migają mi przed oczami. Pustynia. Kiedy błagałam Mikeya, by mnie uratował, długo nie odpowiadał, w końcu napisał: *Pracuję nad tym*, i się wylogował.

Jadę na pustynię. Będę jechać sama autobusem przez Bóg jeden wie ile stanów, by zamieszkać z Mikeyem, chociaż jeszcze nigdy dotąd nigdzie nie byłam. I jak ja niby mam się dostać na dworzec? Która godzina? Patrzę na szpital, zastanawiam się, czy wrócić, ale nagle uświadamiam sobie, że nie mogę. Sądzą, że pojechałam z matką do domu. I co pocznę, jak dotrę na miejsce? Kiedy wróci Mikey? Jak długo będę tam sama?

Wszystko dzieje się zbyt szybko, nie mogę oddychać. Za ciepło mi w wełnianej kurtce.

– Podwieź cię, twardzielko?

Odwracam się. Białe van ze szpitalnym logo leniwie sunie obok mnie. Vinnie wyrzuca papierosa przez okno.

– Wskakuj – mówi, a potem dodaje: – Wiem tyle, że właśnie jadę do centrum handlowego odebrać grupę anorektyczek na przepustce, jasne? Wcale nie przewożę wyrwanej spod dozoru prawnych opiekunów nieletniej w nieznane miejsce. – Dodaje gazu. – Zapnij pasy! Nie chcę w tym rżęchu żadnych trupów. Dokąd jedziemy?

Milczymy aż do dworca Greyhound. W środku siedzi kilka osób w otoczeniu walizek, pudeł, papierowych toreb i plastikowych worków. Vinnie sięga do kieszeni czarnego płaszcza i wpycha mi do ręki garść banknotów.

– Nie chcę cię tu więcej widzieć, dziewczyno.

Kiwam głową, oczy zachodzą mi łzami.

– Wszystko, co się zepsuło, można naprawić, każdą rzecz i każdego człowieka. Tak uważam. – Spogląda na budynek dworca. – A teraz idź, a kiedy wsiądziesz do autobusu, masz

wybrać miejsce z przodu, za nic w świecie z tyłu. Tył to piekło. Trzymaj się z daleka. Nie bierz od nikogo papierosów ani niczego do picia, chyba że z automatu. Trzymaj się. O, tak. – Tu mocno obejmuje się ramionami. – A jak dotrzesz na miejsce, czeka cię słońce, same pogodne dni, zgadza się? I nie pytaj, skąd wiem, ale wiem. Sporo się o was dowiedziałem. A teraz zmykaj. – Sięga ponad moim ramieniem i popycha drzwi.

Pachnie truskawkowymi cygarami Swisher Sweets i ciepłym mlekiem, ulicami i domem.

Mocno wciągam jego zapach, w razie gdyby był ostatnią znajomą rzeczą w ciągu wielu kolejnych dni, a potem wysiadam z vana, ciągnąc za sobą plecak i walizkę Louisy.

CZEŚĆ DRUGA

Mogłabyś być dziewczyną, prawdziwą dziewczyną

AUTOBUS TO WYPEŁNIONY SMUTKIEM i nieświeżym powietrzem gigantyczny potwór, który toczy się ciężko przed siebie. W każdym z miast wysrywa nas na dwadzieścia minut, dwie godziny, trzy, nieważne. Zawsze to samo: jadłodajnia, sklep z podstawowymi artykułami, brud w toaletach, brud w rynsztoku. Chowam pieniądze od Vinniego głęboko w kieszeniach, wydaję tylko na batoniki, napoje i słone chipsy, a raz na kanapkę z sałatką jajeczną z zamazaną datą ważności. Smak czekolady w ustach jest jak eksplozja szczęścia.

Nie rozmawiam z ludźmi, którzy zajmują miejsca obok mnie. Wsiadają, pachną dymem bądź brudem, wysiadają na następnym przystanku. W Kansas autobus psuje się w środku nocy, w mieście, w którym, chociaż mamy połowę maja, wciąż trwa Gwiazdka; wypływałe wieńce w ciemnych witrynach, światełka migoczące w oknie stacji benzynowej. Kobieta obok mnie chowa podbródek w grubej zbroi ze sztucznego futra i mruży: „A niech to”. Wyłazimy z autobusu i przystajemy niepewnie na parkingu przed zamkniętą na głucho restauracją. Faceci z tyłu jak gdyby nigdy nic przenoszą się ze swoją grą w trzy kubki do alejki, po której kierowca chodzi w tę i z powrotem, czekając na pomoc. Siadam na krawężniku, z dala od pozostałych, wciąż jest mi za ciepło w wełnianej kurtce. Na bilecie jest napisane, że przejedziemy przez sześć stanów, zanim dotrzemy do Arizony, i że zajmie to jedną dobę, dwadzieścia jeden godzin i czterdzieści pięć minut. Kierowca mówi, że nie wiadomo, kiedy podstawią nowy autobus.

Plączę w toalecie, gorące łzy spływają na kołnierz kurtki, patrzę na zwitek pieniędzy, które zarobiłyśmy z Ellis. Wreszcie dokąś jadę, do miejsca, w którym być może będzie lepiej, ale jej ze mną nie ma. Znowu wszystko mnie boli, jest to ból ostry i przerażający, dotyka mojej przerażającej skóry. Próbuję nie myśleć o Mikey, o tym, jak dobrze byłoby mieć go obok, tym razem może jako kogoś więcej niż przyjaciela.

Docieramy na miejsce w środku nocy. Nagle rozlega się radosny okrzyk kierowcy: „Tuuuu-soooooon!”, wrywając kilka osób ze snu. Dołączam do rzędu zaspanych pasażerów, wychodzimy prosto w ciepłą nieprzenikloną ciemność.

Na niektórych czekają bliscy, patrzę, jak się obejmują i całują. Ja nie mam nikogo, więc wyjmuję kopertę od Mikeya, żeby nie czuć się samotnie.

W autobusie czytałam ten list raz po raz, by przypominać sobie, że to się dzieje naprawdę, że rzeczywiście wyjechałam.

Charlie!

Wszystko będzie dobrze, obiecuję. Przykro mi, że akurat mnie nie ma, przez jakiś czas pomieszkaś sama. Nie martw się, właścicielka domku jest spoko, to artystka, wie, że przyjedziesz. Ma na imię Ariel, jeśli będziesz czegoś potrzebować, to jej powiedz. Twoja mama mówiła, że ma dla ciebie jakieś pieniądze, więc pewnie starczy ci na jedzenie. Tutaj masz adres i mapę, żebyś wiedziała, gdzie są sklepy i tak dalej. CHARLIE: nie mogę się doczekać, kiedy znów cię zobaczę.

Mike

Zbliżam wyrwaną z notesu kartkę do twarzy w nadziei, że został na niej zapach Mikeya,

który pomógłby uciszyć wątpliwości w moim sercu, lecz niestety. Biorę kilka głębokich oddechów, próbuję się uspokoić.

Spoglądam na mapę, staram się zorientować, gdzie jestem i dokąd mam się udać, i co znaczą te wszystkie strzałki. Na ulicach jest pusto, ale trzymam głowę wysoko.

Evan powtarzał, że nie powinniśmy się bać tego, co ukryte, ale tego, co wyraźnie widzimy przed sobą.

W tunelu zagryzam wargę, staram się nie myśleć o tamtej nocy. Rączka walizki wbija mi się w dłoń. Kurtka jest stanowczo za gruba na tę pogodę. Pocę się, ale nie chcę przystawać, by ją zdjąć. Mijam mnóstwo małych barów i sklepów. Niebo tutaj przypomina gęstą ciemną tkaninę usianą bladymi białymi gwiazdami, chciałabym jej dotknąć.

List Mikeya liczy trzy strony.

Zobaczysz dom ze stadem WIELKICH srebrnych ptaków na podwórzu. Dziewiąta Ulica 604 E. Ariel mieszka w starej dzielnicy nazwanej na cześć Pie Allen. Ja zajmuję fioletowy domek gościnny na tyłach. Możesz pożyczyć żółty rower i zamek do niego. Ariel zostawiła je dla ciebie. Klucz do drzwi leży pod żółtą doniczką.

Według mnie wcale nie wyglądają jak ptaki, ale rzeczywiście lśnią srebrzyście w ciemnościach nocy, szeroko rozpościerają ogromne skrzydła. Domek gościnny znajduje się za głównym budynkiem. Znajduję klucz pod doniczką. Żółty rower z nowiutkim wiklinowym koszem na zakupy stoi przywiązany do słupka suszarki. Przekręcam klucz i macam po ścianie, szukając włącznika światła, mrużę oczy, gdy nagle się zapala. Ściany w środku pomalowano na fioletowo.

Nie mam pojęcia, co robić. Czy właścicielka jest w domu? Słyszała mnie?

Nie ma tu świateł włączających się z charakterystycznym „ping”. Nie ma nieskończonego beżowego chodnika ani płaczących dziewczyn, ani żadnych sekretnych pokoi.

Jestem sama. Po raz pierwszy od bardzo wielu miesięcy jestem całkowicie sama. Nie ma Evana, Dumpa, Casper, nawet irytującej Isis. Na chwilę moje ciało ogarnia mrowienie – to panika. A jeśli coś mi się stanie przed powrotem Mikeya, to kto się o tym dowie? Kto się przejmie? Na moment wracam tam, do koszmarnego czasu spędzonego na ulicy, zanim znaleźli mnie Evan i Dump. Każdy dzień był jak przyspieszone bicie serca, a noce trwały całe lata, gdy czekałam, aż ciemność ustąpi, podskakiwałam przy każdym dźwięku, próbowałam znaleźć bezpieczną kryjówkę.

Bycie samej nie znaczy to samo co bycie samej. Ani trochę.

Oddychaj, Charlie. Oddychaj, tak jak mówiła Casper. Wsuwam palce pod kurtkę i szczypię się w uda, w nadziei, że pod wpływem bólu wrócę do rzeczywistości. Kawałek po kawałku panika ustępuje.

W żołądku głośnie burczy. Wdzięczna, że mogę skupić się na czymś innym, przeglądam minilodówkę wciśniętą w kąt. Jest w niej kilka butelek wody i są przejrzałe banany. Zjadam jednego i błyskawicznie wlewam w siebie wodę. W małym kartonowym pudełku znajduję dwa kawałki pizzy. Są twarde, tak wyschnięte, że trzeszczą w ustach, ale nie szkodzi. Jestem głodna jak wilk. Powoli panika odpływa, jej miejsce zajmuje wyczerpanie.

Na zewnątrz panuje cisza. Która godzina? W kącie stoi wielka skrzynia, przysuwam ją do drzwi, tak na wszelki wypadek. Całe ciało mam obolałe po podróży, nogi słabe i bezwładne. Wyłączam światło. Chociaż moja skóra klei się od potu, nie zdejmuję kurtki. Poczulałabym się bez niej jeszcze bardziej odsłonięta. Potrzebuję zbroi ochronnej, tak na wszelki wypadek.

Kładę się na materacu Mikeya. Czuję, jak różne sprawy odrywają się ode mnie, znikają w otaczającej mnie ciszy. Nie słucham o smutkach dziewczyn mieszkających przy tym samym

korytarzu. Jebany Frank jest daleko, daleko, jego ręce nie mogą mnie tu znaleźć. W plecaku mam trochę pieniędzy. Moje ciało robi się coraz łżejsze i łżejsze.

Wreszcie to czuję, po tylu miesiącach zacieklej walki ciągnie mnie głęboko do wnętrza kurtki, do zagłębienia materaca – to sen. Wciskam twarz w poduszkę i tam wreszcie odnajduję zapach Mikeya, taki trochę cynamonowy. Wciągam go tak mocno, jak tylko się da, pozwalam, by wypełnił wszystkie zakamarki i ukołysał mnie do snu.

Kiedy się budzę, słońce wpada do środka przez jedyne okno. Rozglądam się sennie, zsuwam z siebie wilgotną kurtkę. Po niemal dwóch dobach spędzonych w autobusie czuję własny zapach.

Po chwili orientuję się, że domek gościnny to gówniany przerobiony garaż; w tylnej ścianie znajduje się dwoje drzwi wychodzących na alejkę, niezbyt fachowo zlutowanych, o kwadratowych okienkach, w których wiszą niebieskie zasłonki. Na kuchnię składa się tylko zlew umieszczony w blacie leżącym na starej metalowej szafce.

Na suficie tkwi wiatrak, a na jednej ze ścian wisi klimatyzator. Podłoga jest cementowa, łazienka zaś mieści się w szafie, jest tam toaleta i plastikowa kabina prysznicowa.

Wyczołguję się z legowiska i ruszam do łazienki. Sikam, odkręcam prysznic. Prycha, w końcu wypuszcza cienki strumyk. Zakręcam wodę. Jeszcze nie jestem gotowa na kąpiel. Nie jestem gotowa, by spojrzeć na siebie, dotknąć nowych ran. Dotyk uczyni je bardziej prawdziwymi. A blizny wciąż bolą i jeszcze długo będą wrażliwe.

W Creeley większość z nas ograniczała się do przeciągnięcia myjką po różnych dziurkach i innych zakamarkach, jak mawiała Isis, ponieważ jeśli chciałaś wziąć normalny prysznic, musiała towarzyszyć ci asystentka, w razie gdybyś próbowała utopić się pod strumieniem wody czy coś w tym stylu. A żadna z nas nie życzyła sobie występować nago przed publicznością, więc większość wybierała inną opcję.

Wkładam ogrodniczki, wychodzę z łazienki. Przeciagam dłońmi po blacie. Jest ze sklejki pociągniętej klejem Mod Podge, pod jego warstwą tkwią pocztówki z różnych miast. Niektóre odwrócone tekstem do góry, z wiadomościami w rodzaju: *A. Spotkajmy się przy fontannie o czwartej, tak jak w zeszłym roku*. Na pewno chodzi o Ariel, właścicielkę domu. Przyglądam się pocztówkom, zdjęciom, niedbale skreślonym wiadomościom. Pod moimi palcami rozwija się opowieść.

Wyciągam pieniądze, które zarobiłyśmy z Ellis. „Przefrunąć ocean”, mówiła Ellis, kręcąc się po pokoju z rozpostartymi ramionami, „wylądować w Paryżu, Londynie, na Islandii”. Wszystkie te romantycznie brzmiące nazwy miejsc, w których chciała żyć. „Wypić espresso nad Sekwaną, to będzie, kurwa, anielskie, Charlie. Zobaczysz”.

Dziewięćset trzydzieści trzy dolary i tylko jedna z nas wciąż żywa. Półżywa.

Długo patrzę na pieniądze, w końcu chowam je pod zlewem, wciskam za mały ekspres do kawy.

Muszę skombinować coś do jedzenia.

Kiedy wychodzę, słońce świeci tak mocno, że widzę ciemne plamy przed oczami, więc znów przekręcam klucz, wracam i przeszukuję szufladę w biurku. Znajduję okulary w oprawkach pomalowanych na złoto w czarne ciapki, pewnie zostawiła je jakaś dziewczyna. Czy Mikey miał dziewczynę? Czy Mikey ma dziewczynę? Nie chcę o tym teraz myśleć.

Narysowana odręcznie mapa jego autorstwa jest pełna strzałek i notek: *Circle K, trzy przecznice* →; *Czwarta Aleja (używaki, kawa, bar, żarcie, książki) sześć przecznic* ↑; *U siedem przecznic* ←. Kiedy wlokę się w stronę Circle K, twarz i ramiona zaczynają mnie palić. Dziwnie pomyśleć, że zaledwie kilka dni temu byłam w miejscu, gdzie pada, a niebo jest szare, a teraz proszę, wszędzie słońce, zero kurtek.

We wnętrzu Circle K jest chłodnawo; jakbym znalazła się pod wodą, w czystym głębokim basenie. Gość za ladą ma wielkie czarne kółka w płatkach uszu. Podnosi głowę nad grubej książki, kiedy przechodzę między regałami, zgarniając buteleczki, pudełka gazy, filtr przeciwsłoneczny, plaster, tubki z kremami. W klimatyzowanym pomieszczeniu pot szybko zasycha mi na twarzy, lepki i piaszczysty. Chwytam z lodówki butelkę mrożonej herbaty.

Muszę uzupełnić zestaw awaryjny, tak na wszelki wypadek. Nie chcę się ciąć, zamierzam przestrzegać zasad wyznaczonych przez Casper, ale potrzebuję tych rzeczy. Tak na wszelki wypadek.

Płacę i wpycham zakupy do plecaka.

Na zewnątrz rozkładam mapę Mikeya. Dalej przy tej samej ulicy znajduje się sklep o nazwie Food Conspiracy. Ruszam w tamtym kierunku.

To kooperatywa, wewnątrz jest proste i sprawia wrażenie luksusowego, z sufitu sączy się muzyka. Nie bardzo wiem, co kupić. Nie sprawdziłam wyposażenia kuchni Mikeya, o ile w ogóle istnieje. Wrzucam do metalowego koszyka pudełko krakersów i kawałek sera z chilli.

W sklepie panuje spory ruch. Dwie hipisowate panie obmacują gruszki. Wysoki gość nakłada curry z baru sałatkowego do plastikowego pojemnika. A ja wkładałam gołe ręce do śmietników, potem widelcołyżką wsuwałam do ust kartonowy makaron z serem, a teraz robię zakupy.

Przy kasie ogarnia mnie strach, że nie starczy mi pieniędzy. Zamierzam wydać te od Vinniego. Czy chociaż je policzyłam? Czy sprawdziłam ceny rzeczy, które zgarnęłam do koszyka? Zapomniałam, jakie jedzenie potrafi być drogie. Powraca Blue: „Nie daj się pożreć płatkom”.

Płatki mnie zżerają. Zżerają mnie żywcem.

Czy wszyscy na mnie patrzą, kiedy szukam pieniędzy w kieszeniach? Są. Czy nie? Dłonie mi się trzęsą. Wpycham zakupy do plecaka, nie czekam na resztę.

Wypadam na zewnątrz. Dźwięki samochodów i ludzi brzmią w moich uszach jak wycie piły łańcuchowej. Zaciskam powieki. „Nie odpływaj”, mówiła Casper, kiedy dopadał nas stres, gdy napięcie w mózgu zaczynało walczyć z napięciem we wnętrzu ciała, co prowadziło do dysocjacji. „Nie waż się odpłynąć. Zostań ze mną”.

Idę za daleko, w złym kierunku, i nagle jestem w tunelu podziemnym, pośród warkotu samochodów.

Beton śmierdzi szczynami. Podeszwy butów rozgniatają tłuczone szkło. On znów powraca.

Przejeżdżające samochody tworzą brudne cienie na pokrytych graffiti ścianach. Leżałam opatulona aż po czubek głowy, próbowałam spać, gardło miałam zatkane mazią, ciało parowało od gorączki. Przez cały okres, kiedy mieszkałam na ulicy, ciągle chorowałam. Teraz wiem, że miałam zapalenie płuc.

Najpierw poczułam jego rękę na swojej nodze.

Próbuję sobie przypomnieć, co mówiła Casper, co mówiła Casper. „Zatrzymaj się. Dokonaj oceny. Oddychaj”.

W ciemnym, parnym tunelu przyciskam dłonie do uszu i zamykam oczy, wstrzymuję oddech, wypuszczam go powoli. Samochody dyszą na moje nogi ciepłym, stęchłym powietrzem; skupiam się na tym. Stopniowo ogień odchodzi, piły odpływają w dal, wspomnienie znika.

Opuszczam ramiona i ruszam w stronę Czwartej, mijając po drodze punkty zaznaczone na mapie Mikeya: Dairy Queen, kawiarnię, w której faceci grają białymi pionkami na stoliku wystawionym na chodnik, bary, restauracje, sklepy z rzeczami vintage, księgarnię feministyczną. Znowu zapędzam się za daleko i muszę zawrócić,

wreszcie docieram do Dziewiątej Ulicy, praktycznie biegnę zdesperowana, by jak najszybciej dotrzeć do fioletowego domku.

Zastawiam drzwi skrzynią, by świat został na zewnątrz.

Muszę znaleźć jakiś sposób, by uspokoić czerń w swoim wnętrzu. Najpierw wyciągam szklaną butelkę z mrożoną herbatą i wypijam ją. Biorę z łazienki spłóviały ręcznik do rąk i owijam nim głowę. Zamykam oczy.

A potem rozbijam butelkę na cementowej podłodze.

Jakby rozłożyło na niej skrzydła tysiące ptaków-możliwości, a wszystkie takie piękne, takie lśniące. Wybieram najdłuższe, najgrubsze kawałki i starannie owijam je w kawałek płótna, w którym leżały zdjęcia, a te wsuwam do torby. Pod zlewem dostrzegam szufelkę i zmiotkę. Zbieram resztę szkła i wyrzucam do śmietnika.

Wyjmuję zestaw awaryjny i uzupełniam braki: starannie układam rolki gazy, maści i kremy, plaster, szkło zawinięte w płótno, aż wszystko idealnie pasuje.

Na razie wystarczy. Muszę po prostu wiedzieć, że zestaw istnieje i jest gotowy do użytku. Tak na wszelki wypadek. Nie chcę się ciąć. Naprawdę. Tym razem szczerze pragnę poprawy.

Ale potrzebuję zestawu. W pewnym sensie dzięki niemu czuję się bezpiecznie, chociaż wiem, jakie to chore. Casper może powtarzać, że trzeba oddychać, może mówić, że mam kupować gumowe bransoletki na nadgarstki i strzelać nimi za każdym razem, kiedy panikuję albo gdy ogarnia mnie niewymowna chęć, żeby się pociąć. Tak, chcę spróbować tych wszystkich metod, ale Casper nigdy nie powiedziała, a może nigdy jakoś nie doszliśmy do tej części, co się stanie, co by się stało, gdyby te wszystkie metody... nie zadziałały.

Wtykam zestaw pod stos koszulek w skrzyni Mikeya.

Na czworakach podchodzę do walizki i otwieram zatrzaśki.

Patrzenie na jej wnętrze napędza mnie spokojem. Nie ma tam ubrań. Ciuchy po siostrze Mikeya zmieściły się w plecaku. W walizce leży cała reszta: szkicownik, ołówki, papiery od panny Joni, woreczki z węglem starannie owinięte w papier. Polaroid.

Otwieram szkicownik, odwijam pałeczkę węgla i rozglądam się dookoła.

Fioletowe ściany pełne plakatów z zespołami i list utworów z tras koncertowych. Materac Mikeya z jedną czarną poduszką i zniszczonym niebiesko-białym wełnianym kocem. Chwiejne biurko i drewniane krzesło. Stary odtwarzacz, wysokie głośniki, wokół półki pełne płyt CD i analogowych. Stos plastikowych skrzynek, z których wysypują się koszulki, bokserki i wystrzępione niebieskie spodnie robocze. Biała szczoteczka do zębów w cynowym kubku na kuchennym blacie. Luźny zbiór tego, co składa się na bycie Michaeliem.

Zaczynam w tym miejscu. Rysuję tu, gdzie jestem. Stawiam się na nowym starcie, otoczona komfortową obecnością cudzego życia, łatwiejszego niż moje.

PRZEZ DWA DNI TYLKO ŚPIĘ I RYSUJĘ, czasem skubię krakersy i ser, wypijam całą wodę i muszę uzupełniać puste butelki wodą z kranu.

Trzeciego dnia rysuję ze słuchawkami Mikeya na uszach. Morrissey śpiewa mi słodko, gdy nagle słyszę głucho uderzenia w drzwi. Ściągam słuchawki, serce wali jak szalone. Drzwi się otwierają. Mikey? Już wrócił? Podnoszę się.

Stojąca w drzwiach kobieta jest wysoka, obiema dłońmi trzyma się framugi. Białe proste włosy sięgają tuż za uszy. Mam na sobie ogrodniczki i T-shirt z krótkim rękawem, chowam gołe ręce za plecami. Czuję rozczarowanie, że to nie Mikey – moje serce zwalnia.

Kobieta mruży oczy.

– Jestem, kurwa, ślepa jak nietoperz. Zostawiłam okulary w domu. Michael przysłał mi esemes. Pyta, czy u ciebie wszystko w porządku. Gdybyś się nie domyśliła, jestem właścicielką

tego miejsca.

W jej głosie pobrzmiwa szorstka nuta, akcent, którego nie potrafię zidentyfikować. Ma pokrytą zmarszczkami twarz tego rodzaju, które określa się mianem wyrzeźbionych. Z rodzaju pięknych i onieśmielających, i odrobinę niepokojących. Zawsze zastanawiam się, jak takie kobiety wyglądały w dzieciństwie.

Czujnie kiwam głową. Zawsze zachowuję czujność w obecności nowo poznanych osób, szczególnie dorosłych. Nigdy nie wiadomo, jacy się okażą.

– Michael nie wspominał, że jesteś niema. Jesteś niema? – Pierścionki z turkusami uderzają o framugę. – To jak, wszystko u ciebie w porządku czy nie?

Znów kiwam głową, przełykam ślinę.

– Gówno prawda.

Ma szybkie ruchy, sięga ramieniem za moje plecy i chwyta nadgarstki. Przekręca mi ręce, aż ukazują się wypukłe linie. Instynktownie sztywnieję i próbuję wyrwać ręce, ale ona wzmacnia uchwyt. Jej palce są pokryte zgrubieniami.

Wydaje z siebie jęk.

– Dzisiejsze dziewczyny. Tak mnie strasznie, kurwa, zasmucacie. Świat i tak sprawia ból. Po co go dodatkowo szukać?

Spanikowana, oddycham ciężko przez nos. „Puszczaj, kurwa”, odbija się w głębi mojej czaszki jak flipper i wypada przez usta. Zaskakuje mnie dźwięk własnego głosu, ją chyba też, bo rozwiera dłonie i pozwala moim ramionom opaść.

Pocieram nadgarstki i rozważam, czy na nią napluć.

– Dziewczyna ma kły i pazury – stwierdza z dziwnym zadowoleniem. – Na swoją korzyść.

Brzeg drzwi ociera się o moje ramię, w myślach zatrzymuję je na jej twarzy. Robię krok w tył, żeby przypadkiem nie zrealizować wizji. Kim jest ta sucz?

– Jestem Ariel. Proszę. – Przyciska do mojej piersi kawałek papieru. – Moja przyjaciółka prowadzi sklep przy głównej alei. Potrzebuje kogoś do pomocy. Przekaż, że zabiorę ją w piątek na drinka.

W połowie zarośniętego krzakami podwórza odwraca się, przysłania ręką oczy.

– Dostałaś pracę, przyjaciółko Michaela. Teraz musisz jeszcze znaleźć mieszkanie. Możesz tu zostać nie dłużej niż dwa tygodnie.

PRZEZ DWIE GODZINY ZBIERAM SIĘ NA ODWAGĘ, żeby wyjść na zewnątrz. Przez te dwie godziny w tę i z powrotem przemierzam niewielkie wnętrze domku gościnnego, mówię do siebie, pocieram ramiona, robię ćwiczenia oddechowe. Pójście do sklepu i zapytanie o pracę oznacza, że będę musiała się odezwać. Otworzyć usta w nadziei, że pojawią się właściwe słowa. Znosić ludzkie spojrzenia. Będą mnie oglądać, taksować od stóp do głów, mnie i moje dziwne ogrodniczki, i bluzkę z długim rękawem, śmieszne włosy, wszystko. Prawda? Tak chyba wygląda rozmowa o pracę? Trzeba opowiadać, skąd się pochodzi, gdzie się pracowało, co się lubi robić, wszystkie te bzdety.

Moja odpowiedź: znikąd, nigdzie, chlać i się ciąć.

To nie może skończyć się dobrze.

Alternatywa to powiedzieć surowej właścicielce tego domu, że nie poszłam na rozmowę z jej koleżanką, ryzykować, że mnie wywali, zanim wróci Mikey. Alternatywa to skończyć dokładnie w miejscu, w którym już byłam.

A obiecałam sobie, że będzie lepiej.

Wreszcie udaje mi się wyjść z domu, a raczej wybiec. Przekręcam klucz w zamku, nie

dając sobie szansy na kolejną rundkę wzdłuż ścian.

Wbrew oczekiwaniom odnajduję sklep bez trudu. Nazywa się Swoon. Jest późne popołudnie, bardzo gorąco. Widzę przez szybę, jak dwie dziewczyny w srebrnych minisukienkach śmigają między stojakami, poprawiają wieszaki, śmieją się. Srebrny brokat połyskuje na ich powiekach. Mają na głowach identyczne białe boby. To jest sklep, w którym pracują ładne dziewczyny, nie noszące ogrodniczki dziewczyny z bliznami. Nie dostanę tu pracy.

Wodzę wzrokiem wzdłuż ulicy. Włoska restauracja, sklep z używaną odzieżą, księgarnia, kooperatywa, modna kafejka.

Nie mam telefonu. Jak ktoś miałby do mnie zadzwonić w sprawie pracy? I co z rękawami? Kelnerki zawsze noszą krótkie rękawy. Kto mnie zatrudni z takimi ramionami? Dziura w brzuchu zaczyna rosnąć. W środku ćwiczenia oddechowego słyszę łagodny głos:

– Potrzebujesz pomocy?

Nie licząc Ariel, nie rozmawiałam z nikim od czterech dni. Jedna ze srebrnych dziewczyn ze Swoon stoi w drzwiach.

– Ja tylko... moja znajoma... ktoś powiedział, że potrzebujecie pracowników, ale... –
Aaa, mój głos. Brzmi... nieśmiało.

Mierzy mnie wzrokiem.

– Nie obraż się, ale u nas panuje raczej styl vintage. A ty jesteś bardziej grunge'owa. Rozumiesz?

Rzucam jej spojrzenie pod tytułem, taa, wiem, nie musimy udawać. Te dziewczyny i ja? Dzielą nas mile w kwestii dbałości o wygląd.

– A może... Może wiesz o czymś innym w pobliżu? Gdzie bardziej bym pasowała? Naprawdę potrzebuję pracy.

Wydyma wargi.

– Hm. Większość fajnych miejsc przy tej ulicy jest zamknięta. Zaczekaj. – Woła do wnętrza sklepu: – Darla! Dziewczyna szuka pracy. Wiesz może o czymś?

Druga dziewczyna wystawia głowę. Czuję się lekko zdezorientowana, kiedy na nie patrzę, przez te oślepiająco białe włosy, usta i identyczne sukienki.

Darla uśmiecha się.

– Hej.

Podobnie jak jej koleżanka, mierzy mnie wzrokiem od stóp do głów, ale nie w nieprzyjemny sposób. Pracują w uroczym sklepie z ciuchami vintage. Rozumiem. Przywykły oceniać ludzi po ubraniu.

– Wiesz co? Kawalek dalej, obok Dairy Queen, jest taka kafejka. Wydaje mi się, że wczoraj ktoś odszedł. Wyglądasz jak potencjalna pracownica True Grit. Pytaj o Riley'a.

Druga z dziewczyn daje Darli kuksańca łokciem.

– Riley. Och, Riley West. – Przeciąga nazwisko, jakby próbowała czegoś niesamowicie pysznego. – Weesssst.

– Uważaj, Molly, bo zaraz majtki ci spadną.

Molly wywraca oczami.

– Riley jest tak jakby seksowny – wyjaśnia.

Darla mówi:

– Tak jakby. O ile ma dobry dzień. Nieczęsto się zdarzają. W każdym razie powiedz, że my cię przysłałyśmy, okej? I kup sobie kapelusz czy coś. Robisz się konkretnie różowa.

Śmieją się i cofają w głąb sklepu, nim zdążę zadać pytanie o Riley'a, jego męski urok i spadające majtki. Mam nadzieję, że dzisiaj jest jeden z tych dobrych dni, cokolwiek to znaczy.

Idę dalej, denerwuję się i szykuję psychicznie na kolejną rozmowę. A jak się nie uda?

Dotykam twarzy. Darla powiedziała, że robię się różowa. Cudownie – poparzenie słoneczne.

Moją uwagę przyciągają jaskrawe kolory dookoła. Boczne ściany budynków oślepiają muralami. Tańczące kościołotrupy w czarnych cylindrach piją wino z dzbanów, ich kości są luźne i miękkie. Jimi Hendrix i Jim Morrison patrzą na drugą stronę ulicy. Beatlesi schodzą boso po murze. Gdzie nie spojrzę, widzę coś niezwykłego i strasznie fajnego.

Na drewnianych ławkach przed Dairy Queen siedzi grupa punków w ciężkich skórzanych strojach, liżą rożki lodowe z posypką. Jest wśród nich tylko jedna dziewczyna, nie je, tylko pali i skubie czarne paznokcie. Faceci mierzą mnie wzrokiem.

Przed sąsiednimi drzwiami przy stolikach z giętego żelaza siedzi kilku starszych mężczyzn, wpatrzonych w kwadratowe plansze, na których leżą idealnie równe białe i czarne pionki. Zagryzają palce, co jakiś czas powoli sączą coś z białych wyszczerbionych kubków. Za ich plecami, na tle matowej szyby mruga trochę przekrzywiony neon TRUE GRIT. Między literami wyzieraają stojące na środku parapetu termosy bufetowe i doniczki z paprotkami. Z głośnika zamontowanego na zewnątrz, nad oknem, łagodnie płynie smutna muzyka: Van Morrison śpiewa o gwiazdach i młodych kochankach.

Drzwi siatkowe zamykają się z traskiem za szczupłym facetem w fartuchu wysmarowanym tłuszczem i czerwonym sosem. Facet zapala papierosa, przesuwa wzrokiem po planszach do gry. Chmura dymu otacza jego twarz.

Muzyka nie pozwala mi ruszyć się z miejsca na chodniku. Mój tata ciągle puszczał tę płytę, kiedy byłem mały. Siedział w trzeszczącym bujanym fotelu w pokoju na tyłach naszego domu przy Hague Avenue. Był to dom pokryty kremowym szalunkiem, z małym kwadratowym podwórkiem z tyłu i kruszącym się kominem. Muzyka wywołuje we mnie przyływ tęsknoty tak gwałtownej, że zbiera mi się na płacz.

– Rozmarzyłaś się, skarbie? – Jasny głos z akcentem wyrywa mnie z zamyślenia.

Faceci przy stolikach chichoczą. Ten w fartuchu przechyla głowę. Twarz ma pokrytą zarostem. Wokół oczu pajęczyny zmarszczek.

Jego zainteresowanie mocno mnie zaskakuje. Bardzo ciemne oczy z zaciekawieniem przypatrują się mojej twarzy.

W moim wnętrzu coś się dzieje – elektrycznego i złotego. On to dostrzega czy może wyczuwa i na jego twarzy pokazuje się zadowolony, szeroki uśmiech. Policzki zalewa mi rumieniec.

Jeden z punków wrzeszczy:

– Tak naprawdę nie jest Angolem!

– Gdzie tam – mówi facet o wąskiej twarzy, siedzący przy jednym ze stolików. Opiera głowę na dłoni. – Stuprocentowo amerykański palant, bez kitu.

– Au. – Ten w fartuchu rzuca niedopałek na chodnik. Kiedy znów się odzywa, mówi już bez akcentu, leniwie i z zadowoleniem. Szeroki uśmiech nie znika z jego twarzy. – Może kawy? Espresso? Bajgiel? Enchilada? – Wypowiada to słowo jako en-hi-lada.

Szerokim ruchem ramienia zaprasza mnie do środka. Koszula w kratę zapinana na srebrne guziki, wypukłość zapalniczki w kieszonce na piersi. Widać, że czuje się totalnie komfortowo w swoim ciele. Czemu w ogóle zwrócił na mnie uwagę?

– Mowę jej odjęło, Riley. – Punkowa ma krzywy uśmiech. Podobają mi się jej różowe włosy.

Cała gromadka jest nieźle nawalona.

– Jeszcze nigdy nie spotkała żadnej sławy.

Riley. Riley Wesssst. Ten, przez którego Molly-ze-Swoon spadają majtki. Już rozumiem

dlaczego. Widać to jeden z jego dobrych dni.

– Półślawy – poprawia ją jeden z kumpli i spluwa na ziemię.

– Lokalnej półślawy – dorzuca któryś z graczy, machając palcem.

Punkówa chichocze.

– We własnej głowie i na tej ulicy. – Punki rżą ze śmiechu.

Facet w fartuchu rzuca im dobrotliwo-groźne spojrzenie.

Superchudy punk mówi:

– Riley, człowieku, wyglądasz fatalnie. Gościu, wyglądasz staro.

Zerkam na niego. Riley. Może nie zauważył, jaka jestem czerwona? Chłopak ma rację, twarz Rileya jest zmęczona, trochę zbyt blada. Patrzy na punków z lekką pogardą.

– Mam dwadzieścia siedem lat, drogie dzieci, na razie nie wybieram się do nieba, niepotrzebnie się o mnie martwicie.

Złotą zapalniczką zapala kolejnego papierosa. Kiedy unoszę wzrok i napotykam jego oczy, na jego twarzy znów pojawia się ten dziki uśmiech.

I z jakiegoś powodu odwzajemniam go, a moje wewnątrz przenika to elektryczne uczucie.

Uśmiechamy się do siebie jak debile. To znaczy Riley uśmiecha się do mnie jak pewnie do każdej istoty obdarzonej piersiami, a ja uśmiecham się jak debil, bo jestem debilem.

Bo gdyby mnie znał, gdyby mógł zobaczyć moje blizny, to co by pomyślał? Raz poszliśmy na doroczną paradę, w nadziei, że zbierzemy łup w postaci zgubionych portfeli i niedopitych puszek z piwem, a Dump kazał nam się zatrzymać, żeby popatrzeć na zespoły tańczących dziewczyn w krótkich fioletowych spodenkach i topach ze złotych cekinów. Evan spostrzegł, że też im się przyglądam. Po chwili powiedział: „Wiesz, Charlie, jesteś w sumie niesamowicie piękna”. Uśmiechnął się szeroko. „Pod całym tym syfem i brudem”.

Spojrzałam na niego w milczeniu, nie bardzo wiedziałam, jak zareagować. Wcześniej to zawsze Ellis z oczywistych powodów przyciągała uwagę. A chłopcy, z którymi byłam? Nie potrzebowaliśmy słodkich słówek ani kwiatów. Ale słowa Evana sprawiły... sprawiły, że zrobiło mi się jakoś tak przyjemnie w środku.

Dump spojrzał na nas. Uważnie przypatrzył się mojej twarzy. „Noo. Masz niebieskie oczy. Naprawdę niebieskie jak ocean czy coś. Nie masz się czym przejmować”.

A teraz Riley przechyla głowę na bok i mówi:

– No i co, Dziwna Dziewczyno? Powiesz coś wreszcie?

Wyrzucam z siebie:

– Przysłała mnie Darla. Ze Swoon. Mówiła, że może kogoś potrzebujesz.

– Darla naprawdę dobrze mnie zna. – Uśmiecha się i wydmuchuje kółko dymu. – Zgadza się, kogoś mi potrzeba. Myślę, że się nadasz.

Faceci przy stolikach chichoczą. Czuję, że moja twarz znów się czerwieni.

– Do pracy. Szukam pracy.

– A, no tak, tak. Jasne. Słuchaj, ja tu robię tylko za pacholka. Ta spelunka należy do mojej siostry, a ona wróci dopiero pojutrze. Nie...

– Gil odchodzi – wtrąca jeden z graczy. – Zapomniałeś o incydencie?

Riley mówi drwiąco:

– Ona na pewno nie zechce zmywać garów.

– Owszem, zechcę – mówię prędko. – Zechcę.

Riley potrząsa głową.

– Więcej zarobisz gdzieś jako kelnerka.

– Nie, nie lubię ludzi. Nie chcę podawać im jedzenia.

Faceci się śmieją, a Riley uśmiecha się i gasi papierosa. Ktoś woła ze środka:

– Riley! Riley! Do roboty! Gdzie ty, kurwa, łazisz?

– Jak widać, mój czas się skończył. Panowie. – Salutuje graczom, a potem odwraca się w moją stronę. – Dobra, Dziwna Dziewczyno. Przyjdź jutro. Szósta rano. Niczego nie obiecuję. – Puszczą oczko i dorzuca: – Tak właśnie łamią się serca. Kiedy wierzy się w obietnice.

Zielone drzwi zatrząskują się za nim. Nie ruszam się z miejsca, zastanawiam się (mam nadzieję?), czy ktokolwiek z graczy bądź punków się do mnie odezwie, ale nie. Wracają do swoich zajęć, które wykonywali, zanim się pojawiłam. Zastanawiam się też, czy wszyscy w Creeley już o mnie zapomnieli. Ruszam do domu.

Praca. Praca na zmywaku. Oddycham głęboko. To naprawdę coś.

Dom Ariel jest pogrążony w ciemnościach, więc postanawiam posiedzieć przez chwilę na podwórku. Znajduję przedłużacz i podłączam go do jedynej lampy Mikeya, wynoszę ją na zewnątrz i stawiam na ziemi. Układam obok szkieletnik i węgiel. Zdejmuję buty i skarpetki. Marszczę nos. Nie myłam się już od tygodnia. Nic dziwnego, że w kooperatywie wszyscy się na mnie gapili: śmierdzą. Wącham pachy. Muszę wziąć prysznic, ale nie w tej chwili. Bywało, że dłużej się nie myłam.

Skądś, niedaleko, dobiega dźwięk gitar i perkusji, potem hałas przeplatany nagłą ciszą. Jakiś zespół ćwiczy.

Słucham z zamkniętymi oczami, wciskając palce w piach. Basista waha się, poprawia, niepewny własnych palców, perkusista nie trzyma rytmu. Wokalista jest wkurzony na niekompetencję pozostałych. Głos mu się łamie, gdy próbuje trafić w nuty, zrobić przejście. Nagle wszyscy przerywają, basista z lekkim opóźnieniem, wokalista warczy: „Raz dwa trzy”, i zaczynają od nowa, próbują odnaleźć się w hałasie. Tęsknota za Mikeyem tylko się pogłębia; zabierał Ellis i mnie na próby zespołu swoich kolegów w garażach i piwnicach. To było autentycznie elektryzujące uczucie, patrzeć, jak facet próbuje jakiś akord, wciąż i wciąż od nowa, jak laska wali w perkusję. Ellis zawsze szybko się nudziła i wyjmowała telefon, ale ja patrzyłam i słuchałam, jak ludzie coś tworzą, i karmiłam się wspomnieniem jeszcze przez kilka następnych dni.

Wreszcie palce i głosy łączą się w harmonii, powstaje muzyka, budzi się piosenka.

*Nie chcę budzić w tobie litości,
chcę, byś zobaczyła moją zbyt prawdziwą twarz.*

Możesz to dla mnie zrobić?

To potrwa tylko minutę, dwie. Czy możesz to dla mnie zrobić?

W mojej głowie przesuwają się twarze, które widziałam tego dnia, ustawiają się jak kostki domina: gracze przy stolikach, punki o zamglonych oczach i popękanych wargach na ławkach przed Dairy Queen, Riley przed drzwiami kawiarni w wysmarowanym fartuchu, wyluzowany.

O tej porze w Creeley wszyscy zbierają się w świetlicy, hałaśliwy tłumek dziewczyn z iPodami i książkami zaaprobowanymi przez przełożonych. Tęsknię za Louisą. Z kim dzisiaj rozmawia w ciemności w naszym pokoju? Czy ktoś już zajął moje miejsce?

Szmer węgla na papierze przypomina ciche drapanie psa o drzwi, pazury pracujące metodycznie i wytrwale.

Powoli wyłania się twarz mojego ojca. Zarys dużych ciemnych oczu, piaskowe włosy. Kości barków, które czułam przez materiał, kiedy wdrapywałam mu się na kolana. Chciałabym sobie przypomnieć dźwięk jego głosu, ale nie potrafię.

Czasem nie wpuszczał mnie do pokoju z fotelem bujanym, wtedy siadałam na zewnątrz, w towarzystwie naszego psa, kryjąc twarz w jego rdzawej sierści i słuchając Van Morrisona płynącego ze środka.

Nie mogę sobie przypomnieć, co się stało z psem. Jednego dnia był z nami, a drugiego już go nie było. Zupełnie jak z ojcem.

Zamiast zębów rysuję maleńkie fiołki z tabletkami. Od razu żałuję. Wygląda to dziwacznie i bez sensu.

Był dymem i rozpaczą. Miał takie łagodne migdałowe oczy. Ale kiedy przyglądałam im się bliżej, dostrzegałam coś innego, coś drżącego w ich głębi.

Riley z kawiarni też ma takie oczy. Na samą myśl o nim moje ciało zalewa fala przerażającego ciepła.

Zasypiając tego wieczoru, odsuwam od siebie myśli o Rileyu: na poduszce czuję zapach Mikeya, dotyk koca, który napełnia mnie poczuciem bezpieczeństwa jak obietnica, niemal namacalny obraz czegoś dobrego, co wkrótce się wydarzy. Wtulam się w koc, jakby to było jego ciało, napełniam płuca wonią jego potu, wydzielinami skóry. Przyciskam go do siebie z całych sił. Nie pozwolę mu odejść.

STOJĘ NAPRZECIW KAWIARNI, PO DRUGIEJ STRONIE ULICY, przez dobre dziesięć minut. Obudziłam się o czwartej, chociaż w skrzyni Mikeya znalazłam nawet mały budzik podróżny i nastawiłam na piątą. Rysowałam i zbierałam się na odwagę. Zbliży się szósta, Czwarta Aleja zaczyna żyć, podnoszą się rolety przy wejściach, ludzie wynoszą stoliki na chodnik.

Neon TRUE GRIT wisi krzywo, U mruga, włącza się i wyłącza.

Przechodzę przez ulicę, głęboko oddycham. Już mam zapukać do ciężkich drzwi, gdy nagle otwierają się zielone siatkowe drzwi kilka kroków dalej, te, przez które wczoraj wyszedł Riley.

I jest, już pali. Uśmiecha się.

– Dziwna Dziewczyna – mówi przyjaźnie. – Oto pierwszy dzień reszty twojego życia.

Witamy. Wchodź.

Pod wejście podjeżdża na niebieskim rowerze kobieta z różowymi postrzępionymi włosami. Spogląda na nas z zaciekawieniem. Jest starsza, mocno zbudowana, ma na sobie dziurawą bluzę i długą spódnicę z frędzlami.

– Co słysząc, R? Co się dzieje? – Posyła mi przyjazny uśmiech i przyczepia rower do stojaka.

– Nasza tymczasowa pomoc do zmywania, Linus. Hej – mówi, patrząc na mnie. – Chyba nie wiem, jak masz na imię, Dziwna Dziewczyno.

– Charlie – odpowiadam cicho. – Charlie Davis.

Wyciąga rękę.

– W takim razie miło cię poznać, Charlie Charlie Davis. Ja jestem Riley. Riley West.

Waham się, ale w końcu ściskam jego dłoń. Jest ciepła. Nie dotykałam nikogo w miły sposób od chwili, kiedy gładziłam Louise po włosach. Moje ciało wypełnia się ciepłem. Cofam rękę.

– No dobra – mówi wesoło. – Zabieramy się do roboty? Brudne gary, kawa, niewdzięczni wyrobnicy i długi powolny marsz ku śmierci.

Linus się śmieje.

Wchodzimy przez zielone drzwi, Riley tłumaczy, że to wejście dla pracowników. Na ścianie wisi szary industrialny zegar do odbijania kart pracowniczych i półeczka z podziałkami

zapchanymi kartami. Linus rusza na salę i po chwili słyszę chrobot mielonych ziaren, a powietrze wypełnia gęsta, niemal słodka woń.

Riley pokazuje mi, jak napełnia się zmywarkę, które guziki trzeba przycisnąć, gdzie się trzyma tace, gdzie się płucze i odstawia miski. Jest gorąco i parno, podłoga jest śliska od wody z mydłem i odpadków. W zlewie piętczą się garnki, patelnie, wyszczerbione naczynia. Riley marszczy brwi.

– Dziewczyny z nocnej zmiany chyba się nie popisały.

Linus wymija nas, by zabrać coś z grilla.

– Witaj w wariatkowie, mała – mówi z uśmiechem i wraca na salę. Zaczyna przekładać płyty CD.

Riley rzuca mi brudny fartuch, a potem zabiera się za krojenie papryk i cebuli, wrzuca je do stalowego pojemnika. Wkładam fartuch przez głowę, próbuję zawiązać z tyłu. Jest za duży, muszę owinąć tasiemki wokół talii i związać je z przodu.

Kątem oka widzę, jak Riley przerywa pracę, czeka, co wybierze Linus. Linus wciska przycisk i z głośnika płynie *Astral Weeks*, smutny i płaczący utwór. Riley kiwa głową, jakby dawał przyzwolenie, po czym zaczyna wrzucać chleb na grill. Odwracam się i wlepiam wzrok w sterty naczyń i garnków. Odkręcam wodę. Po to tu przyszedłeś, powtarzam w myślach. Po to tu jesteś. Do roboty.

Po jakiejś godzinie Linus otwiera kawiarnię. Zaraz potem zjawiają się ludzie, rój głosów i dymu papierosowego. Niektórzy kiwają głową w moją stronę, ale większość tylko rozmawia z Rileyem i Linus. Nie szkodzi. Zawsze wolałam słuchać. I tak jestem w tym lepsza niż w gadaniu.

Przez cały ranek ładuję naczynia do zmywarki, czekam, wyszarpuję koszyk, odkładam garnki i naczynia na miejsce. Muszę przejść za plecami Riley'a i sięgnąć do półek, żeby dotrzeć do strefy gotowania. Stanowisko jest małe, otwarte na strefę zmywania. Są tam grill, palenisko, piekarnik, lodówka z podwójnymi stalowymi drzwiami, blat do krojenia i niewielka wyspa.

Słuchając rozmów Riley'a z kelnerami, dowiaduję się, jakie słabe jedzenie serwuje się w True Grit i kto tu pracuje. Większość osób chyba gra w zespołach albo chodzi do szkoły. W tle zawsze słychać donośny trzeszczący szum ekspresu do kawy. Chce mi się pić, ale boję się o cokolwiek poprosić. Czy trzeba płacić za napoje? Nie zabrałam pieniędzy. To, co zarobiłam z Ellis, przeznaczam na mieszkanie. Kiedy wydaje mi się, że nikt nie patrzy, biorę szklanekę i napełniam wodą z kranu. Wkrótce zaczyna mi burczeć w brzuchu i zeszkrobwanie resztek jedzenia do śmieci staje się bolesne. Zastanawiam się, czy nie zwinąć niedojedzonych kanapek, zapisuję sobie w pamięci, że muszę najpierw wymyślić, gdzie je schowam.

Raz, kiedy wracam z naczyniami i sztukami, Riley nie gotuje. Patrzy na mnie bacznie, aż skóra zaczyna mnie mrowić z zakłopotania.

– Skąd jesteś, Dziwna Dziewczyno?

– Minnesota – odpowiadam ostrożnie. Przepycham się obok niego, by odstawić talerze na półkę ponad jego ramieniem. Nie raczy się przesunąć, więc moje plecy ocierają się o jego tors.

– O. Interesujące. Minnie-so-ta. Jasne. Raz grałem w Seventh Street Entry. Chodzisz tam czasem?

Potrząsam głową. Punki nazwały go półsławą. Seventh Street Entry to klub w centrum Minneapolis, gdzie grają modne zespoły. Czy Riley gra... grał w zespole?

– Pewnie przeniosłeś się dla chłopaka, co? – Uśmiecha się podstępnie.

– Wcale nie – odpowiadam gniewnie. Tak naprawdę to nie, dodaję w myślach. A może. Tak? – A właściwie co cię to obchodzi?

– Jesteś dziwna, wiesz o tym?

Nic nie mówię. Jego zainteresowanie mnie przeraża. Nie wiem, czy jest szczerze miły, czy próbuje mnie zwabić w pułapkę. Czasem z ludźmi naprawdę nie wiadomo. W końcu wypływam z siebie:

– Nieważne.

– Nie musisz się bać ze mną rozmawiać, Dziwna Dziewczyno. Ja nie gryzę, wiesz.

Linus przyczepia kartkę z zamówieniem do drążka.

– Przynajmniej nie w tym momencie.

Riley rzuca w nią okruszem chleba, Linus robi unik.

O czwartej trzydzieści Riley oznajmia, że mogę iść do domu. Zdejmuję fartuch, biorę go w zmywarce, tak jak mi pokazał. Jestem spocona, podciągam długie rękawy, żeby się ochłodzić.

Riley podaje mi pieniądze i nagle mówi:

– Hola, hej. Co to jest? – Pochylam głowę, przerażona, i prędko obciążam rękawy.

– Nic – mamroczę. – Kot mnie podrapał. – Chwytam pieniądze i wciskam do kieszeni ogrodników.

– Mam nadzieję, że się go pozbędziesz. To musi być prawdziwy potwór, Dziwna Dziewczyno.

Czuję na sobie jego spojrzenie, ale go nie odwzajemniam. To koniec. Wylatuję. Teraz na pewno mnie nie zatrudni.

– Jasne – odpowiadam zdenerwowana. – Jeszcze dzisiaj. Natychmiast. – Prędkim krokiem ruszam do tylnego wyjścia.

Riley woła:

– Przyjdź jutro o szóstej i pogadaj z Julie! Wstawię się za tobą!

Odwracam się, wdzięczna i zaskoczona. Mogę znów jutro przyjść, co znaczy, że pojutrze może też. Uśmiecham się, chociaż wcale nie chcę, a on śmieje się i wraca do pracy przy grillu.

Czuję się zmęczona i obolała. Smród mokrego jedzenia wżera się w moje ubranie i skórę, ale w kieszeni mam pieniądze, a w perspektywie kolejny dzień pracy. W Food Conspiracy kupuję bochenek chleba i słoik masła orzechowego.

W garażu Mikeya leżę na łóżku, światło za oknem blednie, ciało mam pokryte warstwą zaschniętego potu, starego jedzenia i wody z mydłem. Przyjemnie odpocząć po całym dniu na nogach, dźwiganiu ciężkich tac i misek z brudnymi naczyniami. Powoli zjadam kanapkę z masłem orzechowym, potem kolejną. Pierwszy dzień w pracy nie był taki zły. Ludzie chyba są w porządku. Riley sprawia bardzo miłe wrażenie i jest niesamowicie atrakcyjny. To już coś. Po drugiej kanapce odkręcam wodę w rozklekotanym prysznicu i rozbieram się. Drżę pod zimnym strumieniem. Rozglądam się. Nie ma szamponu ani mydła. Staram się na siebie nie patrzeć, ale bez powodzenia, widzę nacięcia na udach. Ścisza mnie w żołądku.

Jestem Frankensteinem. Jestem Dziewczyną z Bliznami.

Podstawiam twarz pod strumień i nagle woda robi się bardzo, bardzo gorąca. Udaję, że to raptowna zmiana temperatury wywołała łzy.

BUDZI MNIE TRZASK DRZWI. SIADAM I POCIERAM TWARZ.

Mam na sobie tylko T-shirt i bieliznę. Musiałam przysnąć, zmęczona długim dniem pracy w True Grit. Sięgam po ogrodniczki, odwrócona, żeby Ariel nie dostrzegła blizn na udach. Wszystko mnie boli od wielogodzinnego dźwigania ciężarów. Od miesięcy nie używałam mięśni tak intensywnie.

Ariel stoi pochylona i przegląda mój szkicownik, wydaje dźwięki jak głodna pszczoła. Zatrzymuje się przy rysunku ojca. Zazdrośnie strzeżę rysunków i jego, więc zabieram szkicownik i przyciskam go do piersi. Ariel wzrusza ramionami, prostuje się.

– Fiolki z lekarstwami. Interesujący wybór, ale za mocno rozprasza uwagę. W sztuce portretu liczą się oczy, to one opowiadają o przedstawionej osobie, są jak okno. Jeśli zamkniesz jego historię w zębach narysowanych jako fiolki z lekami, stanie się zbyt prosta. Od razu dałaś nam zakończenie. Czemu mielibyśmy się zatrzymać? Musimy obejrzeć całą twarz, potrzebujemy czasu, by pomyśleć. Rozumiesz?

„Musimy obejrzeć całą twarz, potrzebujemy czasu, by pomyśleć”. Chciałabym zapytać, o co jej chodzi, ale ona mówi prędko:

– Chodź. Zjedzmy śniadanie. Uwielbiam śniadanie na obiad, a ty? Założę się, że umieras z głodu.

Prędko wkładam bluzę z kapturem i wysokie buty. Nie zamierzam odrzucić propozycji darmowego obiadu. Owszem, jadłam, zanim wzięłam prysznic, ale znów jestem głodna. Chyba mam w środku sporo wolnego miejsca do zapełnienia. Ślinka napływa mi do ust, kiedy wychodzimy na podwórze. Patrzę w górę. Gwiazdy wyglądają jak idealne białe punkciki.

Dom Ariel jest przestronny i wygodny. Cementowe podłogi pomalowano w wielkie niebieskie i czarne koła. Jakby się chodziło po bąblach, całkiem fajnie, podoba mi się.

Nigdy nie byłam w domu, w którym wisiałoby tyle obrazów, dosłownie zapiera mi dech. Kremowe ściany w salonie są obwieszane ogromnymi malowidłami, utrzymanymi w czerni. Na niektórych widnieją pasma światła przecinające ciemność jak blask przenikający przez szparę w zamkniętych drzwiach czy między gałęziami wysokich starych drzew. Inne to tylko ciemność w różnych odcieniach. Miejscami farbę nałożono grubo, wystaje z powierzchni płótna jak miniaturowe łańcuchy górskie. Palce mnie świerzbią, żeby dotknąć tych fragmentów, ale boję się zapytać, czy można. Wszędzie, gdzie spojrzę, jest coś ciekawego do oglądania, ogromnie mi się to podoba.

Ariel staje w drzwiach do kuchni, przygląda mi się.

– Możesz dotknąć, tylko delikatnie.

Ostrożnie kładę palec na niewielkim wzgórku na jednym z wyjątkowo ciemnych obrazów. Jest zaskakująco chłodny i bardzo twardy, niemal jak zagojona wypukła blizna.

Ariel mówi:

– Co o tym sądzisz, Charlie? Mów. Zawsze powtarzam studentom, że wszystkie ich odczucia na temat dzieła sztuki są prawdziwe, ponieważ wynikają z ich doświadczenia, nie z mojego.

– Nie jestem pewna... Nie wiem, jak to powiedzieć. – Słowa buzują w moim wnętrzu, ale nie potrafię ich uporządkować. Nie chcę wydać się głupia. Nie chcę być głupia.

– Spróbuj. Mam uszy wielkie jak słoń.

Robię krok w tył. Obrazy są naprawdę ogromne i ciemne, nie licząc tych drobnych maźnięć światła.

– Wywołują we mnie takie uczucie, jakbym... jakbym gdzieś utknęła? Sama nie wiem... Jakby przygniatał mnie jakiś ciężar, ale te małe plamki światła... – Waham się. Gadam jak idiotka. A widok ciemności tak wielkiej i intensywnej wydobywa coś z mojego wnętrza, ponieważ, mówię sobie w myślach, tylko bardzo smutna osoba mogła namalować coś takiego, a co mogło wywołać w Ariel taki smutek?

Ariel stoi teraz tuż za moimi plecami.

– No dalej – mówi cicho.

– A te wystające fragmenty? Jakby ciemność próbowała opuścić obraz, bo z tyłu jest światło, a ciemność się od niego odwraca. To głupie, wiem.

– Nie – odpowiada z namysłem Ariel. – Wcale nie głupie.

Odchodzi, wraca do kuchni, a ja ruszam za nią z ulgą, że nie muszę nic więcej mówić na

temat obrazów, przynajmniej nie w tej chwili.

Na błyszczącym czerwonym stole stoi opalizujący półmisek z kawałkami truskawek, plasterkami ananasa, kupkami jajeczniczy i miękkim czerwonym mięsem.

– Chorizo – mówi Ariel. – Na pewno ci posmakuje.

Trochę mi wstyd, że czuję taki wilczy głód na widok normalnego gotowanego jedzenia. Zastanawiam się, ile mogę nałożyć na talerz, by nie wyszło, że jestem łapczywa.

Chorizo jest nie tyle ostre, co mocno przyprawione i ma trochę dziwną, odrobinę wstrętą strukturę, jak drobno zmielona parówka czy coś, więc wybieram jajecznicę. Od dawna nie jadłam prawdziwego jedzenia u kogoś w domu. Ostatni raz chyba z Ellis i jej rodzicami przy drewnianym stole z drewna pełnego słoików, który przechylał się lekko na prawo.

Czuję w palcach chłód sztućców, zdecydowane twarde kształty talerzy. Próbuję jeść powoli, chociaż najchętniej wrzuciłabym do ust wszystko naraz.

Ariel bierze spory kęs jajek i chorizo, przeżuwa z lubością.

– Gdzie twoja rodzina? Mama?

Robię górkę z truskawek, a na szczycie umieszczam plaster ananasa, niczym kapelusz. Znow zapelniam usta jedzeniem, żeby nie musiała odpowiadać.

– Może ci się wydaje, że jej nie zależy, ale to nieprawda. – Ariel obraca w palcach kawałek truskawki. Czuję na sobie jej wzrok.

– Michael wspominał, że straciłaś przyjaciółkę. Najlepszą przyjaciółkę. Bardzo mi przykro. – Przygląda mi się. – To potworne.

Jej słowa są niespodziewane, podobnie jak łzy, które nagle napływają mi do oczu. Jestem zaskoczona, że Mikey powiedział jej o Ellis, ale nie wiem dlaczego. Czuję się też dziwnie zdradzona przez to, że to zrobił. Ellis była... jest moja.

– Nie chcę teraz o tym rozmawiać – odpowiadam pospiesznie, wpychając truskawki z ananasek do ust. Mrugam, w nadziei, że powstrzymam łzy.

Ariel oblizuje tłuszcz z chorizo ze swych zgrubiałych palców, po czym każdy z osobna wyciera serwetką, mocząc brzeg w szklance z zimną wodą.

– Większość dziewczyn w twoim wieku chodzi do szkoły, pieprzy się z chłopakami, dba o linię, dostaje dobre stopnie, a czasem złe. Okłamuje mamę i tatę. Robi sobie piercing w pępku. Tatuaż w dolnej części pleców. – Posyła mi uśmiech. – Ale ty nie, prawda? Michael mówił, że nie skończyłaś liceum, więc teraz nie możesz studiować chłopaków i pieprzyć książek. – Śmieje się.

– Skończyłam – zaprzeczam energicznie z ustami pełnymi jedzenia. – No, prawie. Jakby. Niedługo.

Ariel skubie ananas. Wciąż na mnie patrzy, jej oczy są lekko powiększone za okularami. Nagle z głębi jej gardła wybucha chrapliwy dźwięk.

– Bum! – Rozcapierza palce. – Chowasz ludzi w sobie, oto, co się dzieje. Wspomnienia i żale pożerają cię, tuczają się na szpiku twojej duszy, a potem...

Spoglądam na nią zaalarmowana dziwnymi słowami. Jej twarz łagodnieje.

– A potem bum, wybuchasz. Stąd masz to? – Wskazuje na moje ramiona, bezpiecznie schowane pod rękawami bluzy.

Wbijam wzrok w talerz. Bum. Tak.

Znow się uśmiecha.

– Jak zamierzasz przeżyć to trudne życie, Charlotte?

Na dźwięk pełnego imienia podnoszę głowę. Na opalonych policzkach Ariel widać różowawy puder, niemal niedostrzegalne kreseczki szminki wchodzą w zmarszczki nad ustami. Nie potrafię sobie wyobrazić, że kiedyś będę w jej wieku, jak dotarła do tego punktu, zdobyła ten

przestronny dom, jak żyje. Wystarczająco trudno jest mi wyobrazić sobie kolejny dzień. Nie wiem, co powiedzieć.

Sięga ponad stołem i muska bliznę na moim czole. Opuszki jej palców są ciepłe i na sekundę rozluźniam się, poddaję dotykowi.

– Jesteś tylko dzieckiem – mówi cicho. – Taka młoda.

Podnoszę się, niezgrabnie uderzając o stół. Za bardzo się zbliżyła, a ja na to pozwoliłam. Jedzenie i jej uprzejmość sprawiły, że zrobiłam się śpiąca i nieuważna. „Zawsze bądź czujna”, powiedziała by Evan, „lis przybiera wiele postaci”.

Ariel wzdycha, prostuje ramiona, zmiata na dłoń okruchy ze stołu. Pokazuje ruchem głowy tylne drzwi – zaproszenie do wyjścia.

Po drodze uderzam biodrem o wąski stolik. Spod stosu kopert i ulotek wystaje coś błyszczącego. Bez namysłu wsuwam ten przedmiot do kieszeni ogrodniczek. Tego wieczoru Ariel coś ode mnie wzięła, więc teraz ja biorę coś od niej.

WYCIĄGAM PRZEDMIOT Z KIESZENI I KŁADĘ na podłodze garażu. Jest to czerwony krzyż, trochę większy od mojej dłoni, zrobiony z gipsu i ozdobiony białymi czaszkami, które mają namalowane czarne oczodoły, nozdrza i zęby. Boki krzyża oklejono grubym czerwonym brokatem.

Krzyż jest krzykliwy i tandetny, i wspaniały, i wywołuje we mnie falę namacalnego bólu. Ellis byłaby zachwycona, kupiłaby takich kilka i powiesiła na niebieskich ścianach w swojej sypialni, by podzieliły się ponurą przestrzenią z plakatami i wycinkami o Morrisseyu, Elliotcie Smithie, Georgii O’Keeffe i Edith, Samotnej Lalce.

Ze skrzyni Mikeya wyciągam stary szalik w paski, ostrożnie owijam krzyż i wsuwam pod poduszkę. Podnoszę się, omiatam wzrokiem ciasne wnętrze, myśląc o tym, co powiedziała Ariel. Jej słowa mnie przytłaczają i każą tęsknić za bezpieczeństwem zestawu awaryjnego, który leży schowany w skrzyni, więc idę do maleńkiej łazienki i przez chwilę kołyszę się na sedesie. Casper mówiła, że powtarzalny ruch, jak kołysanie czy choćby skakanie w miejscu, pomaga ukoić nerwy.

Kiedy jestem przytłoczona i nie mogę skupić się na jednej rzeczy, gdy cała moja groza uderza we mnie z wielką siłą, czuję się tak, jakbym znalazła się w środku takiego wielkiego tornada z kreskówki, puchatego i szarego, które zasysa wszystko na swej drodze: niczego niepodejrzewającego listonosza, krowę, psa, hydrant. Tornado-Ja zagarnia wszystkie złe rzeczy, które kiedykolwiek zrobiłam, wszystkie osoby, które pieprzyłam, i te, które wykorzystałam, każde nacięcie na skórze, wszystko, wszystko. Tornado-Ja kręci się i kręci, rośnie coraz potężniejsze, wypełnia się.

Muszę zachować ostrożność. Poczucie przytłoczenia, bezsilności, porwania przez tornado wstydu i pustki jest czynnikiem spustowym.

„Możesz zajmować się tylko jedną rzeczą naraz”, powiedziała mi Casper. „Wyznacz cel. Przyjrzyj mu się. Kiedy skończysz jedno, zacznij drugie”. Poradziła, żebym zaczynała od drobnych rzeczy.

Mówię sobie w duchu: Wydostałeś się z Creeley, nieważne jak. Wsiadłeś do autobusu. Przyjechałeś na pustynię. Kupiłeś jedzenie. Od przyjazdu jeszcze ani razu się nie pocięłaś. Znalazłaś pracę.

Powtarzam te zdania, aż tornado cichnie. Kiedy wróci Mikey, wszystko będzie odrobinę lepiej.

Na głos mówię:

– Mieszkanie.

Mam pieniądze. Mogę znaleźć mieszkanie. Powtarzam te słowa jak mantrę, szykując się do snu na materacu Mikeya. I zasypiam.

NASTĘPNEGO RANKA LINUS CZEKA NA MNIE przed wejściem do kawiarni, związuje gumką różowe włosy. Wydyma dolną wargę.

– Widziałaś może Riley'a?

Kręcę głową, a ona marszczy brwi.

– Kurde. No dobra. Do roboty.

Przekręca klucz w zamku, wciska cyfry na panelu alarmu. Wiesza rzeczy na kołku.

– Julie jedzie z Sedony. Może się trochę spóźnić. Nic nie szkodzi. W przeciwieństwie do nas nie musi trzymać się zegarka. Tymczasem możesz mi pomóc. Słyszałam, że dziś w nocy Peter Lee i Tanner wyszli jako ostatni z Tap Room, więc na pewno, kurwa, nie przyjdą na czas. To taki bar w centrum. Chyba jesteś trochę za młoda, żeby go znać.

Wyciąga fartuchy ze zmywarki, krzywi się, bo są wilgotne, i rzuca mi jeden.

– Domyślałam się, że Riley nie raczył cię wprowadzić, więc oto podstawy: zwykłą kawę możesz pić gratis do woli i w sumie prawie wszystkie rodzaje espresso, rzecz jasna w granicach rozsądku, żeby nie wyglądało to podejrzanie, bo Julie zacznie ci odliczać. Za jedzenie płacisz, ale przeważnie da się to jakoś załatwić. Na przykład źle zrobimy zamówienie. Wiesz, co mam na myśli? Przerwy na papierosa są na zewnątrz, ale czasem można zapalić w salonie. – Z krzywym uśmiechem wskazuje na ciemny korytarzyk zapchany mopami, szczotkami i wiadrami. – Tylko nie daj się złapać Julie. Tam jest jej biuro, nienawidzi zapachu dymu. – Urywa, po czym dodaje: – No i Riley. Istnieją przeróżne zasady dotyczące Riley'a, ale on łamie zasady wszelkiego rodzaju. Julie na wszystko mu pozwala, ponieważ jest jej bratem, a ona ma powalone poglądy na temat tego, czym jest miłość. A więc co to oznacza dla ciebie... Czasami Riley pali, kiedy pracuje w kuchni, a jej nie ma. Czasami też pije. A ponieważ stoisz tam z tyłu, a ja zwykle tu z przodu, twoim jakby obowiązkiem jest mieć na niego oko i dawać znać, jeśli robi się naprawdę źle. O ile rozumiesz, co mam na myśli. – Bacznie mierzy mnie wzrokiem. – W porządku?

Kiwam głową.

– Dobra, to ruszamy. Najpierw robimy kawę.

Prowadzi mnie do blatu, na którym stoi ekspres, pięć termosów z różnymi rodzajami kawy i gablotka z ciastkami zwrócona w stronę stolików.

– Ale jeszcze wcześniej – dodaje – nastawiamy muzykę.

Przegląda stosy płyt CD i taśm leżących na blacie. Kolejne płyty tkwią na półkach pod spodem, między zielonymi bloczkami do zamówień, pudełkami pełnymi długopisów i ołówków, czystymi taśmami do kasy i butelką Jima Beama, na której widok Linus ciężko wzdycha. Przesuwa ją na bok, poza pole widzenia.

Spogląda na mnie.

– Wybieramy zależnie od nastroju. Później możemy dopasować się do gustu klientów, chyba że ich nie lubimy. Dzisiejszego ranka czujemy się bardzo... – Urywa i po chwili dorzuca: – Smutno. Te wszystkie przemilczane rzeczy w moim życiu. Na pewno jesteś za młoda, żeby to zrozumieć, nie? – Mruga do mnie. – Van Morrisom. Znasz? Jestem w nastroju na Morrisona.

Kiwam głową, ale trochę się spinam z powodu taty. Ale kiedy rozlega się: „Da da dat da da da da”, rozluźniam się – muzyka jest znajoma i kojąca, za jej sprawą próbuję sobie wyobrazić, że jest tu mój tata, dziwne.

Linus przegląda ziarna o tłustym połysku tkwiące w przezroczystych pojemnikach:

KONA, FRANCJA, GWATEMALA, ETIOPIA, BLUE MOUNTAIN, KENIA. Herbaty siedzą luźno w wysuniętych drewnianych szufladkach. Wyglądają jak małe aromatyczne kopczyki gałązek. Przez wielkie okno wychodzące na Czwartą Aleję widać, jak otwierają się inne miejsca, pracownicy myją okna, wyciągają stojaki na chodnik, ustawiają stoliki w ogródkach. Dla wszystkich pracujących przy tej ulicy zaczyna się nowy dzień, również dla mnie, jak sobie uświadamiam. Mam pracę. Trochę ohydną, ale jednak. Jestem częścią czegoś. Podciągnęłam się co najmniej o jeden szczebel na drabinie społecznej. Szkoda, że Casper tu nie ma. Pewnie przybiłaby ze mną piątkę zgodnie ze swoim kretańskim obyczajem czy coś w tym stylu. Czuję taką dumę, że pewnie nawet bym nie protestowała.

W oknie True Grit pojawia się jakieś ciało, odcina dopływ światła.

Linus odpycha mnie łokciem, patrzy na faceta o brudnej twarzy stojącego na chodniku i stuka w nadgarstek dziesięć razy, jakby pokazywała godzinę, pewnie chce mu powiedzieć, że ma poczekać dziesięć minut. Tamten kiwa głową przysłoniętą słomkowym kapeluszem o sztywnym rondzie. Opiera się o stojak na rowery, wciska gazetę pod pachę i zaczyna skomplikowaną rozmowę z samym sobą.

Linus wraca do mielenia ziaren, przekrzykuje hałas:

– To Piętnastominutowy Srajtuch. Przychodzi codziennie zaraz po otwarciu. Zawsze z gazetą i wiaderkiem. Idzie do sracza, siedzi tam przez kwadrans, a potem zabiera do wiaderka stare fusy. – Wskazuje na puste pięciogalonowe wiaderko po piklach.

Wlepiam w nią spojrzenie i krzyczę przez chrobot mielonych ziaren:

– Poważenie? Z tym kiblem? Piętnaście minut?

Kiwa głową.

– Poważnie. A do twoich obowiązków będzie należało pójść tam później i sprawdzić, czy wszystko w porządku. – Mruga do mnie. – Fusami użyźnia swój ogródek przy Szóstej, mówię ci, co za okazy tam rosną. Słoneczniki takie, że gały wyłażą, pomidory wielkie jak moje cycki.

Śmieję się bez zastanowienia, wybucham wielkim, głośnym rykiem i szybko zakrywam usta. Linus mówi:

– W porządku! Możesz się śmiać. Jestem zajebiście śmieszna, nie? – Daje mi kuksańca łokciem. Odrywam dłoń od ust.

Posyłam jej uśmiech.

– No, tak lepiej. To mi się podoba. – Napełnia termos wodą i podaje mi filtr pełen ziaren z Etiopii, pochyla lekko głowę, tak że nasze oczy znajdują się na jednym poziomie. Między brwiami widać delikatną mgiełkę ciemnych włosków. – Julie na pewno cię polubi, nie martw się. Uwielbia pokręcone osoby, a od ciebie czuć tym z daleka. Bez obrazy. W tym miejscu to w sumie zaleta. Wszyscy tu jesteśmy trochę pojebani.

Napełnia dwa kubki kawą z termosu i podaje mi jeden.

– A teraz wpuścimy Piętnastominutowego Srajtucha.

O ósmej trzydzieści Linus ma lśniącą czerwoną twarz i biega, rzucając przekleństwami, między kontuarem a grillem, kroi bajgle, wrzuca je do tosterka. Kelnerzy się spóźniają, Rileyę wciąż nie widać. Miał się zjawić o szóstej i przygotować wszystko do śniadania: nałożyć sos chilli do miseczek, wysypać frytki na grill. Linus poprosiła mnie, żebym pilnowała kartofli, a potem ochrzaniła, że nie obracam ich w regularnych odstępach czasu.

– Musisz po niego pójść – stwierdza w końcu, wpychając w usta widelec pełen smażonego tofu.

Burczy mi w brzuchu. Zapomniałam zjeść przed wyjściem z domu.

– On nie ma telefonu, a ja nie mogę stąd wyjść ani zamknąć lokalu. Julie by mnie, kurwa, zabiła.

Na kawałku papieru skrobie adres i wskazówki, jak dotrzeć na miejsce. Każe mi poprosić jednego z pyzatyh graczy, siedzących na zewnątrz, by kelnerował, bo ona nie może wyrwać się z kuchni.

– Powiedz mu, że do końca dnia ma darmową kawę.

Wychodzę i patrzę na kartkę. To niedaleko, w centrum, chyba po drugiej stronie tunelu. Odpinam rower i ruszam.

Riley mieszka za bankiem krwi, w turkusowym domku, skrytym za kilkoma oblażącymi drzewami bawełnianymi, na ulicy pełnej kolorowych budynków i starych samochodów, oklejonych odlażącymi nalepkami zespołów muzycznych. Wchodzę na werandę, mijam przepełnioną popielniczkę i samotną pustą butelkę po piwie oraz zielone krzesło Adirondack, na którym piętrzy się stos tanich wydań książek, z pozaginanymi rogami.

Nikt nie odpowiada na moje pukanie. Dostrzegam, że drzwi siatkowe nie są zamknięte na zasuwkę. Delikatnie popycham drzwi frontowe, ustępują. Wołam nie za głośno:

– Hej, jest tu kto? Spóźniłeś się do pracy...

Zero odpowiedzi. Przez chwilę zastanawiam się, co dalej, zaglądając do środka przez szparę w drzwiach. Wołałabym nie przyłapać go na golasa w łóżku z laską, ale nie chcę też wrócić do Linus z niczym. Poza tym jestem trochę ciekawa, co porabia Riley. Jak wygląda życie faceta, który kiedyś grał w zespole, a teraz podaje ludziom żarcie w knajpie.

Mocniej popycham drzwi i wkraczam do środka, potrącając po drodze parę wyblakłych czarnych conversów. Pierwsze pomieszczenie jest wypełnione książkami – leżą w stosach na podłodze, tkwią ściśnięte na półkach przeszklonej dębowej biblioteczki, wznoszącej się aż po sufit. Pod przeciwległą ścianą z otwartym oknem bez zasłon króluje zapadnięta sofa z bordowego aksamitu.

Wchodzę do kuchni. Mój wzrok przyciąga kalendarz na ścianie. Widzę wyposażone w krągłości pin-up girls z lat czterdziestych, o rozjaśnionych słońcem włosach i długich nogach, i piersiach rozpychających tkaninę kostiumów kąpielowych. Kalendarz jest otwarty na listopadzie.

Dzisiaj przypada ostatni dzień maja. W ciągu ostatnich czterdziestu pięciu dni próbowałam się zabić, wylądowałam w psychiatryku, przejechałam autobusem pół kraju, dostałam pracę na zmywaku w obskurnej kafejce, a teraz włamałam się do domu świra z ewidentnym problemem alkoholowym. Seksownego świra, ale jednak świra.

Nawet Ellis nie potrafiłaby sprawić, by wydało się to anielskie.

Przechodzę przez ciemny przedpokój i powoli otwieram któreś drzwi. Małe łazienka, ściany pomalowane na biało. Wanna na nóżkach z prysznicem. Nad umywalką wisząca szafka z brudnym lustrem. Oprawiona w ramki pocztówka przedstawiająca Boba Dylana stojącego przy studebakerze. *Woodstock 1968* – głosi napis na dole. Smętnie przyglądam się pocztówce. Mój ojciec uwielbiał słuchać *Nashville Skyline*. Opowiadał, że Bob miał paskudny wypadek motocyklowy, po którym przestał pić i palić, i dlatego jego głos na tym albumie brzmi tak czysto i głęboko. Bóg powrócił do Dylana. Tak to ujął mój ojciec.

Drugie drzwi są lekko uchylone. Waham się, czy zapukać. Serce wali mi jak szalone. Po chwili ostrożnie popycham drzwi, mrużę oczy, starając się widzieć jak najmniej, tak na wszelki wypadek.

Leży na plecach na łóżku, wciąż we wczorajszych ciuchach: poplamionym jedzeniem białym T-shircie i luźnych brązowych spodniach. Ręce trzyma za głowę, ma zamknięte oczy. Zamiast poduszki użył złożonego koca. Ubranie leży na spuchniętym skórzanym fotelu. Na podłodze przy łóżku walają się przepełniona popielniczka i dwie zmięte paczki papierosów. Pokój śmierdzi starym dymem i potem.

Serce wciąż wali. Biorę wdech i wypowiadam jego imię.

Cisza.

Może nie żyje? Podchodzę bliżej, wpatruję się w jego pierś, wznosi się i opada, chociaż nieznacznie.

– Riley.

Wokół ciała unosi się dziwna woń. To nie alkohol, nie pot ani dym. Coś innego.

Pochylam się i wciągam zapach w nozdrza.

Nagle Riley otwiera oczy i siada.

Nim zdążę odskoczyć, chwytą mnie za nadgarstek, pociąga między swoje nogi i zamyka w uchwycie kolan. Tracę oddech. Adrenalina buzuje mi w żyłach.

W głowie przemykają obrazy przerażającej twarzy Jebanego Franka. Czuję przy uchu gorący oddech Riley'a. Próbuję się wyrwać, ale trzyma mocno.

– Puszczaj, puszczaj! – krzyczę.

– Kim jesteś, Dziwna Dziewczyno? – Jego głos jest niski i lekko zachrypnięty. -

Czemu zakradasz się do mojego domu? Chcesz mnie obrobić?

– Pierdol się.

Bardzo próbuję nie poddać się panice, trzymać się chwili, nie odpłynąć. Nie rozumiem, czemu to robi. Wydawał się taki sympatyczny. Odchylam łokieć, próbuję dźgnąć go w żebra, lecz jego palce zaciskają się zbyt mocno na moich nadgarstkach, skóra zaczyna płonąć, nie mogę się ruszyć.

– Puszczaj, kurwa.

Jego oddech przesuwają się po moim policzku i szyi, Jebany Frank znika i pojawia się facet z tunelu, mroczne wspomnienie strachu przywołuje czucie uliczne, a już myślałam, że zostało ono daleko za mną. Krzyczę głośno.

Używam wszystkich sił, by przekręcić biodra, zyskać punkt oparcia, po czym wciskam but w jego zasraną stopę tak mocno, jak tylko potrafię. Riley wrzeszczy, jego ramiona rozwierają się, jestem wolna. Rzucam się w stronę otwartych drzwi, na bezpieczną odległość. Riley ścisną gołą stopę, jego twarz wykrzywia ból. Pocieram nadgarstki, wbijam w niego mordercze spojrzenie.

– Jezu, żartowałem. – Odwzajemnia się podobnym. – Myślałaś, że coś ci zrobię?

– Palant. – Z trudem chwytam oddech, próbuję wtłoczyć powietrze w głąb ciała, by zatrzymać zrywające się w nim tornado. – Jesteś straszny. To nie jest śmieszne. Uważasz, że to śmieszne? Zbieraj dupę i do roboty.

Wciąż łykam powietrze, ale teraz jeszcze dostałam czkawki, a po mojej twarzy spływają łzy, ostatnia rzecz, jakiej sobie życzę.

– Jezu, słonko – mówi Riley, nagle poważny. – Przepraszam.

Gniewnie wycieram twarz. Kurwa. Pierdoleni, kurwa, ludzie. Żeby płakać przy nim!

Riley wpatruje się we mnie, pod oczami ma cienie jak czarne półksiężycy. Cokolwiek je wywołało, na pewno nie był to jedynie alkohol, jestem przekonana.

– Przepraszam. Naprawdę bardzo mi przykro. Tak, jestem palantem. Nie płacz. Nie chciałem. – Jego głos brzmi teraz inaczej, łagodniej.

Patrzymy na siebie i widzę, jak po jego twarzy coś przemyka, bardzo delikatnie, jakiś smutek, świadomość mnie, która sprawia, że jeszcze bardziej chce mi się płakać, ponieważ on wie, teraz wie, że coś mi się przydarzyło, że źle zrobił, chwytając mnie w ten sposób.

Ma zawstydzoną minę.

– Linu... Linus powiedziała, że masz natychmiast ruszyć dupę i przyjść do pracy. – Odwracam się i wybiegam z pokoju.

Wypadam na ganek, zatrząskuję za sobą drzwi, wskakuję na rower i odjeżdżam najszybciej, jak tylko potrafię.

Po drodze, kiedy przejeżdżam przez tunel na Czwartej Ulicy, gdzieś w tym nagłym mignięciu ciemności, która na chwilę zastępuje niemożliwie białe od słońca niebo nad miastem, przychodzi mi do głowy, że on wiedział, iż Linus nie będzie mogła zjawić się osobiście. Wiedział, że od rana pracuję, a Linus mnie do niego przyśle.

Wcale nie spał. Czekał na mnie. Myślałam, że jest miły, a teraz muszę przypomnieć samej sobie: ludzie nie są mili, ludzie nie są mili, powinnaś już o tym wiedzieć.

Zatrzymuję rower. Mogłabym zawrócić, tak po prostu, pojechać do domu Mikeya, zamknąć za sobą drzwi, przysunąć do nich skrzynię, wyciągnąć zestaw. Nie wracać do True Grit. Nie musieć go oglądać. Nie musieć się z tym mierzyć.

Ale wtedy straciłabym tę odrobinę, którą zyskałam. Oddycham głęboko, zamykam oczy. Powraca Blue. Czy to, co się właśnie zdarzyło, to były płatki?

Z zamyślenia wyrывa mnie trąbiący samochód. Ruszam dalej, z powrotem do kafejki. Stoliki przed lokalem są już zapełnione, gracze w go patrzą wilkiem na puste kubki po kawie, ludzie wachlują się kartami. Chór niezadowolonych głosów wybucha, kiedy wpadam do środka przez wejście dla personelu i prędko sięgam po fartuch.

Na mój widok Linus ciska łopatką i klnie.

– Kurwa. Wiedziałam. Zwykle zachlewa, ale jeśli spóźnia się aż tak jak teraz, to znaczy, że coś brał.

Już mam zapytać o rozwinięcie kwestii „coś brał”, ale w tym momencie wpada do środka przez podwójne drzwi facet z tatuażami na szyi.

– Zamówienie! – wrzeszczy i ciska zieloną kartkę na kontuar, przy którym stoi Linus, potem biegnie do kasy.

Linus skacze wokół grilla, zrzuca jajka na talerze, piecze bajgle. Staję przy zmywarce, warstwa pary osiada na mojej twarzy. W głowie powracają słowa Linus na temat Riley'a.

DannyBoy, zanim wylądował twarzą w skalistym potoku w Mears Park, zaczął przemierzać Rice Street, szukając faceta o pociągłej twarzy, w czarnej winylowej kurtce z fioletowymi wypustkami. Nie wiem, co brał DannyBoy, w każdym razie jego twarz zrobiła się od tego szara, żołądek się skurczył. Był jak niemowlak.

Ale ten dziwny zapach, siła, z jaką Riley mnie złapał... Na pewno nie użył tego samego co DannyBoy. To, co wziął Riley, zmieniło go w potwora.

PORANNY RUCH WRESZCIE SIĘ SKOŃCZYŁ, A JA STOJĘ po łokcie w naczyniach i kubkach po kawie, kiedy otwierają się drzwi siatkowe. Odwracam się i widzę Riley'a, który wślizguje się do środka tuż przed szeroką kobietą w długiej luźnej brązowej szacie, która wygląda jak coś w rodzaju żywego tipi. Rozgląda się, na widok Linus za grillem potrząsa głową, a Linus pospiesznie wkłada fartuch, by zakryć brudną koszulkę. Riley wziął prysznic, jego włosy już nie są takie potargane, a ubranie, chociaż znowu składa się z białego T-shirtu i brązowych spodni, wydaje się czystsza wersją białego T-shirtu i brązowych spodni.

Rzuca mi rozbawione spojrzenie, z błyskiem w oku.

– Wygląda na to, że czeka cię rozmowa o pracę – mówi wesoło, od niechcienia, jak gdyby nigdy nic.

Na moich nadgarstkach wciąż widnieją czerwone ślady po jego mocnym uścisku.

Kobieta ruchem głowy wskazuje długi korytarz, a ja ruszam za nią, nie zdejmując wilgotnego fartucha. W połowie drogi odwracam się i staję twarzą w twarz z Riley'em.

- Jesteś do dupy – syczę.
- Nie pierwszy raz słyszę te słowa, kochanie.

Kobieta opada na obrotowe krzesło za biurkiem, na którym piętrzą się stosy papierów, przepisów, teczek, kubków pełnych długopisów i ołówków. Stoi tam też miska pełna lśniących niebieskich kamieni. Kobieta opiera czoło na biurku.

- Jestem wykończona.

Na szarawej ścianie za jej plecami wisi oprawione w ramki zdjęcie dziewczęcej drużyny softballowej, opalone twarze, wybielone słońcem włosy zebrane pod zielonymi czapkami z daszkiem. Zerkam na ciemną mapę piegów na twarzy kobiety. Łatwo znaleźć ją na zdjęciu, stoi z samego brzegu z prawej strony, z kijem opartym o ramię, szorty opinają się na jej udach.

Tymczasem jej dłoń szuka czegoś na biurku, maca dookoła. Kobieta wydaje się zagubiona, lecz w zabawny, sympatyczny sposób.

Riley rozwalił się na sofie, zamknął oczy. Nie wiem, co robić, stoję przy drzwiach, przyciskając plecy do ściany.

- Nie przyniosłeś kawy – mówi kobieta do Riley’a.
- Nie powiedziałaś, że mam przynieść.
- To teraz mówię. – Kobieta spogląda na mnie. – Julie. Julie Baxter. A ty? – Znowu kładzie głowę na biurku i skomle.

Zastanawiam się, dlaczego ma inne nazwisko niż Riley. Może jest mężatką?

- Riley? Czemu nie idziesz po kawę? – pyta zduszonym głosem.

Riley zwleka się z sofy. Przystaje obok mnie.

- Też chcesz kawę?

Kręcę głową. Wciąż jestem wściekła i przestraszona z powodu tego, co zrobił. Ma zmęczoną i jakby trochę spiętą twarz. Wychodzi z biura w śmieszny sposób. Czekam, aż znajdzie się za drzwiami, i odwracam się w stronę Julie.

Odpowiadam cicho:

- Mam na imię Charlie.

Julie siada wyprostowana. Zachowuje się jakby mnie nie słyszała.

– Ha. To ciekawe – mówi łagodnie. Patrzy w sufit, usta ma lekko rozchylone. – Wiesz, normalny Riley nigdy by nie spytał, czy chcesz kawę. Normalny Riley po prostu przyniósłby ci kawę, pewnie w jakiejś ekstrawaganckiej formie, jak mochaccino z podwójną bitą śmietaną i posypką truskawkową. Normalny Riley musi flirtować z każdą osobą płci żeńskiej. Młode, stare, w średnim wieku, grube, chude, przeciętne. Bez znaczenia. Przyniósłby ci swój podarunek, ty trzepotałabyś rzęsami i chichotała, a on zapewniłby sobie kolejnego sprzymierzeńca. Chociaż, trzeba przyznać, nie wyglądasz na jedną z tych trzepoczących. – Urywa, splata dłonie. – Niekoniecznie zdobycz, ale na pewno sojuszniczkę. Riley rozkwita dzięki uwielbieniu otoczenia, chociaż wydaje się je odrzucać. Jest to interesujące. Bardzo interesujące. Coś między wami zaszło. – Obraca ołówek w dłoniach. – Widzę to. Mam doskonałą intuicję.

Wzrokiem taksuje moją twarz, ale zachowuję kamienne oblicze. Nie zamierzam wyjawiać, co się wydarzyło. Może nie pozwoliłaby mi zostać. Postaram się trzymać od niego z daleka.

Otwiera usta, by powiedzieć coś jeszcze, ale w tym momencie wraca Riley z dwoma kubkami kawy. Julie rzuca mu to samo baczne, intensywne spojrzenie co mnie.

- Co? – pyta zaczepnie. – Czemu tak na mnie patrzysz?

– Intuicja. Później popracuję nad rozbudowaniem mojej tezy. – Łapczywie chwytając kubek w obie dłonie. – Nieważne! Charlie? Widzisz? Słuchałam. Pewnie sądziłaś, że nie. Masz na czole paskudną bliznę i nosisz ogrodniczki na pustyni, co wydaje mi się zarazem interesujące i smutne. – Wypija spory łyk kawy. – Powiedz mi, co tu robisz?

Odruchowo spoglądam na Rileyę, on jednak tylko wzrusza ramionami i siada na sofie, opierając sobie kubek z kawą na piersi. Splatam palce za plecami.

– Chcę zarobić?

– Nie, nie. Co tu robisz? – Julie na moment zamyka oczy, jakby poczuła się urażona.

– Na tej planecie?

– W Arizonie. O planecie porozmawiamy przy innej okazji. To znacznie bardziej skomplikowany temat. – Mrużąc oczy, spogląda na mnie i upija kawy.

– Przeprowadziłam się. Z Minnesoty. – Co jeszcze miałabym powiedzieć?

– Pewnie dla chłopaka. – Riley się śmieje.

– Zamknij się – warczę. – Coś się tak wziął? To nawet nie jest prawda.

– To jaka jest prawda? – pyta Julie.

I nim zdążę się powstrzymać – ponieważ cały ten poranek jest totalnym gównem, w skład którego weszła teraz jeszcze ta cudaczna rozmowa o pracę – wyrzucam z siebie:

– Próbowałam się zabić. Wszystko zawałiłam. Teraz jestem tu, potwornie głodna, i potrzebuję kasy. Potrzebuję zakichanej pracy.

Od razu desperacko pragnę zebrać te słowa i wsunąć je sobie z powrotem do ust. Świr, pewnie myśli Julie. Odruchowo dotykam rękawów, upewniam się, że są opuszczone. Czuję na sobie spojrzenie Rileyę. Wszystko, co mogę zrobić, to na niego nie patrzeć.

Nagle on podnosi się z sofy i wychodzi.

Julie kilka razy mruży oczy, jakby próbowała pozbyć się pyłku spod powieki. Żołądek mi się przewraca. Teraz ona powie, żebym się wyniosła. Nie ma szans, żeby pozwoliła mi zostać. Zaczynam rozwiązywać fartuch, ale Julie przekrzywia głowę, nie spuszczając ze mnie wzroku. Jej oczy są łagodne i smutne.

– Sporo tam się kryje, co? – Jej dłoń jak ptak trzepocze tuż przy piersi, w pobliżu serca. Kiwa głową i dotyka miski z niebieskimi kamieniami. – Tak, właśnie dlatego to robię. Lubię rozmawiać z ludźmi. W ten sposób dowiaduję się znacznie więcej na ich temat, niż gdybym pytała tylko, czy kiedykolwiek zmywali naczynia, podawali jedzenie, machali mopem, czy czego uczyli się w szkole. – Patrzy prosto na mnie, jej piegowata twarz jest otwarta, oczy przejrzyste. – Podejdz – mówi.

Robię krok w jej stronę, a ona chwyta moje dłonie. Jej oczy to dwa jeziora ciepła. Jej dłonie są pewne i gładkie, matczyne. Pat, pat, pat. Skóra wydziela woń lawendy.

Julie przymyka oczy.

– W tym momencie naprawdę cię czuję.

Otwiera oczy, puszcza moje ręce, sięga do jednej z misek i wkłada kamień w moją dłoń, zamyka wokół niego palce. Kamień emanuje dziwnym ciepłem.

– Lapis lazuli – wyjaśnia. – Mają niezwykle właściwości lecznicze, wiesz? Ich moc potrafi wyciąć głęboką ścieżkę wśród zamieszania i emocjonalnego chaosu. Czasem naprawdę pomaga mi przebrnąć przez najgorsze gówno. Interesujesz się kamieniami?

– Nic o nich nie wiem – odpowiadam. Mój głos brzmi słabo. Jak to możliwe, by mały kamyk posiadał taką moc? Zaciskam wokół niego palce. – Trzeba się do niego modlić czy jak? – Gadać do kamieni. Blue nieźle by się ubawiła.

– Jeśli chcesz. – Uśmiecha się. – Możesz go po prostu potrzymać, zamknąć oczy, naprawdę poczuć jego energię i uwierzyć, że cię wypełni.

Zaczyna coś pisać na kawałku papieru.

– Wiedza o kamieniach to piękna sprawa. Powinnaś o tym pomyśleć. Jutro przyniosę ci

aloes na tę bliznę na czole. Kamień zatrzymaj. Jest twój. – Przesuwa w moją stronę plik formularzy. – Proszę. Musisz je wypełnić, podatki i pensja. Przynies jutro razem z dokumentem tożsamości, zapiszę cię w księgach.

Zabieram papiery, składam je i wpycham do kieszeni ogrodników.

Podaje mi kartkę z wypisanymi dniami i godzinami. Cztery dni w tygodniu, od siódmej rano do trzeciej po południu.

– To twój grafik, Charlie. Mój brat bywa palantem, ale to mój brat. Upada, ja go podnoszę, odpycha mnie, upada, ja go podnoszę i tak dalej, i tak dalej.

Dzwoni telefon, Julie obraca się na krześle, by odebrać.

Stoję tam jeszcze przez chwilę, ale w końcu uświadamiam sobie, że to mój sygnał do odejścia. Powoli ruszam korytarzem, wciąż ściskając w dłoni kamyk. Na widok Riley'a, który wyciera blat przy zlewie, szybko odwracam wzrok i wsuwam kamyk do kieszeni.

Zaczynam wyjmować kubki z plastikowych koszy, mokre serwetki i zgięte mieszadełka wyrzucam do śmieci. Riley podchodzi bliżej, bierze kubek do ręki, przechyla, żebym mogła zajrzeć do środka.

– Czasem trzeba je namoczyć. Widzisz te plamy po kawie? Namocz je mniej więcej raz w tygodniu w gorącej wodzie z odrobiną bielinki. Napełnij któryś zlew czy wiadro po piklach. Julie lubi, kiedy kubki są czyste i lśniące.

Kiwam głową, nie patrząc na niego.

Riley szepcze:

– Jestem beznadziejny. Ale to już wiesz.

Nie odpowiadam, a on przyciska palec do mojego rękawa, tuż nad nadgarstkiem. Pochyla się w moją stronę.

– Nie musiałś zwalać na kota. Sam wiem, co to znaczy mieć popierdolone życie.

– Riley! – woła facet z tatuażami. – Opowiedz, jak się porzygałeś Adamowi Levine'owi na buty!

– No, to było dobre. – Linus rzy jak koń z kreskówki.

Odwracam się, a ona puszcza do mnie oczko.

Riley zapala papierosa i zaciąga się mocno, znów podchodzi do zlewu, wypuszczając dym nosem.

– No, no. Wymiotowanie to dość znane zjawisko w świecie rock and rolla. Chleb powszedni. Nie ja pierwszy i na pewno nie ostatni zwymiotowałem panu Levine'owi na buty. Chciałbym jednak sprostować, że to nie wyłącznie buty pana Levine'a, lecz cały pan Levine stał się niewinnym celem mojej nagłej prostackiej niedyspozycji. Historia zaczyna się tak...

Wracam do naczyń, słuchając, jak Riley rozwija opowieść, śledzę melodię i kadencję chropawego od papierosów głosu, a jednocześnie myślę o tym, co powiedział: „Sam wiem, co to znaczy mieć popierdolone życie”.

Wbrew mojej woli jego słowa jakoś mnie poruszyły. Powinnam wydrukować je na koszulce, ponieważ stanowią motto również mojego życia. Bez względu na to, jak okropny był dla mnie dzisiaj rano i jak miły jest w tej chwili, jak zabawnie opowiada swoją historię, on i ja jesteśmy sobie bliżsi, niż chciałabym przyznać.

Moja twarz oblewa się rumieńcem. Wsuwam dłoń do kieszeni, zamykam ją wokół kamienia, chciałabym, żeby mi powiedział, bym przestała myśleć o tym, o czym myślę, ale kamień milczy.

Po pracy za część kasy, którą dał mi Riley, kupuję w kooperatywie torebkę chipsów i mrożoną herbatę. Jestem taka głodna, że od razu rozrywam folię i napycham usta chipsami, jednocześnie przeglądając ogłoszenia DO WYNAJĘCIA na tablicy przed wejściem.

Nie wygląda to zbyt różowo. Czuję, że opuszcza mnie odwaga. Większość wynajmujących wymaga wpłaty pierwszego i ostatniego czynszu oraz kaucji. Nawet w przypadku jednoosobowego pokoju za sześćset dolarów wychodzi tysiąc osiemset na sam początek plus media. Jak to się robi? Za nie też trzeba zapłacić z góry? Szybko liczę w głowie: z kasy, którą płaci mi True Grit ledwo zbiorę na opłacenie czynszu, nie wspominając o innych wydatkach, takich jak jedzenie, gaz i elektryczność.

Przez chwilę jeżdżę po centrum, aż znajduję bibliotekę. Najpierw idę do łazienki, czekam, aż wyjdzie kobieta, wyciągam z plecaka pustą butelkę z mieszkania Mikeya i napełniam cytrynowym mydłem z dozownika. Będzie żel pod prysznic, ale potrzebuję jeszcze szczoteczki i pasty. Okręcam papier toaletowy wokół złożonej pięści, wpycham do plecaka. Zapasy Mikeya szybko się kończą.

Na dole okazuje się, że trzeba się zapisać, by korzystać z komputerów, a czas jest ograniczony. Młoda bibliotekarka przygląda mi się nieufnie, kiedy wpisuję nazwisko na formularzu, przypuszczam, że z powodu blizny na czole, bo wiem, że nie śmierdzę, a ramiona mam zakryte.

Siadam przed komputerem i wyciągam kartkę, którą dała mi Casper. Jej adres mailowy jest wydrukowany, ale obok napisała starannym okrągłym pismem: *Charlie, pisz do mnie bez wahania. Naprawdę o tobie myślę.* Nawet podpisała się prawdziwym imieniem: *Bethany.* Ignoruję informacje o ośrodku resocjalizacyjnym i grupie wsparcia, ponieważ znajdują się w Minnesocie, a ja jestem w zupełnie innym miejscu.

Loguję się na konto, które utworzyłam w Creeley podczas nauki przez Internet. Właściwie nie wiem, o czym pisać, po prostu stukam w klawiaturę.

Hej. Nie ma mnie tam, gdzie myślisz, przykro mi. Z mamą by nie wyszło, a ona o tym wiedziała. Mój przyjaciel Mikey mieszka w Tucson. Zatrzymałam się w jego mieszkaniu. Mam trochę pieniędzy. Nie jest to najwspanialsze mieszkanie na świecie, ale przynajmniej mam dach nad głową. Znalazłam też pracę na zmywaku. Chyba do tego właśnie się nadaję. Bardzo dużo rysuję. Wydaje mi się, że nie czuję strachu, ale może jednak tak. Dziwne. Wszystko jest dziwne. Nie wiem za bardzo, jak żyć. To znaczy, radziłam sobie na ulicy i tak dalej, ale tamto życie różniło się od normalnego, chodziło głównie o to, żeby nie dać się zabić. Nie wiem nic na temat usług komunalnych, czynszu, depozytów, nie wiem nawet, jakie jedzenie powinnam kupować. Prawie z nikim tu nie rozmawiam, ale i tak jestem już zmęczona gadaniem. Przekaż wszystkim pozdrowienia ode mnie, a Louisie powiedz, że za nią tęsknię. Charlie

Już mam się wylogować, gdy dostrzegam wiadomość ukrytą między monitami z centrum edukacji online, w których pytają, kiedy podejmę naukę, oraz apelami z Nigerii z prośbą o pieniądze.

Temat: *Krwawe Ciasteczka.* Serce zamiera. Po chwili wahania klikam w wiadomość.

Hej, duchowa siostrzo. Sasha grzebała w rzeczach na biurku Duszka. I znalazła twoją teczkę. Dostałam kilka maili z tej szkoły online, w której się uczyłaś – był w nich twój adres. Duszek ma na twój temat całą TECZKĘ. Ale dramat, nigdy nie wspominałaś o tym dziwnym miejscu i wykorzystywanych dziewczynach. Mieszkasz z mamą? I JAK? Super, że Duszek zostawiła na wierzchu twoją teczkę, ale co u ciebie? Francie wyszła – któregoś dnia po prostu nie wróciła z przepustki. Louisa wciąż to samo, pisze, pisze, pisze, bla, bla, bla. Jak jest na zewnątrz, Charlie? Ja będę tu jeszcze długo siedzieć, straciłam nadzieję. Daj mi nadzieję! Isis wychodzi za trzy tygodnie i totalnie świruje. Nara, Ciasteczko, napisz do mnie. BLUE.

Dźwięk timera wytrąca mysz z mojej dłoni. Wielka baba z mięsistymi ramionami pokazuje, że mam ustąpić jej miejsce, ledwo daje mi czas na wylogowanie.

Wychodzę na plac przed biblioteką. Słońce zaczyna zachodzić, niebo nabiera uroczych odcieni różu i lila.

Dlaczego Blue nawiązała ze mną kontakt? W Creeley nawet mnie nie lubiła. W każdym razie nic na to nie wskazywało.

Chciałabym, żeby świat pozostał w ukryciu. Chciałabym, żeby pozostał tysiąc sześćset mil stąd. Potrzebuję startu od zera.

Mój wzrok przyciągają trzej niechlujni faceci na trawniku bibliotecznym. Skręcają papierosy, siedzą oparci o ciemne plecaki. Zaciskam zęby. Nie chcę z nimi gadać, ale zamierzam to zrobić, ponieważ mają potrzebne mi informacje.

Dwóch tylko burczy, kiedy pytam o bank żywności, ale trzeci wskazuje przed siebie i wymienia nazwę. Inny mówi:

– Taa, nie masz szans, dziewczyno. W kolejce po obiad trzeba się ustawić bladym, kurwa, świtem, bo potem same bachory i ich mamuśki. Nie wolno zabierać jedzenia dziecku.

Dziękuję i odpinam rower. Po drodze chwytam wilgotny koc wiszący na ogrodzeniu. Pewnie ktoś zostawił go do wyschnięcia. Następnym punktem na mojej liście rzeczy związanych ze startem od zera jest mieszkanie. Koc się przyda.

NAZAJUTRZ WSTAJĘ JESZCZE PRZED WCHODEM SŁOŃCA, rysuję w półmroku, zjadam kawałek chleba z masłem orzechowym. Szkicuję Ellis, to, co z niej pamiętam. Lubiała, kiedy z nią rozmawiałam, podczas gdy brała kąpiel, jej skóra była mokra i lśniąca. Uwielbiałam jej skórę, gładką, zdrową i bez blizn.

Tym razem Riley zjawia się punktualnie, ale wygląda strasznie, ma popielatą twarz i podkrążone oczy. Odzyskuje trochę koloru po wypiciu piwa zwiniętego z lodówki. Udamę, że nie widzę, ale on chyba ma świadomość, że ja wiem. Przeważnie milczę, on też. Odnoszę wrażenie, że trzeba wokół niego chodzić na palcach.

Po pracy jadę rowerem do centrum. Odnajduję schronisko i kuchnię dla ubogich; faceci mieli rację. Kobiety o zrezygnowanych twarzach i dzieci o płochliwych oczach czekają pod brezentowymi daszkami, chroniącymi od słońca, aż otworzy się kuchnia. Na tyłach budynku, pod długim szarym namiotem, stoją pojemniki z ubraniami i sprzętem domowego użytku. Milcząca pracownica schroniska czyta gazetę, a ja przeglądam pojemniki, wyjmuję kilka talerzy i kubków z osadem po kawie, trochę narzędzi kuchennych, wyszczerbioną różową miskę. Jest tam też kosz wypełniony paczkami podpasek i tamponów. Pracownica wręcza mi dwie rolki papieru toaletowego, tłumacząc, że taki jest przydział. Daje mi też torbę, w której kryją się szczoteczka, nitka dentystyczna, dwie prezerwatywy, tubka pasty, kartka z mapką do banku żywności, który wydaje się znajdować całe mile stąd, plik ulotek na temat chorób przenoszonych drogą płciową i bony żywnościowe. Dziękuję, a ona posyła mi blady uśmiech. Nie czuję się dziwnie w tym miejscu. Evan nazywał je darem niebios. Zgadza się. Zabieram skromne zapasy do domu i rysuję, aż robi się naprawdę ciemno.

Po dziesiątej jadę na Czwartą Aleję, wjeżdżam w uliczkę za Food Conspiracy. Myślałam o tym od pierwszej wizyty w kooperatywie – tutejsze śmietniki są doskonałym źródłem owoców i warzyw. Nadal nie chcę ruszać pieniędzy, które zarobiłyśmy z Ellis. Trzymam je ewentualnie na mieszkanie. W True Grit niewiele zarabiam. Brzuch zaczyna mnie boleć od tych wszystkich kanapek z masłem orzechowym. Potrzebuję odmiany.

Pracuję szybko, wpycham do plecaka jabłka z plamkami, brzoskwinie z wgnieceniami, zbyt miękkie selery. Zasuważąc zamek, dostrzegam jakąś postać na końcu uliczki. Obserwuje mnie, lekko się chwiejąc.

W schronisku buchnęłam widelec i wsadziłam do kieszeni, żeby mieć coś do obrony. Teraz zaciskam na nim palce i wlepiam wzrok w nieznanego. Po chwili oddycham z ulgą i rozluźniam palce.

– Riley – mówię. – Cześć. Hej.

Chciałabym, żeby coś powiedział, ale on tylko zaciąga się papierosem i idzie dalej.

– Pa! – wołam, ale on nie raczy się obejrzeć.

Następnego ranka w pracy spodziewam się, że coś powie, ale nie. Przez cały dzień za bardzo się nie odzywa

Kiedy odbijam kartę, pojawia się z papierową torbą w ręku. Pod oczami ma ciemne cienie.

– Jeśli jesteś głodna – mówi – to powiedz. Nie chcę więcej widzieć cię w nocy w ciemnych zaułkach, Dziwna Dziewczyno. Okej?

Nie czekając na odpowiedź, wraca na swoje stanowisko.

PODCZAS PRZERWY SIEDZĘ NA ZEWNĄTRZ, OBOK GRACZY W GO, i nagle dociera do mnie, że miejsca do życia, które mogłabym wynająć, miejsca, na jakie pewnie i tak ledwo mnie stać, nie znajdę w ogłoszeniach umieszczanych w „Tucson Weekly” czy na tablicy przed Food Conspiracy. Czeka na pierwszy i ostatni czynsz, depozyt oraz, jak uprzejmie poinformował mnie jeden z graczy, zaglądając mi przez ramię i widząc, że czytam ogłoszenia:

– Jeśli wcześniej nie mieszkałaś w Tucson i dotąd nie masz usług komunalnych na swoje nazwisko, to trzeba zapłacić dwieście, kurwa, czterdzieści dolców za samo podłączenie gazu. Nazywają to zaliczką.

Inny gracz dodaje:

– Siedemdziesiąt pięć za włączenie prądu.

Zaczynają narzekać na czynsz i gospodarkę. Zastanawiam się, gdzie mieszkają i co robią, bo raczej nie pracują. Przychodzą tutaj codziennie, siedzą do wieczora, piją kawę, jedzą bajgle, a potem wracają do domów, zostawiając na stolikach kubki pełne niedopałków. Które ja muszę sprzątać.

Evan.

Evan lubił krążyć po barach i restauracjach z ogródkami, ścigał z popielniczek niedopalone papierosy. Prowadził nas przez ciasne zakątki St. Paul, gdzie mieszkańcy o apatycznych spojrzeniach patrzyli przez okna swoich ciasnych mieszkań bądź siedzieli na werandach. Jeśli udało nam się zebrać trochę pieniędzy, czasem znajdowaliśmy pokój na tydzień w jakimś koszmarnym budynku, gdzie barykadowaliśmy tandetne drzwi dla ochrony przed ćpunami, którzy przychodzili wieczorami w poszukiwaniu działki. Ale i tak przyjemnie było pomieszkać pod dachem, zamiast kulic się w jakimś zaułku czy szukać miejsca nad rzeką.

W moim potencjalnym mieszkaniu nie będzie obowiązku wpłaty pierwszego i ostatniego czynszu. Nie znajdę takiego ogłoszenia w gazecie. Rzucam „Weekly” na krzesło i wracam do pracy.

Po zmianie wsiadam na rower i przejeżdżam przez dzielnicę Rileya i jeszcze kilka przecznic dalej, gdzie chodniki stają się wąskie i nierówne, a budynki stoją ciasno przytulone. Podobnie jak w St. Paul, w tej dzielnicy ludzie też nie robią nic, ale nie robią nic na otwartych gankach walących się domów lub oparci o słupy telegraficzne, ponieważ tutaj jest ciepło. W końcu dostrzegam tabliczkę przyklejoną taśmą klejącą do siatki otaczającej budynek pomalowany odłóżką białą farbą: POKOJE DO WYNAJĘCIA, PYTAĆ W ŚRODKU, 1 A. Drzwi są otwarte na oścież. Dwa domy dalej widzę sklep z alkoholem, z okienkiem dla zmotoryzowanych.

W drzwiach z tabliczką 1 A BIURO staje starszy mężczyzna. Pomieszczenie za jego plecami jest pogrążone w ciemności. Mężczyzna mruga, jakby raziło go światło.

– Jesteś z Sekcji Ósmej? Nieważne zresztą. Tylko wolałbym wiedzieć.

– Nie mam pojęcia, co to jest – odpowiadam.

Wzrusza ramionami i wyciąga z kieszeni wielki pęk kluczy. Przechodzimy przez korytarz wyłożony zniszczonym czerwonym dywanem aż do schodów, które wyglądają, jakby okropnie trzeszczały. Wzdłuż ściany ciągnie się szereg drzwi, z większości obłazi farba.

Niebieska taśma klejąca przytrzymuje odpadający tynk na ścianach klatki schodowej. Mężczyzna zatrzymuje się i opiera o poręcz. Po chwili wahania dotykam palcami jego łokcia, by mu pomóc. Skórę ma białawą i suchą, spękaną.

– Szesnaście stopni – dyszy. – Na pewno nie wiesz, ile mam lat. – Otoczone zmarszczkami oczy są przekrwione. Z nosa pokrytego wągrami sterczą kłaki.

Moja babcia zawsze o sobie dbała: co tydzień układała włosy i pachniała kremem i cynamonem. Żałuję, że nie spytałam o nią mamy, o to, co spowodowało, że nie mogła dłużej płacić za Creeley.

Ten mężczyzna jest bardzo stary, sypie się i nie potrafi o siebie zadbać. Śmieje się, pokazując wilgotne i pustawe wnętrza ust.

– Ja też nie!

Na piętrze przystaje.

– Chyba jesteś trochę za młoda jak na miejsce takie jak to, ale o nic nie pytam. Mnóstwo ludzi tutaj ma kłopoty. Proszę tylko, żeby nie przynosili świństwa, rozumiesz?

Kiwam głową, a on prowadzi mnie do drzwi pomalowanych na chorobliwy odcień brązu, zakrywający starszą warstwę dziwnego odcienia pomarańcza. Mieszkałam z matką w różnych podłych norach, gdzie myszy wyżerały zapasy z szafek. Mieszkałam na ulicy, w deszczu i lodowatym śniegu. Mieszkałam w Seed House. Te brudne popękane ściany, obłaząca farba i ten stary, stary mężczyzna plasują się gdzieś pośrodku. Po tym, do czego przywykłam, z pewnością nie przypomina to raj, ale piekła też nie.

Pokój jest wielkości sporej sypialni z przylegającym małym pomieszczeniem. Zaglądam do środka i okazuje się, że to skrzyżowanie kuchni z łazienką, na której wyposażenie składają się obfłuczona różowa lodówka, stary zlew z jednej strony oraz sedes i miniaturowa wanna na nóżkach z drugiej. Nie ma kuchenki. W życiu nie widziałam tak małej wanny. Wchodzę do niej, kolana sięgają mi niemal do piersi. Dziwne, ale nawet mi się to podoba.

Mężczyzna wzrusza ramionami.

– Budynek jest stary. Z początku dwudziestego wieku może? W tamtych czasach wanny to był prawdziwy luksus. Ludzie kładli na nich deski, jedli obiad. Taki stół! W korytarzu jest wspólna łazienka dla mężczyzn. Pokoje z łazienkami dają w pierwszej kolejności paniom.

Właściwie powiedział: „jadli obiad”. „Ludzie kładli na nich deski, jadli obiad”.

Sufit to płatanina obłazącego papieru oraz żółtych i czerwonych plam. Spoglądam na mężczyznę.

Ten z namysłem pociera brodę.

– Stary Roger. Czasem odbijało mu po pijaku, zaczynał bitwy z musztardą i keczupem. Nasz Roger bardzo lubił hot dogi. Mam drabinę, możesz pożyczyć i zrobić z tym porządek. Odliczę ci z czynszu dwadzieścia dolców za pierwszy miesiąc, za to, że nieposprzątane. Na dole mieszka taki gość, kiedyś robił różne naprawy, ale już mu się nie chce. – Urywa i po chwili dodaje: – Nazywają go Nauczyciel, bo faktycznie pracował kiedyś w szkole. Chyba. Zawsze głądzi. Pewno nie można się pozbyć tego, kim się kiedyś było. Przykleja się to do człowieka na zawsze.

Na ulicy często tak jest, że starszych ludzi zna się nie z imienia, tylko z tego, kim byli, zanim wylądowali pod mostem: Bankier. Piekarz. Tenodpizy. Ale dzieciak był zawsze Dzieciakiem. Ciekawe, jak tutaj będą mnie nazywać, czy znów stanę się Dzieciakiem. I ciekawe, jak Nauczyciel trafił ze szkolnej klasy w to podupadłe miejsce.

Mężczyzna zastyga, jakby zdziwiony, w końcu mówi:

– A. – I po chwili: – Nie ma łóżka. Wynieśli, jak Roger odszedł. W takim razie odejmuję jeszcze dziesięć z czynszu. Ale to i tak był tylko materac.

W pokoju stoi lampa z abażurem o wątpliwej aparycji, prosty kwadratowy stolik karciany i głęboki zielony fotel. Mężczyzna, widząc, jak wodzę wzrokiem dookoła, rzuca z uśmiechem:

– Częściowo umeblowany. – Dodaje: – Trzysta osiemdziesiąt pięć za miesiąc, w tym media, ale jeśli chcesz mieć telewizor i zamontować kablówkę, sama musisz się tym zająć i sama zapłacić, chociaż paru dżentelmenów z parteru chyba wykombinowało coś na boku. No i nie ma tego tam wi-fi. Większość wynajmuje z miesiąca na miesiąc, niektórzy nawet z tygodnia na tydzień, jeśli takie mają życzenie. Wymagam depozytu, taką mam regułę, nawet jeśli chcesz zostać na krótko i wyglądasz porządnie. Nigdy nie wiadomo, czy ktoś czegoś nie zniszczy, nie? To będzie dwieście dolarów, ale dostaniesz je z powrotem, jeśli zostawisz pokój w dobrym stanie. – Urywa, patrzy na mnie surowo. – Koło sklepu z alkoholem bywa głośno, jeśli to dla ciebie problem. Nie jestem upierdliwy, ale jak już mówiłem, przynieś ze sobą tylko te kłopoty, które już masz, i żadnych więcej.

Z telewizora po przeciwnej stronie korytarza dobiega metaliczny śmiech. Dalej w głębi korytarza ktoś śpiewa po hiszpańsku.

Nie mam pojęcia, jak się za to wszystko zabrać. Nie wiem, czy to jest dobre miejsce, czy złe ani o co powinnam pytać. Wiem tylko tyle, że w tym momencie na takie mnie stać, a ten mężczyzna robi sympatyczne wrażenie i nie prosi o żadne czynsze z góry, czeki i inne takie. Czuję przerażenie, chociaż bywałam w gorszych miejscach, ale spoglądam na niego i kiwam głową. Nie mogę wydusić słowa, ręce mi się trzęsą. Nie chcę myśleć, co może się wydarzyć, jeśli to miejsce okaże się okropne.

Mężczyzna pochyła się i przegania muchę z nogawki. Na stopach ma sandały, wystają z nich sękaty, brudne paluchy.

– Jestem Leonard. Może powiesz, jak ty masz na imię, na początek pięknej przyjaźni. – Wyciąga rękę, żeby mi pomóc wygramolić się z wanny.

Ujmuję ją. Jest zaskakująco miękka. Uśmiecham się mimowolnie. Trochę się rozluźniam. Wydaje się sympatyczny i uczciwy.

– Charlie – odpowiadam. – Nazywam się Charlie Davis.

WRACAM DO MIESZKANIA MIKEYA i zastaję opartą o drzwi płytę CD z przyklejoną z przodu kopertą. Napisano na niej fioletowym atramentem *Mike*, pismo jest zamazyste, a *e* przechodzi w serię zawadiackich kwiatków. Nie mam czasu zastanawiać się, co to znaczy, zostawiam płytę przy drzwiach. Piszę do Mikeya liścik z moim nowym adresem.

Pakowanie zabiera mi niewiele czasu. Owijam naczynia ze schroniska w pled, który ściągnęłam z ogrodu, wpycham je do walizki Louisy, wrzucam ciuchy do plecaka. Znajduję kawałek sznurka, wynoszę wszystko przed dom, przywiązuje walizkę z tyłu roweru, zarzucam plecak na ramiona.

Z okien głównego budynku płyną dźwięki opery. Przystaję na sekundę, słuchając, zastanawiam się, czy powinnam pożegnać się z Ariel, podziękować czy coś, ale tego nie robię. Wychodzę furtką ogrodową, nie oglądam się za siebie. Kolejna rzecz, której nigdy się nie nauczyłam: pożegnania.

Droga jest powolna i ciężka. Walizka wciąż się przekręca, z trudem próbuję zachować równowagę, dzielnie pedałuję. Trochę się martwię, czy bezpiecznie będzie zostawić rower przed domem, nawet przypięty, ale jednak zostawiam, licząc na to, że nic się nie stanie.

Wciągam swoje rzeczy po trzeszczących schodach. Stoję przed drzwiami przez dobre pięć minut, ocieram pot z twarzy i czekam, aż ktoś mnie wpuści, aż wreszcie uświadamiam sobie, że sama mogę się wpuścić. Mam klucz. Spoglądam na niego, jest chłodny i srebrny w moich dłoniach.

Naciskam włącznik światła, nic się nie dzieje. Widzę w półmroku, że brakuje żarówki, zamiast niej zieje pusta czarna dziura. Zaciągam plecak i walizkę Louisy do pokoju, zamykam drzwi i zasuwam łańcuch.

Pociągam za sznurek lampy stojącej, też nic. Odkręcam żarówkę i widzę plamę świadczącą o tym, że się przepaliła. Kuchnia znajduje się zaledwie kilka kroków od wejścia. Małe żarówka nad zlewem działa, chociaż muszę stanąć na palcach, żeby dosięgnąć sznurka, który okazuje się brudnym sznurowadłem.

Światło dnia zanika. Z ulicy dochodzi głuchy i uparty dźwięk, to kolejne samochody włączają dzwonek przy wjeździe do sklepu z alkoholem.

Skończyły się chleb i masło orzechowe, została mi tylko jedna obita brzoskwinia ze śmietnika przy kooperatywie. Burczy mi w brzuchu, ale nie chcę dzisiaj wychodzić. Przez okno wpada żółte światło latarni. Tulę złożone dłonie, piję stęchlą wodę z kranu w kuchni, zastanawiam się, co dalej. Uznaję, że najlepiej będzie udać się do Leonarda.

Przekręcam klucz i otwieram drzwi. W korytarzu jest pusto. Pachnie dymem papierosowym. Po mojej stronie jest troje drzwi i troje po przeciwnej, na końcu zaś drzwi do łazienki. Są zamknięte, ale słyszę postękiwanie. Zamykam drzwi do pokoju i prędko zbiegam po schodach, wdzięczna, że żarówki na korytarzu działają.

Leonard wręcza mi młotek i gwóźdź. Proponuję ćwierć dolara za żarówkę, a on przyjmuje propozycję z uśmiechem. Wracam do pokoju i wkładam żarówkę.

Wbijam gwóźdź w ścianę nad wanną i zawieszam błyszczący krzyż w czaszki, który zwinęłam z domu Ariel.

Przysuwam fotel do drzwi, upewniam się, że są zamknięte na zasuwkę, po czym kładę się na podłodze, opierając głowę o plecak. Liczę w myślach: mam dziewięćset trzydzieści trzy dolary z tego, co zarobiłyśmy z Ellis. Zapłaciłam Leonardowi pięćset dziewięćdziesiąt pięć za czynsz i kaucję, więc zostało mi trzysta trzydzieści osiem. Czułam jednocześnie przerażenie i smutek, oddając mu taką wielką sumę, rezygnując z tego, o czym marzyłyśmy.

Przynajmniej mam własny pokój. Nie mieszkam w zaułku ani w tunelu czy w zimnym przeciekającym vanie lub w czerwonym pokoju w domu z koszmarów. Jestem tutaj.

Nie czuję smutku. Nie czuję przerażenia. W tym momencie czuję coś na kształt triumfu.

Obejmuję się ramionami i słucham życia toczącego się poza tym brudnym wnętrzem, krzyków z ulicy, stłumionych głosów dochodzących z innych pokoi, telewizji, trzeszczących odbiorników radiowych, wycia syren kilka przecznic dalej, przez cały czas myśląc: Mój pokój. Mój pokój.

WCZESNYM RANKIEM BUDZI MNIE STUKOT BUTÓW na korytarzu. Raz po raz otwierają się jakieś drzwi, potem zatrząskują, napływają odgłosy sikania i wzdychania, potem spuszczonej wody, później kolejne buty. Przecieram oczy. Ręka robi się słona i zapiaszczona.

Przy wannie nie ma prysznica. Odkręcam wodę i ściągam ubranie. Patrę wszędzie, byle nie na własne ciało. Na sprzączki przy ogrodniczkach, plamy na koszuli z niebieskiego dżerseju. Nie czuję się komfortowo, stojąc tak i czekając, aż wanna się zapełni, więc wchodzę do niej

i siadam. Czuję przyływ wdzięczności z powodu ciepłej wody. Myję włosy mydłem z biblioteki, zamykam oczy i ochlapuję uda, brzuch, piersi, twarz. Gdy czuję się już czysta, opuszczam się niżej na plecach i zanurzam głowę, napawam się ciszą.

Już zamierzam wyjść z wanny, gdy uświadamiam sobie, że nie mam ręcznika. Kolejny punkt na liście potrzebnych rzeczy.

Ściągam rękami wodę z ciała najlepiej, jak potrafię. Włosami nie muszę się przejmować, wciąż są bardzo krótkie. Wybieram czystą koszulkę z długim rękawem ze stosu rzeczy po Tanyi, wciągam ogrodniczki. Wychodzę i w ostatniej chwili przypominam sobie, że muszę przecież zamknąć drzwi na klucz. Moje drzwi.

NASTĘPNEGO DNIA PO PRACY DRZEMIĘ NA PODŁODZE, z plecakiem w roli poduszki, gdy nagle z korytarza dobiega ciche stukanie. W pierwszej chwili uznaję, że to z telewizora w którymś pokoju. Po chwili uświadamiam sobie, że jednak nie, że ktoś puka do moich drzwi, wstaję więc i wyjmuję z plecaka wygięty widelec, tak na wszelki wypadek. Ostrożnie odsuwam fotel spod drzwi i uchylam je odrobinę, nie zdejmując łańcucha. Wyglądam.

W szparze pokazuje się szeroko uśmiechnięta twarz w obramowaniu jasnych dredów. Widelec spada z brzękiem na podłogę. Serce wali mi jak szalone.

– Charlie Davis – śpiewa miękko Mikey. – To ty. Patrzcie tylko.

Popycham drzwi, moja twarz jest już mokra.

– Mikey – szepczę, przytulając się do niego – jesteś. Wreszcie jesteś.

Obejmuje mnie tak mocno, że osuwamy się na podłogę, śmiejąc się i płacząc. To wielka ulga, gdy ktoś mnie przytula, ściska ramionami moje ciało, ramionami, które przywierają do brzucha. Nogi splecione z moimi nogami, twarz wciśnięta w szyję, chłonna moje ciepło, moje łzy. Głos Mikeya brzmi tak delikatnie tuż przy moim uchu

– Hej, daj spokój, już wszystko dobrze.

Czuję suche wargi przy skroni. Mikey kołysze się w przód i w tył, gładząc moje plecy. Ociera się podbródkiem o moją głowę, jego zarost zaczepia się o krótką szczecinę.

– Tęskniłam za tobą – mówię.

– On odpowiada:

– Ja też.

– Moja wina – mówię.

– Nie, nigdy.

– Nie odpowiedziałam jej.

Esemsy od Ellis przychodziły powoli, jeden po drugim: *Boli. Nie mówiłaś, że tak boli. Za bardzo.* Na widok Mikeya wszystko powraca. Nie widziałam jej od blisko trzech miesięcy. Popatrzyłam na jaskrawożółty esemes, po czym położyłam telefon na łóżku ekranem do dołu, wykorzystując cały gniew, który do niej czułam, by się przygotować, a rano, kiedy się obudziłam, w drzwiach stała moja matka, powtarzała moje imię takim dziwnym głosem, jej wargi drżały.

A teraz, otoczona ciałem Mikeya, na podłodze, na kradzionym kocu, myślę o tych fotografiach robionych wewnątrz fal, przedstawiających surferów w obłych strojach, prujących na deskach przez tunel wody z szeroko otwartymi oczami. Przypuszczam, że czują się bardzo bezpiecznie w środku wodnego wiru, w środku ciszy, odcięcia od świata, nawet jeśli tylko na kilka minut. W tym momencie też tak się czuję w swoim małym, ponurym pokoju: wszystko, co robiłam i kogo udawałam przez ostatni rok, zostaje zmyte, a ja staję się czysta, wypolerowana i gotowa wkroczyć w nowy świat.

– No dalej. Gadaj. Co ci tam powiedzieli? Jest jakaś nazwa na to, co... masz? Cięcie.

Mikey wpatruje się we mnie bacznie. Kiedy on tak wyprzystojniał? Wbijam wzrok w talerz. Siedzimy w miejscu o nazwie Gentle Ben's, jemy na spółkę burgera i frytki z pieprzem.

Pytanie sprawia, że staję się nerwowa – ile powinnam mu powiedzieć? Jaka jest granica obrzydzenia, jeśli chodzi o cięcie się i psychotyczne zachowania? Przełykam frytkę, biorę głęboki wdech.

– Nazywają to samookaleczeniem bez intencji samobójczych.

Mikey ociera usta, upija coli, oczy mu błyszczą.

– Co to dokładnie oznacza? Czy... Ellis też to ma?

– To znaczy, że się okaleczam, ale nie chcę umrzeć.

Gryzę hamburgera. Gotowane jedzenie smakuje wspaniale. Zamówiłam też lemoniadę. Teraz biorę szklankę do ręki, rozkoszuję się słodyczą wypełniającą usta, wiem, że zaraz będę musiała znowu coś powiedzieć, ponieważ Casper mówiła, że mamy rozmawiać.

Wyduszam z siebie:

– Ciężko to wyjaśnić. Mam też inne rzeczy. Zaburzenie kontroli impulsów. PTSD.

Marszczy brwi.

– Zespół stresu pourazowego? To chyba dotyczy weteranów wojennych i tak dalej?

Ostrożnie żuję hamburgera. Wbrew mojej woli głos wydobywa się w postaci szeptu.

– Nie tylko.

Nigdy nie opowiadałam Mikeyowi o tacie. Prawdopodobnie założył, że moi rodzice się rozwiedli, bo większość rodziców się rozwodzi. O tym, że matka mnie biła, dowiedział się tuż przed wyjazdem.

Nie wiedział też, że się tnę, ani o tym, że Ellis ma zaburzenia odżywiania. Kryłyśmy się z naszymi sekretami.

– Jezu, Charlie, tak mi przykro. – Odsuwa talerz. – Wiesz, raz, kiedy wróciłem na wakacje, próbowałem cię szukać. Z DannyBoyem. Ale nie mogliśmy cię znaleźć.

Jego twarz wysmuklała, zrobiła się jakby bardziej wyrazista. Dorosła. Podciąga kolana pod brodę, opierając trampki na brzegu plastikowego krzesła.

Oczywiście, że mnie szukał. Z naszej czwórki Mikey był najbardziej odpowiedzialny. I najbardziej wygadany. Potrafił ocalić nam skórę przed policjantami na Lowertown. Załatwić z rodzicami spóźnienia i alkoholowy oddech. Potrafił postawić swoje małe żylaste ciało między miększym ciałem należącym do DannyBoya a twardym ciałem napastliwego punka z łapami rozmiaru szynek.

Chrząka.

– Ja już nie piję, Charlie, ani w ogóle nic. Jestem czysty. Pomyślałem, że powinnaś wiedzieć. Chciałem od razu to ustalić.

– Okej – odpowiadam powoli i z czymś w rodzaju wdzięczności. Ja też nie powinnam robić takich rzeczy, a skoro Mikey jest czysty, będzie mi łatwiej. – Nie mogę pić ani nic. Lekarz mi zabronił. W szpitalu było okej. Całkiem nieźle. Bezpiecznie w każdym razie.

Na twarzy Mikeya maluje się ulga i radość.

– To dobrze – mówi. – To naprawdę świetnie, że nie pijesz. Bo ja, kiedy tu przyjechałem, miałem naprawdę dosyć tego gówna. Chciałem zacząć od nowa. No wiesz, w domu bardzo często chodziliśmy nawaleni, zdajesz sobie sprawę? Właściwie na okrągło.

– Wiem. Czasem było fajnie. – Uśmiecham się.

– Aha, ale trzeba z czegoś zrezygnować, żeby ruszyć dalej. Wiesz, że DannyBoy też jest czysty?

– Żartujesz?

Pamiętam, jak z DannyBoyem było coraz gorzej i gorzej, jak godzinami łąził po Rice

Street, szukając gościa w czarnej winylowej kurtce z fioletową wypustką, a kiedy go znajdował, stawał się miękki jak niemowlak. Ze zwiotczalą twarzą skąpaną w słońcu tarzał się w trawie nad płytkim stawem w Mears Park.

– Nie żartuję. Gadałem z jego mamą, jak wróciłem do domu na święta. Spędził sześć miesięcy w jakimś ośrodku odwykowym na północy, przy granicy z Kanadą, w lesie. Musieli sami rąbać drewno na opał i hodować kury na mięso i jajka. Obłąd, ale to zrobił. Od roku jest czysty. Pracuje teraz ze starszymi ludźmi, no wiesz, opiekuje się nimi. Karmi i tak dalej. W Duluth.

Próbuję sobie wyobrazić, jak niemrawy DannyBoy wkłada łyżkę owsianki w usta jakiejś staruszki czy zmienia pieluchę, ale nie potrafię. Widzę go albo naćpanego, albo smutnego lub jak tłucze kogoś w ciemnym zaułku po koncercie.

– Widzisz? To da się zrobić, Charlie. Można zmienić swoje życie, jeśli tylko się chce.

Niepewnie kiwam głową, bo nie do końca jestem przekonana, że to możliwe, że ja potrafię tego dokonać, skoro zawsze wszystko pierdolę. Mikey uśmiecha się, wyciąga pieniądze z kieszeni i kładzie je pod talerzem. Patrę na to z przykrością. Z każdą chwilą coraz lepiej nam się gadało, nasze słowa płynęły jak woda.

– Hm – mówi powoli – nie podoba mi się miejsce, w którym mieszkasz, ale wszystko po kolei, nie? Przede wszystkim musimy ci znaleźć coś do spania. Nie mam samochodu, trzeba będzie trochę pochodzić. Jesteś gotowa? Przydałoby ci się trochę ruchu.

– Hej! – Rumienię się lekko, bo widzę, że gapi się na moje ciało, co wywołuje we mnie przerażenie i trochę nadziei. Kręcę się na krześle. Czyżby Mikey uważał, że jestem za gruba? – Nie pozwalali nam ćwiczyć. A jedzenie było naprawdę kaloryczne.

– Żartowałem – odpowiada z uśmiechem. – Dobrze ci z tym. Byłaś trochę mizerna.

Wstajemy. Mikey przeciąga się, zielona bluza podjeżdża do góry. Ma brązowy, pokryty meszkiem brzuch i piercing, srebrne kółko. Ogarnia mnie ogromna chęć, by położyć dłoń na wystającej kości biodrowej, poczuć ciepło skóry. Czuję, że znów się czerwienię. Chciałabym wiedzieć, czy on myśli tak samo o mnie.

Nagle przypominam sobie o CD na progu jego domku i kopercie z fioletowym napisem. Całkiem wyleciało mi z głowy, że przecież Mikey może mieć dziewczynę. Już zamierzam go o to spytać, gdy on podchodzi bliżej i mówi niespodziewanie:

– Pokaż mi.

Doskonale wiem, co ma na myśli. Wzdrygam się, denerwuję, co powie, ale w końcu powoli podciągam jeden rękaw, potem drugi. Jest już prawie ciemno, białe światła kołyszą się wzdłuż daszka, mętne jak śnieg, który zostawiłam daleko w Minnesocie. Mikey bierze głęboki wdech, czuję ciepłe powietrze na twarzy. Jego oczy, utkwione w śladach na mojej skórze, wilgotnieją. Opuszczam rękawy.

– Czas się zbierać – rzucam lekko. Jestem w pełni świadoma tego, jak blisko siebie stoimy, jak blisko moich ust znajdują się jego wargi.

Jak by zareagował, gdybym powiedziała, że na nogach mam jeszcze więcej blizn?

Mikey pociera oczy nadgarstkami.

– Wszystko stało się ogromne – mówię.

Mikey nie odpowiada.

Casper powiedziała: „Musisz rozmawiać, Charlotte. Nie możesz milczeć”.

– Tak jak mówiłam – dodaję, z trudem wydobywając z siebie słowa. – Wszystko zrobiło się takie ogromne, wiesz? Nie mogłam dłużej wytrzymać.

Tak strasznie tęskniłam za Ellis i byłam na nią taka wściekła, i to ja byłam wszystkiemu winna. No i ten dom, ten naprawdę straszny dom. Nie wypowiadam tego na głos.

Mikey potrząsa głową. Patrzymy na siebie.

– No dobra – odzywa się – spróbujmy to zmienić. Sprawmy, żeby wszystko zrobiło się małe. Nie bierzmy na siebie zbyt wiele naraz. Stopniowo i po kolei.

– Małe – Smakuję brzmienie tego słowa. – Małe. – Podoba mi się. Nie więcej niż zmieści się w moich dłoniach. Małe.

Pożyczamy pikapa od Rollina, kolegi Mikeya, pulchnego chłopaka, który mieszka na Euclid Avenue. W okolicy uniwersytetu we wszystkich zaułkach tkwią poupychane stoły, biurka i materace, piętrzą się w stosach na chodnikach przed blokami mieszkalnymi i akademikami.

– Idealny moment – zauważa Mikey. – Wakacje. Wszyscy się wyprowadzają. Wyrzucają wartościowe rzeczy.

Znajdujemy aluminiowy kosz na śmieci, wiatraczek, toster pomalowany w czarno-białe groszki, dzbanek na wodę, stół. Później, jadąc powoli wzdłuż wąskiej uliczki, dostrzegamy podwójny materac wciśnięty między stół kawowy ze szklanym blatem a kilka oprawionych w ramy plakatów Hootersów. Mikey ogląda materac, szukając ewentualnych dziur wypalonych petami. Próbuje z nim żartować, że to nie ma wielkiego znaczenia, bo kiedyś sypiałam w tunelu na gołej ziemi, ale on tylko się krzywi.

Rusza pieszo do swojego domku po kawałek sznura, żeby zwinąć materac w rulon i związać. Materac śmierdzi dymem i piwem. Jestem zmęczona, pocieram oczy. Nagle słyszę szuranie czyichś kroków.

To Riley, w jednej ręce trzyma płócienną torbę, w drugiej papierosa. Dochodzi północ, ale na nosie ma okulary przeciwsłoneczne. Spogląda na materac i resztę rzeczy leżących na przyczepie pikapa.

– A. – Głos ma zduszony, lekko bełkotliwy. – Doskonały sezon na meble podróżne.

W świetle latarni jego twarz jest żółtawa, woskowa.

Przesuwa okulary na czubek głowy.

– Co ci mówiłem o łażeniu po ciemnych zaułkach? – Rzuca papierosa na ziemię.

Z płóciennej torby wyjmuje piwo, otwiera o sprzączkę przy pasku, wyciąga w moją stronę.

Potrząsam głową, a on wzrusza ramionami. W jego oczach iskrzy ciepły blask. Uśmiecha się – flara w moim wnętrzu, ciche „łusz”, jak syk lampy sygnalizacyjnej, rozgrzewa mi twarz.

Riley podchodzi bliżej, tak blisko, że czuję jego oddech na wargach, pachnie piwem.

– Czuję, że tak będzie – szepcze.

Chrzęst żwiru sprawia, że odskakujemy od siebie: Mikey biegnie powolnym truchtem ze sznurkiem dyndającym w dłoni. Szczypię się w uda przez materiał kieszeni, by uspokoić walenie serca.

Mikey podbiega do nas, przystaje, rozgląda się.

– Hej – rzuca zdyszany. – Riley. Co słyszać?

– Michael. – Riley upija piwa. – W porządku. Jak było w trasie z Cat Foley?

– Zarąbiście. – Mikey, postępując, porusza się wokół materaca, zaciska sznur. – Na wschodzie były prawdziwe tłumy. Na koncert w Bostonie przyszedł DeVito. Hej, to moja przyjaciółka, Charlie. Charlie, poznaj Riley'a.

– Zdążyliśmy się zaprzyjaźnić, Michael.

Mikey patrzy to na mnie, to na niego, lekko zdezorientowany.

– O czym ty mówisz?

– Pracuję w True Grit – odpowiadam niechętnie. – Na zmywaku. Zaczęłam tydzień temu.

Riley kiwa głową.

– Jest mistrzynią w wybielaniu kubków po kawie, trzeba jej to przyznać. A wy dwoje... znacie się... skąd?

Nie podoba mi się błysk w jego oczach. Owszem, jest pijany, ale widzę, że kółka się obracają, pamięta naszą rozmowę o mojej przewodniczce. Sądzi, że Mikey jest facetem, dla którego się tu przeniosłam.

– W sumie razem dorastaliśmy – wyjaśnia Mikey. – W Minnesocie. – Okrąża materac, zaciska sznur.

Wzdycham. Wspaniale.

Riley patrzy na mnie.

– Jakie to interesujące. Charlie nic nie wspominała. – Jego oczy błyszczą, na twarzy widnieje krzywy, złośliwy uśmiešek. – Jaka miła z was para... przyjaciół.

Zabijam go wzrokiem.

Mikey, błogo nieświadomy kąśliwych aluzji, z zaangażowaniem wiąże supeł.

– Ej, Charlie, Riley grał w zespole, wiedziałaś o tym? Pamiętasz taki utwór *Charity Case*?

Mina Riley'a gwałtownie się zmienia.

– Tego tematu lepiej nie ruszać – mówi ostrym tonem. – Nie ma co rozdrapywać starych ran.

Tytuł piosenki fruwa w mojej głowie, aż w końcu ląduje na tamtym wieczorze, kiedy siedziałam na podwórku przed domem Mikeya, zajęta rysowaniem. Powracają słowa.

– Aha. Słyszałam któregoś wieczoru, jak grał ją jakiś zespół.

Mikey kiwa głową.

– No, to bardzo popularny cover w tej okolicy. Riley zwykle nie śpiewał jako główny wokalista, ale w tym utworze tak. – Śmieje się z obrażonej miny Riley'a.

Pamiętam. Przez chwilę to był przebój, jakieś cztery, pięć lat temu. W mojej pamięci pokazują się niewyraźne obrazy wideo – czterech facetów z potarganymi włosami, ubranych w czarne conversy i ciasnawe T-shirty pod koszulami w kratę z krótkim rękawem, śpiewa na przyczepie pikapa jadącego przez pustynię. Zbliżenia jaszczurek i tańczących dziewczyn w bardzo krótkich szortach, wzbijających obłoki piachu. Faceci byli do siebie bardzo podobni, ale wokalista miał niesamowity głos o wysokim, romantycznym brzmieniu, które chwilami nagle przechodziło w głębokie, bolesne tony.

Spoglądam na Riley'a i nagle doznaję olśnienia. Wokalista z wideo, lakoniczny gość stojący w tylnej części przyczepy, patrzył prosto w kamerę, a dwie idealne dziewczyny w typie modelek, ubrane w topy bez rękawów, opierały się o niego, muskając jego policzki. Facet śpiewał: „Chcę, byś zobaczyła moją zbyt prawdziwą twarz”... Był środek nocy, trochę nawalone leżałyśmy na łóżku Ellis, przerzucając kanały, Ellis zatrzymała się na tym wideo, zamruczała: „Ale gorrrące ciacho”, po czym znów zmieniła kanał.

– To ty – mówię niemal wesoło. – To byłeś ty.

Riley unosi rękę obronnym gestem.

– Skończyłem z tym, drogie dzieci. – Wyciąga z torby kolejne piwo. – Do zobaczenia, Michael. Dziwna Dziewczyno, nie zapomnij się wyspać. Naczynia same się nie zmyją.

Odprowadzamy go wzrokiem.

– Ten gość – mówi Mikey – to niesamowicie utalentowany muzyk, świetny wokalista, ale jest totalnie popierdolony. Typowy przykład zmarnowanego talentu. – Potrząsa głową.

Patrzemy, jak uliczka powoli, łagodnie wchłania ciało Riley'a.

Wniesienie materaca po szesnastu prowadzących na piętro stopniach wymaga pomocy jednego z pijaczków siedzących na ganku, ale kiedy dzieło jest skończone, Mikey wygląda na zadowolonego i szczęśliwego. Wyciera brudne ręce w spodnie.

– Charlie – mówi miękko.

Ma łagodne oczy. Robię krok w jego stronę. Jak dobrze znów z nim być po tak długim

czasie, tak bezpiecznie. Obejmuję go od ponad dwóch tygodni, wdycham jego zapach z poduszki, czekam na jego powrót. Już mnie zna, może nie przeszkadzają mu blizny.

Kładę dłoń na jego pasku, bardzo lekko, wstrzymuję oddech. Powtarzam sobie, że nie będzie prawdą to, co powiedziała Louisa: że nikt normalny nigdy nas nie pokocha. To nie będzie prawdą.

Wydaje z siebie coś na kształt śmiechu, ale nie patrzy mi w oczy. Otacza mnie ramionami i mówi w moje włosy:

– Muszę ruszać dalej, Charlie. Jest prawie druga w nocy, a jutro pracuję w Magpies. Teraz wszystko będzie dobrze, tak? Pomogę ci, wiesz o tym, prawda? Mam mnóstwo zajęć z kapelą, pracą i tak dalej, ale jestem tu. Jestem. I strasznie się cieszę, że znalazłaś pracę. To świetny początek.

Słucham bicia serca pod tkaniną jego koszulki, w mojej piersi narasta rozczarowanie.

– Jasne, Mikey. – Chciałabym, żeby został. Ciekawe, co się kryje pod wyrażeniem „i tak dalej”, czy ma to coś wspólnego z płytą i kopertą. Wychodzi, machając na pożegnanie.

Drzwi się zamykają. Przysuwam do nich fotel śmierzący jak wysuszona plama po winie i niekochany kot. Znalezione przez nas graty, te wszystkie durne rzeczy, którymi należy zapełniać dom, leżą dokoła. Tej nocy mieszkańcy naszego budynku poruszają się cicho, nalewają wody do umywalk, rozmawiają szeptem przez telefon.

Na zewnątrz zrobiło się chłodno, więc zamykam okno nad zlewem, owijam się w koc, wyjmuję szkicownik i torebkę z ołówkami i węglem. Palce odnajdują wzór na kartce, wieczór jeszcze raz rozgrywa się w mojej głowie, zapętla przed oczami.

„Łusz”. Elektryczne ciepło uderza we mnie, kiedy fragmenty twarzy Riley'a formują się pod palcami, zaczątek osoby na papierze.

Rozpoznałam chwiejny krok, kiedy szedł w głąb uliczki. To nie był tylko alkohol. Było to coś, co dzieje się, kiedy trochę za dużo, trochę za bardzo się spierdoliło. W tym chwiejnym kroku było to coś, co ogarnia człowieka, kiedy ten robi się pusty i nie dba o to, że należałoby coś zostawić, zastąpić to, co utracił.

Czasami mam wrażenie, że też chodzę w ten sposób.

Patrzę na rysunek. Jego twarz jest bardziej zniszczona niż ta na wideo sprzed kilku lat. Wygląda raczej jak bardzo zmęczony facet niż jak gorące ciacho. Coś znikło. I jest jakiś cień, którego nie potrafię zdefiniować.

Kimkolwiek jest i cokolwiek mu się przydarzyło, nie chcę tego, chociaż moje ciało zaczyna świrować, kiedy jest w pobliżu. Przewracam kartkę. Zaczynam rysować całe pola dredów, skomplikowane gniazda włosów, łagodny obrys, otwartą i szczerą twarz Mikeya.

NASTĘPNEGO RANKA RILEY NIE WSPOMINA o naszym spotkaniu. Pewnie był tak nawalony albo potem tak się nawalił, że nic nie pamięta. A może jest mu to obojętne. Trudno powiedzieć. Z Linus i kelnerami gada jak najęty, ze mną nie, ale podczas lunchu podsuwa mi połówkę kanapki z grillowanym serem.

Po pracy jadę do biblioteki. Wszystkie komputery są zajęte, więc siadam na górze, w dziale sztuki. Ellis uważała za bardzo dziwaczne moje zamiłowanie do oglądania dawnego malarstwa, na przykład Rubensa i jego poduchowatych kobiet o miękkich włosach i zarumienionych policzkach. Lubię też Fridę Kahlo, wydaje się taka wkurwiona, a jej kolory są pełne gniewu. W jej malarstwie kryje się milion opowieści. Chociaż Evan twierdził, że dzięki mojemu komiksowi czuje się kimś wielkim i sławnym, mnie te rysunki wydają się głupie. Głupia książeczka o przegranych dzieciakach z ulicy, które łażą nawalone jak stodoła, płasają w ciemnych pelerynach i udają superbohaterów.

Ta sztuka wydaje się ważna. Jest w książkach. Trwa. Muszę się nauczyć, chcę się nauczyć, jak zrobić coś wielkiego. Chcę, by moje rysunki były wielkie.

Przed wyjściem udaje mi się dorwać do komputera. Przyszedł mail od Casper.

Droga Charlie.

Obawiałam się takiego rozwoju wydarzeń. Nie do końca wierzyłam, że twoja matka będzie umiała ci pomóc. Cieszę się, że jesteś bezpieczna i że masz przyjaciela, który się o ciebie troszczy. Mam nadzieję, że przestrzegasz zasad, które ci wyznaczyłam, i że szukasz pomocy. Na pewno są jakieś darmowe konsultacje czy grupa, do której mogłabyś dołączyć. Może twój przyjaciel pomógłby ci poszukać? Chcę, żebyś była bezpieczna, Charlie. Czasem, kiedy wszystko zdaje się zmierzać w dobrym kierunku, stajemy się zbyt pewni siebie, zbyt ufni, nie rozpoznajemy znaków, które mogą świadczyć o tym, że na naszej drodze pojawiła się przeszkoda. Nie spiesz się, Charlie, wszystko po kolei. Pamiętaj, że najważniejszym priorytetem dla ciebie jesteś ty sama.

Wspaniale, że znalazłaś pracę. Praca to bardzo ważny czynnik w tworzeniu poczucia własnej wartości. Dobra robota!

Pytałaś o Louise. Chciałabym ci o niej opowiedzieć, ale nie mogę. Tajemnica zawodowa i pierdu-pierdu-bla-bla, jak mawia Blue. Trzymaj się, mam nadzieję, że wkrótce się odezwiesz.

PS Przy okazji, wiem o wszystkich przezwiskach, które mi nadałyście, Casper, Duszek itd. Tak FYI, jak to lubicie określać.

Zaczynam pisać odpowiedź, ale włącza się timer. Obiecuję sobie, że wrócę jutro po pracy i odpiszę. Powinam chyba napisać też do Blue. Wiem, jak samotnie bywa w Creeley. Mam wyrzuty sumienia, że nie odpisałam na jej mail przy okazji poprzedniej wizyty w bibliotece.

Po powrocie do domu zastaję wsunięty przez szparę w drzwiach liścik od Mikeya. *Spotkajmy się w Magpies o 9. Utknąłem na podwójnej zmianie. Potem pójdziemy na imprezę, ok? Nara.*

Czule składam kartkę, serce tłucze mi się w piersi na myśl, że znów zobaczę Mikeya. Impreza. Tak jakby randka? Nie jestem pewna. Wchodzę do wanny, zużywam mnóstwo mydła, wkładam czystą koszulkę. Idę do łazienki w korytarzu, marszczę nos, śmierdzi szczykami, a kosz na śmieci jest przepelniony. Oglądam swoją twarz w brudnym, popękany lustrze.

„Niesamowicie piękna pod całym tym syfem i brudem”, powiedział Evan na paradzie.

Teraz nie mam na twarzy ani odrobiny brudu. Jest różowa od słońca i szorowania, na nosie widać piegi. Wciąż przeżywam szok, widząc swój naturalny kolor włosów po tylu latach farbowania. Kim jest ta osoba? Kim się staje?

Mrugam. Mogłabym stać się dziewczyną, prawdziwą dziewczyną. Istniałaby taka możliwość przy Mikeyu.

Nie?

IMPREZĘ SŁYCHAĆ JUŻ Z DALEKA, DOBIEGAJĄ NAS ciężkie dźwięki perkusji i basu, śmiechy. Ludzie kłębią się na chodniku, na ulicy. Przed domem rośnie kaktus ubrany w kowbojski kapelusz z niebieskiego aksamitu. Nagle Mikey przystaje i robi głupią minę.

– O rany – mówi, patrząc na mnie – totalnie zapomniałem. Alko. Mnie nie przeszkadzają, ale jak ty? Chcę być pewien, że nie masz z tym problemu.

Biorę głęboki wdech.

– Jest okej. Chcę tam wejść. Nic mi nie będzie. – Uśmiecham się. – Przysięgam.

W środku jakaś część mnie zaczyna się zastanawiać, czy na pewno jestem gotowa.

– Kurde. – Mikey patrzy w kierunku podwórza, gdzie tańczy całe morze ludzi. –

Naprawdę chcę posłuchać tej kapeli. Jesteś pewna?

– Aha. Idziemy.

– Dobra. – Zagryza wargę, rumieni się. – Jest coś jeszcze, pewnie powinienem być ci wcześniej powiedzieć, ale...

Przerywa mu spocony gość, który podbiega i wrzeszczy mu coś niezrozumiałego do ucha. Mikey pokazuje mi palcem „minuta” i idzie za facetem tam, gdzie gra kapela. Pochyla się za wzmacniaczem. Tracę go z oczu, unosi mnie tłum ludzi ubranych w różne kombinacje tramppek, butów wojskowych, sukienek vintage, T-shirtów i kapeluszy z szerokim rondem. Chyba wszyscy są ode mnie starsi.

Zespół wygląda jak płatanina kabli i wzmacniaczy, dżinsów z dziurami, okularów w rogowych oprawkach i przepoconych koszul w kratę. Muzyka jest swobodna, ognista, pełna chrypliwych wokali i wycia na wysokich tonach. Wokalista ochlapuje sobie twarz kubkiem piwa, zapala papierosa, rzuca go w tłum i pochyla się nad mikrofonem, śpiewa o kojotach i dziewczynach, o piwie i pracy śmieciarza. Ludzie tańczą, trzymając czerwone kubki nad głowami.

Na chwilę zamykam oczy, pozwalam, by muzyka mnie otoczyła, czuję lekki napór ludzi na moje ciało. Tęskniłam za tym – być na imprezie czy koncercie, być częścią tłumy, czegoś.

Brakuje mi magazynów i piwnic. Wrzasku wokalistów, otartych do krwi palców basisty. Brakuje mi miejsca pod sceną na ostrych koncertach. Ellis za tym nie przepadała, ale i tak mi towarzyszyła, stawała z brzegu, a ja rzucałam się w tłum i dawałam sobą rzucać. Pod sceną nikt nikim się nie przejmował. Nikt nie pytał cię o imię. Wpadałaś, poruszałaś się, kołysałaś, kręciłaś i obijałaś o innych, a kiedy stamtąd wychodziłaś, twoje sińce i cięcia wydawały się piękne.

Czuję nagłą pewność niesamowitej potencjalnej możliwości: gdybym tylko mogła przesunąć się do przodu, jeden krok, dwa, dołączyłabym do falujących ciał. Zatracić się, skóra przy skórze, kości obok kości.

Kiedy otwieram oczy, wciąż stoję w tym samym miejscu, Mikeya już nie widać za wzmacniaczem.

– Hej, Dziwna Dziewczyno.

Głos brzmiący w moim uchu powoduje mrowienie wzdłuż karku. Riley. Odwracam się, a on uśmiecha się szeroko i podchodzi bliżej. Wcześniej nie zauważyłam, że ma cienką bliznę pod linią szczęki, obok ucha. Jest perłowobiała, płaska, idealna.

Zwykle stoi za mną, w strefie gotowania, rzuca żarciki kelnerom, zbliżam się do niego, kiedy muszę zanieść naczynia do jego strefy, próbuję wtedy na niego nie patrzeć, bo moja skóra robi się gorąca.

Tutaj, kiedy stoimy tak blisko siebie pod białymi lampkami rozwieszonymi na drzewach, widzę, że ma czerwony odcień skóry, a spod jego zarostu wyzierają ślady po ospie. Brązowy T-shirt zwisa luźno, jakby jego właściciel był kiedyś cięższy, ale nie zmienił ubrań od tamtego czasu.

Zauważam również, że gdybym pochyliła się ku niemu, moja głowa wpasowałaby się akurat pod jego brodę.

To niedobra myśl, więc robię krok w tył i otaczam się ramionami. Może i jest atrakcyjny, ale jest też nieźle popierdolony, a mnie tego w tym momencie na pewno nie potrzeba.

– Dziwna Dziewczyno, jak ci się podoba nasz piękny, gorący i suchy stan? Nasi... kreatywni i energiczni mieszkańcy? – Ręką z piwem wskazuje na imprezujący tłum.

Wbijają we mnie oczy, które nie są niemiłe, wydają się wręcz sympatyczne i odrobinę smutne, a najdziwniejsze, że Riley wygląda niemal na... ciekawego odpowiedzi, do czego nie przywykłam. Jest to też dezorientujące z powodu moich uczuć do Mikeya.

Nagle przychodzi mi do głowy, że być może popierdolony Riley również uważa mnie za popierdoloną, tyle że mu to wcale nie przeszkadza.

Co z kolei sprawia, że się rumienię, więc pochylam głowę, na wypadek gdyby potrafił odgadnąć moje myśli z wyrazu twarzy. Już mam wysilić się na odpowiedź, ale w tym momencie zjawia się Mikey z dwoma plastikowymi kubkami wody w dłoniach i wysoką blondyną u boku. Jest jedną z tych dziewczyn, które Ellis określała z zazdrością mianem „gibkich jak trzcina”. Gładka i smukła w koszulce na ramiączka i długiej, zamasztych hipisowskiej spódnicy, na jej pierś opadają dwa lśniące warkocze. Ma bransoletki na kostkach, nie na jednej, ale na obu.

Krew odpływa mi z twarzy.

Jest bez wątpienia osobą, która mogłaby używać fioletowego atramentu.

Riley chichocze. Blondyna klęka i ociera ręką spódnicy wodę, która wylała się Mikeyowi na buty. Riley szepcze mi do ucha:

– Chyba masz problem. Wiedziałas, że Mikey ma przyjaciółkę? Uważaj na Bunny. My, chłopaki, kochamy bransoletki na kostkach u nóg. – Przed odejściem dodaje głośniejszym głosem: – Baw się dobrze, Dziwna Dziewczyno. Zapowiada się interesujący wieczór. Nie mogę się doczekać poniedziałku, liczę na relację w Grit.

Dziewczyna imieniem Bunny podnosi się, dosłownie króluje nade mną jak wieża. Jest wyższa od Mikeya. Ma nieskazitelną skórę, naturalny różowy rumieniec na policzkach, wdzięczny i zdrowy, a nie, powiedzmy, smętny i plamisty jak mój.

Uśmiecha się uroczo.

– Charlie! Jestem Bunny! O rany. Czy naprawdę właśnie rozmawiałas z Rileyem Westem? Jest najlepszy. Taki zabawny i, o rany, świetny muzyk! Świetnie, że wreszcie się poznałyśmy. Jak się czujesz? Mikey wspominał, że przechodzisz ciężki okres. Wszystko dobrze? – Jej twarz wyraża troskę, ale zaraz się rozjaśnia. – O, założę się, że znasz przeróżne historyjki na temat jego byłych! – Wesoło szczypie go w ramię.

Na policzki Mikeya wypływa wściekły rumieniec. Kiedy Bunny kieruje wzrok w stronę grającego zespołu, zwraca się do mnie łagodnie, tak cicho, że ledwo go słyszę:

– Próbowałam ci powiedzieć.

Wdychałam jego zapach przez dwa tygodnie, myślałam o nim, o tym, że mnie ratuje i co to może znaczyć, karmiłam się nadzieją, nikłą nadzieją, migotliwą...

Idiotka. Żałowna idiotka. Zagryzam wargi. Bunny odwraca się i przytula do niego, jej plecy napierają na jego pierś, głowa dotyka jego głowy.

Mikey mówi:

– Charlie.

Rzucam się do ucieczki. Jest tu taki tłum, bez trudu mogę się zgubić. Zawsze mogę się zgubić. Wiem jak. Przeciskam się, kierując na tyły, gdzie ustawiono beczki z piwem. Myślę o Casper i jej zasadach, i...

Tak łatwo, prawda? Chwycić kubek, odkręcić kranik, wypić. Ugasić ogień buchający w moim wnętrzu.

Jestem tylko gównem w ogrodniczkach i brudnej dżersejowej koszulce. Twarz Frankensteina, ciało Frankensteina, więc kogo obchodzi, kto w ogóle zauważy, co robię? Jeśli wypiję jedno czy dwa piwa? Albo trzy czy cztery? Casper nie powiedziała, co się robi, jeśli ktoś, kogo bardzo lubię, ktoś, kogo mogłabym pokochać, ktoś właściwy, ktoś, kto mnie rozumie, okazuje się nie myśleć o mnie w ten sam sposób co ja o nim.

Zapomniał o mnie, kiedy wyjechał, ruszył dalej.

Noc luszcz się, rozwiera, piwo płynie w moich żyłach. Przez szpary w tłumie patrzę, jak

ją całuje, jedną ręką delikatnie i czule gładzi pasmo jej włosów, nawija je sobie wokół palców. Piję jedno, potem drugie i jeszcze jedno, jak wodę, wodę, wodę.

W moim wnętrzu robi się szczelina i nie jest to nic dobrego. Mimo tych wszystkich ludzi dookoła jestem bezgranicznie samotna. Pozwalam, by plastikowy kubek wysunął mi się z dłoni, uciekam.

Słyszę, jak Mikey mnie woła, lecz się nie zatrzymuję. Bary w centrum właśnie się zamykają, potargani, półprzytomni ludzie przymusowo wylegają na ulicę, objają się o mnie, odskakują, kiedy się wśród nich przepycham.

Znów mnie woła, nagle jego ręka pociąga moje ramię.

– Stój! Charlie, zatrzymaj się.

– Wracaj tam – wypluwam z siebie. – Do swojej dziewczyny. – Trochę się zataczam z powodu piwa. Od dawna nie piłam alkoholu, oczy już zachodzą mi mgłą. Zastanawiam się, czy on widzi, że piłam.

Ciężko wzdycha, mocno zaciska szczękę.

– Bunny i ja chodzimy ze sobą od pewnego czasu i tak, powinienem być od razu ci powiedzieć, ale szczerze, właściwie w czym problem?

Ruszam przed siebie szybkim krokiem, ale on idzie za mną.

– Nie puszczę cię samej do domu, Charlie – mruczy.

Nie oglądam się, ale słyszę, że wciąż za mną idzie, jego trampki lekko skrzypią na chodniku.

Na schodach budynku, w którym mieszkam, siedzi trzech mężczyzn, gołe klatki lśnią w upale. Podają sobie papierową torbę. Spoglądają na nas i uprzejmie kiwają głowami na powitanie.

Potykam się na schodach. Mało brakowało, a wybiłabym sobie ząb. Klnę, podciągam się do pozycji stojącej.

– Jezu, Charlie, nic ci się nie stało? – pyta Mikey.

Nie zatrzymuję się. Światło na klatce wysiadło, dźgam kluczem wokół zamka, wreszcie trafiam. Próbuję zamknąć drzwi, zanim Mikey wlezie do środka, on jednak popycha je lekko i wchodzi.

– Charlie, daj spokój – mówi w końcu.

Ignoruję go. Boję się, że jeśli coś powiem, to zacznę ryczeć. Rozwiązuję sznurowadła i ustawiam buty bardzo równo w kącie. Włączam lampę stojącą. Robię to samo, co wówczas gdy matka wpadała w szał. Porządkuję. Równo układam szkiełki na stoliku. Wkładam ołówki do słoika. Rozkładam koc na materacu. Zrobiłam poważny błąd, pijąc piwo, ponieważ poruszyłam coś w środku. Uderzyłam w ścianę, nie wiedząc, jaka jest istotna, a teraz potrzebuję zestawu awaryjnego. Chcę, żeby on wyszedł. Chcę zestaw.

Ryk oceanu, wir tornado. Pochłania mnie.

Mikey wzdycha.

– Będzie tak jak z Ellis i tamtym facetem? Daj spokój, Charlie. Jesteś na to za stara.

Obracam się na pięcie, w uszach czuję pulsowanie krwi.

Kiedy Ellis zaczęła kręcić z tym facetem, wkroczył na moje miejsce u jej boku z taką łatwością, jakby wykonywał ruch na szachownicy, zepchnął mnie na margines. Byłam wściekła i zraniona.

Nie wiedziałam, że znajdę się na marginesie Mikeya.

– O co tu chodzi, Charlie? – Ma zmęczony głos. – Rozmawiaj ze mną. Zachowujesz się dziwnie, jakbyś była zaz... – Urywa.

Wciąż stoi przy drzwiach. Odwracam się, rumieniec wstydu wykwitła na mojej skórze.

– Wyjdz – szepczę. Czuję fale łez napierające na powieki.
– O Jezu. Ty... czy ty myślałaś, że... że ja... – Wypuszcza z siebie gigantyczny wydech, zakrywa twarz. Zza jego dłoni dochodzi stłumione: – Kurwa, kurwa, kurwa.
– Wyjdz, proszę. Wszystko w porządku. To nic. Nic mi nie jest, po prostu wyjdz – bełkoczę, wlepiając wzrok w ścianę, we wszystko, byle na niego nie patrzeć. Zaciskam zęby tak mocno, że bolą mnie szczęki. Czuję się potwornie zażenowana.
Ale on nie wychodzi. Robi coś znacznie gorszego, ponieważ jest Mikeyem, ponieważ jest miły.

Podchodzi i mnie obejmuje.
– Tak mi przykro, Charlie. Jeśli zrobiłem coś, co wprowadziło cię w błąd, to niechcący. Za nic nie chciałbym cię zranić.

Jest jeszcze gorzej, kiedy mnie obejmuje, gdy jestem w ciepłym kokonie jego ramion. Przekrzywia głowę, by na mnie spojrzeć, czuję na twarzy jego oddech, a jego oczy patrzą smutno, kiedy jest tak blisko, i wtedy go całuję.

I przez sekundę, ułamek rozpalonej do białości sekundy, on odwzajemnia pocałunek.

A potem mnie odpycha.

I ociera usta.

No jasne, że musiał otrzeć usta.

– Nie, Charlie – mówi. – Nie mogę. Nie chcę.

Zaciskam powieki tak mocno, że widzę czerwone chmury.

– Weź wreszcie, kurwa, wyjdz, dobra?

Otwieram drzwi, Mikey wychodzi, zamykam. Wyłączam lampę, ponieważ potrzebuję ciemności.

Wciąż czuję nacisk jego warg na moich ustach, nanosekundę ciepła, które mi ofiarował. Ale to nie powstrzymuje fali zalewającego mnie wstydu. Co za idiotka, odzywa się echem w środku mojego ciała. Jak powiedziała Louisa: „Nikt normalny nas nie pokocha”.

Już złamałam jedną z reguł Casper, bo piłam. I chcę złamać kolejną, ale nie chcę, nienienie, a potem wyciągam spod stosu ubrań zestaw awaryjny i nakrywam go kocem, a koc zakrywam kłębkami koszulek, a potem butami, a potem wsuwam go do walizki Louisy i wciskam wszystko pod wannę na nóżkach, żeby znikło mi z oczu.

Ćwiczę te zasrane balony, sama nie wiem jak długo, aż mój oddech dosłownie świszczy, a potem wyciągam szkicownik, ponieważ rysowanie to moje słowa, to wszystko, czego nie mogę wypowiedzieć. Rysuję historię dziewczyny, która myślała, że podoba się pewnemu chłopakowi, który, jak wierzyła, mógłby uratować ją przed nią samą, ale na koniec wyszła tylko na idiotkę, kompletną idiotkę, ponieważ jest pojebanym świrem, ale jeśli tylko uda jej się przetrwać tę noc, będzie miała przed sobą kolejną szansę, kolejny dzień.

Może, może, może.

KIEDY SŁOŃCE ZACZYNA WSCHODZIĆ, w palcach odzywa się ból. Gdy przez okno wpadają pierwsze kolory, miękkie i złote, odkładam węgiel. Wypijam szklankę wody, nasłuchuję odgłosów ludzi korzystających z łazienki na korytarzu, Leonarda człapiącego na ganek, gdzie zawsze pije kawę z różowego kubka.

Głowa pęka mi od wypitego piwa. Oczy szczypią, w ustach mam obrzydliwy smak. Co za szczęście, że przez najbliższe dwa dni nie muszę stawiać się w True Grit. Ściągam ciuchy, osuwam się na materac i zapadam w głęboki sen.

Kiedy się budzę, jest już po południu, w pokoju zrobiło się upiornie gorąco. Jakoś przetrwałam noc, ale wciąż jestem roztrzęsiona i spięta. Chciałabym z kimś porozmawiać, ale

znam tylko Mikeya, a teraz pewnie i to popsulałam. Postanawiam pójść do biblioteki i napisać mail do Casper. Może powinnam jej wyznać, że zawiódłam, piłam i rzuciłam się na Mikeya.

Na zewnątrz panuje duszący upał, ale nie chcę rezygnować z ogrodniczek, ponieważ czuję się w nich komfortowo, w pewnym sensie bezpiecznie. Wracam do środka i pukam do drzwi Leonarda. Bez słowa pożycz mi nożyczki. Idę na górę i obcinam nogawki do kolan. W ten sposób będzie mi chłodniej, a uda pozostaną zakryte.

Kiedy docieram do biblioteki, jestem już niezłe spocona. Mimo upału wszyscy wydają się tacy świeży. Może z czasem przywyknę. Na ścianie na zewnątrz wisi termometr. Dziewięćdziesiąt siedem stopni¹ i ani jednej chmurki w zasięgu wzroku.

Loguję się. Najpierw piszę wiadomość do Blue, ponieważ wiem, że zrozumie, co czuję.
Droga Blue.

Jestem totalną katastrofą. Zrobiłam coś głupiego. Chciałam tylko poczuć się lepiej. Moje ciało to mój najgorszy wróg. Pragnie, pragnie, pragnie, a kiedy nie dostaje tego, czego chce, płacze i płacze, a ja wymierzam mu karę. Jak można żyć w strachu przed samą sobą? Co z nami będzie, Blue?

Czekam jak kretyńka, tak jakby miała od razu odpisać. Jasne, że nie może tego zrobić – musi jakoś dorwać się do komputera i nie wiadomo, kiedy nadarzy się okazja. Ale samo to, że napisałam, w pewien sposób mi pomaga.

Potem posyłam maila Casper, ponieważ powinnam jej wyznać, co zrobiłam. Piszę, że wypiliśmy trzy piwa i pocałowałam Mikeya, który nie był tym zachwycony. Piszę też, że się nie pocięłam, chociaż powstrzymanie się od tego kosztowało mnie mnóstwo wysiłku.

Naciskam *Wyślij*. Zostaję przed komputerem, obserwując ludzi. Im dłużej tak siedzę i przyglądam się, jak wybierają książki z półek, rozmawiają szeptem przez telefon, zasypiają na krzesłach, tym bardziej samotna się czuję, tym bardziej przytłoczona ciężarem w środku. Wszyscy wydają się jakoś sobie radzić w życiu, wszyscy z wyjątkiem mnie. Kiedy będzie lepiej?

Kiedy wracam do domu, na schodach czeka Mikey, obok leży torba z zakupami. Trochę panikuję, chcę go wyminąć, ale on wyciąga słuchawki z uszu i chwyta moją rękę.

– Hej. Charlie. Nie rób tak, okej? Siadaj.

Opadam ciężko na stopień, unikając jego wzroku, próbuję nie czuć jego zapachu, bliskości.

Kolejka przed bankiem krwi porusza się powoli. Na wpół przytomnie ocieram pot z czoła. Założę się, że Bunny nigdy się nie poci.

– Hej, popatrz, co ci przyniosłem.

Mikey otwiera torbę, żebym zobaczyła, co kryje się w środku: bochenek chleba, słoik masła orzechowego, jabłko i pomarańcza. Wzdycham. Mam serdecznie dosyć masła orzechowego.

Wyciągam jabłko, pocieram kciukami o lśniącą powierzchnię.

– Dziękuję – mówię cicho.

Mikey odchrząkuje.

– To, co się stało, nie może się powtórzyć. Pocałunek. To... nie było dobre.

Kłucie i ucisk w piersi.

– Odwzajemniłeś go, zanim... przestałeś – mówię gniewnie.

– A ty piłaś. Czulem smak piwa. Obiecałaś.

– Przykro mi. – To szept, wypowiedziany do chodnika.

– Piłaś tylko ten jeden raz od przyjazdu tutaj?

– Tak.

– Jesteś pewna?

– Tak. Tak!

Wzdycha.

– Charlie, czy wiesz, dlaczego postanowiłem wybrać uczelnię tak daleko od domu? Ty i Ellis byłyście potwornie meczące. Te wasze gierki ze sobą nawzajem, ze mną, to wszystko strasznie mnie męczyło. Zdawałaś sobie z tego sprawę? Pewnie nie. Byłyście tak zajęte sobą.

– Przyszedłeś do szpitala. Napisałeś, że nie chcesz, żebym umarła. Myślałam... – Głos mi się łamie. Przyciskam głowę do kolan, żeby się od niego oddzielić. Znow mam ochotę płakać.

Myślałam, myślałam... Co właściwie myślałam? Że podobam się Mikeyowi, beznadziejna głupia ja?

– Jasne, że nie chcę, żebyś umarła! Nigdy tego nie chciałem. Jesteś moją przyjaciółką. Ale nie miałem na myśli, że... że my... – Mikey milknie. Po chwili dodaje: – Tak wygląda sytuacja, Charlie. Jestem tu, ale jestem z kimś. Ruszyłem z miejsca. Przeprowadzka naprawdę coś we mnie zmieniła. Zrobiłem krok naprzód. Postawiłem sobie cele. Chcę cię wesprzeć, byś poczuła się lepiej, ale mogę ci pomóc, o ile sama pragniesz pomocy.

Unoszę głowę, mrugam w ostrym świetle. Mikey patrzy mi prosto w oczy.

– Okej? – pyta. Bierze mnie za rękę. – Między nami wszystko w porządku?

Co niby miałabym powiedzieć?

– Tak. Okej – odpowiadam. – Okej.

Wstaje z bardzo rzeczową miną, pociągając mnie za sobą. Jabłko spada mi z kolan. Ponieważ jest dobry i miły, biegnie na chodnik, by je złapać.

UMÓWIŁAM SIĘ Z MIKEYEM W GALERII. Narysował mapę. To niedaleko od mojego mieszkania. W pierwszej chwili postanowiłam nie iść. Będę się czuła niezręcznie, poza tym pewnie będzie tam też Bunny, myślę, a jednak decyduję się pójść. Mam tutaj tylko jednego przyjaciela, może nadejdzie taki moment, kiedy już nie będę się przy nim czuła jak ostatni debil. Casper pewnie byłaby ze mnie dumna. Przebieram się w kolejną parę ogrodniczek i dżersejową koszulkę z długim rękawem, do kieszeni wsuwam klucze i lapis lazuli.

Galeria znajduje się w środku niewielkiego centrum, niedaleko miejsca, w którym wysiadłam z autobusu, na drugim piętrze różowego budynku, wciśniętego między bar a restaurację o nazwie Grill. Wnętrze jest wąskie, zatłoczone, pełne tajemniczego skrzypienia podłogi, zapachu ciemnego wina i egzotycznego sera. Jest tam mnóstwo dorosłych osób ubranych na czarno, w srebrnej biżuterii, o czystych, wystylizowanych fryzurach. Cieszę się, że zarzuciłam bluzę na ogrodniczki, czuję się trochę niezręcznie i nieswojo. Miło jest się w niej zakopać, mieć świadomość, że w razie potrzeby zawsze mogę naciągnąć kaptur na głowę. Mikey stoi w kącie, rozmawia z Ariel. Oddycham z ulgą – Bunny chyba nie przyszła. Machają do mnie.

Patrzę na kolorowe kamienie przy zgrabnych płaskich sandałach na nogach Ariel, silnie błyszczące, szczególnie w porównaniu z moimi buciorami. Czy Ariel kiedykolwiek nosiła workowate ciuchy zakrywające ciało? Wydaje się znajdować całe eony od czegoś takiego. Pewnie urodziła się seksowna.

Ariel upija wina.

– Charlie! Co za spotkanie!

Mikey mówi:

– Hej, Charlie, fajnie, że przyszłaś. – Daje mi lekkiego kuksańca w ramię. Odpowiadam uśmiechem. – Te rzeczy są niesamowite, nie sądzisz? – Odchodzi, by przyjrzeć się obrazom.

Ariel konspiracyjnie pochyla się w moją stronę, jakby była moją najlepszą przyjaciółką czy kimś w tym rodzaju.

– Co o tym myślisz, Charlie? Mój przyjaciel Antonio porządnie się napracował. Rozglądam się ostrożnie. Obrazy przedstawiają trójkąty i kwadraty w barwach podstawowych. Wzruszam ramionami.

– Bardzo jaskrawe.

Próbuję sobie wyobrazić, jak by to było, zobaczyć własne rysunki w takim miejscu, w jakimkolwiek miejscu. Ale kto by chciał oglądać te rysunki i komiks o dzieciakach, które znalazły się na dnie? Czy choćby szkice, które zrobiłam dzisiaj w nocy, samotna w swoim pokoju, portrety Mikeya, Riley? Taty?

– Farba do malowania łodzi. – Ariel bierze kolejny kieliszek wina ze stołu bufetowego. Są tam małe kawałki chleba w kształcie dłoni. Skubię jedną z nich.

– Dosłownie świecą, nie? Tak się cieszę, że już nie pali swoich obrazów. Fatalnie dla jego płuc, ale uważał, że to konieczne. Robił tak wiele lat temu, kiedy oboje byliśmy rozbrzykanymi szczeniakami na pustyni, które wypalały sobie mózgi haszem i sypiały z każdym, kto się do nich miło uśmiechnął.

Dławię się chlebową ręką.

– Ale – ciągnie Ariel, oglądając pierścionki na swoich palcach – był wtedy w fazie Kiefera. Każdy z nas ma swoją fazę Kiefera, kiedy chce zniszczyć siebie, by tworzyć. By sprawdzić, czy to też jest piękne.

Wskazuje na bardzo przystojnego mężczyznę o gładkich czarnych włosach spiętych w koński ogon, stojącego na drugim końcu pomieszczenia. Jest bosy, ma na sobie błyszczący szary garnitur i coś, co wygląda na bardzo ciężki naszyjnik z turkusów.

– To on. Tony Padilla. Sprzeda te obrazy za niebotyczne sumy. A ty? Jak ci idzie rysowanie? Czasem myślę o twoim szkicu. Tym przedstawiającym mężczyznę z pigułkami zamiast zębów.

– To mój tata. – Słowa same wymykają mi się z ust. Szczypię się w udo. Kretynka.

Ariel spogląda na mnie, jej twarz nieco łagodnieje. Ciekawe, co sobie myśli.

– Rozumiem – mówi. Upija wina. – Był bardzo dobry. Znaczący, zły, ale dobry. Widzę, że nie czujesz się zbyt pewna siebie w tego rodzaju pracy. Potrzebujesz lekcji. W lipcu prowadzę warsztaty w mojej pracowni. Rysunek i portret. Weekendowa akademie sztuki dla emerytów. Dzięki temu mam na rachunki, poza tym ich uwielbiam. Oni naprawdę się starają, w przeciwieństwie do studentów. Chcą. Nie zakładają, że sztuka należy do nich.

– Ja nie... To znaczący, pracuję, ale to tylko zmywak. Nie mam pieniędzy.

– Wiem, że nie masz pieniędzy. Ja też byłam kiedyś głodującą artystką. Możesz po prostu przychodzić. Po zajęciach pomożesz mi sprzątać. Co ty na to?

Obraca wino w ustach, jednocześnie obserwując tłum. Jej oczy przesuwają się prędko, spoczywają na którejś postaci na chwilę, by zaraz poszukać kolejnej, jak ptak wybierający idealną gałąź.

– Sądzę, Charlie, że masz talent. Naprawdę. Wydaje mi się, że nie zajdziesz daleko, dopóki nie zaczniesz badać samej siebie. Dopóki nie staniesz się podmiotem. Oto przywilej młodości: jest ci dozwolony luksus próżności, autoanalizy. Korzystaj z tego! Nie wstydź się siebie.

Nie rozumiem połowy z tego, co właśnie powiedziała, i wiem, że pewnie powinnam podziękować, ale zamiast tego pytam pospiesznie:

– Dlaczego jesteś dla mnie taka miła? Nawet mnie nie znasz.

– Ponieważ w gruncie rzeczy, Charlie, świat opiera się na wzajemnej uprzejmości. Musi, inaczej nie moglibyśmy znieść samych siebie. Może teraz tego nie widzisz, ale zobaczysz, kiedy będziesz starsza. – Jej głos jest mocny i pełen przekonania. Ariel bierze spory łyk wina i patrzy

mi prosto w oczy. – I znam cię. Znam cię, Charlie.

Przez moment wydaje mi się, że widzę chmurę potwornego smutku, która odbija się w jej oczach.

Wraca Mikey, podekscytowany i zdyszany. Twarz Ariel znów przybiera gładki, obojętny wyraz.

– Chciałbym mieć górę forsy – papla Mikey. – Kupiłbym jeden z tych obrazów. Są, kurwa, niesamowite.

– Może ten zespół, z którym jeździsz w trasy, wreszcie dokona wielkiego przełomu i będziesz mógł kupić wszystkie obrazy, jakie tylko ci się zamarzą. – Ariel śmieje się. – Charlie się nie podobają.

– Nieprawda! – wtrącam pospiesznie, trochę zakłopotana. – Po prostu... ja chyba lubię opowieści. Lubię twarze, postaci zajętych czymś ludzi. A te obrazy wyglądają, jakby ktoś użył kolorów, żeby... namalować kolory? – Denerwuję się. Nigdy dotąd nikt nie rozmawiał ze mną o sztuce, przypuszczam, że wygaduję straszne głupoty.

Ariel spogląda na mnie.

– Kolory również mogą opowiadać historie, Charlie. Historie innego rodzaju. Przyjdź na moje zajęcia. Przekażę Mikeyowi dokładne informacje. Miło było cię spotkać, Charlie. Mikey, słonko, zbliża się termin płacenia czynszu. – Kładzie dłoń na moim ramieniu, macha do kogoś na drugim końcu sali i odpywa.

Mikey unosi brwi.

– Wow, Charlie, to niesamowite. Ariel chce cię uczyć? Super sprawa. Ariel Levertoff naprawdę coś znaczy. – Uśmiecha się szeroko.

Ja też pozwałam sobie na uśmiech, wdzięczna za dobrą wspólną chwilę, chociaż przebywanie tak blisko niego sprawia mi ból. Zapisuję w pamięci, że następnym razem, kiedy będę w bibliotece, muszę sprawdzić nazwiska Kiefer i Ariel Levertoff.

Mikey wysoko podnosi dwie chlebowe dłonie i udajemy bitwę. Nie dbam o to, że ludzie patrzą na nas jak na przygłupiaste dzieci i że kiedy Mikey stąd wyjdzie, pewnie wróci do Bunny i zostanie z nią na noc. Ariel podobają się moje rysunki, Ariel chyba mnie lubi, a Mikey jest teraz ze mną. Potem odprowadza mnie do domu. Na drzwiach znajduję przyczepioną kartkę i robi mi się jakoś jeszcze lżej. *Obudź mnie rano. Piąta trzydzieści. Obiecuję, tym razem nie ugryzę. R*

Ściskam kartkę w dłoniach, skóra ciepło mrowi.

Kiedy się przeprowadzałam, zostawiłam podróży zegarek Mikeya. Każdego ranka poległam na dźwiękach, które wydają mieszkańcy tego domu, ale nagle stwierdzam, że nie chcę ryzykować, że spóźnię się albo będę mieć za mało czasu na rozmowę z Rileyem, kiedy będziemy tylko we dwoje.

Riley mnie znalazł.

Schodzę na dół, by zapytać Leonarda, czy ma zbędny budzik. Tkwię w banieczce ciepła, tak jak to było przy Ellis. Nigdy nie przypuszczałam, że znów mi się to przydarzy.

RILEY NIE ODPOWIADA NA MOJE PUKANIE. Wchodzę bez wahania. Na środku podłogi w pokoju od frontu znajduję obtłuczoną gitarę akustyczną i magnetofon czterośladowy w otoczeniu porwanych kartek. Nie było ich tam poprzedniego dnia.

Riley leży na łóżku w tej samej pozycji co poprzednio: ręce za głową, nogi skrzyżowane w kostkach. Na podłodze przy łóżku wala się kilka pustych butelek. Powoli otwiera oczy. Dopiero po paru minutach dostrzega mnie stojącą w drzwiach. Na jego twarzy pojawia się uśmiech tak nagły i niespodziewany, że mimowolnie też się uśmiecham.

– Hej – mówi zaspanym głosem. Patrzy na mnie w dziwnie swobodny sposób. Tak jakby

uważał za całkiem naturalne, że stoję w drzwiach jego sypialni o piątej trzydzieści rano.

Ściska mnie w brzuchu. Mam nadzieję, że nie zauważył rumieńca na moich policzkach.

– Nie musiałem za bardzo się namęczyć, żeby ustalić twój adres. Popytałem o dziewczynę jeżdżącą na żółtym rowerze. Z przyjemnością nawiązałem znajomość z twoimi sąsiadami. Świetni faceci.

– Wstawaj. Wyglądasz fatalnie – mówię. – Masz popiół we włosach? – Jezu, co za człowiek.

Przekręca się na bok, patrzy na mnie zaspanymi oczami, ale wciąż szeroko się uśmiecha.

– Hej, à propos świetnych facetów. Jak poszło wieczorem? Z kolegą Michaeliem i jego koleżanką... Bunny?

Wydymam wargi, ale tak naprawdę nie jestem wkurzona. Spojrzenie, którym obrzucił mnie na początku, wciąż działa cuda. Riley ma zachwyconą minę.

– Nie poszło, jeśli musisz wiedzieć. A teraz wstawaj. Nie możemy się spóźnić. Ja nie chcę się spóźnić.

– Hm. – Siada na łóżku, pomrukując. – A więc Michael jest stracony. – Jęczy, jakby coś go bolało.

– Potrzebujesz pomocy? – pytam z rezerwą. Po tym, co wydarzyło się poprzednim razem, nie chcę podchodzić zbyt blisko. – Wyglądasz jak totalne dno.

– Jak ty słodko do mnie przemawiasz, Dziwna Dziewczyno. Nie, nie potrzebuję pomocy. Wystarczy szybkie zanurzenie we wrzącej wodzie i będę jak nowy.

Przesuwam się, żeby zrobić mu przejście. Riley kieruje się do łazienki. Kiedy odkręca wodę, wślizguję się do kuchni i robię przegląd lodówki. Burczy mi w brzuchu. Szukam czegoś do jedzenia i czegoś, co zajmie moją uwagę, bo chociaż Riley jest dupkiem, to jest dupkiem z rodzaju kiedyś-byłem-przystojny, a w tym momencie dodatkowo jest bardzo nagi.

Karton jajek, paczka tortilli, słoik zielonej salsy. Kawalek żółtego sera, kawałek białego sera. Wyciągam z szuflady nóż, pospiesznie odkrawam plaster żółtego i wpycham do ust. Uważnie zawijam resztę i odkładam na miejsce. W kieszeni na drzwiczkach pusta do połowy butelka Chardonnay, obok wysmarowany słoik dżemu. Trzy pomarańcze. Prędko obieram jedną z nich, wsuwam do ust kilka cząstek, resztę chowam do plecaka. Kuchnia jest kwadratowa, otwarta na pokój, zwyczajna, dziwnie czysta i pusta. Może Riley jada głównie w True Grit. Na kuchence stoi dzbanek na herbatę, tego bym się nie spodziewała.

Pod zlewem znajduję tajny zapas butelek. Zastanawiam się, gdzie trzyma resztę rzeczy, tych, o których wspominała Linus. Przez wychodzące na tyły domu okno widzę solidny drewniany budynek, otoczony grubymi kaktusami.

Słysząc klaskanie gołych stóp na podłodze. Riley podchodzi do okna, staje obok mnie, wyciera włosy ręcznikiem, rozpylając dokoła krople.

– To moje studio nagraniowe. Zbudowałem je za część pieniędzy z drugiej i zarazem ostatniej płyty Long Home, w której nagraniu brałem udział. Taka szopa, nic wyrafinowanego, ale spełnia swoją funkcję. A przynajmniej spełniała. – Przeczesa włosy palcami.

– Dlaczego już nie grasz w zespole? – pytam. – W sumie byliście sławni?

Wzrusza ramionami.

– Stara rockandrollowa historia. Chłopak wstępuje do zespołu, zespół staje się wielki. Lub prawie wielki. W każdym razie wystarczająco wielki, żeby urosło ego, pieniądze spadały z nieba, pojawiły się ekscesy, zrodziły demony czy jak w moim przypadku wypełzły na powierzchnię z kryjówek, w której dotychczas bezpiecznie tkwiły. A jak coś raz urośnie, stanie się wielkie i potężne, to upadek na ziemię naprawdę cholernie boli. Koniec.

– Czy... grasz jeszcze?

Riley patrzy na studio nieobecny wzrokiem.

– Jasne. Czasami. – Odchrząkuje, ostatni raz wyciera włosy ręcznikiem. – Wiesz, w czym jestem naprawdę dobry? Potrafię rozczarowywać. Myślę, że należy pracować nad wrodzonym talentem. – Rzuca ręcznik na blat kuchenny. – Ruszajmy, Dziwna Dziewczyno. Nie chciałbym wkurzyć Linus.

Idziemy w milczeniu, ja pcham rower.

„Potrafię rozczarowywać”, powiedział. Ja też przynosiłam ludziom rozczarowanie, matce, nauczycielom. Po jakimś czasie nie chce się dalej próbować. Wiem, o czym mówi Riley.

Dopiero dochodzi szósta, a powietrze już jest gorące. Zawijam bluzę wokół bioder.

– Czy tu kiedykolwiek bywa chłodno? – pytam.

Riley się śmieje.

– O rany. Jeszcze nic nie wiesz. Zaczekaj do lipca. Na zewnątrz jest wtedy, kurwa, sto dwadzieścia stopni².

W milczeniu przechodzimy ciemnym tunelem. Po chwili cisza staje się komfortowa. To znaczy, chętnie wypytałabym go jeszcze o muzykę, co się wydarzyło z jego karierą, ale milczenie też jest w porządku. Poza tym jakaś część mnie nadal się denerwuje; nie chciałabym go rozwścieczyć.

Niedaleko True Grit Riley przystaje i zapala papierosa. Dłonie mocno mu się trzęsą, ale milczę.

– Pójdiesz przodem, dobra? Ja zjawię się za kilka minut. – Dym unosi się z jego nozdrzy. – Nie powinni widzieć nas razem.

Mam ochotę zapytać dlaczego, ale tego nie robię. Po prostu idę dalej. Przypinam rower do słupka. Kiedy wchodzę do środka, Linus wita mnie serdecznie: „cześć!”. Riley zjawia się kilka minut później i kieruje się prosto do ekspresu. Po chwili przechodzi do mojej strefy, trzymając dwa kubki kawy, i wręcza mi jeden z nich.

Pomagam Linus przy termosach i ekspresie, a potem maszeruję na swoje stanowisko. Ten, kto pracował w nocy na zmywaku, zostawił w zlewie stos talerzy pełnych zaschniętego jedzenia, poplamionych kubków, sitek do herbaty i maleńkich, delikatnych łyżeczek do espresso. Zatracam się w pracy, zeszkrobuję żarcie do śmietnika, namaczam talerze i kubki w zlewie.

Linus wraca z pobladłą twarzą.

– R, przyszła Bianca. Żąda swoich pieniędzy. – Zniża głos. – Mamy... dla niej pieniądze? Gdzie jest Julie?

Riley cichnie.

– Ee, dobra. Wypiszę jej czek. Zaraz wracam.

Linus zagryza wargę. Riley rusza korytarzem do biura. Otwierają się drzwi do kuchni. Krągła kobieta w luźnej fioletowej sukience rozgląda się podejrzliwie. Linus mówi:

– Riley poszedł wypisać czek.

Kobieta z dezaprobatą mierzy mnie wzrokiem, po czym fuka do Linus:

– Nie zamierzam za każdym razem błagać o własne pieniądze. Chcecie mój towar, płacicie w terminie. Julie musi się ogarnąć.

– Wiem, Bianco. Ostatnio interes idzie nierówno. Jednego dnia kwitnie, innego wszystko siada. Pracujemy nad tym. – Linus obraca w rękach ścierkę do naczyń.

Riley wraca truchtem. Na widok Bianki uderza się dłonią w czoło.

– Lady B! Przysięgam, to wszystko moja wina. Siostra prosiła mnie wczoraj, żebym podrzucił kasę do piekarni, ale na śmierć zapomniałem. Proszę o wybaczenie.

Bianca bierze od niego czek, ogląda uważnie.

– Czek, Riley? Ma pokrycie? Jeśli nie, to do widzenia. Ludzie, weźcie się w garść.

– Wszystko w porządku, lady B.

Kobieta krzywi się i wychodzi. Linus rzuca Rileyowi mordercze spojrzenie.

– Znowu, R? Znowu?

– To nie tak, jak myślisz. Może byś wróciła do pracy?

Linus wraca na swoje stanowisko. Riley przechodzi bez słowa obok mnie.

Słucham stłumionego bulgotu patelni, mrużenia grilla, brzęku naczyń przesuwających się w zmywarce, zastanawiam się, o co chodzi. Co się stało z kasą, którą Riley miał przekazać tej kobiecie? Co miała na myśli Linus, mówiąc: „znowu”?

Nagle słyszę charakterystyczny dźwięk wydawany przez kogoś, kto się dławi, a potem gwałtowne torsje. Obracam się na pięcie.

Riley przyciska dłoń do ust. Stoi pochylony nad śmietnikiem obok grilla, coś spływa mu po brodzie.

Prędko podaję mu ręcznik i zatykam nos. Koszmarny smród.

On ociera podbródek i szyję, rzuca ręcznik do kosza i otwiera lodówkę, która zasłania mu twarz. Kiedy ją zamyka i znów go widać, pije łapczywie piwo z puszki. Wstawia ją z powrotem. Jego pierś unosi ciężki oddech. Kolory wracają na twarz, rozplývają się na policzkach jak różowa rzeka.

Widywałam na ulicy ludzi, kobiety i mężczyzn, którzy zachowywali się dokładnie w ten sposób. Pili i pili, i pili, aż ich ciała stawały się oślizgłe od smrodu starego wina, piwa i wymiotów. Jedyna rzecz, która o poranku potrafiła zatrzymać drżenie ich rąk, podchodzącą do gardła żółć i resztki jedzenia, to więcej alkoholu. Evan nazywał to delirką. „Co za beznadziejne gówno”, mawiał, potrząsając głową.

Riley przytyka do ust palec, na którym widnieją maleńkie czerwone zadraśnięcia po nożu kuchennym. Pewnie dlatego, że ręce tak mu się trzęsły.

– Szszsz – szepcze, ruchem głowy pokazując śmietnik.

Zerkam na Linus, która właśnie wybija coś na kasie. Powiedziała, że mam jej mówić, jeśli coś takiego się wydarzy.

Oczy Riley'a patrzą błagalnie. Nie bardzo wiem, co robić.

A potem przez głowę przemykają mi esemesy od Ellis. *Boli. Nie mówiłaś, że tak boli. Za bardzo. Ze wstydu ściska mnie w żołądku. Nie pomogłam Ellis i straciłam ją.*

Prędko wyciągam torbę z kosza na śmieci, zwiążuję i wynoszę do śmietnika na tyłach budynku. Mimo wszystko, Riley załatwił mi pracę.

Później, po skończeniu zmiany, kiedy już podchodzę do drzwi, pojawia się Riley z torbą z szarego papieru.

– Pomyliłem zamówienie. *Bon appétit.*

Waham się, czy wziąć od niego torbę, bo wiem, że w ten sposób wyrażę zgodę na wspólny sekret, a jeszcze nie wiem, czy tego chcę.

Wygrywa głód ściskający mi kiszki. Mam serdecznie dosyć suchego chleba i masła orzechowego. Po przyjsciu do domu natychmiast rzucam się na jedzenie: bajgiel z zielonym chili, smażonym tofu i serem szwajcarskim oraz złamane ciastko owsiane z rodzynekami owinięte w papier woskowany.

W BIBLIOTECE JEST PRAWIE PUSTO, więc nie muszę ograniczać czasu przy komputerze. Casper wreszcie przysłała odpowiedź.

Droga Charlie, przepraszam, że tak długo nie odpisywałam na twoją ostatnią wiadomość.

Przykro mi, że przeżywasz lęk, ale powiem jasno: oficjalnie już nie jestem twoim lekarzem, więc muszę bardzo ostrożnie podchodzić do wszystkich rad i myśli, którymi się z tobą dzielę. Poza tym pomagam też innym osobom i czasami nie mogę odpowiedzieć tak szybko, jak byś pewnie chciała. Mam nadzieję, że to rozumiesz. Sprawdziłam kilka kontaktów w Tucson, być może będą mogli ci pomóc. Znajdziesz je na końcu tej wiadomości.

Charlie, najważniejsze to być ciągle aktywnym i uważnym. Na przykład: zero picia, którą to zasadę złamałaś. Czy piłaś od czasu poprzedniej wiadomości do mnie? Czy masz kogoś, z kim możesz porozmawiać, może z twoim przyjacielem? To bardzo, bardzo ważne, żebyś przestrzegala zasad każdego dnia, nie piła i unikała niebezpiecznych sytuacji. To trudna droga, Charlie, a najtrudniejszą pracę musisz sama wykonać. Jako dziecko dostałaś bardzo małe zasoby emocjonalne i twoje życie aż do teraz polega na ukrywaniu uczuć, aż nabierają one takiej mocy, że już dłużej nie jesteś w stanie ich kontrolować. Nie zapominaj o ćwiczeniach oddechu, chodź na spacer, zajmuj się sztuką. Bądź dla siebie dobra.

Doktor Stinson

PS Może nie będę mogła odpowiedzieć na twój list tak szybko, jak byś chciała.

Zerkam na listę kontaktów: Alateen, grupa terapeutyczna dla osób, które próbowały popełnić samobójstwo, schronisko dla kobiet. Alateen? Wyobrażam sobie, jak siedzę w kręgu dzieciaków opowiadających o picciu. O tym, co się dzieje, kiedy pijesz.

A potem myślę, że prawdopodobnie jestem tym, co się dzieje, kiedy tracisz kontrolę. Dzieciak łąduje na ulicy, nie ma domu i tak dalej. Nie chcę siedzieć w grupie osób i być dokładnie tą, którą wszyscy starają się nie stać. Sprawdzam w Internecie samobójców: mnóstwo zdjęć smutnych ludzi siedzących w kręgu na trawie. Schroniska nie sprawdzam, mam gdzie mieszkać, nawet jeśli nie jest to najwspanialsze miejsce pod słońcem.

Zaczynam pisać odpowiedź, ale kasuję wiadomość. Co niby mam jej powiedzieć? Znowu skarżyć się, że spieprzyłam sprawę z Mikeyem? Pewnie napisałyby: *Znajdź innego przyjaciela*. Poradziłyby, żebym poszła na którąś z tych grup. Wkurzona, klikam na kolejną wiadomość, od Blue. Przysłała tydzień temu.

CICHA SUE, GDZIE JESTEŚ? Tęsknię za tobą, moja dobra, kochana dziewczyno. W odp. na twój poprzedni mail: tak, jesteśmy dla siebie największymi wrogami. Ale nie musi tak być. Ostatnio naprawdę uważałam na grupie i część z tego, co mówi DUSZEK, nie jest wcale taka głupia, szczególnie to:::!!! Wychodzę!!! Jeszcze nie wiem kiedy. Przestrzegam zasad, łykam prochy, zastanawiam się, czy nie spotkać się z Isis w KANZ ASS. Może przyjedziemy do ciebie w odwiedziny!! Byłaś grzeczna? PROSZĘ, odpisz. Wszystkie dziewczyny, które znałaś, już odeszły, zostałyśmy tylko ja i Louisa i mówię ci, ta dziewczyna NIE jest w dobrej formie. Coś się dzieje.

BLUE

Gapię się na wiadomość. Niemożliwe, żeby ją wypuścili, Blue znowu się wygłupia. Nie? Jak na kogoś, kto w Creeley był dla mnie tak niemiły, to wydaje się naprawdę mnie lubić. Nagle przychodzi mi do głowy, że być może ona też jest bardzo samotna. Nie wiem, jak sobie poradzić z przyływem współczucia dla Blue.

Znaleźć przyjaciela. Co mi szkodzi odpowiedzieć Blue? Jest w tej chwili jedyną osobą, która prawdopodobnie potrafi zrozumieć, co znaczy żyć w ten sposób.

Blue – fajnie, że słuchasz Casper. Zresztą, co innego ci pozostało, nie? Pustynia to gorące szambo – jeśli naprawdę zamierzasz mnie odwiedzić, zabierz bluzki bez rękawów, okulary przeciwsłoneczne i filtr w dużych ilościach, bo każdy dzień tutaj jest jak pożar na skórze. Sama

nie bardzo rozumiem, co tu robisz, w każdym razie tu jestem i tyle. Znalazłam pracę na zmywaku, jest całkiem w porządku. Co się dzieje z Louisą? Zanim wyjdiesz, powiedz jej, że za nią tęsknię. Może dasz jej mój adres mailowy czy coś. Nie jestem dobrą, kochaną dziewczyną, jestem na wskroś zła.

Charlie

KILKA DNI PÓŹNIEJ RILEY WOŁA, PRZEKRZYKUJĄC HUK ZMYWARKI:

– Słyszałem, że twój chłopak jedzie z kapelą w długą trasę po Zachodnim Wybrzeżu. Chyba będziesz samotna przez kilka kolejnych miesięcy!

Opuszczam dzwignię.

– Co?

Zdmuchuję parę z twarzy. Klimatyzator w kuchni się zepsuł, a na zewnątrz panuje apokaliptyczny skwar, co znaczy, że koło zmywarki, kuchenki i grilla jest jeszcze bardziej gorąco. Riley twierdzi, że taki ukrop jest nietypowy jak na czerwiec. Kręcą się wiatraczki, jeden większy Riley przymocował prowizorycznie do ściany, ale jego twarz lśni od potu, a wokół nosa i wzdłuż linii włosów widnieją czerwone plamy. Chowa puszkę schłodzonego piwa pod blatem, pali papierosa, popiół opada na podłogę. Odsuwa go czubkiem buta.

Udaje, że krztusi się piwem.

– Ups. Chyba wymknęło mi się coś, co nie powinno się wymknąć? Michael pewnie popadnie w niełaskę.

Mrugam.

– Mikey?

– Michael. To dorosły mężczyzna, posługuj się jego dorosłym imieniem, dziewczyno. Ciekawe, czy zabiera Bunny. Ciekawe, czy jej powiedział.

Właściwie dopiero przyjechałam, myślę ponuro, zanurzając plastikowe szklanki w wodzie z płynem. A on już wyjeżdża.

Ale potem przypominam sobie, że powiedział, iż nie będzie tak jak kiedyś. Myślę: to i tak nie ma znaczenia. Jedyne przyjaciel i już go nie ma.

Riley przesuwa po grillu placki ziemniaczane, obracając łyżką w dłoni. Papieros tkwi oparty o brzeg puszek. Julie nie będzie do przyszłego tygodnia.

– Wyjechała do Ouray – powiedziała Linus tego ranka. – Będzie się uczyć o doszach.

Najwyraźniej Riley jeszcze mniej niż zwykle przejmuję się, że nie powinien pić w pracy, skoro jej nie ma.

Kończy palić, wrzuca peta do puszek. Podnosi się i rzuca puszkę do kosza tuż nad moją głową.

– Przestań nosić te długie rękawy, Charlie. Na sam widok robi mi się jeszcze bardziej gorąco. Kup parę T-shirtów czy coś.

Nie odpowiadam. Rzucam resztki jedzenia na jego puszkę leżącą w śmietniku.

PRZEMIERZAM KOLEJNE ALEJKI W SKLEPIE z artykułami malarskimi, który znajduje się niedaleko kawiarni, dotykam zwitku banknotów w kieszeni ogrodników. Węgiel wierzbowy, miękkie, lekkie pędzle do farb plakatowych. Przyciskam palce do stosów ryz papieru do rysowania, czuję uniesione brzegi pod opakowaniem z folii.

Eleganckie farby marki Winsor & Newton w ślicznych buteleczkach ustawionych w idealne rzędy: SCARLET LAKE, PURPLE Madder, LEMON YELLOW. Są bloki z gotowymi szablonami do komiksów, już nie trzeba męczyć się z linijką i pracownic

zaostrzonym ołówkiem, jak to było w moim przypadku. Widzę mnóstwo płóciennych toreb kurierskich, bojówek o niskim kroku i zwiewnych apaszek na szyjach kupujących dziewczyn. Faceci wyglądają jak mechanicy samochodowi w sandałach, policzki mają obsypane lekkim zarostem. Ciekawe, czy ktoś z nich ucześnieca na zajęcia Ariel. Warsztaty zaczynają się w przyszłym miesiącu. Jeszcze nie zdecydowałam, czy pójdę. „Artystyczne klony” – tak nazwała Linus dzieciaki obsiadające stoliki w kawiarni, ubrane w spodnie poplamione farbą i rogowe okulary. Wszyscy mieli torby kurierskie i czarne teczki sklejone taśmą. Pili całe mnóstwo kawy i herbaty. Zostawiali napiwki w postaci stosików drobnych monet i skręcanych papierosów, czasem naszkicowany na serwetce portret kogoś z obsługi. Sprawdzam ceny węgla, grafitu i papieru. Muszę kupić mydło, papier toaletowy, tampony i bieliznę. Podeszwy moich butów robią się coraz cieńsze, czuję każdą nierówność chodnika, poza tym jest tak gorąco, że powinnam skombinować trampki czy coś w tym rodzaju, lżejsze, bardziej przewiewne buty. Muszę zapłacić za czynsz, ale nie jestem pewna, kiedy dostanę czek od Julie. Nagle przychodzi mi do głowy: gdzie ja go zrealizuję, skoro nie mam konta w banku? Próbuję dodawać w myśli, ale liczby stają się skomplikowane, tracę wątek, gubię cyfry, sama się gubię. Wszyscy tutaj chyba doskonale wiedzą, czego chcą, ale ja wychodzę z pustymi rękami.

MIKEY SPUSZCZA WZROK NA TALERZ Z FRYTKAMI z batatów i zieloną fasolką w zalewie.

– Nooo – mówi. – Wyjeżdżam na jakieś trzy miesiące. Jest lato, więc nie stracę szkoły. To ogromna szansa dla zespołu, a ja jestem menedżerem, rozumiesz. Menedżerem ukośnik kierownicą, powinienem raczej powiedzieć. Znaczą, nie dostają za to kasy, ale może coś z tego będzie. Może płyta. Naprawdę supersprawa. – Popycha talerz w moją stronę. – Poradzisz sobie, nie? – Jego spojrzenie mówi tak naprawdę: musisz sobie poradzić.

Ułożyłam frytki w stos przypominający maleńką chatę z bali. Słychać brzęczenie, to niektóre z wiszących lamp na suficie zaczynają szwankować, gasnąć.

Liczę w myślach: trzy miesiące, czerwiec, lipiec, sierpień.

– Kawał czasu. – Mikey zabiera jedną z belek i chata się rozpada. Sól błyszczy na jego wargach. – Kumpel będzie wynajmował moje mieszkanie.

Nie mogę przestać myśleć o tym, że kiedy wyjedzie, znów zostanę sama.

– Zamierzasz chodzić na lekcje u Ariel? Dobrze by ci zrobiły i może poznasz jakichś ludzi.

Przesuwam jedzenie po talerzu.

– Mówiła, że to starsi ludzie.

– Żartowała. Pomagałam jej zeszłego lata. Nie wszyscy byli starsi. Wydaje mi się, że ona chce ci dać szansę, a ty powinnaś jej na to pozwolić, wiesz? Mogłoby to także jej pomóc.

Odkładam widelec. Jestem wkurzona.

– Jej? Jak niby miałabym pomóc Ariel? Halo, popatrz na mnie.

Mikey marszczy brwi.

– Nie bądź taka. Po prostu... – Bierze wdech. – Zmarł jej syn. Kilka lat temu, zanim się wprowadziłem. Przedawkował. Wydaje mi się... Nie znam szczegółów, ale chyba nie miała z nim kontaktu na długo, zanim to się stało. Za każdym razem o tobie wspomina. Chce ci pomóc, bo to chyba... daje jej coś w rodzaju nadziei. Długo znajdowała się w bardzo złym miejscu.

Wstrzymuję oddech. Syn Ariel zmarł. Przedawkowanie. A ja myślałam, że Ariel prowadzi takie wspaniałe, poukładane życie, wypełnione sztuką i interesującymi rzeczami.

Teraz wiem, co miała na myśli w galerii. Dlaczego powiedziała: „Znam cię”, co znaczyła chmura przemyskająca w głębi jej oczu.

Myśli wywołują w moim wnętrzu dziwny ciężar. To dlatego tak naciskała, żebym znalazła samodzielne mieszkanie, zaczęła pracować, uczęszczała na jej zajęcia? Chciała gwarancji, że nie... nie skończę jak jej syn? Nie zniknę jak on?

Myślę o obrazach wiszących w jej domu. Ciemnych, rozjaśnionych zaledwie odrobiną światła, które odwraca się od ciemności.

– Jej obrazy, te takie bardzo ciemne... – mówię powoli. – Kiedy je zobaczyłam, pomyślałam, że mogła je namalować tylko bardzo smutna osoba.

Mikey kiwa głową.

– Od tamtej pory Ariel nie pracuje. Namalowała je wszystkie jednym ciągiem zaraz po śmierci syna, a potem przestała malować. Nic. Zero. – Ostrożnie dodaje: – Bunny tu będzie, gdybyś czegoś potrzebowała. Mogłabyś się z nią poznać.

Na samo wspomnienie jej imienia czuję się, jakby ktoś wbił mi nóż. Rozdzieram serwetkę, zbieram poplamione kawałeczki na kupkę pośrodku stołu, zdmuchuję jak płatki śniegu. Mikey się uśmiecha. Michael się uśmiecha.

– Poważnie. Jest naprawdę fajna. Nie musisz być taką zimną rybą, Charlie.

Moja twarz czerwienieje.

– Zimną rybą? Co jest, kurwa?

– No wiesz, Charlie... Sama wiesz. Nie jesteś najbardziej towarzyską osobą na świecie, co? Zawsze byłaś raczej... zdystansowana? A teraz jesteś w sumie, no nie wiem... – Mikey jąka się, wzdycha. – Mnóstwo ludzi mogłoby cię polubić, ale ty nawet nie dajesz im szansy. Teraz masz szansę, by coś zmienić. Poznać odpowiednich przyjaciół.

– Poznać odpowiednich przyjaciół? O czym ty w ogóle mówisz, Michael? –
Odpowiednich przyjaciół? Nasza rozmowa chyba przybrała dziwny obrót.

– Charlie. – Jego głos brzmi chłodniej. – Posłuchaj. Bunny widziała cię z Rileyem Westem. Wiesz, że pracuje w Caruso, prawda? Naprzeciwko Grit. Widziała, jak szliście razem rano do pracy.

Obracam językiem frytkę w ustach, merdam nią w stronę Mikeya. Jestem wściekła i przerażona, bo wyjeżdża, i chcę być dla niego okropna.

– Co się dzieje, Charlie?

– A co to ciebie obchodzi?

Chwyta frytkę, wyciąga ją spomiędzy moich zębów i kładzie na talerzu, gniewnie zgniecioną kupkę jasnych ziemniaczanych flaczków.

– Riley West miał niesamowity talent, a teraz jest niesamowitym dnem. Nie idź w tamtą stronę. On ma za sobą... przeszłość. Nie powinnaś się z nim zadawać, jeśli pracujesz nad sobą. To miałem na myśli, mówiąc o odpowiednich przyjaciółach.

– Dał mi pracę. Na pierdolonym zmywaku. – Gniewnie odsuwam talerz. – Ma trudności z porannym wstawaniem, więc chodzę go budzić. Nie martw się, Michael, jestem tylko jego budzikiem. Kto by chciał mnie rznąć, kiedy cała jestem w bliznach? Bo chyba nie ty, co? Wytarłeś usta, kiedy się pocałowaliśmy.

Mikey oblewa się rumieńcem.

– Smakowałaś piwem, tylko dlatego. Nie piję, ty smakowałaś piwem, a ja mam dziewczynę.

Nie potrafię się zatrzymać, wszystko wylatuje ze mnie jak lawina.

– A masz jakiś pomysł, Michael, o czym mogłabym gawędzić z potencjalnym zalotnikiem, gdyby zapytał, co porabiałam przez ostatni rok? Mam mu powiedzieć, że żywiłam się zepsutym żarciem ze śmietnika? Że pomagałam znajomym obrabiać ludzi w parku? Wiedziałeś o tym, Michael? Wyjechałeś, a ja straciłam Ellis. Zostałam sama i robiłam to, co

musiałam robić. A teraz wyglądam jak potwór i czuję się jak potwór. Chyba nie musisz się martwić moim życiem uczuciowym.

Twarz Mikeya jest czerwona jak cegła.

– Przykro mi, Charlie. Ja nie... Trzymaj się, okej? Twój cel to posuwać się do przodu, a nie cofać, zgadza się? Nie chcę, żebyś cierpiała. Żebyś bardziej cierpiała.

Bierze mnie za rękę. Próbuję go odepchnąć, ale trzyma mocno.

– Charlie, nie ma w tobie nic złego. Nic. Nie widzisz tego?

Ale to kłamstwo, czyż nie? Ponieważ jest we mnie mnóstwo zła, nie trzeba głęboko grzebać. Wolałabym, żeby Mikey powiedział: mnóstwo rzeczy jest z tobą nie tak, ale to nie ma znaczenia.

Jedna moja ręka spoczywa na kamieniu w kieszeni, druga tkwi uwięziona w dłoni Mikeya. Chciałabym mu powiedzieć: Już raz wyjechałeś i widzisz, co się stało. Znów wyjeżdżasz i jestem przerażona, ponieważ nie umiem przebywać wśród ludzi, ale nie umiem też być sama. Myślałam, że nie zostanę znowu sama.

I jak można cierpieć jeszcze bardziej niż przez ostatni rok?

Ale mówię tylko:

– Będę za tobą tęsknić, Mikey. Poradzę sobie. Obiecuję.

* * *

Wracam do domu, czekam, aż zrobi się ciemno, wsiadam na rower i jadę do domu Ariel. Nie przyczepiam roweru, tylko opieram go o słupek, bo nie zamierzam zostać. W oknach jest ciemno, chociaż z podwórza na tyłach, gdzie wiszą sznury latarenek, dociera pasmo białawego światła. Prędko wchodzę po stopniach i kładę przy drzwiach torbę z szarego papieru. W środku znajduje się błyszczący czerwony krzyż i karteczka, na której napisałam: *Przepraszam*.

ZMIANA MIJA POWOLI. LINUS I TANNER, kelner z tatuażami na karku, dyskutują na temat coverów. Tanner jest krępy, ma krótkie fioletowe włosy i szczekliwy śmiech.

Wilgotne kosmyki kleją mi się do czoła. „Zimna ryba”, tak określił mnie Mikey. Za każdym razem, kiedy tu przychodzę zmywać naczynia, słucham, jak się przekomarzają, żartują, jak sobie docinają, krzyczą i gadają o pierdołach, obserwuję, jak palą. Przyłapałam ich, jak rzucają mi z boku zaciekawione spojrzenia. Ellis zawsze przejmowała dowodzenie, kiedy spotykałyśmy ludzi na imprezie czy na ulicy, ja byłam jej milczącą współniczką. „A ty to się, kurwa, w ogóle nie odzywasz”, mruknął raz chłopak, kiedy siedzieliśmy w Dunkin’ Donuts po długiej, zagmatwanej imprezie. Ellis zaciągnęła nas tam rano, kupiła tuzin pączków z galaretką i kubki wrzącej kawy. Chłopak miał bladą, przyszczatą twarz. „Jesteś, kurwa, zrobiona z kamienia czy co”. On i jego kumple zaczęli się śmiać. Słodka galaretka tkwiła na moim języku jak wielka klucha. Wyciągnęłam rękę, chwyciłam drugi pączek i rozpląszczyłam mu go na zdziwionej gębie. Kumple nadal się śmiali, a chłopak pluł ciastem, trzymając się za pocukrzone policzki. Ellis spojrzała w moją stronę od strony kontuaru, przy którym flirtowała z kasjerem, i westchnęła. „Spadamy!”, zawołała do mnie i pobiegłyśmy.

Obserwowałam Mikeya. Ludzi w szkole. Wszystkich w Creeley. Obserwuję ludzi tutaj i wygląda na to, że dla niektórych osób znajdowanie nowych przyjaciół jest jak wyszukanie w sklepie bluzki czy kapelusza; decydujesz, który chcesz kolor, przymierzasz, zabierasz do domu, z nadzieją że wszystkim się w tym spodobaś. W moim przypadku nigdy tak nie było. Już w dzieciństwie stałam z boku, w szkole wściekałam się i byłam obiektem ataków. Klamka zapadła, nie dało się mnie naprawić. Nie było odwrotu aż do Ellis. Trzymałyśmy się razem

i osobno. Nawet jak już się zmuszę, by coś powiedzieć, za każdym razem mówię coś głupiego. Zawsze czułam się jak intruz, wielka beznadziejna kupa. Matka powtarzała, że mam siedzieć cicho, nie przeszkadzać. „Nikogo to nie interesuje, Charlotte”.

Ellis interesowało. A potem przyprowadziła mi Mikeya i DannyBoya.

Biorę wdech. Zimna ryba. Nie jestem zimną rybą. Po prostu wydaje mi się, że się nie liczę.

Chciałabym się liczyć. Ellis przy mnie nie ma, ale może będzie potrafiła mi pomóc.

– Hej! – odzywam się, może trochę za głośno, lekko schrypniętym głosem. Muszę odchrząknąć. – Mój kumpel miał raz świetny pomysł, cover w stylu country *You're the One That I Want*.

Linus i Tanner-z-tatuażami-na-karku wbijają we mnie wzrok. Rozmawiam właściwie tylko z Rileyem, i to też niezbyt często, głównie w drodze do pracy. Od incydentu z rzyganiem jest w mojej obecności bardzo ostrożny.

Spoglądają na siebie, potem na mnie.

– Tej piosenki z *Grease*? – Tanner zawija sztucę w papierowe serwetki, ciasno jak kielbaski.

– Aha. – Lekko się jąkam, obracam w palcach brzeg fartucha. – No bo jak się z-zastanowić. Dodać trochę takiej wolno brzdąkającej gitary, tylko gitara i wokale, a potem, kiedy wszyscy śpiewają chórem: „U,u,u”... – Twarz mi płonie, już nie wiem, co miałam powiedzieć, czemu to w ogóle było ważne.

Masz beznadziejny głos, zawyrokowałyby ze śmiechem Ellis. Nic dziwnego, że podobają ci się utwory, w których ludzie krzyczą, a nie śpiewają.

Odkręcam gorącą wodę, prędko wkładam rękę pod strumień, by siłą wrócić do tu i teraz.

– O rany. – Linus kiwa głową, mruży oczy. – Widzę to. Znaczą, słyszę.

Nikt się ze mnie nie śmieje. Wypuszczam oddech. Nie było tak źle. Nawet jakoś poszło.

– Można by zrobić z tego odjechane solówki. – Tanner zamyśla się, a po chwili cicho śpiewa. „U, u, u” brzmi w jego wydaniu jak „ou, ou, ou”, leniwy koci pomruk.

Riley kręci głową.

– Nie, nie. Ta piosenka zawsze będzie kojarzyła się z tandetą. Wykluczone. – Lekko bełkocze, a Linus marszczy brwi i zauważa:

– Riley, to twoje czwarte piwo tego ranka.

– Piąte, słonko. Może. – Zabiera puszkę z piwem, tak by Linus jej nie widziała. – Nasz sekret.

Staje tuż obok mnie, znacznie dłużej niż to konieczne płucze noże pod gorącą wodą. Linus wpatruje się w jego plecy, jakby próbowała siłą woli zmusić go, by się odwrócił, ale Riley się nie odwraca i Linus wychodzi, drzwi siatkowe zamykają się za nią z trzaskiem.

Woda kapie z noży na brudne maty podłogowe. Riley potyka się o nie, wracając na stanowisko przy grillu.

Słyszę, jak otwiera kolejne piwo. Nie wiem, co robić. Powinnam wyjść i powiedzieć Linus, że sprawy zaszły za daleko, ale moje stopy są jak przygwożdżone w miejscu. Riley pije potężnymi haustami. Zresztą, co by to dało? Linus odeśle go do domu, ale jutro Riley wróci. Julie będzie go zawsze chronić, jak sama mówiła. A jeśli powiem Linus? Co wtedy? Może to ja będę miała kłopoty i stracę pracę?

Tak więc milczę, tylko go wspieram. Kiedy kromki chleba wypadają z bezwładnych dłoni na podłogę, podnoszę je i wyrzucam, a Riley zaczyna od nowa. Gdy zamówienia zaczynają napływać z większą częstotliwością i Riley sobie nie radzi, pomagam mu układać jedzenie na talerzach, przewracać frytki na grillu, rozdzielać tofu i przypiekać bajgle. Muszę być miła, nie?

W końcu dał mi tę pracę. Nie mogę być zimną rybą.

Po południu dostaję papierową torbę, w której kryją się cebulowy bajgiel z indykiem i serem, musztardą i majonezem oraz kawałek starego ciasta cytrynowego, starannie owinięty w folię. Na żółtej polewie widać drobinki popiołu, ale ja po prostu strzepuję jej palcem i wgrzynam się w ciasto.

JEST TAK GORĄCO, ŻE KIEDY WCHODZĘ DO BIBLIOTEKI, pot spływa mi po twarzy. Długo siedzę w łazience. W moim pokoju było zbyt gorąco, a w budynku panował hałas, we wszystkich pokojach działały wiatraki i klimatyzatory, muzyka grała za głośno.

Siadam przy komputerze i wpisuję *Ariel Levertoff + artystka*. Pokazuje się kilka artykułów i galerii sprzedających jej obrazy. Przewijam, sama nie bardzo wiem, czego szukam, aż trafiam na artykuł zatytułowany: *Co się stało z Ariel Levertoff*. To długi tekst z jakiegoś eleganckiego magazynu o sztuce, napchany toną wielkich słów i czarno-białych fotografii Ariel i małego chłopca o ciemnych włosach opadających na oczy. Otaczają ich obrazy. Chłopiec unosi rękę, ociekają farbą. Widać, że jest szczęśliwy. Ariel się śmieje.

Chłopak zmarł na skutek mieszania prochów z alkoholem. Ciało znaleziono w zaułku na Brooklynie. Alexander. Wyleciał ze szkoły, miał zaburzenie afektywne dwubiegunowe, straciła z nim kontakt, nawet wynajęła detektywa, lecz nie zdołała go odnaleźć. Odwołała wystawy, przestała malować.

Znikł. Zostawił ją. Znaleźli go na ulicy. W moim wnętrzu zaczyna wypalać się dziura.

Myślę o jej obrazach, tych maleńkich fragmentach światła pośród ogromnej ciemności. Powiedziała w galerii, że czasem same kolory potrafią opowiedzieć historię, tylko w inny sposób. Jej syn to ciemność czy światło na obrazach? A ona? Próbuję zrozumieć, ale to trudne. Zamykam artykuł. Tak bardzo brakuje mi Ellis, tęsknota jest jak wielka, ciemna jaskinia w moim sercu. W przypadku Ariel i jej tęsknoty za synem ta dziura musi być milion razy większa.

Czy moja matka czasem się o mnie niepokoi, czy myśli o mnie? A może to dla niej tylko kolejny dzień, dzień jak co dzień, mnie już nie ma, problem z głową? Czy poczuła ulgę, kiedy dostała wiadomość ze szpitala, chociaż nie przyszła w odwiedziny? Czy myśli o czasach, kiedy mnie biła?

Potem często była jeszcze bardziej wściekła, trzymała rękę wysoko, jak oparzoną, wlepiając we mnie wzrok. Próbowалам się chować, szczególnie gdy byłam mała. Wtedy nauczyłam się być mała, po omacku szukać kryjówki pod stolikiem, kulic się w kącie szafy.

Czy bała się, że powiem? W szpitalu? Odrywam wzrok od ekranu, patrzę na swoje dłonie, na palce białe w uda, żeby nie odlecieć.

Nim zdążę się powstrzymać, otwieram skrzynkę i wpisuję jej adres, ten, który miała ostatnio. Piszę: *U mnie wszystko w porządku*.

Palec zawisa nad *Wyślij*. Chyba chciałaby wiedzieć? Przynajmniej tyle, że żyję.

Zna numer Mikeya. Rozmawiali przed jego wyjazdem, ale nie zadzwoniła, nie próbowała się dowiedzieć, co u mnie słychać.

Czasami, kiedy Jebany Frank miał wyjątkowo udany odlot, mówił do nas, do wszystkich mieszkańców: „Gdzie są teraz mama i tata, he? Może stoją w drzwiach i błagają, żebyście wrócili do domu?”. Dym zasnuwał mu twarz, oczy płonęły jak węgle pośród białych smug. „Jestem wszystkim, co teraz macie. Jestem waszą, kurwa, rodziną, nie zapominajcie o tym”.

Moja matka nie zadzwoniła do Mikeya ani do Casper. Nic nie zrobiła. Mikey wyjeżdża. Ellis jest duchem. Evan jest w Portland. Kasuję maila do matki.

Jestem zupełnie sama.

MIKEY WYJEŻDŻA TYDZIEŃ PÓŹNIEJ, POD KONIEC CZERWCA. O drugiej w nocy parkuje van zespołu przed budynkiem, w którym mieszkam.

Delikatnie puka do drzwi, wołając moje imię. Otwieram, a on mówi:

– Musimy zaraz ruszać. Obłęd, szalony grafik, inaczej nie zdążymy na pierwszy koncert. – Jest rozedrgany, podekscytowany. Czuję bijącą od niego nerwową energię.

Kładzie na stoliku niewielką kartkę. Są na niej numery komórek do niego, do Bunny i do Ariel oraz plan trasy koncertowej.

– Wiem, że nie masz telefonu, ale w razie konieczności mogłabyś skorzystać z telefonu Leonarda czy w pracy. Okej? Możesz też pisać do mnie maile.

Mikey pochyla głowę, niemal czuję dotyk jego policzka na swoim policzku.

– Chyba naprawdę coś z tego będzie – papla. – I zdaje się, że mamy też szansę nagrać płytę w studio w północnej Kalifornii. To by było coś, nie?

Pochylam głowę, ale on chwyta mnie w objęcia. Liczę w myślach do dwudziestu, bardzo powoli. Mikey całuje mnie w czoło.

– Trzymaj się i bądź silna – szepcze mi do ucha.

WYCIERAM TWARZ CZYSTĄ ŚCIERECZKĄ DO NACZYŃ, próbuję pozbyć się osadu z pary i gorąca. Krople potu spadają z mojego podbródka do wody zapełniającej zlew. Riley wychodzi z biura z teczką pełną papierów. Na mój widok marszczy brwi. Dzisiaj wygląda lepiej. Dochodzi jedenasta, a nie wypił jeszcze ani jednego piwa.

– Oż kurwa. Co mówiłem na temat bluzek? Tu jest gorąco, skarbie. Nie chcę, żebyś padła na udar.

– Nie mam. – Ustawiam talerze w zmywarce.

– No to idź dzisiaj po pracy do Goodwill i kup sobie parę. – Kładzie teczkę z fakturami na desce do krojenia. – Albo przynajmniej podciągnij te cholerne rękawy. Zrób to dla mnie.

Wsuwam koszyk do zmywarki, zamykam klapę, wyciągam ze zlewu garść mokrych sztuców, żeby nie musieć na niego patrzeć.

Głos Riley'a przybiera ostrzejszy ton.

– Podciągnij rękawy, Dziwna Dziewczyno.

Stoi teraz bardzo blisko mnie. Czuję jego zapach przez parę bijącą od naczyń, pot zmieszany z przyprawami, kawą i dymem. Nie ruszam się i milczę.

Riley zerka na Linus, zajęta czyszczeniem gablotki na ciasta przy kontuarze. Odrywa moje palce od sztuców, które lądują z powrotem w wodzie. Powoli podciąga jeden rękaw, najpierw tylko odrobinę, a potem aż do łokcia. Obraca moje ramię.

Bardziej czuję, niż widzę, jak jego pierś zasysa powietrze, a potem je wypuszcza w głębokim oddechu. Skupiam się na brudnych resztkach jedzenia pływających w zlewie, nasączonych wodą kawałkach mięsa i chleba, pasemkach jajeczniczy, ale moje serce się jąka.

Coś się dzieje w chwili, kiedy Riley mnie dotyka, coś dezorientującego; czuję się tak, jakby moją skórę przeszył prąd.

Riley opuszcza rękaw mojej bluzki. Sprawdza drugie ramię. Jego palce są ciepłe i delikatne.

– Bywałaś w mrocznych miejscach, Dziwna Dziewczyno. – Wsadza teczkę pod pachę, wyciąga z kieszeni koszuli paczkę papierosów. Lubi palić w towarzystwie graczy w go. – Pamiętam, jak mówiłaś, że próbowałaś się zabić, ale to jest, kurwa, samounicestwienie.

Patrzę mu prosto w twarz. Jego oczy są ciemne i zmęczone. On też coś wie na temat samounicestwienia i ta świadomość sprawia, że chyba aż tak nie wstydzę się swoich ramion.

Wsuwa papierosa w kącik ust.

– Powinnaś przyznać się do swoich podróży. Jesteś już dużą dziewczynką. Nie uciekniesz przed tym, rozumiesz? Kup bluzki z krótkim rękawem i pierdol, co ludzie pomyślą. – W połowie drogi do wyjścia odwraca się i wręcza mi kopertę. – Prawie bym zapomniał. Twój pierwszy czek. Jesteś oficjalnie na liście płac, już nie będzie gotówki do kieszeni. Sorry, że Jules tak długo to zajęło. Tylko nie wydaj wszystkiego na raz. – Drzwi zatrząskują się za Rileyem.

Kiedy mija ruch w porze lunchu, otwieram kopertę i robi mi się trochę słabo. Kwota jest mniejsza, niż wyliczyłam, nie pomyślałam o podatkach. Gapię się na liczby: suma odjęta i suma, która została, ledwo pokryje czynsz. I za co ja będę kupować wszystkie potrzebne rzeczy do następnego czeku? Chyba wolałam, kiedy płacił gotówką. Tanner dostrzega moją minę i ponuro kiwa głową.

– Do dupy, co nie? Tonę w pożyczkach na szkołę, ale nie mogę podjąć drugiej pracy, bo wtedy nie dałbym rady studiować. – Ruchem głowy pokazuje Linus obsługującą kasę. – Ona pracuje na dwa etaty, jest tu na okrągło, a i tak musi sprzedawać krew i tak dalej, żeby wysyłać kasę dzieciakom. Może powinnaś poprosić rodziców o pomoc? – Z profesjonalną wprawą zawija sztucze w serwetki.

Składam czek, nie odpowiadając na pytanie. Tanner ociera nos.

– Prawie wszyscy tutaj studiują i żyją dzięki pożyczkom albo kasie od rodziców, z wyjątkiem Temple. Jeszcze jej nie poznałaś. Pracuje na nocki. Ma cztery prace. Prócz tej tutaj wozi jedną starszą babkę na zakupy, pracuje w sex shopie i uczy jakiegoś dzieciaka hiszpańskiego.

– Ja się cieszyłam, że znalazłam chociaż tę – odpowiadam cicho.

Tanner wzrusza ramionami.

– Trzeba sobie jakoś radzić. Współspacze bywają pomocni, chociaż to też jest trochę do dupy. Przynajmniej dostają napiwki. – Zbiera pakieciki ze sztucami, kopniakiem otwiera drzwi frontowe.

Po minucie znów wtyka głowę do środka.

– Pogadaj z Linus. Pewnie będzie mogła wypłacić ci tę smutną sumę w gotówce. Zapewne nie masz konta w banku, co? W punkcie, gdzie realizują czeki, wezmą niezłą prowizję.

NIE SPIESZĘ SIĘ W DRODZE POWROTNEJ DO DOMU, próbuję stłumić panikę, która narasta we mnie z powodu pieniędzy i czynszu, i wszystkich koniecznych zakupów. I co teraz? Linus rzeczywiście wypłaciła mi pensję gotówką. Dzisiaj muszę dać pieniądze Leonardowi. Aby poczuć się lepiej, postanawiam odwiedzić dom, który bardzo mi się podoba. Kraty ogrodowe zrobiono ze sprężyn od łóżka. Przeplatają się między nimi wygięte strączki zielonego groszku. Gigantyczne głowy słoneczników królują nad kosmosem i kaktusami. Przez podwórze biegnie ścieżka z jaskrawo pomalowanych kamieni, wije się między olśniewającymi kwiatami i kaktusami. Na drzewach bawełnianych wiszą dekle jak wielkie dzwonki. Z mglistej powierzchni okrągłego stawu wynurzają się pomarańczowe ryby. Na wszystkich ścianach niewielkiego domu wymalowano murale: skłębione obłoki koloru, błyskawice, szczekające kojoty, zaspane żółwie. Czasem, kiedy przechodzę, widzę malującą kobietę. Ma grube siwe włosy zebrane na karku. Pracuje starannie i ostrożnie, porusza pędzlem nieznacznie, na brzegu popielniczki u jej stóp kołysze się papieros. Raz odwróciła się i uśmiechnęła do mnie – błysk bieli pośród rozpalonego do białości dnia, na tle jaskrawej eksplozji muralu. Onieśmielona, prędko poszłam dalej. Lubię ten dom i lubię o nim myśleć, a także o tej dziwnej kobiecie i uporządkowanej dzikości ogrodu. Chciałabym się dowiedzieć, co zrobić, żeby mieć takie małe miejsce na ziemi, domek, w którym można malować i który można pokrywać malunkami, podwórze, które można zapełniać rzeczami i kształtować. Chciałabym się dowiedzieć, jak to jest,

czuć się komfortowo w powietrzu, które cię otacza.

DZISIAJ W KUCHNI ZŁY DZIEŃ: Riley poprosił mnie o coś i to coś wisi między nami, z każdą chwilą coraz cięższe i cięższe.

Patrzy na mnie, czeka, aż odpowiem na pytanie.

Jego palce mają kolor wodnistej kawy. Ile papierosów dzisiaj wypalił? Zamówienia wracają: bajgle z jednej strony czarne, smażone tofu bez szczypioru, frytki twarde jak kamień. Dwa talerze zbite, ostre białe skorupy leżą kopnięte pod blat ze stali.

Riley mówi, że bez tego nie da rady do końca zmiany. Tłumaczy, że to dom z czarnymi drzwiami, z przodu stoi niebieski pikap. Ekspres wyje, chmury pary kłębią się wokół twarzy Linus. Tanner sprząta stoliki. Julie siedzi w biurze.

– Masz przerwę.

Zaciąga się papierosem. Jego oczy są przekrwione. Tego ranka, kiedy przyszedłam go obudzić, już nie spał, siedział na sofie i palił, gapił się w przestrzeń przed sobą, a jego skóra wydzielala dziwną plastikową woń.

– Mnie nie wolno wychodzić w czasie pracy. Takie tu panują zasady. – Puszczą do mnie oczko, ale wygląda to bardziej tak, jakby coś mu wpadło do oka.

– Proszę. – Chrapliwe echo w gardle jak u Evana, kiedy bardzo potrzebował towaru. – Twoja zmiana i tak już się kończy. Zapłacę ci.

Pamiętam Ellis, jak ciągnęła mnie za ramię, jej twarz była napięta z pragnienia. „Proszę”, błagała. „Jeśli moja mama zadzwoni, powiedz, że jestem w łazience. Powiedziałam jej, że zostanę u ciebie na noc. Proszę, Charlie. Muszę z nim być. Pomóż mi, Charlie, proszę”.

Przypomina też Evana w chwilach, kiedy potrzebował działki i mówił: „Cokolwiek, żeby tylko powstrzymać tę jebaną pustkę, która chce pożreć mi duszę”. Nastawiałam się odpowiednio, trochę myślałam w łazience, żeby moja twarz nie wyglądała na zbyt brudną, i tuż po zmroku stawałam na rogu kilka przecznic od Mears Park w St. Paul, czekając, aż pojawi się jakiś mężczyzna, by zaprowadzić go do parku, gdzie już czaili się Evan i Dump.

Ellis potrzebowała tego chłopaka, a ja potrzebowałam jej. Evan mnie uratował, więc mu pomagałam. A teraz Riley prosi o przysługę. Powiedział, że mi zapłaci. Przydałaby się dodatkowa kasa.

Casper przestrzegala, że łatwo będzie powrócić do dawnych nawyków, dawnych wzorców. Ale Casper jest teraz zajęta i znajduje się milion mil stąd. Komfortowy też Creeley Center jest milion mil stąd. Ja też czuję się tak, jakbym była milion mil stąd.

Ogarnięta znajomym odrętwieniem, ściągam fartuch i kładę go na stojaku do naczyń. Nie odzywam się ani słowem. Wyciągam rękę po pieniądze, zaciskam na nich palce. Dopiero gdy wsuwam je do kieszeni, uświadamiam sobie, że zapomniałam dzisiaj zabrać z domu lapis lazuli. Moje palce przez chwilę szukają kamienia, ale w końcu się poddają.

Wychodzę z kawiarni, pokrywająca moją skórę para ze zmywaka syczy w upale. Riley nie zauważył, że schowałam w kieszeni nóż.

W drzwiach staje mężczyzna, mierzy mnie wzrokiem, potem spogląda na ulicę, jakby chciał się upewnić, że przyszedłam sama. Żuje skuwkę długopisu. Ma żółte zęby. W środku śmierdzi żarciem z puszek dla kotów.

Evan i Dump nauczyli mnie, że najlepszą bronią jest milczenie. Ludzie zawsze próbują oszukiwać za pomocą słów. Przekręcają wszystko, co powiesz. Wmawiają, że potrzebujesz rzeczy, których tak naprawdę nie potrzebujesz. Skłonią cię do mówienia, a ty stracisz kontrolę i wtedy zaatakują.

Mężczyzna ciężko siada na sofie. Trzymam się blisko drzwi. Koty są wszędzie:

czarno-białe, szare, pręgowane, przemykają dokoła, miauczą gardłowo. Stolik kawowy stojący przy sofie jest zasłany papierami, kubkami, pomiętymi magazynami.

– Jesteś od Riley'a? – Mokra długopis w jego ustach ociera się o zęby. – Kot odgryzł ci język? – Wskazuje na morze ruchomego futra na wystrzępionym dywanie, śmieje się: – Che che.

Wciąż milczę, uśmiech zamiera na jego wargach. Pyta, co mam.

Kładę pieniądze na stole. Oceń sytuację, powiedziałaby Evan. Zawsze oceń, zanim wykonasz kolejny krok. Kątem oka widzę kij bejsbolowy oparty o ścianę. Widzę brudne talerze z brudnymi widelcami i nożami na telewizorze. Telewizor znajduje się na odległość ramienia. Kieszeń jest bliżej.

Mężczyzna przelicza pieniądze, sięga do tyłu i uderza w ścianę sześć razy.

– Niezłą masz szramę na czole. – Rzuca zapalniczkę na stolik, odchyła się na oparcie, wydycha powietrze. Papieros balansuje na jego kolanie.

Zachowuję kamienną twarz. Od gadania można popaść w tarapaty. Zjawia się kobieta z zaspanymi oczami, bosa, w koszulce na ramiączka wiszącej na brzuchu. Jest potargana, długie strąki ufarbowane na czerwono i żółto opadają jej na twarz.

Ona też spogląda za moje plecy, wyraźnie rozczarowana. Mężczyzna przygląda się jej i mówi:

– Wendy, wygląda na to, że twój muzyk przysłał koleżankę. Możemy jej zaufać?

Kobieta rzuca torbę z szarego papieru na stolik. Mierzy mnie wzrokiem od góry do dołu, na jej wargach igra uśmiech.

– Wygląda nieszkodliwie – odpowiada i zwraca się do mnie: – Ja też jestem koleżanką Riley'a. Bardzo bliską koleżanką.

Mężczyzna poleca jej, żeby sobie poszła. Patrzę na nią, jak znika w głębi korytarza. Pasek popiołu na końcu papierosa urósł. Mężczyzna powoli przesuwając torbę gołymi palcami u nóg, aż spada ona na dywan. Podnoszę ją, a kiedy się pochylam, czuję na udzie kształt noża.

– Gdybyś chciała coś dla siebie, wiesz, gdzie mnie szukać.

Nie odpowiadam i wychodzę. Nie zatrzymuję się, nie odwracam aż do chwili, kiedy popycham siatkowe drzwi w True Grit.

Riley ciągnie mnie za grill. Chowa torbę pod koszulką. Szeptem mówi, że bym popilnowała grilla.

Rusza w kierunku łazienki, wskazuje na lodówkę. Otwieram ją i widzę moje podziękowanie: kolejna torba wypchana jedzeniem. Biorę ją jak robot, zero uczuć, zero ekspresji, i wpycham na samo dno plecaka. Po chwili Riley wraca, bardziej rzeński, oblizuje wargi. Puszczając do mnie oczko i od razu zabiera się do obracania ziemniaków na grillu.

Nie wiem, co myśleć o tym, co właśnie zrobiłam i dlaczego. Wykreśliłam się, wymazałam. Reszta zmiany mija mi jak w malignie.

Po powrocie do pokoju zastawiam drzwi fotelem. Kładę torbę z jedzeniem na stole. Wyciągam nóż z kieszeni. Nie wiem, jak mogłam o nim zapomnieć.

Nagle opada ze mnie odrętwienie, a serce zaczyna trzepotać jak zwariowany ptak uwięziony w klatce. Czuję się w porządku, robiąc to dla Riley'a. Jednak to nie było w porządku, myślę, ale to zrobiłam. Czasem czuję się tak z Evanem i Dumpem; owszem, to było złe, to było nie w porządku, ale był w tym też bardzo atrakcyjny element niebezpieczeństwa. Jak daleko można się posunąć, zanim nastąpi katastrofa? Czy rozpoznasz ten moment, zanim wszystko zacznie iść bardzo, bardzo źle?

Jednocześnie zdaję sobie sprawę, że spadłam o sporo stopni w dół drabiny zasad wyznaczonych przez Casper, i nagle zalewa mnie fala rozpacz. Wstaję i zaczynam chodzić po pokoju. Próbuję robić ćwiczenia oddechowe, ale tylko chwytam łapczywie powietrze, nie mogę

zwolnić. Jestem zbyt zdenerwowana. Mikey radził, żebym szła do przodu, a ja poszłam do tyłu, i to spory kawał. I, o kurwa, nadchodzi tornado.

Mój zestaw awaryjny nadal tkwi pod wanną, schowany w walizce Louisy. Nie chcę tego, nie chcę. Lekko muskam ostrzem noża skórę przedramienia, tak na próbę. Skóra mrowi, wypełnia mnie pragnienie, oczy wilgotnieją.

Tak niewiele brakuje, bym poczuła się lepiej, żeby ogarnęła mnie ulga, tu i teraz, dzięki temu krótkiemu, niewielkiemu nożykowi. Obracam ramiona, zmuszam się, żeby spojrzeć na niedbałe czerwone krechy znaczące moją miękką skórę.

Wszystko, tylko nie to.

Nóż uderza z brzękiem o zlew. Spadam. Nie czuję się dobrze, o nie. Dzisiaj było zbyt blisko tego, co kiedyś robiłam, i jakaś część mnie chciała sprawdzić, jak by to było, zrobić to znowu, ale chciałam też, by Riley przestał mrugać powiekami, przestał się trząść. Chciałam być dla niego dobra jak anioł stróż, tak jak z Louisą. Tak jak z Ellis.

I ten jeden raz, ten jeden raz, kiedy jej nie pomogłam, gdy potrzebowała pomocy bardziej niż kiedykolwiek wcześniej, zawiodłam i ją straciłam.

Ściany pokoju napierają na mnie. Otwieram drzwi na oścież. Mogłabym pójść na dół, poprosić jednego z facetów siedzących na ganku, by poszedł do sklepu z alkoholem, dać mu pieniądze. Już mam wyjść, ale w tym momencie otwierają się drzwi naprzeciwko, na korytarz wychodzi drobna kobieta o brudnej twarzy. Nie znam jej imienia, mieszka tu dopiero od kilku dni, ale parę razy mijaliśmy się na korytarzu, przyciskała się plecami do ściany, jeśli znalazłam się zbyt blisko. Nocami często gada do siebie, mruczy i mamrocze.

– Hej – mówię, zanim zdążę stchórzyć. – Masz coś do picia? Zapłacę ci. – Wyciągam z kieszeni banknot pięciodolarowy.

Jej małe oczka przypominają rodzinę. Ma na sobie poplamioną koszulkę na ramiączka. Na piersi rozciągają się wyblakłe tatuaże. Głównie imiona, ale nie potrafię ich odczytać. Spogląda na pieniądze. Moja dłoń drży. Kiedy kobieta wyciąga rękę po banknot, widzę, że jej dłoń też się trzęsie. Wraca do pokoju, zatrząskuje drzwiami.

Po chwili wychodzi, podaje mi butelkę taniego wina z nakrętką i rusza dalej korytarzem. Klapki plaskają na szesnastu stopniach prowadzących na parter.

Nie czekam, żeby najpierw coś zjeść. Odkręcam butelkę i przytykam ją do ust, piję łączywie, aż zaczyna mi się robić niedobrze, więc resztę wylewam do zlewu, żeby więcej nie wypić. Fala uderza we mnie gwałtownie, oszołomienie, ciepło i lekka euforia w żołądku. Wystarczy, by powstrzymać lęk. Czuję się fatalnie, ale dokonałam wyboru pomiędzy cięciem a piciem. Wybrałam picie.

W torbie od Riley'a znajduję niewielkie burrito owinięte w folię. W środku są kawałki kurczaka, rozdrobniony ser, chili i kwaśna śmietana. Obok piętrzy się kupka placków ziemniaczanych. Są wciąż ciepłe, cudowne i tłuste na języku. Zjadam wszystko, nawet mokre okruchy, które spadły mi na kolana. Wyciągam z torby białą serwetkę, żeby otrzeć twarz, wypada banknot dwudziestodolarowy. Domyślam się, że to dodatkowe podziękowanie.

Biorę do ręki książkę, którą w tym tygodniu wypożyczyłam z biblioteki. „Rysowanie to stan istnienia”, czytam. „Interakcja pomiędzy okiem, dłonią, modelem, pamięcią i percepcją. Metoda przedstawienia...”

Wzdycham, zamykam książkę i odpycham ją na brzeg stołu. Myślę o kobiecie z domu z muralami, ogrodzie przypominającym zamek. Niedługo Lacey spod 3 C zacznie płakać tak jak co wieczór, pociągając nosem i dławiąc się łkaniem. Nauczyciel z parteru przez całą noc będzie oglądał powtórkę teleturnieju *Dobra cena*, przez deski w podłodze będą syczyć się dzwonki i gwizdki oraz głosy widowni. Mężczyźni z mojego piętra będą chodzić do wspólnej łazienki,

jęczeć i sikać.

Rysuję jak opętana, ale tym razem na ścianie obok łóżka. Zapelniam otaczającą mnie pustkę, powstaje mój własny mural, w który mogę się zawiąć i poczuć bezpiecznie, aż w końcu robię się senna od wina i idę spać.

NASTĘPNYM RAZEM MEŹCZYŻNA Z SOFY nie jest już taki rozmowny. Tym razem kobieta o czerwono-żółtych włosach zostaje dłużej, czeka, aż zabiorę torbę, a kiedy kieruję się do wyjścia, mówi:

– Przekaż Rileyowi pozdrowienia od Wendy. Powiedz, że Wendy za nim tęskni.

Krzywię się. Czyżby byli kiedyś razem? Nie chcę o tym nie myśleć.

Wracam do kawiarni, wręczam mu torbę, patrzę, jak rusza do łazienki. Tanner przegląda książkę z dziwnymi błyszczącymi fotografiami. Unosi ją, żebym też zobaczyła.

– Oko, które wyskoczyło z oczodołu – wyjaśnia. – Zamierzam być ratownikiem medycznym.

Zdjęcie przedstawia profil mężczyzny o zdumionej minie, jego oko zwisa na zygzakowatym sznureczku, jak z komiksu. Coś okropnego. Krzywię się.

– Przypadki chodzą po ludziach – dodaje Tanner. – Ciało ludzkie to cudowna rzecz, aczkolwiek nieco spierdolona.

Linus wchodzi przez podwójne drzwi, wyciera ręce w fartuch. Na widok zdjęcia prawie się krztusi. Tanner zaczyna się śmiać. Podnoszę głowę, widzę, że Linus się do mnie uśmiecha, ale wbijam wzrok w białe talerze, prostokąty chleba pszennego i sera, które obracam na grillu pod nieobecność Riley'a.

Linus mówi:

– Możesz spokojnie z nami rozmawiać, wiesz. My nie gryziemy.

Tanner mówi:

– Ja czasem gryzę. – Śmieją się, ale nie ze mnie, jestem pewna, więc też się trochę śmieję. Robię postępy, nawet przez chwilę z nimi rozmawiam.

Wraca Riley. Widzę, że specjalnie stara się nie patrzeć na Linusa, natychmiast zabiera się do pracy.

Jego skóra wydziela zimny zapach wody. Kolory wróciły na policzki, oczy są jak światło w płynie. Pogwizdując, wyjmuję łypatkę z moich rąk i prędko, prędko obraca pagórki placek ziemniaczanych, przygotowuje talerz, polewa olejem suche miejsce na grillu. Milczy, a kiedy Linus i Tanner idą sprawdzić termosy, pochyla się, omiata mój policzek ciepłym oddechem i mówi:

– Naprawdę dobra z ciebie dziewczyna.

DESZCZ SPADA BARDZO WCZEŚNIE, kiedy jadę rowerem do Riley'a, żeby go obudzić. W nocy było parno i wilgotno, spałam z włączonym wiatrakiem, ustawionym tak, by dmuchał prosto na moje ciało, jednak niewiele to dało. Oplukałam się w zimnej wodzie w wannie, ale kiedy tylko wyszłam przed dom, ciuchy momentalnie przykleiły mi się do skóry.

W połowie drogi do domu Riley'a jakby ktoś zaciągnął na niebie ciemną kotarę i nagle lunął deszcz – najgrubsze krople, jakie kiedykolwiek widziałam. Jakby odkręcono w niebie tysiąc kranów naraz. Ulice natychmiast wypełniają się wodą, a przejeżdżające samochody dodatkowo mnie ochlapują. W pewnym momencie któryś wjeżdża w kałużę, woda siecze mnie po twarzy. Mało brakowało, a miałabym wypadek. Deszcz jest ciepły i intensywny.

Docieram do domu Riley'a przemoczona do suchej nitki. Wbiegam na ganek, zrzucam

buty. Wołam go od drzwi, ale nie odpowiada. Nie chcę zamoczyć mu podłogi, jednak po chwili zastanawiam się, czy w ogóle zwróci na to uwagę. Biegnę prosto do łazienki. Ręczniki leżą na podłodze. Zaczynam się wycierać, wytrząsam wodę z włosów.

Riley staje w drzwiach, jest potargany. Nie ma na sobie koszuli, a ja się rumienię.

– Wyglądasz jak zmokła kura. Twój pierwszy monsun?

– Co? – Cała się trzęsę, moje ogrodniczki są ciężkie od wody, koszulka klei się do ciała.

– To chyba największa zaleta Tucson. Monsuny. Absolutnie obezwładniające, gwałtowne ulewy. Potrafią w ciągu kilku minut odciąć całe dzielnice, zatopić drogi. Idę rzucić okiem.

Po chwili wraca, pogwizdując.

– Poważny przypadek. Teraz nie wyjdziemy. Musimy przeczekać. Lepiej zdejmij to mokre ubranie.

Patrzę na niego.

– Że co?

Oczy mu błyszczą.

– Przemokłaś do suchej nitki, Charlie. Nie możesz siedzieć w tych ciuchach. Nie mam suszarki ani nawet pralki. Załatwiam te sprawy u Julie. Musisz pochodzić na golasa. – Śmieje się.

Owijam się ręcznikiem.

– Żartowałem. Zaczekaj.

Szczękam zębami. Słyszę bicie deszczu o dach i ściany.

Riley wraca z T-shirtem i parą dżinsów.

– Trzymaj – mówi, podając mi je. – Ktoś zostawił.

„Ktoś”. Kto? Kiedy? Spoglądam na ubranie. Riley zamyka drzwi łazienki. Ściągam mokre ciuchy i ostrożnie rozwieszam je na zasłonce prysznicowej. Dziwnie się czuję w innym ubraniu. Dżinsy są trochę za szerokie w talii. Trzeba je zawinąć u góry oraz podwinąć nogawki. Skarpetek nie dostałam, muszę chodzić boso.

W T-shircie z krótkim rękawem czuję się jak naga. I marzną. Chwytam drugi ręcznik i owijam się nim.

Drzwi frontowe stoją otworem. Riley siedzi po turecku na ganku, pali. Siadam obok niego.

– Uwielbiam tę pogodę – mamrocze. – Uwielbiam deszcz.

Spoglądam na ścianę deszczu gnanego porywami wiatru. Wszystko zdaje się otaczać połyskliwa szarobrązowa mgielka.

– Ja nie – stwierdzam. – Ani trochę. Za śniegiem też nie przepadam.

– Chyba nie za bardzo dogadujesz się z Matką Naturą, co?

Przypominam sobie czasy, kiedy zdarzało się, że Evan, Dump i ja tkwiliśmy na ulicy w deszczu, nie mogąc znaleźć schronienia. Jak to było, kiedy staliśmy w ulewie, tuląc się do siebie, coraz bardziej mokrzy, wiedząc, że od wilgoci na naszych brudnych, mokrych skarpetkach wyrosnie grzyb, że pewnie czeka nas długa choroba, kiedy wydawało się, że już nigdy nie wyschniemy.

– Przez pewien czas żyłam na ulicy – wyznaję, zaskakując samą siebie. – Zanim tu przyjechałam. Nie jest fajnie, kiedy leje i nie ma się dokąd pójść.

Czuję na sobie jego wzrok. Przez chwilę milczy, w końcu mówi:

– Przykro to słyszeć, Charlie. To musiało być okropne.

– Było.

W gardle rośnie mi gęsia skórka. Szczypię się w udo, żeby nie wybuchnąć płaczem. W pewien sposób poczułam się lepiej, kiedy to powiedziałam. Kiedy mu to wyjawiałam. Wiem, że ze wszystkich ludzi, których tu dotąd poznałam, on najlepiej potrafi zrozumieć, co to znaczy

spierdolić sobie życie, zagubić się.

Gasi papieros w popielniczce, wyciąga rękę i dotyka mojej dłoni.

– Wciąż jesteś przemarznięta. – Palcami rozciera moją skórę, potem wstaje i podaje mi rękę. – Wracamy do środka. Ten koc na sofie? Jest najlepszy, mówię ci. Owiń się, a ja zrobię herbatę. – Uśmiecha się. – Okej?

Przez chwilę patrzę na jego dłoń, w końcu ją przyjmuję.

– Okej.

W PIERWSZEJ CHWILI UZNAJĘ, ŻE TO PUKANIE na pewno dotyczy drzwi do innego mieszkania, może do Manny'ego na końcu korytarza, którego matka, Karen, często wraca o najdziwniejszych porach, obładowana puszkami piwa Coors Light i DVD z *Zagubionymi*, które potem oglądają ciurkiem, popijając piwo i zagryzając popcornem z mikrofalówki. Karen zawsze puka mocno, nieustępliwie, ponieważ Manny zwykle przysypia, kiedy ona dopiero kończy zmianę w Village Inn i wraca do domu taksówką. Zazwyczaj jest ostatnią klientką w alkoholowym, pojawia się, kiedy już zamykają i opuszczają kraty. Słyszę przez okno, jak błaga i jęczy, i oferuje im kasę, którą zarabiała przez cały wieczór, wyciągając wilgotne banknoty spod szklanek z whisky i resztek grillowanego sera. Wiem o tym, ponieważ czasami Karen z płaczem opowiada Manny'emu, jak to musi pracować na taką późną zmianę, znosić złośliwe bachory z college'u i pijanych klubowiczów. Manny pociesza mamusię i podgrzewa w mikrofalce kubek kawy, by przygotować organizm do dalszego picia. Manny i jego mama to chyba najgłośniejsi mieszkańcy tego budynku.

Marszczę brwi nad szkicownikiem. Do mojego pokoju wchodzi do tej pory tylko Mikey i Leonard – raz, żeby odetkać zlew. Siedzę w samym T-shircie i bieliźnie, bo w pokoju jest strasznie gorąco, mimo że chodzi wiatrak, który kupiłam w Goodwill. Wciążam ogrodniczki.

Otwieram drzwi. Serce przyspiesza. To Riley, stoi oparty o framugę, za jego plecami rozlewa się ciemność wypełniająca korytarz. Kołysze plastikową torbą zwisającą z jednej dłoni.

– Jakie to uroczę – mówi – że twoja twarz różowieje, kiedy tylko zjawiam się w pobliżu.

– Co ty tu robisz? – Nawet nie próbuję ukryć wkurzenia w moim głosie, chociaż nie wiem na pewno, czy jestem wkurzona na niego za to, co powiedział, czy na siebie za to, że faktycznie się przy nim rumienię.

– Widzę, że po domu nosisz krótki rękaw – ciągnie, jakby mnie nie słuchał. – Zaprosisz mnie wreszcie? – Od kilku dni był w pracy bardzo cichy, dziwnie cichy.

Wącham powietrze wokół niego.

– Jesteś pijany?

– Przyniosłem prezent. – Kołysze torbą na końcu palca.

Mam sucho w ustach. Jego oczy błyszczą, wygląda na szczęśliwego. Myślę: wszystko będzie prostsze, jeśli nie wejdzie do tego pokoju. Ponieważ tonę w jego uszczęśliwionych oczach, przypominam sobie, jaki był dla mnie miły tamtego dnia, kiedy łało, jak przyjemnie rozmawiało nam się na ganku, przypominam sobie ciepło jego dłoni w mojej.

A on delikatnie wymija mnie i rzuca torbę na fotel.

– Zawsze siedzisz po ciemku, Dziwna Dziewczyno? – Próbuje włączyć lampę, ale ta robi tylko „klik klik”.

– Skończyły mi się żarówki, a za mało zarabiam, żeby kupić nowe – mówię ponuro. – Wystarczy światło latarni i światła ze sklepu po drugiej stronie ulicy.

Pada na materac, zrzuca buty i zakłada ręce za głowę.

– Otwórz prezenty. – Wskazuje torbę, jego oczy błyszczą. – Tam są.

Rzucam w niego torbę. Śmieje się, grzebie w środku. Wyjmuje wyblakły zielony T-shirt z napisem M*A*S*H.

– Wiem, że wy, młodzi, lubicie ironię i tak dalej. – Kładzie T-shirt na łóżku i odsuwa torbę na bok. – Nieważne. Piłem w Tap Room i chyba zgubiłem klucze w drodze do domu. Nie mogę dostać się do środka. Okna też nie mogę wybić, bo są kurewsko drogie. – Urywa. – Szukałem wszędzie na zasranej ulicy, ale jest ciemno jak w dupie. Nie widzę za dobrze w ciemnościach.

Układa się na boku.

Klękam i rozkładam T-shirt.

– Za mały – kłamię.

– Gównu prawda – mówi Riley. – Podoba ci się i będzie pasował idealnie. Miałem dość czasu, żeby ocenić twój rozmiar, patrzę na twoje plecy przez cztery dni w tygodniu. – Urywa i zaraz podejmuje: – Nie różnimy się od siebie tak bardzo. Przyniosłem ci coś jeszcze.

W torbie jest jeszcze kilka koszulek, a pod spodem wyczuwam płaski brzeg kartonu. W słabym świetle przysuwam kartkę do twarzy. Rudowłosa kobieta z chmurkami różu na policzkach. Twarz ma do połowy skrytą w cieniu, jedno ogromne ciemne oko patrzy prosto na mnie. *Żona artysty, 1634.*

– Widziałem, jak oglądałaś książki w bibliotece. Jakiś czas temu. Znalazłem tę pocztówkę w sklepie ze starociami na Dwudziestej Drugiej. Pomyślałem, że macie takie same oczy. Niespokojne, smutne.

Smuga światła latarni przecina jego policzek. Widział mnie w bibliotece? Ścisza mnie w żołądku.

– Co... co robiłeś w bibliotece? Czemu się nie przywitałeś?

– Czytałem, rozumiesz. A ty oglądałaś ogromne albumy ze sztuką, jakby cały świat dokoła nie istniał. Wyglądałaś na szczęśliwą.

Przykłada palec do mojej nogi, robi kółka na dzinsie. Palec kołuje, kołuje, potem posuwa się do góry, aż dociera do szelek. Wstrzymuję oddech.

Zagryzam policzek od środka, cieszę się, że jest ciemno, że światło latarni ledwo pozwala mi go widzieć.

Louisa powiedziała, że nikt nie pokocha nas w normalny sposób, ale ja jestem człowiekiem i pragnę, by ktoś mnie dotykał.

– Pewnie masz w sobie milion historii – mówi miękko.

Siada. W kącikach oczu ma delikatne zmarszczki. Czuję resztki mocnego alkoholu – burbon? – coś ostrego i głębokiego w jego oddechu. Prąd przenika moje nogi, mój brzuch.

– Jestem chodzącą kliszą – mówi.

Potem odpina szelki ogrodniczków, paski opadają z cichym „klank”. Ujmuje moje ramiona, obraca, jego palce biegają w dół i w górę wzdłuż rzek i żlebów na mojej skórze. Tonę i nawet nie próbuję utrzymać się na powierzchni, bo chcę się zanurzyć i opadać coraz niżej.

– Nie zrobię ci krzywdy – zapewnia, muskając moją szyję wargami. – Rozumiemy się, prawda?

Popycha mnie na materac, ściąga ze mnie ogrodniczki, odsłaniając ślady na udach, podobne do szczebli drabiny. Przeciąga po nich kciukami, jakby próbował struny gitary, swobodnie i bez lęku.

To się naprawdę dzieje, a ja nie próbuję tego powstrzymać. Kolejna zasada znika, kolejna zasada z listy Casper, wkrótce zniknie wszystko, co jej dotyczy. Zasłaniam twarz rękami, słucham, jak oddech odbija się od ich powierzchni.

A potem on przesuwa ręce wyżej, zatrzymuje je na brzuchu, na tkaninie bluzki, ale zaraz

potem wsuwa pod jej spód tak nagle, że mój oddech przyspiesza. Kciukami muska moje piersi.

Siłą przyciągam jego głowę, tak bardzo pragnę poczuć jego usta na swoich wargach. Nie przeszkadza mi smak jego ust, zapach papierosów we włosach i na skórze. Pod powiekami widzę błękit i pomarańcz. Dłoni ściska moją talię, po chwili wędrują wzdłuż nóg, po wewnętrznej stronie ud. Ledwo czuję ciężar Riley, wydaje się lekki, jakby dopasowany do kształtu moich kości. Kładę dłonie na jego spodniach, eksperymentalnie wkładam kilka palców między pasek a skórę, ale on odpycha moje dłonie, wtula twarz w moją szyję, wsuwa mi palce w majtki, między nogi, we mnie.

– Nie, nie – mówię, a on się odsuwa.

– Chcesz, żebym przestał?

– Nie, nie – powtarzam, łykając wielkie hausty powietrza, ponieważ wcale nie chcę, żeby przestał, tylko chcę i wszystko we mnie strasznie się płacze. Kiedy próbuję rozpiąć mu spodnie, powstrzymuje mnie.

– Nie, tylko to, pozwól mi.

Rozumiem, że jest zbyt pijany, ale wewnętrzna strona moich powiek płonie, wybucha w czerwieni i czerni, nie potrafię powstrzymać tego, co się ze mną dzieje. Riley śmieje się miękko tuż przy mojej szyi, kiedy przechodzi mnie drżenie. Słyszemy, jak w głębi korytarza Kate wrzeszczy: „Jack! Jack!”.

Kiedy się budzę, Riley przegląda portrety w moim szkicowniku. Nie komentuje, tylko uśmiecha się do mnie, a jego uśmiech przepływa przez moje ciało wraz z krwią, wywołuje ból. Riley kładzie się na mnie.

– W nocy byłem pijany, ale już nie jestem – mówi.

A ja czuję wstyd, ponieważ jesteśmy teraz w pełnym świetle, już nie ma ciemności, jestem cała widoczna. Ale to zaraz znika.

Wstajemy i ubieramy się bez słowa. Moje ciało wydaje się zamazane, umysł zamglony i zdezorientowany. Jak para kupujemy kawę w czystej, tętniącej życiem i pełnej paprotek kawiarni przy Congress Street, tak niepodobnej do True Grit o brudnych ścianach, z poznaczoną koronką odcisków palców gablotą na ciasta. Riley, jakby był moim chłopakiem, kupuje mi czekoladową kawę z bitą śmietaną i posypką.

Nigdy nie miałam chłopaka. Byli różni chłopcy w garażach, ale to nie miało znaczenia. Mam prawie osiemnaście lat i do tej chwili żaden chłopak nie kupił mi nic czekoladowego.

Szukając kluczy, przemierzamy chodniki między jego domem a hotelem Congress, gdzie znajduje się Tap Room Bar. Hotelowe lobby to lśniące, słoneczne miejsce ze skózanymi kanapami i punkową atmosferą. Całą ścianę zdobi ogromny malunek przedstawiający piękną, apetyczną blondynkę w dżinsowych szortach, wymachującą biczem. Riley pokazuje mi przylegającą do lobby główną salę Klubu Congress, małą kwadratową czarną scenę z czerwonymi kurtynami i długim staromodnym barem w tylnej części pomieszczenia. Patrzy przez minutę na scenę i mruczy:

– Raz graliśmy tu jako support przed Johnem Doe.

Nie wiem, kto to jest. Riley zdaje się pogrążony we własnym świecie, muszę mu przypomnieć, że zaraz powinniśmy być w pracy.

Z sali klubowej przechodzi się do baru Tap Room. Za oknem widzę puste proste pomieszczenie, z wysokimi stołkami, szafą grającą, amatorskimi obrazkami z motywami kowbojskimi na ścianach wyklejonych starą tapetą, i rząd podniszczonych czerwonych boksów.

Klucze leżą, połyskując w porannym słońcu, w najzwyczajniejszym z miejsc: u stóp znaku stop. Na breloczku widnieje napis „Islandia”.

– Zatrzymaliśmy się tam kiedyś na przerwę w trasie. Najładniejsze miejsce, jakie w życiu

widziałem – mówi. – Podróżujesz?

Islandia. Był na Islandii. Ciekawe, co Ellis by mu powiedziała. Paryż, Londyn, Islandia, gdziekolwiek.

– Tutaj – odpowiadam. – Przyjechałam tutaj.

To wywołuje u niego uśmiech.

Po drodze do pracy pali i daje mi machy, a ja zaciągam się, nie poświęcając temu nawet chwili zastanowienia. Rozdzielamy się jak zwykle przecnicę wcześniej, wchodzę pierwsza, posyłam Linus ostrożny uśmiech. Opróżniam termosy, wkładam je do zmywarki, odstawiam na kontuar. Drzwi siatkowe otwierają się z trzaskiem, Riley rzuca bez troski: „cześć”, podchodzi do telefonu i odsłuchuje wiadomości z minionego wieczoru, zapisując informacje dla Julie. Rozpala grill, wrzuca frytki, polewa je masłem i olejem, przesuwając łyżką. Robi sobie espresso, przynosi mi kawę, pyta o coś Linus.

Zawiązuję fartuch, słuchając dzwignienia dzwonka przy drzwiach, który oznajmia pierwszych klientów. Para sączy się ze zmywarki, ale dzisiaj nie jest mi tak gorąco, jak zwykle, ponieważ mam na sobie sprany zielony T-shirt z krótkim rękawem i napisem M*A*S*H.

Odwracam się ze stosem spodków w dłoniach. Riley sączy espresso, patrzy na mnie. Znowu przenika mnie silny prąd. Przebłyski z ostatniej nocy, jego usta i dłonie, wciąż czuję jego oddech na szyi.

Chwytam spodki w ostatniej chwili, zanim wysuną się pomiędzy moich palców. Riley uśmiecha się szeroko.

Przez cały dzień czuję ukradkowe spojrzenia na swoich ramionach, słyszę szepty wśród kelnerów, ale mam też świadomość, że Riley nad wszystkim czuwa, posyła milczące surowe spojrzenia, znacząco unosi brwi. Specjalnie gawędzi ze mną od czasu do czasu, rzuca żarciki, włącza mnie do rozmów z ekipą. Jakby rozciągał wokół mnie powłokę ochronną, której bardzo potrzebuję.

CZEKAM NA NIEGO W SWOIM CIEMNYM POKOJU, świeżo po kąpieli, skóra wciąż gorąca, on jednak się nie zjawia. Słucham głosów facetów pijących na ganku, dalekich dźwięków kapeli kończącej koncert w Klubie Congress, ale nikt nie puka do moich drzwi. Czekam, aż moje wnętrze małego nie eksplodują, aż czuję się jak masa ognia, żar wycieka z moich porów, w końcu ubieram się, wsiadam na cytrynowy rower i jadę do niego.

Otwiera drzwi, na mój widok opiera łokieć na dłoni, dym z papierosa sennie unosi się w powietrze.

– Gdzie byłeś? – pyta. Schrypnięty głos, rozbawione oczy. A potem bierze mnie za rękę i prowadzi do środka.

OCZYWIŚCIE ZNÓW SIĘ ZACZYNA. Przez chwilę był spokój i myślałam już, że teraz, skoro jesteśmy razem, nie będę musiała więcej tego robić, teraz by mnie nie poprosił, prawda? Wszystko jest nie tak. Dostrzegam to. Rozumiem. Widziałam parę filmów. Wiem, że chłopak powinien przyjeżdżać po ciebie do domu samochodem, zabierać cię na obiad, kupować kwiaty, takie tam, a nie kazać ci czekać, czekać, czekać w obskurnym mieszkanku, aż twoje ciało już dłużej nie wytrzyma, a ty wsiadasz na rower i jedziesz do niego pełna wdzięczności, że w ogóle raczy otworzyć drzwi i się uśmiechnąć. Czekam na: „Straciłem poczucie czasu. Hej, właśnie o tobie myślałem”. Tymczasem pyta:

– Czy mogłabyś, czy zechciałabyś skoczyć po towar? Potem możemy pooglądać telewizję albo no wiesz.

Nazywa mnie „swoim nocnym gościem”. Jest jak pustynia: taka piękna, taka ciepła, lecz

pełna ostrych brzegów, których trzeba się wystrzegać. Trzeba wiedzieć, gdzie są. A WIĘC: wiem, że wszystko jest nie tak, jak powinno. Ale być może w mojej sytuacji nie można żądać niczego więcej. Zresztą już za późno – wpadłam po uszy.

ODCHYLAM SIĘ NA SIODEŁKU ROWERU, NASŁUCHUJĘ, w rękę trzymam torbę od Wendy. Każdego wieczoru zatrzymuję się przy tej samej przecznicy, przy tym samym znaku stopu z wyszczerbionym słupkiem, słuchając dźwięków gitary płynących z domu Riley'a. Wiem, że później, kiedy otworzy drzwi, znajdę na podłodze magnetofon i otwarty notes wypełniony niewyraźnymi notatkami, popielniczkę z górą zgniecionych niedopałków. W niektóre wieczory w powietrzu unosi się tylko delikatny, ciepły dźwięk gitary Gibson Hummingbird; Riley nie zawsze śpiewa. Raz w bibliotece sprawdziłam w necie Long Home. Tiger Dean wciąż prowadzi stronę internetową kapeli. Kliknęłam na niektóre utwory, takie jak *Stitcher* i *Charity Case*, wielki solowy numer Riley'a. W pierwszej chwili uwagę przyciągał głos Tigera, mocna mieszanka osobowości i brzmienia, lecz to teksty trzymały wszystko razem, kazały słuchać uważnie, instynktownie wyszukiwać niektóre zdania i słowa. Była jeszcze jedna piosenka, którą Riley śpiewał solo, ballada *Cannon* o facecie, który ma tak złamane serce, że wypada mu ono z piersi i toczy się przez świat, a on podąża jego śladem („A moje serce wyrwało się z piersi/ jak kula/ i potoczyło na dno kanionu/ i zostanę tu/ pusty w te dni wypełnione pustką/ aż powrócisz / i zostaniesz moją żoną”) i wydaje mi się, że efekt jest taki dobry właśnie dlatego, że Riley nie jest profesjonalnym wokalistą. Piosenka zabrzmiała wyjątkowo smutno dzięki temu, że jego głos załamywał się miejscami, drżał, a pod koniec całkiem zanikł.

Na ulicy Riley'a ludzie siedzą na gankach, z piwem czy winem w rękę, również słuchając muzyki, ich twarze są otwarte na dźwięki. Kiedy uda mu się zagrać bezbłędnie, gdy żeglujecie przez utwór od początku do samego końca, to naprawdę niesamowite uczucie przeszywa mnie na wskroś. Twarze sąsiadów promienieją. A kiedy kończy, oni klaszczą tylko na niby, bo nikt nie chce, aby wiedział, że słuchają, nikt nie chce, żeby przestał grać. Wszyscy chodzą wokół niego na paluszkach, cackają się jak z jajkiem.

Ale przestaje grać, kiedy słyszy moje kroki na ganku. Kładzie gibsona na sofie, zbiera papiery, wypija spory łyk piwa, zapala nowego papierosa, bierze ode mnie torbę i znika w łazience.

Kiedy jesteśmy u niego razem, w mieszkaniu naznaczonym jego osobowością, wśród starych książek z pozaginanymi rogami, wypełniających solidną biblioteczkę, wśród płyt ustawionych alfabetycznie na półkach, wygodnej, eleganckiej i wymiętej aksamitnej sofie, przepelnionych popielniczek, myślę, że mogłabym tu zostać: wewnątrz życia, którym ktoś już żyje, osadzonego w miejscu.

NAJPIERW ŚMIEJĄ SIĘ TROCHĘ ZA BARDZO, nerwowo, muszę poczekać, aż się uspokoją, dać im się napić, i dopiero wtedy mogę zacząć.

Światło dnia zanika, lecz na ganku jest wystarczająco jasno, bym mogła ich rysować. Są tam Hector mieszkający pod 1D, Manny i Karen, jego matka. Chyba przywykli do tego, że ludzie się na nich gapią, a nie, że na nich patrzą. Karen wierci się na zardzewiałym metalowym krześle, bawi się palcami. Manny siedzi na stopniach, oparty plecami o balustradę.

– Taa – stwierdza w końcu. – Czemu nie, co, mamuśka?

Przyglądam się liniom i załamaniom na ich twarzach, pracuję szybko, rozcieram węgiel, zdmuchuję szary pył.

– Twój wielki romans – mówi do mnie Karen. – Musisz opowiedzieć.

– Mmmm. Nie bardzo jest o czym gadać – odpowiadam.

Karen potrząsa głową, mówi:

– Faceci są czasem tacy trudni.

Manny jest podenerwowany, wpatruje się brązowymi oczami w moją twarz. Wlewa piwo przez zaciśnięte zęby, opowiada, że jego praca polega głównie na tym, że inni ludzie nie stawiają się do pracy.

Każdego dnia on, Hector i jeszcze kilku gości z naszego budynku czekają na rozgrzanym rogu ulicy w śródmieściu, razem z całą masą innych mężczyzn. Furgonetki przejeżdżają powoli, szukając robotników na dniówkę, do podlewania ogrodów przy domach ludzi mieszkających wysoko na wzgórzach po północnej stronie, przycinania żywopłotów, kopania dołów pod nowe baseny i wykładane kafelkami jacuzzi.

– W jednym miejscu – odzywa się bełkotliwie Hector, pochylając się, wyłamując z pozy, którą do tej pory tak pilnie utrzymywał – były kafelki ułożone w kształt twarzy jego żony, rozumiesz? Jej portret pod wodą. Będzie musiała pływać po własnej twarzy. – Spluwa na ganek, zerkając na Karen, która marszczy brwi.

– Dzięki nam to miasto działa, a oni chcą zepchnąć nas poza jego granice. Zbudować jakiś zasrany mur – mówi Manny.

Po wszystkim podają sobie szkicownik, nabożnie trzymają go w dłoniach. Są zadowoleni, że wreszcie siebie ujrzeli, tak jak Evan, kiedy zobaczył się w moim komiksie. Ich szczęście napelnia moje wnętrze.

WŁAŚNIE WYCIERAM STOLIKI, KIEDY STOJĄCY przy kontuarze mężczyzna pstryka na mnie palcami.

– Można prosić? – Uporczywie stuka palcami w kontuar.

Wszyscy gdzieś sobie poszli, więc przyrządzam mu cappuccino, ostrożnie nalewam jedwabistą piankę na espresso w kubku na wynos. Nigdy tego nie robiłam, ale napatrzyłam się wystarczająco na Linus przy pracy. Czuję przyjemny dreszczyk. Mężczyzna podaje mi pieniądze, a ja podliczam go na kasie, co również robię w True Grit po raz pierwszy. Pracowałam kiedyś trochę w sklepie koleżanki mamy, więc pamiętam podstawy obsługi kasy. Dzwonek nad drzwiami oznajmia, że mężczyzna wyszedł.

– Charlie, co ty wyprawiasz?

To Julie, brwi ma groźnie ściągnięte.

Spoglądam na wysuniętą szufladkę, kieszonki z banknotami i bilonem.

– Nic. Tamten gość kupił kawę. – Wskazuję na drzwi, ale jego już nie ma. W kawiarni jest pusto.

Julie sięga ponad moim ramieniem i zatrząskuje szufladę, o mało nie obcinając mi przy tym palców. Podskakuję w miejscu, zaskoczona jej gniewem.

– Gdzie są wszyscy? Obsługiwanie klientów nie należy do twoich obowiązków.

Pojawia się Riley, podsuwa kubek pod dzióbek termosu, na twarzy ma szeroki uśmiech.

– Co tam, Jules?

Głos Julie jest wysoki i napięty.

– Riley. Czy ja ci płacę za to, żebyś się upijał i wlewał w siebie litry kawy? Nie. Tym możesz się zajmować, kiedy odbijesz kartę. Mam serdecznie dosyć tego, że mnie wykorzystujesz. Powinieneś nadzorować to, co się dzieje. Ona nie powinna stać przy kasie. I tak od dawna mamy braki.

Spanikowana, wyrzucam z siebie:

– Ja nie wzięłam żadnych pieniędzy. Nie zrobiłabym czegoś takiego. – Nie podoba mi się, że moja twarz czerwienieje, kiedy wypowiadam te słowa. Wyglądam jak winowajczyni,

a przecież nie postąpiłabym w ten sposób wobec Riley'a ani Julie. – Przepraszam. Nikogo z obsługi nie było, myślałam, że robię dobrze.

– Nikt nie twierdzi, że wzięłaś jakieś pieniądze, Charlie. Jules wcale tak nie powiedziała, prawda, Jules? – Riley spokojnie sączy kawę, bacznie przyglądając się twarzy siostry. Na mnie nie patrzy.

Julie potrząsa głową.

– Czemu to robisz? Czemu zawsze podważasz... – Nagle urywa, lęk przemyka po jej twarzy. – Co to jest? Co ty... Nie wiedziałam, że to aż tak... Jezu, nie możesz się tak pokazywać.

Macha nad bliznami, które widoczne są na moich odsłoniętych rękach, nie odrywając od nich wzroku. Robię krok w tył, instynktownie chowam ramiona za plecami. Wpadam na gablotkę z ciastem.

– Charlie, tu przychodzą ludzie, którzy próbują się leczyć. Siostry, Charlie. – W głosie Jules pobrzmiwa desperacja.

Jeszcze nigdy nie widziałam, żeby zachowywała się w ten sposób; chyba nie chodzi tylko o mnie i moje ramiona.

Siostry przychodzą w każdy wtorek i czwartek, zsuwają stoliki, otwierają zeszyty i piszą. Cicho popłakują, masując sobie nawzajem plecy. Piją herbatki owocowe i noszą luźne, ręcznie szyte szaty. Mają przyklepane, matowe włosy i jedzą za dużo karobowych brownie i cytrynowych muffinek z makiem. Linus wspominała, że należały do jakiejś sekty na granicy Arizony z Nowym Meksykiem.

– Jezu, Jules, czy ty w ogóle siebie słyszysz? – Głos Riley'a nagle nabiera ostrego brzmienia. Przysuwa w moją stronę plastikowy koszyk na brudne naczynia i każe mi dokończyć pracę.

Nie ruszam się. Zastygłam w miejscu, przyklejona do gabloty.

Julie znów obraca się w moją stronę.

– Nie życzę sobie, żebyś nosiła krótkie rękawy, jasne, Charlie? Wiem, że jest gorąco, naprawimy klimatyzator, ale taki widok to czynnik spustowy, rozumiesz? Nie mogę stracić klientów, którzy nam jeszcze zostali. – Głos jej się łamie. – Tu nie ma ani jednego, kurwa, klienta, Riley. Gdzie te tłumy, które niedawno mieliśmy w porze lunchu? – Chowa twarz w dłoniach.

Riley poklepuje ją po ramieniu, a ja wymijam ich i wracam do zmywarki. Słyszę, jak szepczą, ale nie rozpoznaję słów. Po chwili Riley wraca, unika mojego wzroku.

– Powiedziałem, że wszyscy patrzą tylko na twoją śliczną twarz, ale przechodzi teraz dziwny etap, rozumiesz, więc może faktycznie włoż jutro długi rękaw. Niech tak chwilowo zostanie, okej?

Czuję potworne rozczarowanie. Myślałam, że się za mną wstawi. Patrzę na niego. Odwraca wzrok.

– Riley – szepczę – co to za pieniądze zginęły? O czym ona mówiła?

Krzywi się, drżącymi palcami kładzie cebulę na desce do krojenia.

– Nie zwracaj sobie tym głowy.

– Ja nie wzięłam żadnych pieniędzy. Nie chcę, żeby ona tak myślała.

– Wszystko będzie dobrze, jasne? Zajmę się tym. – Odwraca się w stronę grilla i zaczyna zeszkrobywać tłuszcz w wydłużone pagórki karmelowego koloru.

„Sprzedał cię, słonko”, w moich uszach rozbrzmiewa głos Evana. Odpycham go jednak, ponieważ nie chcę w to wierzyć.

RANO KTOŚ WOŁA RILEYA PO IMIENIU. Przekręcam się, patrzę na jego twarz, jest blada i nieruchoma. Lekko dotykam jego ramienia. Rozlega się dźwięk kroków okrążających dom, a po chwili ktoś puka w uchylone okno. Riley gwałtownie otwiera oczy. Jego twarz ma szary odcień, oczy są przekrwione. Kiedy przyszedłem wieczorem, leżał w łazience twarzą do podłogi. Najpierw się przeraziłem, ale zaraz stwierdziłem, że tylko zemdłał. Trochę potrwało, zanim zdołałam zaciągnąć go do sypialni, a jeszcze dłużej, nim podniosłam go i ułożyłam na łóżku.

Przytyka palec do ust i zakrywa mnie prześcieradłem. Materac jęczy, kiedy Riley przeczołguje się do okna. Otwiera je.

– O, hej. To ty. – Głos ma bezbarwny, czujny.

W głosie, który odpowiada, pobrzmiewa rozbawienie.

– No, no. Widzę, że wróciłeś do dawnych zwyczajów. Kogo tam chowasz?

– Nie twój interes. – odpowiada Riley.

– No dalej, daj popatrzeć. Podobała mi się ta ostatnia, którą wywaliłeś. Tak bardzo, że też się z nią ożeniłem. – Stłumiony śmiech.

Serce podskakuje mi w piersi. Riley miał żonę? Oddech zamiera mi w gardle.

– Czego chcesz? – Brzmi to jak kaszlnięcie.

Riley jest wściekły, słyszę to. Przez wyblakłe prześcieradło sączy się blask słońca. Trochę trudno mi oddychać. Zastanawiam się, czy Riley się mnie wstydzi, nie chce, żeby kumpel mnie zobaczył.

– Luis Alvarez ma raka trzustki.

Ciało Riley'a sztywnieje.

– Chyba, kurwa, żartujesz? – Gwałtownie wciąga powietrze. – Kilka tygodni temu pożyczył mi samochód. Mówił, że nie czuje się zbyt dobrze, nie idzie tego dnia do pracy.

– To nie żart. – Teraz głos brzmi łagodniej. – Już za późno. Zbyt poważna sprawa. – Po chwili: – Posłuchaj. Organizuję koncert w Klubie Congress dla jego żony i dzieciaków. Będą potrzebować kasy. Najpierw myślałem o Rialto, ale Congress będzie lepszy. Dopiero gdzieś jesienią. Cały dzień, bez ograniczeń wiekowych, alkohol za okazaniem dowodu, może jakieś sceny na powietrzu. Pewnie trzeba będzie znaleźć lokalnych dystrybutorów, żeby zapłacili, ale chyba wszyscy znali Luisa, więc raczej łatwo pójdzie.

– O kurwa, co za kanał. – Riley milknie na chwilę, potem dodaje: – Taki porządny gość.

– Aha. – Cisza. – No, daj popatrzeć, co? – Prześcieradło lekko się porusza.

– Spierdalaj. A tak w ogóle czego chcesz?

– Wieść gminna niesie, że dajesz sąsiadom nocne koncerty, a wykonanie jest całkiem niezłe. Pomyślałem: Riley West wrócił do gry? To by przyciągnęło trochę ludzi. Szczególnie spragnionych widoku nieuniknionej katastrofy na scenie.

– Pierdol się.

– No, no. To dla Luisa. Kiedyś bardzo nam pomógł. – Głos jest cichy, niemal błagalny. – Dasz radę, Riley. Wiem, że tak.

– Tiger – wzdycha Riley – nie gram od prawie dwóch lat.

Leżę tak cicho, jak tylko potrafię, nie chcę przegapić ani słowa.

– To dla Luisa. Gość jest, kurwa, chory. Mnóstwo ludzi już się zgłosiło. Holds-Outs, Slow Thump, Cat Foley, California Widows, Hitler's Niece, Swing Train, Eight-Men-On, a będzie więcej, obiecuję.

Zapada milczenie. Wreszcie Riley się zgadza.

– Bardzo ładnie. A nagrałeś coś z nowych rzeczy? Bardzo chciałbym posłuchać, co stworzył Riley West.

Riley zsuwa się z łóżka. Słyszę, jak przechodzi na drugą stronę pokoju, wkłada dzinsy i mruczy, że zaraz wróci.

Prześcieradło powoli się odsuwa. Tiger Dean wciąż ma czarne włosy, tak jak na okładce albumu, ale już nie są tak starannie zakręcone nad czołem. Są krótkie, porządnie wyszczotkowane i zaczynają się przerzedzać. Kiedy w sieci sprawdzałam Rileyę i Long Home, znalazłam też stronę Tigera Deana. Było na niej napisane, że Tiger Dean nadal tworzy muzykę z miejscowymi zespołami, występuje na zamkniętych imprezach, poza tym służy umiejętnościami w zakresie grafiki użytkowej. Zdjęcie przedstawiało go siedzącego za biurkiem, z jedną dłonią na klawiaturze, a drugą na gryfie czerwonej gitary elektrycznej.

– Hejka. – Po twarzy Tigera Deana przemyka uśmiech.

Nie ufam mu. Przypomina jednego z tych zbyt fajniastych chłopaków w liceum, którzy zawsze przechadzali się po korytarzach, nonszalancko waląc kujanów po głowach. Tiger Dean przechyla się mocniej do środka. Ma na sobie marynarkę z czerwonego sztruksu.

Siadam, skopując prześcieradło. Jestem ubrana w brudną dżersejową koszulkę, na której widnieją plamy po wczorajszej zmianie, oraz parę starych spodni piżamowych Rileyę, zwiniętych w pasie. W ustach czuję smak papierosów. Kiedy już wciągnęłam Rileyę na łóżko, poszłam do łazienki i wypaliłam jednego z jego papierosów, strząsając popiół do zlewu. Dopiliśmy piwo, które pewnie otworzył na chwilę, zanim zemdlął. Puszka stała na brzegu wanny.

– Co robisz z tą małą punkową?! – woła Tiger do Rileyę, opierając się o ramę okienną. – Po co tracisz czas?

W nocy siedziałam na sedesie, pijąc i paląc, i myśląc o tym, że właśnie musiałam wciągnąć do łóżka mojego nieprzytomnego chłopaka, który być może wcale nie uważa mnie za swoją dziewczynę. O tym, że biegam po drągi dla niego, że robię to wszystko, a w zamian nie dostaję nic – co najwyżej jego dłoń na moim policzku, kiedy jest trzeźwy. Potem dokończyłam piwo, wróciłam do sypialni i podeszłam do łóżka, uważnie oglądając deski podłogowe, szukając lekkiej przerwy, która nie umknęła mojej uwagi, i kiedy ją znalazłam, mocno uderzyłam obcasem w podłogę. Kawałek deski odskoczył i proszę: zestaw Rileyę, niewielkie pudełko z drewna wiśniowego, kryjące wszystko, czego potrzebuje. Wszystko, czego potrzebuje zamiast mnie.

Ale nie zamierzam mówić o tym Tigerowi Deanowi.

Wbijam w niego twarde spojrzenie, po czym powoli, bardzo powoli unoszę środkowy palec.

Zaskoczony, marszczy brwi.

– O rany. – Jego spojrzenie przeskakuje na blizny, nie próbuję ich chować. – To się dobrali – mruczy. – Razem bawią się w pojebane gierki.

Riley wraca z piwem. Krzywię się. Jeśli zacznie tak wcześnie, zapowiada się długi i niepewny dzień. Rzuca CD przez okno, a Tiger Dean łapie je swobodnie i wsadza za marynarkę. Riley wchodzi do łóżka, umieszcza butelkę między kolanami. Wodzi spojrzeniem od Tigera do mnie.

– Nie mogłeś sobie darować, co?

Tiger od niechcenia dotyka okularów przeciwsłonecznych, ściągniętych na środek głowy. Opadają na nos.

– Zawsze miałeś interesujący gust. Chciałem się upewnić, że jesteś konsekwentny.

– *Adios.*

– Ta wydaje się trochę za młoda. Nieco zbyt ordynarna jak na

mój gust.

– *Vete a la chingada.*

– Uf. – Tiger kiwa głową w moją stronę. – Założę się, że gdybyś знаła jego prawdziwe nazwisko, natychmiast byś stąd spierdalała. Brzmi...

Riley zaczyna zamykać okno, nie zważając na paluchy Tigera, a on się śmieje.

– Będziemy w kontakcie. A, Riley – dodaje przez szybę, unosząc okulary – błagam, postaraj się opóźnić nieuniknione załamanie Riley Westa, tak żeby wypadło na koncercie. Chcemy przyciągnąć publiczność jak za dawnych dobrych czasów.

Riley zamyka okno. Nim zdąży wrócić do łóżka, prychnam i pytam:

– Miałaś żonę?

Patrzy na mnie spokojnie, bez mrugnięcia.

– Aha.

– Śmierć nas nie rozłączy i tak dalej? Obrączki, kościół, te sprawy?

– Zdarza się. Facet poznaje dziewczynę, całują się, on kupuje pierścionek zaręczynowy, pobierają się w Las Vegas w przerwie podczas trasy. A potem bum. Wszystko się pierdoli, dziewczyna zostawia faceta dla głównego wokalisty. Koniec. – Riley bierze potężny łyk piwa.

– Jak się pierdoli?

Riley przesuwa palcem wzdłuż szyjki butelki. Ma brudne paznokcie.

– Ja. Ja spierdoliłem. Wszystko.

– Czy... czasem ją widzisz? – Serce mi wali. Mdli mnie. – Jak ma na imię? – Właściwie nie wiem, dlaczego mnie to interesuje, ale interesuje. Jakby układanka na temat Riley nagle się rozleciała, a w moje dłonie wpadły nowe elementy.

Na jego twarzy pojawia się uśmiech.

– Jesteś zazdrosna, Dziwna Dziewczyno? Nie masz powodu. Nie, nigdy się nie widzimy. Mieszkają w ładnym domu u stóp wzgórz. Mają dziecko i tak dalej.

– Jak jej na imię?

– Charlie...

– Powiedz.

– Ma na imię Marisa.

Marisa. Szumi mi w głowie. Ma-ri-sa. Imię ślicznej dziewczyny. Delikatne rysy, założę się. Widzę to. Widzę, jak Riley zakochuje się w dziewczynie, której całe ciało świadczy o delikatności.

Zaciskam powieki, żeby nie zobaczył łez.

– O nie, nie zaczynaj. – Daje mi żartobliwego kuksańca łokciem. – Zanim cię poznałem, miałem już jakieś życie, Charlie. Jestem starszy od ciebie. Robiłem różne głupie rzeczy. Nawet zakochałem się i ożeniłem. Nie ma się czym przejmować.

Odpycham jego łokieć, pytam:

– Zmieniłeś nazwisko?

Śmieje się.

– Aha. Nie wiedziałaś? W kapeli wszyscy używaliśmy nazwiska West. Tiger twierdził, że tak będzie fajnie. Teraz posługuje się prawdziwym nazwiskiem.

– A Riley?

– O, towarzyszy mi od zawsze. Od dzieciństwa. Zawsze byłem głupim gnojkiem, w taki czy inny sposób. Mój tata mawiał: „Myślisz, że kim ty jesteś? Riley?”. No wiesz, jak ten bogaty nierób z tej starej audycji radiowej. Głupie. Ale do mnie przyłgnęło.

– Uhm. To jak się naprawdę nazywasz?

– Naprawdę nazywam się Riley West, bo nim właśnie teraz jestem. – Zamyka oczy,

ziewa. – Koniec pytań, dobra? Egzamin skończony. Proszę odłożyć długopisy i zostawić zeszyty na biurku.

W przyplýwie frustracji mówię:

– Mogę spytać Julie. – Kolejny fragment układanki.

Riley dopija piwo, stawia butelkę na podłodze przy łózk. Oplata mnie ramionami, chowa twarz pod moją koszulkę.

– Nie powie ci. Nigdy w życiu.

Liże mój pępek.

– Lubię w tobie to, że nie prosisz o zbyt wiele. Nie prosisz o więcej niż tyle, ile potrzebujesz. Wiesz, jaka to ulga, że mnie nie dręczysz?

A potem zajmuje moją uwagę na tyle, że zapominam, by spytać Julie o jego prawdziwe nazwisko i była żonę, i o pudełko schowane pod deską podłogową, i o moje niewielkie potrzeby.

SIERPIEŃ STAJE SIĘ CORAZ BARDZIEJ BRUTALNY. Każdego dnia jest ponad sto stopni, czasem nawet sto dziewięć³, ukrop klei mi się do skóry niczym płonący koc. W moim pokoju nocami nie da się wytrzymać, więc najczęściej, jak tylko mogę, chodzę spać do Riley, a co wieczór idę tam z nadzieją, że go zastanę, bo ma klimatyzator. W te noce, kiedy go nie ma, zapadam w krótkie drzemki z wiatrakiem tuż przy materacu, budzę się co chwila.

Tego ranka oboje zjawiliśmy się wcześniej w pracy. Zajadamy quesadillas, jajka smażone z obu stron i czerwone chili, gdy nagle dzwoni telefon.

Po chwili Riley wraca i pociąga mnie za sobą w głąb ciemnego korytarza o zatłuszczonej podłodze, prowadzącego do biura Julie.

– Linus zachorowała, nie przyjdzie – mówi, zamykając drzwi. Całuje mnie głęboko, wsuwa ręce pod moją bluzkę.

– Riley... – Czuję się niezręcznie.

– Szs. Tanner pojawi się dopiero o siódmej trzydzieści, Julie pojechała do Scottsdale.

Wróci po południu. – Riley siada na sofie i sięga do zapięcia przy moich szelkach. Wargi szczypią nas od chili.

Nie chcę tego robić tu, w biurze Julie, czuję, że to nie w porządku, ale on nalega. Szybko kończymy. Przed wyjściem pocieram sofę, żeby wygładzić wgniecenia.

Riley otwiera drzwi, drugą ręką wpycha koszulkę za pasek brązowych spodni, nagle zatrzymuje się, a ja łąduję twarzą na jego plecach.

W korytarzu stoi zakłopotany Tanner. Ma bardzo dziwną minę, jakby nie wiedział, co myśleć, a ja od razu uświadamiam sobie, że nas słyszał, i twarz czerwienieje mi z zażenowania.

Tanner mruży oczy, jakby zanurzał się w wodzie.

– Przykro mi – szepcze i przesuwa się w bok.

Koło zmywarki do naczyń stoi Julie.

– Odwołał sesję. Wróciłam wczoraj wieczorem. – Jej głos jest lodowaty.

Powietrze wokół nas staje się ciężkie i napięte.

– Sorry, Jules – mówi spokojnie Riley, przemykając obok niej, jakby nigdy nic.

Powolnym krokiem idę na swoje stanowisko, przeciskam się obok niej tak przerażona i zażenowana, że zbiera mi się na mdłości. Ledwo słyszę własne myśli, tak mi wali serce.

Julie spogląda na Riley, schowanego bezpiecznie za wyspą kuchenną. Potem patrzy na talerz z resztkami jedzenia, dwa widelce. A potem na mnie i na otwarte drzwi do biura.

– Umyjcie ręce, oboje, natychmiast! Teraz nie mogę się tym zajmować. Zaraz zaczniesz się ruszać, o ile się zaczniesz. Gdzie jest Linus! – drze się.

– Chora – odpowiada Tanner.

– Jezu, kurwa, Chryste. – Julie rusza w stronę kontuaru.

Riley namydla ręce. Stoimy obok siebie przy zlewie. Wyciąga szyję, patrzy w kierunku Julie i prędko całuje mnie w policzek. Wzrusza ramionami. Przez chwilę myślę, że wszystko się ułoży.

Tego dnia jest ruch w porze śniadaniowej i podczas lunchu. Kiedy robi się luźniej, pomagam Tannerowi sprzątać ze stolików, a Julie podlicza kasę. Liczyła przez cały ranek, podczas gdy Tanner obsługiwał stoliki. Zanosila zamówienia na zaplecze i bez słowa ciskała je na blat. Na mnie nie spojrzała ani razu i zaczęłam się bać.

Kiedy z Tannerem wracamy z koszami pełnymi naczyń, zza zamkniętych drzwi biura słysząc wrzaski Julie.

– O w mordę, to będzie dobre. – Tanner uchyla lodówkę i wyciąga puszkę z zapasów Riley. – To znaczy nie dla ciebie.

– Zamknij się – syczę. Krew odpływa mi z twarzy. Głos Julie przybiera na sile. – To nie jest śmieszne.

Słyszemy strzępy kłótni:

– Dlaczego zawsze podejmujesz najgorsze decyzje?! Od kiedy to, kurwa, trwa?! Czy chociaż pomyślałeś o tym, co kiedyś powiedziała w tym biurze? Czy ona ma osiemnaście lat? Wiesz, co to znaczy? To znaczy gwałt na osobie nieletniej!

Szpetota tych słów jest jak cios. Zaczynam szczytać się w uda przez kieszenie.

Tanner zerka na mnie.

– Masz osiemnaście lat? – Po jego twarzy błąka się rozbawiony uśmiezek.

– Tak – syczę. – Prawie. Za jedenaście dni. – Czuję się tak strasznie zażenowana, że chyba zwymiotuję. Przewraca mi się w żołądku.

– Myślisz, że możesz się pieprzyć w moim biurze?! – wrzeszczy Julie. – Zostawiłeś, kurwa, kondom w moim koszu na śmieci!

Znów krew odpływa mi z twarzy. O Jezu. Nie wiem, czemu w tamtym momencie nie zainteresowałam się, co z nim zrobił. Tanner głośno się śmieje, szczekliwy dźwięk przebija moje serce, ostatnia kropla i tak dalej.

Ściągam fartuch, wrzucam go do zmywarki i włączam ją. Szum wody zagłusza kakofonię w moich uszach. Chwytam plecak i wychodzę.

* * *

Łążę po Goodwill, wszystko widzę jak przez mgłę, nie szukam niczego konkretnego, tylko nie chcę przebywać teraz na zewnątrz ani wracać do domu. Przerzucam tajemnicze kupki rzeczy o nieznanym mi przeznaczeniu: jaskrawoniebieskie pudełka pełne drutów i kabelków, sprężyn i zębatek. Przeglądam nieskończone rzędy podniszczonych winyli. Próbuję utrzymać oczy otwarte, a oddech równy. Szczypię się w przedramiona. Jeśli nawet zostaną siniaki, Riley na pewno o tym nie wspomni, jestem pewna. Wreszcie idę do siebie i czekam na niego.

Zapomniałam przekręcić klucz w zamku. Nie odpowiadam na jego pukanie, a on otwiera drzwi i rusza prosto do lodówki, chociaż chyba tak naprawdę nie szuka niczego do jedzenia.

Zamyka drzwi, opiera się o nie plecami, spogląda na mnie z góry, bo siedzę na podłodze.

– Jadasz tylko w Grit, zgadza się?

Ściska w dłoni papierową torbę, unosi ją do ust, pije. Patrząc na niego, przypominam sobie zaułek za Food Conspiracy, kilka miesięcy temu. Wtedy też stał w takiej pozie, z papierową torbą w dłoni.

Siedzę między wanną a ścianą, jak w norze, już od kilku godzin. To prawda, kupuję

jedzenie tylko wtedy, kiedy muszę. Każdego ranka liczę na to, że Riley pomyli zamówienie i mi je odda: bajgiel z hummusem zamiast serka, omlet z czarnymi oliwkami zamiast zielonej papryki. Albo biorę, co mi daje po zmianie. Nigdy nie wychodzimy jeść. Czasem czekam, aż zaśnie, i starannie wybieram różne rzeczy z jego chaotycznie zaopatrzonej kuchni: pomarańczę, tortillę w maśle, szklankę wątpliwie pachnącego mleka.

Jeśli nie odpływa za bardzo, robimy w ciemnościach niesamowite rzeczy na jego wymiętym łóżku, ale boję się prosić go o jedzenie. Z wyjątkiem tego jednego razu na ganku nigdy nie wspominam o życiu na ulicy – co to tak naprawdę znaczy. A on nigdy nie pyta, co wywołuje we mnie jeszcze większy smutek niż poprzednio. Wypytyuję go o różne sprawy na tyle, na ile mi pozwala, lecz on mnie o nic nie pyta.

Chciałabym, żeby głos mnie nie zawiódł.

– Wylecieliśmy?

Riley zakręca butelkę.

– Mnie nigdy nie wywali. Chociaż trochę się przestraszyłem, jak zaczęła wrzeszczeć o kondomie. Chyba jest wściekła z powodu różnych rzeczy, nie chodzi tylko o bzykanie w jej biurze.

Z jękiem siada obok mnie, wyciąga nogi na zniszczonym linoleum.

– Jest naprawdę porządnie wkurwiona, Charlie. Nie słyszałaś, bo wyszłaś, ale wiedziała o nas od pewnego czasu. Jak te dwa gołąbeczki chodzimy razem do i z pracy, a ona wszystko widzi z okna nad restauracją, postanowiła jednak nic nie mówić. Ma na górze mieszkanie. Nie wiem, czy o tym wiedziałaś. W każdym razie nic nie mówiła, ale dzisiaj to, co się stało w jej biurze, trochę wytrąciło ją z równowagi.

– I?

– I... przynosi cię na nocną zmianę. Powiedziała: „Nie podam ci jej na talerzu”. – Riley ma rozbawioną minę. – „Ona nie jest ciastkiem ani książką, ani płytą na półce. Nie możesz się nią zabawiać, a potem odłożyć na miejsce”.

Nie możesz się nią zabawiać, a potem odłożyć na miejsce.

– To było naprawdę żenujące – mówię ostro – że przyłapała nas w takiej sytuacji. A ja nawet tego nie chciałam. Zmusiłeś mnie.

Rzuca mi twarde spojrzenie. Ściśniętym głosem mówi:

– Dziewczyno, do niczego cię nie zmuszałem. Chyba też coś z tego miałaś.

Chcę powiedzieć: nie miałam. Ale nie mówię, bo czy jednak nie ponoszę częściowo winy za to, co się wydarzyło? Nie chciałam, ale jednak mu pozwoliłam.

Przekrzywia na bok głowę. Coś przyciąga jego wzrok. Pochyla się do przodu.

– Dlaczego trzymasz walizkę pod wanną, Dziwna Dziewczyno?

Wyciąga ją, zanim zdążę go powstrzymać. Kieruje na mnie błyszczące oczy, kącik jego ust unosi się w uśmiechu. Zniża głos do żartobliwego tonu.

– Magiczna walizka skrywa sekret mojej Dziwnej Dziewczyny?

Odpina zatrzaski, grzebie w bluzkach, aż znajduje metalowe pudełko. Widać myśli, że to coś ładnego, bo stwierdza:

– Fajne.

Potem je otwiera. Obejmuje wzrokiem zawartość, maści, plaster, bandaże, wszystko, co kupiłam pierwszego dnia po przyjeździe tutaj. Obserwuję go z sercem w gardle.

To trochę złośliwa zapłata za dzisiaj, za to, że nigdy mnie o nic nie pyta. Ponieważ wiem, że skonfrontowany z kawałkami mojej układanki poczuje lęk i mdłości.

Riley z wahaniem bierze do ręki kawałek płótna, rozwija go, kawałki szkła wypadają na

podłogę, brzęcząc znajomo.

Wzdycha głośno dwa razy, dziwny dźwięk, jakby ktoś walnął go w klatę.

– Co to, kurwa, jest?

Nim zdołam się powstrzymać, wyrzucam z siebie:

– To ja. To, co robię. Co robiłam, znaczy. Czego staram się nie robić. – Wstrzymuję oddech, czekam.

Jakby mnie nie słyszał. Gniewnym ruchem podnosi pudełko, pyta głośniejsze:

– Co to za gównno?

Bierze po kolei do ręki kawałki szkła, mały plastikowy pojemnik z wodą utlenioną, tubkę maści, rolkę gazy.

– Tego używam, kiedy się tnę. To moje rzeczy.

Riley wrzuca wszystko z powrotem do pudełka, jakby parzyło mu palce. Mocnym kopniakiem posyła pudełko na drugi koniec pomieszczenia, wstaje, naciąga kaptur ciasno na głowę. Zaciskam powieki. Drzwi zamykają się z trzaskiem.

Podczołguję się do pudełka, podnoszę je i przytulam. Starannie układam wszystko od nowa, każdą rzecz na przeznaczonym jej miejscu, ponieważ są dla mnie takie cenne. Szkło w moich palcach brzęczy, kłuje, drobne obietnice, które z całych sił próbuję ignorować. Czuję na dłoni dotyk lnu. Wkładam zestaw do walizki, wsuwam ją pod wannę.

Drzwi do mojego mieszkania znów otwierają się i zatrząskują. Riley podchodzi do zlewu, uchyla okno i zapala papierosa.

– Powiedz mi – żąda – o co tu chodzi? Po co ci to pudełko? Co to znaczy?

– A jak, kurwa, myślisz, skąd mam te sznyty? – Głos mi się załamuje. – Sądziś, że... same się zrobiły?

– Nie wiem... – mruczy. – Ja chyba... To było trochę abstrakcyjne. – Wypuszcza dym przez okno. – Myślałem, że z tym skończyłaś. Nie przypuszczałem, że trzymasz pudełko z tym gównem, żeby się ciąć, kiedy przyjdzie ci taka ochota.

– To ty masz pudełko z gównem. – Samo się wymknęło.

Riley jest zaskoczony. Nie miał pojęcia, że wiem. Pewnie nawet nie przypuszczał, że tam zajrzę, że w ogóle się domyślę.

– Co, tylko ty jeden na całym świecie masz prawo lądować na dnie? Jestem teraz dla ciebie zepsuta, bo widziałeś moje rzeczy? Bardziej prawdziwa? Już nie jestem ciastkiem ani płytą? – Moje ciało wygina się w niebezpieczny sposób, oddech się urywa.

– Nie – mówi ostrzegawczo. – Nie ruszaj tego. To... nieistotne.

– Tylko ja z nas dwojga staram się nie robić beznadziejnych rzeczy, staram się być lepsza, a ty traktujesz mnie za to jak gównno. – Moje dłonie leżą płasko na zimnym, lepkiem linoleum. Czuję zapach niemytej podłogi, brud w szparach przy ścianie, cały syf tego budynku i Riley'a też: nieodłączny smród alkoholu, chmurę starego dymu papierosowego wżartą w ubranie.

Przynosiłam mu dragi. Pieprzyłam się z nim w biurze jego siostry. Pozwoliłam, żeby zobaczył mnie całą, a teraz siedzę na tej brudnej podłodze jak pies u jego stóp. Jak pies czekam na niego nocami. Jak pies pragnę tylko, żeby mnie głaskał, kochał, nie odchodził. Ta świadomość wywołuje we mnie gwałtowny przyływ wściekłości i smutku jednocześnie, jest jak buchający ogień w środku ciała.

Padam na podłogę i obejmuję jego nogi. Podskakuje z zaskoczenia, butelka wypada mu z ręki, rozbija się w zlewie. Chwyta mnie za ramię, próbuję się bronić, on klnie, nagle coś ciemnego przemyka przez jego twarz, jego wargi się wykrzywiają, nacisk w nadgarstkach się zwiększa. Palce zaciskają się na mojej skórze jak metal. Krzyczy jak moja matka:

– Co się z tobą dzieje?! – Jedna z jego dłoni unosi się w powietrzu, ustawiona płasko,

palce złączone.

Przed oczami przemyka mi matka i jej wzniesione pięści. Kulę się, odsuwam, zaciskam powieki, odgradzam się od świata i przygotowuję na cios.

Jest osoba, którą widzi się na zewnątrz, jest też osoba w środku i jest też, jeszcze głębiej, ta inna, schowana, naga, nienawykła do światła milcząca istota. Mam ją i ja, a teraz widzę ukrytą istotę Riley'a.

Szumi mi w głowie. Nadgarstki bołą.

– Przestań – mówi szorstko.

Podnoszę wzrok, Riley gasi papierosa pod kranem. Gorący papieros syczy, potem zapada cisza.

– Chciałeś mnie uderzyć. – Mój głos brzmi płasko i tak, jakby dochodził z bardzo daleka.

– Jezu, co za gówno. Z ciebie jest jeszcze taki dzieciak. A ja mam, kurwa, dwadzieścia siedem lat. Co ja właściwie robię? Nie mam, kurwa, pojęcia. – Rusza do wyjścia. Jego twarz ze zmęczenia wygląda jak papierowa.

Kiedy drzwi się zamykają, wyłączam wszystkie światła i zwijam się w wannie w bardzo ciasną kulkę. Wyobrażam sobie, że znajduję się w środku jajka, metalowego jajka, hermetycznego i zamkniętego od zewnątrz, byle tylko nie podpełznąć do walizki z zestawem awaryjnym, byle nie popełznąć do roweru, nie zatrzymać się przy znaku stopu na jego ulicy, nie powiedzieć: „przykro mi”, ale za co, za co, za co.

NASTĘPNEGO POPOŁUDNIA, PRZED MOJĄ PIERWSZĄ nocną zmianą, Riley czeka przy wejściu dla personelu, siedzi na zielonym plastikowym krześle i czyta „Tucson Weekly”. Wstaje i zagradza mi drogę.

– Wszystko w porządku? Z tobą? Z nami? – To ostatnie szepcze mi do ucha, a ja odsuwam się od jego oddechu. – No, daj spokój – mówi, jakby przemawiał do nadąsanego dziecka.

– Prawie mnie uderzyłeś – syczę, próbując wyminąć go bokiem. W otwartych drzwiach widzę stopy naczyń w zlewie.

– Przepraszam – mówi. – Wybacz mi, proszę. Nigdy bym cię nie uderzył, przysięgam, Charlie, przysięgam. Sprawy wymknęły się pod kontrolę. Daj spokój. Myślałaś, że zacznę skakać z radości, kiedy zobaczę twoje pudełeczko? – Wsuwa gazetę do kieszeni kurtki.

Bierze mnie za rękę, ale go odtrącam. Gracze w go przyglądają nam się z zaciekawieniem, z kubkami w połowie drogi do ust.

– Proszę, Charlie. Naprawdę cię przepraszam. – Jego głos przybiera miękkie tony, zakrada się do mojego wnętrza.

Czuję, że zaraz się poddam. Nie spodziewał się, że znajdzie mój zestaw awaryjny. Chyba każdy by się zdenerwował, widząc coś takiego. Ale...

Linus wystawia głowę przez siatkowe drzwi.

– Charlie, Julie czeka na ciebie w biurze.

Z ulgą puszczam rękę Riley'a, odsuwam się od niebezpiecznego ciepła jego ciała. Moje serce skacze przez całą drogę do biura.

Julie siedzi na krześle obrotowym, spogląda na mnie i ciężko wzdycha.

– To trudne, jasne? Nie myśl, że mi się podoba, rozumiesz, Charlie?

Pociera skronie.

– I nie myśl też, że cię nie lubię, bo lubię. Tylko znam mojego brata lepiej niż ty. Potrafisz to zrozumieć? Nie zamierzam... – Urywa, odwraca wzrok, jakby się nad czymś zastanawiała.

– ...podać mu mnie na talerzu? – kończę, patrząc prosto na Julie.

Czuję się dzisiaj odsłonięta, jakby zdjęto warstwę ochronną z mojego ciała. Przez całą noc leżałam w wannie, nie śpiąc, myśląc o ciemności, która pojawiła się na twarzy Riley'a, walce widocznej w głębi jego oczu. Rano popatrzyłam na węgle i szkicowniki, ale zignorowałam je, poszłam do biblioteki. Sprawdziłam pocztę (od Casper nic, Mikey jest w Seattle, Blue pisze, że lekarze ponownie rozważają decyzję o wypuszczeniu jej). W łazience zwinęłam dwadzieścia dolarów z torebki jakiejś kobiety. Banknot tkwił niedbale w przedniej kieszonce. Myjąc ręce, zastanawiałam się, jak można być taką idiotką, żeby zostawić torebkę w łazience publicznej, z kasą na wierzchu. Nie musiałam długo rozmyślać. Kradzież wywołała we mnie dreszczyk emocji.

Julie wykrzywia usta. Jej twarz przybiera wyraz zagubienia.

– Riley dostaje różne rzeczy i wcale nie musi na nie pracować. Jest uzależniony. Jest kłamcą. Jest czarujący. Nie jest czarujący. – Patrzy mi prosto w oczy. – W sumie nie jest stary, ale sporo przeżył, a ty nie.

Krztuszę się śmiechem.

– Bez obrazy, ale nic o mnie nie wiesz. Nic. Nie masz pojęcia, przez co przeszłam i co widziałam.

– O, Charlie.

Julie opiera podbródek na dłoniach i patrzy na mnie tak długo, że zaczynam czuć się nieswojo. Jej smutny ton mnie drażni. Odnajduję w kieszeni lapis lazuli, jeżdżę po nim palcem.

– Nigdy nie uda się związek ćpuna i alkoholika z przerażoną młodą dziewczyną.

Nim zdążę coś powiedzieć, Julie wstaje i prędko ściąga włosy w koński ogon.

– Nasz ojciec był bardzo brutalny. Głównie skupiło się to na moim bracie. Będę go bronić do końca swoich dni, nieważne, ile pieniędzy mi ukradnie, ile zabierze mi duszy. Ale nie chcę odpowiadać za dodatkowe zniszczenia, rozumiesz? Przynajmniej to mogę kontrolować. Nigdy więcej nie uprawiaj seksu w moim biurze, czy to z moim bratem, czy kimkolwiek innym. A jeśli zdarzy się tak, że wasze zmiany się nałożą i będziecie tutaj w jednym czasie, nie chcę widzieć żadnych, żadnych oznak, że coś was łączy. Inaczej cię wywalę.

Patrzymy na siebie. Ja pierwsza odwracam wzrok, oczywiście ma nade mną przewagę. Potrzebuję tej pracy, potrzebuję jej brata. Kiwam głową, wlepiając spojrzenie w podłogę.

– A teraz poszukaj Temple – rzuca Julie.

Temple Dancer jest wysoką dziewczyną w batikowej spódnicy ozdobionej w talii dzwoneczkami i koszulce Metalliki, ufarbowane na blond dredy nosi związane w dwa koczki po obu stronach głowy. Splata ramiona na piersi.

– Serio? Masz pracować na zmywaku? W nocy?

– A co, masz z tym jakiś problem? – Jestem wściekła, w uszach wciąż dźwięczą mi słowa Julie.

Twąz Temple Dancer mięknie, a z jej ust wydobywa się śmiech, głęboki dźwięk, jakby w jej gardle fruwały sowy.

– Tylko cię sprawdzałam. Wspaniale. Mam serdecznie dosyć facetów.

Pojawia się Julie, ubrana w luźne spodnie i koszulkę na ramiączka, strój na zajęcia z jogi.

– Dziewczynki, bądźcie grzeczne. Linus!

Linus wynurza się zza grilla Riley'a, jej twarz błyszczy od potu.

– Witamy nanockach, Charlie. I wiem, wiem, za dużo pracuję, to prawda, nawet nocami. Nigdy stąd nie wychodzę!

– Spróbujmy ogarnąć sytuację, okej? Zero picia? – prosi Julie.

– Nie ma problemu, J. – Linus kręci ścierką do naczyń na palcu wskazującym.
Zaraz po wyjściu Julie do środka wpadają dwie kelnerki i zatrzymują się tuż przede mną.
Dołącza do nich Temple Dancer. Nigdy nie byłam tutaj wieczorem, więc nie miałyśmy okazji się spotkać.

– To ty bzyknęłaś Rileyę w biurze Julie? O rany.

– Jezu! Poważnie, pieprzyłaś się z Rileyem w biurze Julie? Jak było?

– A ja myślałam, że Riley posuwa tę całą Darłę ze Swoon. Ona wie? Chyba by umarła.

Straszna cipa.

– Myślałam, że jesteś z Mikiem Gustafsonem. Zerwaliście? Byliście taką śliczną parą.

Widziałam was raz, jak jedliście frytki w Gentle Ben's.

Uwaga na temat Mikeya trochę boli. Komentarze na temat Rileyę budzą przerażenie.

Darla ze Swoon? Czy to prawda?

Linus macha ścierką w powietrzu.

– Dosyć tego. Oficjalnie ogłaszam koniec pytań. I odpowiedzi też. Temple, do roboty, pokaż Charlie, co i jak.

Jedna z tych dwóch mówi:

– Jestem Frances. Noce tutaj to prawdziwe piekło. – Zakłada za uszy krótkie pomarańczowe włosy. – Ale w pozytywnym sensie – dodaje, po czym rusza na salę z zielonym bloczkiem do zamówień.

Temple oznajmia ponurym tonem:

– Najlepsze i najgorsze wieczory to te, kiedy grają na żywo. Bywa świetnie, bywa całkiem do dupy. Dzisiejszego wieczoru mamy przyjemność gościć... – Wyciąga spod kontuaru kartkę papieru. – Modern Wolf. Do dupy. – Wsadza palec do ust i markuje odruch wymiotny.

Druga z dziewczyn mówi:

– Jestem Randy. – Wykonuje kilka tanecznych kroków. Ma na sobie czarną mini i biały T-shirt z namalowaną sprejem tarczą strzelniczą. Jej czarno-białe wiązane półbuty przepychają się na twardej podłodze.

Wywraca oczami. Wycieniowane blond włosy opadają na jej policzki.

– Modern Wolf to tragedia. Przyjdą same typy spod ciemnej gwiazdy i trochę pseudoartystów, którzy uważają, że to rock progresywny, ale się mylą. Będzie głośno i koszmarnie, nie będziemy mogły się ich pozbyć.

Temple nadziewa zamówienia na kolek.

– Fatalna wiadomość dla ciebie, bo na koniec będziesz musiała posprzątać sracze i główną salę.

Randy kiwa głową.

– A my wszystkie będziemy na ciebie czekać, bo Julie twierdzi, że mamy wychodzić jednocześnie. Nie możemy ci pomagać.

– Nikt nie pomaga osobie pracującej na zmywaku. – Temple robi minę smutnego klauna.

– I będziemy coraz bardziej wściekłe – dorzuca Randy.

– Coraz bardziej i bardziej – potwierdza Temple. Marszczy brwi. – Jezu, ugotujesz się w tej bluzce.

Randy przekrzywia głowę.

– Wiemy o tobie. Julie nam powiedziała. Mam w torbie T-shirt z krótkim rękawem, jeśli chcesz.

W desperacji, ponieważ kręci mi się w głowie od ich wypowiedzi przypominających serię z karabinu, pytam:

– Czy wy czasem milczycie?

Linus się śmieje.

Temple uśmiecha się krzywo.

– Nigdy.

– Mnie to nie robi – mówi Randy, pochylając się w moją stronę, tak że teraz widzę piercing błyszczący w jej nosie. – Julie i tak prawie nigdy nie przychodzi tu w nocy. Moja kuzynka też się cięła. Teraz studiuje prawo. W życiu różnie bywa, trzeba jakoś iść do przodu, nie?

Iść do przodu. Dawać radę. Mam dość wszystkich ludzi, którzy uważają, że tak łatwo jest żyć. Bo nie jest. Ani trochę.

Randy daje mi przyjacielskiego kuksańca, a ja próbuję się uśmiechnąć, żeby wyjść na miłą osobę. Nie bądź zimną rybą, myślę, ale zaczyna mi się robić w środku mdło i ciężko. Spoglądam na ciemne niebo za oknem. Praca w nocy będzie wyglądała zupełnie inaczej.

Około ósmej trzydzieści zjawiają się pijani faceci z Modern Wolf i bardzo długo i hałaśliwie przygotowują się do koncertu. Jeden spada ze sceny i mdleje. Temple wylewa mu na głowę dzbanek wody. Mają grupę serdecznych przyjaciół, którzy rozwalają się na zniszczonych drewnianych krzesłach i palą w środku, chociaż nie wolno, oraz wypijają gigantyczne ilości piwa przeszmuglowanego w papierowych torbach. Tak mocno tupią ciężkimi buciorami w podłogę, że Linus potrząsa głową i mówi:

– Durni gówniarze. Naprawdę uważają, że to jest muzyka?

Członkowie kapeli przypominają mi obdarte dzieciaki, które z Mikeyem i Danny Boyem czasem odwiedzałam w St. Paul: chudzi, w luźnych dzinsach, dziewczyny i chłopaki o kiepskiej cerze i posklejanych włosach, którzy grzmocili w instrumenty w zatęchłych piwnicach, szarpali struny i walili w gary. Uważałam za fascynujące, że niektórzy po prostu idą na żywioł, biorą się do tego, co kochają, ponieważ to ich pochłania. Zdawali się nie dbać o to, czy są dobrzy, czy nie. Liczyło się, że to robią.

Modern Wolf śpiewa: „Moje serce to polityczny koszmar/ każdego dnia Guantánamo./ Schwytyany i powieszony,/ bez prawa do głosu,/ straciłem prawo do głosu!”

Dziewczyna w siatkowej koszulce i bardzo krótkich szortach przedziera się przez tłum, wchodzi do kuchni, spogląda na Linusa i na mnie, po czym rzyga mieszaniną frytek z piwem, resztki przyklejają jej się do brody, szepcze:

– Sorki.

Randy wypycha ją na salę. Sprzątam rzygi, wstrzymując oddech. Miały rację, noce są gorsze niż dni. W ciągu dnia nikt nie wymiotuje, nie licząc jednorazowego incydentu z Rileyem. Jestem wyczerpana, głowa pęka mi od zbyt głośnej muzyki, do zamknięcia zostały jeszcze dwie godziny, a potem sprzątanie. Czuję się coraz bardziej beznadziejnie.

Na koniec Temple przynosi wielką butlę whisky Maker's Mark i nalewa wszystkim z wyjątkiem Linusa, która tylko się krzywi. Temple unosi kubek i woła:

– *Salud!*

Ja zostawiam swoją porcję przy zmywarce. Od czasu przeprowadzki wypijałam kilka drinków u Riley'a, głównie kiedy spał, była też tamta połówka wina, lecz nic więcej.

Jakaś laska wysmarowała krwią miesięczną siedzenie w damskiej toalecie, wyczyszczenie tego zabiera mi sporo czasu. Kibel męski to ściany całe w graffiti, szczyny na podłodze, papierowe ręczniki powtykane za umywalkę. Wlewam do sedesu kolejne porcje środka czyszczącego, ale uparta żółć nie chce ustąpić. Pod koniec dłonie palą mnie od chemikaliów.

Podczas gdy inne dziewczyny śmieją się za kontuarem i na zapleczu, ja sprzątam ze stolików: ścieram blaty i ustawiam na nich krzesła, żeby umyć podłogę. W nocy jest znacznie

więcej roboty. Twarz czerwienieje mi z wysiłku, cała się pocę. Modern Wolf jeszcze się grzebią, niektórzy półprzytomni i spuchnięci najwyraźniej nie bardzo wiedzą, gdzie są drzwi. Jest piątek, Czwarta Aleja będzie zapchana ludźmi idącymi na koncerty do Plush, O'Malley's czy The Hut, z barem w ogromnej głowie z kamienia, zrobionej na wzór rzeźb z Wysp Wielkanocnych, i dalej, aż do hotelu Congress, z jego uroczymi staromodnymi markizami.

Pewnie co wieczór Mikey dzwoni do Bunny. Może kupuje dla niej głupie pamiątki, na przykład ołówki ozdobione na końcu puszkami.

Ciekawe, co porabia Riley, bo normalnie bylibyśmy teraz razem, o ile noc należałaby do tych dobrych. Może słuchalibyśmy płyt w jego pokoju, czegoś spokojnego, co lubię. Ciekawe, czy w ogóle o mnie myśli.

W pewnej chwili, kiedy zmywam podłogę, słuchając, jak inne dziewczyny śmieją się, piją i palą, ogarnia mnie poczucie dojmującej samotności. Szczęśliwa grupa dziewczyn, normalnych dziewczyn robiących normalne rzeczy. Potem wszystkie dokądś się wybierają, spotykają się z przyjaciółmi i chłopakami, może idą do baru. A ja czyszczę gówna i śmierdzą starym żarciem.

Rozlega się dzwonek nad drzwiami, a zaraz potem wybucha chórek radosnych dziewczęcych głosów. „Cześć, Riley, hej, zabierasz nas na drinka?”. Serce zamiera mi w piersi i zaraz unosi się wysoko, bo Riley odpowiada: „Przykro mi, drogie panie. Przyszedłem po swoją dziewczynę”. Zapada niezręczna cisza, w końcu Temple rzuca: „No jasne”, ponieważ, podobnie jak cała reszta, tak naprawdę myśli: a my sądziłyśmy, że tylko ją posuwasz.

Nazwał mnie swoją dziewczyną.

Serce podskakuje mi z radości, ale nie chcę, żeby ktoś się zorientował, ani on, ani one. Czuję, że wszyscy gapią się na mnie, nie zwracam na to uwagi, przez podwójne drzwi przechodzę do kuchni. Wylewam ohydny mętną wodę do zlewu, wrzucam fartuch do zmywarki. Na blacie obok stoją dwie nietknięte białe filiżanki pełne Maker's Mark. Mówi się na nie „demitasse”, podaje się w nich espresso. Linus uczyła mnie nazw różnych naczyń do kawy. Filiżanki bardzo mi się podobają, są idealne, kompaktowe i nieskalane.

Kiedy wreszcie się odwracam, dziewczyny wciąż tam stoją, z lekko złośliwymi półuśmiechami na twarzach. A wśród nich Riley, już po paru głębszych. Trochę się chwieje.

Nie będziemy słuchać płyt. Może i nazwał mnie swoją dziewczyną, ale czy rano będzie o tym pamiętał? Spoglądam na filiżanki. Jakie to ma znaczenie, czy ja też się napiję, czy nie? Czy chociaż by zauważył?

Małeńka cząstka mnie szepcze: czy w tym, czym jesteśmy, w ogóle jest dla mnie miejsce? Ciastko, książka, płyta na półce...

– Prawie skończyłam – oznajmiam, odwracając się znów do zlewu. Zalewa mnie fala zwątpienia. Wypijam whisky, opłukuję filiżankę. Gardło i żołądek płoną, ale wynagradza to ciepło, które rozlewa się w żyłach. Ocieram usta i odwracam się w ich stronę.

– Gotowa? – pyta Riley. – Bo ja tak.

Wychodzimy. Muszę przepchać się przez spory tłumek, żeby dostać się do roweru. Grzebię przy zamku, gdy nagle ktoś woła:

– Hej, Riley, to twoja dziewczyna?

Członkowie Modern Wolf wydają z siebie bełkotliwy rechot. W tym momencie, patrząc na morze pijanych gości w czarnych koszulkach i wysokich butach na groźnych podszwach, z ciemnymi tłustymi włosami, uświadamiam sobie, że Mikey słyszał bądź niedługo usłyszy, co wyprawiam. I chyba wcale mnie to nie rusza. Czuję się ciężka i odrętwiała.

Tłumek wydaje chóralne: „Uuuuuuu”. Riley bierze ode mnie rower, zarzuca mój plecak na ramię, sadowi się na siodełku.

– Nie bądź zła – szepcze mi do ucha. – Zabieram cię do domu. Przysięgam, że nigdy bym cię nie skrzywdził, Charlie, nigdy. Pozwól mi tego dowieść.

Sadza mnie sobie na kolanach, twarzą do przodu, moje dłonie zaciskają się na jego udach, stopy układają się na ramie.

Mówi, żebym się trzymała albo oboje zginiemy. Jedziemy do niego.

NIE CIERPIĘ POJĘCIA „RÓWNIA POCHYŁA”. Nawet nie wiem, kto wymyślił to głupie pojęcie. I nie wiem, dlaczego to ma znaczenie. A zresztą, kogo to obchodzi? Kogo obchodzi dziewczyna ze sznytami, która nie potrafi być sama? Dziewczyna ze sznytami, która zmywa podłogi i biega po drapi dla swojego chłopaka? Ona sama powinna się sobą zająć, ale nie wie jak. A jak już raz wypijesz Maker’s Mark, jak raz odpuścisz i pozwolisz sobie na pocałunki, seks, alkohol, dragi, wszystko, czym można wypełnić czas i polepszyć sobie samopoczucie, nawet jeśli tylko na chwilę, to już po tobie. Czasami dziewczyna ze sznytami myśli, że może powinna pójść na zajęcia do tej artystki, ale zaraz zmienia zdanie, bo mała myszka puka do jej głowy i szepcze: „Ale wtedy nie będziesz mogła spędzać tyle czasu z Rileyem”. Słowa znów zmieniają się w kamienie, utykają w gardle i dziewczyna czuje, jak znika po kawałku w większej całości pod tytułem „Riley i ja” i i i...

Równia pochyła nie ma końca.

TO DZIEJE SIĘ UKRADKIEM I PO CICHU. Jakby ktoś nawlekał igłę: milcząco i łatwo, potem jeszcze tylko supełek na końcu, żeby nitka nie uciekła.

Temple siedzi na stołku za kontuarem i przegląda coś w telefonie, a ja ustawiam na tacach naczynia po kawie i plastikowe kubki po wodzie. Dzisiejszy zespół w ogóle się nie zjawił, więc Temple puściła Frances i Randy wcześniej do domu, ponieważ ruch był praktycznie żaden. Linus siedzi na zapleczu i czyta książkę.

Temple mówi:

– Ty nie chodziłaś przypadkiem z Mikiem Gustafsonem? Czy coś? Widziałam was parę razy w Gentle Ben’s.

– Nie – odpowiadam. – To tylko przyjaciel. A co?

Kręci głową i klaska językiem, wyrażając tak rozczarowanie.

– Wszyscy najlepsi już zajęci, nie? – Odwraca telefon w moją stronę. – Spójrz. Ten seksowny gnojek wziął ślub w Seattle!

Czuję się tak, jakbym poruszała się w błocie, podchodzę do niej od tyłu, by spojrzeć na wyświetlacz. Facebook, czyjś profil, nie znam, może kogoś z zespołu, i oto są – on i ona, oboje szczerzą się jak wariaci, ich twarze błyszczą. Mikey ma na sobie koszulę z kołnierzykiem, czerwony krawat, dżinsy i buty sportowe. Bunny włożyła śliczną prostą sukienkę w kwiaty, z odkrytymi ramionami, jej włosy zdobi korona z maleńkich, delikatnych różyczek. W tym samym kolorze co krawat Mikeya.

Krew momentalnie ścina mi się w żyłach. Nie wiem, jaki dźwięk wydaję, ale Temple aż woła do Linus:

– Charlie chyba będzie rzygać! Pomocy!

Z trudem łapię oddech, ale nic nie wylatuje. Trzymam głowę nad śmietnikiem, tłumaczę się:

– Chyba zjadłam coś niedobrego na lunch. Muszę iść do domu, mogę?

Linus mówi, że mnie odwiezie, już i tak prawie zamykamy, ale ja podnoszę się chwiejnie,

chwytam plecak i wypadam na ulicę – wszystko jak we śnie. Zapominam o rowerze.

Tak mocno wbijam stopy w ziemię, że łydki mnie palą i zaczynam utykać. W tunelu ruszam biegiem i zatrzymuję się dopiero przy jego drzwiach, walę z całych sił.

Trochę zenujące, ale wciąż czuję, że muszę pytać, zanim wejdę do jego domu.

Otwiera i wciąga mnie do środka. „Jestem chora”, mówię, lzy płyną mi po twarzy.

„Jestem okropnie, okropnie chora”. A potem, jakby ktoś wyciągnął kurek, wszystko wypływa ze mnie gwałtowną falą, osuwam się na podłogę.

Słyszę przekleństwa przeplatane: „o Jezu” i „o skarbie”. Riley zdejmuje mi buty i skarpetki. Ostrożnie bierze mnie na ręce. Kręci mi się w głowie. Widzę go jak przez mgłę.

Zanosi mnie do łóżka. Po pewnym czasie prześcieradła przesiąkają moim potem, a Riley ściąga mi ogrodniczki, kładzie rękę na czole. Stawia obok łóżka wodę i niewielki kosz na śmieci z plastikową torbą w środku. Rzygam trzy razy, a on za każdym razem opróżnia torbę. Pyta: „Brałaś coś?”. Odpowiadam, że nie, i odwracam się do ściany. „Coś straciłam, straciłam różne rzeczy” – dodaję. „Ciągle coś tracę. Jestem zmęczona”.

Riley mówi: „Przykro mi to słyszeć, kochanie”. Nie zadaje więcej pytań. Proponuje, że weźmie za mnie zmianę w True Grit. Zaciąga się papierosem, jego oczy są jak śliskie ciemne kamienie pod wodą. Przez trzy dni pracuje rano plus w nocy za mnie. Podgrzewa bulion. Kładzie mi na czole zimną mokrą ścierkę. Śpi, leżąc za mną, a jego oddech to wygięty żagiel na moim karku. Czwartego dnia ktoś puka do drzwi. Chwiejnie podnoszę się z łóżka. To Wendy, przyciśnięte kapturem czerwono-żółte włosy muskają jej policzek. Pyta: „Potrzebny mi Riley, gdzie go znajdę? Jest tu gdzie?”. Jej skóra przypomina powierzchnię księżycy. Ponieważ nie odpowiadam, uśmiecha się. „Nie widziałam go od pewnego czasu, tyle. Zaczęliśmy się martwić”.

„Źle wyglądasz, mała”, dorzuca. „Przeznacz mu, że wpadła Wendy”.

Przez cały dzień Wendy pojawia się w moich snach, długonoga, z plamami na twarzy, przepalonym głosem, krzywo uśmiechnięta. Riley wraca późno, bardzo późno, ale nie jest aż w tak złym stanie, żebym nie mogła przywrzeć do niego w ciemności, popracować nad nim palcami, wydobyć dźwięków z jego gardła, skłonić go do robienia rzeczy, które, o czym nie wie, sprawiają mi ból, byle tylko zetrzeć obraz Mikeya i Bunny, Wendy w drzwiach, zetrzeć szarość we wnętrzu mojego ciała, która przechodzi w czerń. Jest z nas teraz prawdziwe dno.

PO CZTERECH DNIACH OD INFORMACJI O MIKEYU wstaję i wracam do siebie jak zombie, zmieniam ubranie i idę do biblioteki.

Zero wiadomości od Casper, zero od Blue.

Jedenaście maili od Mikeya. Kasuję wszystkie, nie czytając ich.

Drzwi zamknięte. Świat się kończy.

OD CZASU DO CZASU, KIEDY ZABIERAM CZYSTE KUBKI po kawie i ustawiam je na półce za kontuarem, spoglądam ukradkiem na Rileyę. Skończył zmianę kilka godzin temu, ale jeszcze nie poszedł do domu. Usadził się przy stoliku koło okna, w rękach trzyma grubą gazetę. Z kubka z kawą ustawionego na parapecie unosi się smużka pary. Przekomarza się z graczami w go. Komplementuje robione na drutach ubranie przechodzącej ulicą starej hipiski. W kawiarni ze sobą nie rozmawiamy, przestrzegamy reguł ustanowionych przez Julie. Siedzi tak, czekając na open mic, ma zapowiadać artystów i robić za mistrza ceremonii.

Tutaj to mój pierwszy *open mic*. Kiedy Riley wchodzi, wszyscy siedzący przy stolikach witają go ciepło. Przechadza się dookoła, jakby to miejsce do niego należało, zresztą w pewnym stopniu tak jest. Widzę, jak sprawdza wzmacniacze i ustawia mikrofon, robił to w swoim życiu milion razy. Pasuje do rozklekotanej sceny, w pewnym momencie przyciska usta do mikrofonu

i mruczy: „raz dwa trzy”, chrapliwy głos wypełnia pomieszczenie, a moje serce zaczyna się jąkać. Nuci kilka wersów *Tangled Up in Blue* Dylana – na widowni robi się bardzo, bardzo cicho – ale zaraz urywa i podchodzi do wzmacniacza, żeby wyregulować głośność.

Riley przedstawia pierwszego z występujących, poetę hiphopowego, który przemierza scenę jak dziki zwierz, machając ramionami i nonszalancko kręcąc biodrami.

– Normalnie, kurwa, gepard na kwasie – rzuca sucho Temple.

Chłopak co chwilę drapie się po brzuchu i klatce piersiowej i tyle razy używa słowa „suki”, że jedna z kobiet, próbująca pić latte i czytać gazetę, woła:

– Zdejmijcie go, błagam!

Po nim występuje dziewczę o aparycji porzuconego dziecka, ze słodką krótką fryzurką, czyta cienkim, infantylnym głosikiem koszarne wiersze o głodzie. Z kolei starsza kobieta, z włosami do kolan i grubymi kostkami widocznymi spod spódnicy farbowanej metodą *tie-dye*, wali w bongosy. Jest całkiem niezła. Gra intensywnie, siwiejące włosy powiewają za jej plecami. Dźwięk bębnów jest hipnotyzujący, nawet Linus przychodzi posłuchać.

Riley siedzi na krześle tuż przy scenie. Wskakuje przed mikrofon i prosi publiczność, by powitała nerwowego licealistę z trąbką, którego czoło lśni w jaskrawych sufitowych światłach. Riley przyciemnia je i wewnątrz zanurza się w bursztynowym blasku. Chłopakowi trzęsą się ręce. Zaczyna grać zmysłową melodię. Przychodzi mi do głowy, że powinien połączyć siły z babką od bongosów. W przerwie zbieram puste kubki i szklanki. W pewnym momencie, kiedy kosz jest prawie pełen, widzę, że Riley pomaga ustawić mikrofon dziewczynie w martensach i czarnej koszulce bez rękawów. Czarna spódnica wygląda jak przycięta nożyczkami, brzeg wisi nierówno. Dziewczyna ma czarne włosy ułożone w kolce, na twarzy wyraz pogardy. Chyba jest w moim wieku. Ciemnymi oczami omiata wewnątrz. Odnoszę naczynia i szybko wracam. Riley pochyla się, szepcze jej coś do ucha. Dziewczyna śmieje się i lekko odchyła głowę. Serce mi zamiera. Co to było?

Temple i Randy dostrzegają moją minę.

– E-o – rzuca gładko Randy – chyba ktoś jest zazdrosny.

– Nie martw się, Charlie – mówi Temple, poklepując mnie w ramię. Dzisiaj ma na rękach tatuaże z henny, skomplikowane zawijasy oplatają jej knykcie. Kiedy potrząsa głową, dzwonią miniaturowe dzwoneczki zwisające z jej uszu. – To nic. Ona występowała tu wcześniej, jak miała jakieś jedenaście lat.

Linus przychodzi z zaplecza, wyciera ręce w ścierkę do naczyń. Jej twarz się rozpromienia.

– O rany! Super. Słyszałaś kiedyś Regan? Jest niesamowita. Riley ją uwielbia.

Temple wciąż poklepuje moje ramię. Riley nigdy nie wspominał o tej dziewczynie.

– Panie i panowie – mruczy do mikrofonu – powitajcie naszą ulubioną trubadurkę, smutnooką władczynię tajemniczej krainy, Regan Connor.

Kawiarnię wypełniają oklaski. Stopniowo zapada cisza, wytwarza się dziwna atmosfera, jakby wszyscy próbowali dostosować się do dziewczyny na scenie. Kiedy jest już całkiem cicho, dziewczyna atakuje złotą gitarę akustyczną, jej place fruują. Stoi w takiej pozycji, jakby próbowała zatrzymać buldożer, nogi mocno wbite w podłogę, jedno kolano ugięte. Ma przenikliwy, schrypnięty i boski głos; w pełni go kontroluje, potrafi nagle przejść do szeptu albo groźnego warczenia. Śpiewa:

Nie możesz mnie złamać.

Nie możesz wyciąć.

W przytłumionym świetle na krzywej scenie wygląda niesamowicie arogancko, a w jej słowach pobrzmiewa szorstka dziewczynska nadzieja. Tłum słucha jak urzeczony. Niektórzy zamknęli oczy. Patrzę na nią z zazdrością. Jest w moim wieku, a taka pewna siebie. Chyba w ogóle się nie przejmuję, co o niej myślą. Jej głos, groźny i jedwabisty, płynie w powietrzu, dociera do wszystkich zakątków sali.

Regan porwała publiczność, obserwuję, jak wszyscy po kolei się w niej zakochują. Wyrzuca z siebie z wściekłością, lekko chropawym głosem:

Nie możesz złamać mi serca.

Nie posiadasz mojej duszy.

Wszystko, co mam, zdobyłam sama.

Wszystko, co mam, należy do mnie.

Po skończonym występie publiczność szaleje, nawet poeta hipopowy wrzeszczy:

– Szacun!

Riley wkłada do ust dwa palce i gwizdże, jego oczy błyszczą dzikim światłem. Wodzę wzrokiem od niego do dziewczyny i z powrotem, lęk robi „ping” w moim wnętrzu.

Ciągle coś tracę.

PUDEŁKOWATY MAGAZYN STOI NA SKRAJU ŚRÓDMIEŚCIA, tuż za ciągiem błyszczących budynków, dominujących na tle nieba. Pikapy i rowery tłoczą się na szerokiej wysypanej żwirem parceli. Namalowana ręcznie tablica przy podwójnych drzwiach wymienia pracownie artystów i trzy galerie. Jeszcze raz spoglądam na ogłoszenie w „Tucson Weekly”.

Wcześniej wybrałam się z Linus, żeby kupić teczkę, wielką, elegancką skórzaną kopertę. Chodziło mi o portfolio. Wydałam resztkę pieniędzy zarobionych na spółkę z Ellis. Linus gwizdnęła na widok banknotów, ale nie wyjawiałam jej, skąd je mam.

Nie powiedziałam Rileyowi, że tu będę. Coś się ze mną stało, kiedy widziałam go na scenie tak radosnego obok tej dziewczyny. Potem przez całą drogę do domu słuchałam peanów na jej cześć i myślałam o tym, że miała piękny głos i że nie poszłam na zajęcia do Ariel, bo chciałam mieć więcej czasu dla niego, dla Riley'a.

Coś się we mnie zbudziło, jakiś mściwy gniew.

Patrzyłam na tę dziewczynę, tak pewną siebie, i zapragnęłam tego samego dla siebie. Chcę też taka być.

Biorę głęboki wdech i wchodzę do środka.

Hol jest ciasny i zakurzony. Drzwi do niektórych pracowni stoją otworem. W jednej z nich drobny mężczyzna monotonnym ruchem, w górę i w dół, rozsmarowuje jasnożółtą farbę na białym płótnie. Pomieszczenie jest zawałone puszkami z farbą, zwojami płótna, słoikami z mętną wodą, książkami. W sąsiedniej pracowni kobieta pochyla się nad wysokim stołem, rysuje na kartce, niemal przyklejając do niej twarz. Na półkach z książkami sterczą czułki zielistek w doniczkach. Z głośnika u stóp kobiety płynie salsa. Pozostałe drzwi są zamknięte; dobiegają zza nich głuche uderzenia, terkot, zgrzyty. Powietrze wypełnia techniczny zapach, jakby gipsu i oleju.

Na końcu korytarza znajduje się obszerna i pusta galeria. Moje kroki odzywają się echem na lśniącej drewnianej podłodze. Nie ma okien, ściany są białe i gołe. Pod jedną z nich, przy długim stole, siedzi niewiele starszy ode mnie chłopak. Podchodzę bliżej i okazuje się, że stół to tak naprawdę stare drzwi przybite do prostych drewnianych bali. Chłopak coś pisze na klawiaturze. Jest ubrany jak Beaver Cleaver ze starego serialu.

– Tak? – pyta obojętnie. Może bez irytacji, ale lekko zbywająco. Zerka na moją teczkę. –

Chcesz, żeby ktoś obejrzał twoje prace?

– Tak.

– E-e. Miały być w formie zdigitalizowanej. No wiesz, załącznik w mailu lub strona internetowa. Masz kogoś, kto może zrobić zdjęcia albo możesz sama to zrobić, zeskanować i wysłać? – Wraca do pisania, ale nadal patrzy na mnie, jego palce same tańczą po klawiaturze.

Kręcę głową.

– Nie. Pomyślałam...

– Przykro mi. To niezgodne z zasadami rekrutacji. – Kieruje wzrok na monitor.

Odwracam się rozczarowana, myślę, że nie będę jechać na rowerze w drodze powrotnej, tylko go poprowadzę. Ciężko było jechać z teczką. Ręka mi się spociła, bo musiałam przyciskać teczkę z całych sił do poruszającego się uda.

– He-hej, a co tu mamy?

To Tony Padilla, ten z wystawy, malarz, przyjaciel Ariel. Ściska w rękach plik papierzyk i torbę gimnastyczną. Jest zdyszany.

– Znam cię. Ariel pokazała mi cię na wernisazu. Dziewczyna w stroju farmera. Podobały ci się? – Uśmiecha się wyczekująco. – Moje prace?

Przełykam ślinę, zastanawiam się. Z jego nozdrzy wystają kępki czarnych włosów.

– Nie za bardzo.

Śmieje się, odkłada papiery i torbę.

– Nie podobały ci się. To dobrze! Zawsze trzeba mówić to, co się myśli. Pozwolisz rzucić okiem? Widzę, że jesteś tradycjonalistką. Tęsknię za czasami, kiedy wszędzie taszczyłem ze sobą portfolio. – Wysuwa teczkę z moich rąk.

Rozkłada ją na klęczkach. Dzisiaj nie ma na sobie eleganckiego stroju, tylko szorty khaki i birtienstoki, a do nich skarpety i poplamiony potem T-shirt z królikiem. Włosy nie są związane w kitkę, luźno opadają na ramiona niczym czarny wachlarz przetykany nitkami bieli.

– Chcesz wziąć udział w wystawie?

– Tak, ale ten gość...

– To mój stażysta Aaron. A to moja galeria. Szukam prac młodych artystów. Zwykle są interesujące na różne sposoby, wiesz? – Przygląda się portretowi Manny'ego. – Masz pozwolenia od modeli?

– Co takiego?

– Zgodę na publikowanie wizerunku. Ludzie, którzy ci pozują, powinni zgodzić się na piśmie na to, że ich wizerunek zostanie pokazany publicznie. Aaron, wydrukuj kilka formularzy. Przyniosłaś cv?

Potrząsam głową, a on się śmieje.

– Nigdy nie chodziłaś na zajęcia, prawda? Widzę tu sporo naprawdę dobrych technicznie prac i trochę bardzo dziwnych, ale podobają mi się. – Uważniej przypatruje się rysunkom, zsuwając okulary. – Jesteś przyjęta. Zostaw prace. Dostałem całe godziny filmów i nagrań wideo, a nawet instalację przedstawiającą sypialnię dziecka. I nudystkę. Natomiast ani jednego rysunku. Ani jednego obrazu. Dzisiejsza młodzież. Dla was sztuka to musi być film albo coś, przez co można przejść czy na czym można usiąść.

Delikatnie zamyka teczkę i podaje ją Aaronowi, który posyła mi lekko zdumione spojrzenie i wręcza formularze.

– Antonio Padilla. Tony.

– Charlie. – Jego dłoń jest gładka, bezwłosa, paznokcie delikatne, starannie opilowane, na nadgarstku tkwi pojedyncza srebrna bransoleta.

– Twoi modele są... interesujący. – Tony Padilla przygląda mi się pytająco.

- Mieszkają w tym samym budynku co ja.
- Ach tak. – Opiera podbródek na dłoni. – Przynies moją wizytówkę, Aaronie.

Tony wzdycha. – Cóż. Czeką nas mnóstwo pracy w związku z przygotowaniem wystawy. Zawsze powtarzam to uczniom, a oni niezmiennie, Bóg jeden wie dlaczego, wydają się zaskoczeni stwierdzeniem, że życie artysty polega na ciężkiej pracy. Nikt niczego za ciebie nie zrobi. Nie jest tak, że twoje dzieła nagle same z siebie pojawią się na stronie albumu czy na ścianie galerii. To wymaga cierpliwości i wiąże się z dużą dozą frustracji.

Spogląda na gołe ściany. Śmieje się krótko.

– To oznacza szpachlowanie, gwoździe, projektory, światła, cały ten syf, długie dni pracy. Oczekuję, że wszyscy, którzy chcą wziąć udział w tej wystawie, włączą się do przygotowań. Mam nadzieję, że nie boisz się ciężkiej pracy, Charlie.

Czuję, że na twarzy mam bardzo szeroki uśmiech. Prawie rozrywa mi policzki. Przez całą noc myję podłogi, zbieram brudne naczynia, ścieram szczynty i gówna w kiblach, a teraz pokażę swoje prace w galerii, wszyscy będą mogli je zobaczyć. Moje prace.

- Nie – odpowiadam. – Nie boję się pracy, ani trochę.

– TO NIESAMOWITE – MÓWI LINUS I KLASZCZE. Nagle nieruchomieje i dodaje: – Założę się, że Riley oszalał.

Skupiam uwagę na mopie i wiadrze, wyżymam brudną wodę.

– Tak, bardzo się cieszysz. – Trzymam głowę opuszczoną, na wypadek gdyby moja twarz zdradzała, że kłamię.

– Mmm. – Linus milknie. Powoli skrobie grilla. – Jasne. Ile ostatnio kojarzysz z tego, co się wokół niego dzieje?

- Nie rozumiem?

– Jak dużo pije? Efekty jego porannej pracy wyglądają, ee, nieco gorzej niż zwykle.

Przesuwa w moją stronę wiaderko z tofu. Zaglądam. Na brzegach puchatej żółtej masy widać popiół. Wstydę się za niego, chociaż wiem, że nie powinnam. I wstydę się za samą siebie.

Zwykle, kiedy przychodzę do Rileya, już śpi. O ile w ogóle siedzi w domu, leży rozwalony na aksamitnej sofie, z książką na kolanach i zapalonym papierosem w ręku. Butelki spod zlewu znikają w szybkim tempie, równie prędko zastępowane przez kolejne. Chyba zarzucił przygotowania do koncertu dla Luisa Alvareza, bo schowana do pokrowca gitara stoi w kącie. Notatnik z tekstami i nuty leżą wsunięte pod sofę. Czasem patrzy na mnie tak, jakby nie wiedział, kim jestem. Zaczęłam go pilnować, paląc przy tym jego papierosy. Moje płuca stały się smoliste i zatkałe. Raz, kiedy wychodziłam do pracy, spojrzał na mnie, przytrzymując ręką siatkowe drzwi, i wymamrotał:

- Brakuje mi ciebie nocami. Trudno jest bez ciebie.

Zrobiło mi się jednocześnie miło i smutno, i te dwa uczucia walczą we mnie, aż nachodzi mnie ochota, by zagrzebać głowę w ziemi.

Unikam wzroku Linus.

– Charlie, jestem starą niepijącą pijaczką. Znam Rileya od sześciu lat, znam też schemat, według którego funkcjonuje. – Bierze głęboki wdech. – Znajduje się na równi pochyłej, a my, uzależnieni, pociągniemy za sobą każdego, kogo tylko się da. Skoro mamy wylądować w gównie, to nie chcemy taplać się w nim sami.

Gapię się na nią. Linus, zawsze pomocna, niezmiennie wesoła, jest alkoholiczką? Pewnie dlatego Temple nigdy nie nalewa jej nic do picia na nocnych zmianach. Próbuję wyobrazić ją w sobie w takim stanie jak Riley, ale nie potrafię. A jej słowa o tym, że on pociąga mnie za sobą

w dół, są jak cios. Zaciskam ręce na mopie, wbijam wzrok w brudną wodę w wiadrze, jakbym tam mogła znaleźć odpowiedź.

Dodaje ze smutkiem:

– Posłuchaj, nie wiem o tobie zbyt wiele i nie chcę się wtrącać ani wydawać sądów, ale jeśli z nim zostaniesz, to będziesz cierpieć. Musiałam to powiedzieć. Nie dostrzegasz tego, skarbie? Naprawdę tego nie widzisz?

Ciskam mopa do wiadra i chwytam szczotkę, próbując powstrzymać się od płaczu. Wiem, że ona ma rację, oczywiście, że ma rację, ale usiłuję się skupić na pracy, odepchnąć od siebie niepokój. Kapela, która grała tego wieczoru – trio serwujące gatunek zwany polka punk – rozsypała confetti, małe kawałki papieru są dosłownie wszędzie. Stoliki się chwieją, kawałki gazet wciśnięte pod nogi są postrzępione, czarne i tłuste. Powinnam je wymienić.

– On się poprawi. Wiem na pewno. – Unikam wzroku Linus, ocieram oczy, jakby to był tylko pot, nie łzy. – Mogę mu pomóc. Nie powinnaś skreślać ludzi tak od razu.

– Charlie, nie piję od wielu lat – odpowiada Linus – Gdybym dostawała dolara za każdym razem, kiedy słyszę coś takiego, byłabym bogata i nie musiałam harować w jakiejś gównianej kafejce.

MIASTO JEST SUCHE I OBEZWŁADNIAJĄCO UPALNE. Wszyscy powtarzają, że przywyknę, a nawet to pokocham, poza tym zimą będzie trochę chłodniej. Słońce wciąż wisi na niebie jak gigantyczna kula ognia i nie odpuszcza. Wystarczy, że przejadę z domu do biblioteki w śródmieściu, i natychmiast jestem cała spocona, wewnętrzna część rękawów robi się mokra, siodełko się klei.

Mam dziewięć nowych nieprzeczytanych wiadomości od Mikeya. Jakbym próbowała go wymrozić, sama nie wiem dlaczego. Blue się nie odzywała, lecz i tak do niej piszę, chociaż tylko jedno słowo: *Hej*. Jakbym wyciągała rękę, zanim spadnę z wysokiej skały, tylko że nikogo koło mnie nie ma.

Jednakże ostatni mail od Mikeya przyciąga moją uwagę. W temacie widnieje: *urodziny/ trochę dłużej*. Otwieram i czytam.

Pewnie już słyszałaś o mnie i Bunny. Obłęd, wiem. Zostaniemy w trasie trochę dłużej – co najmniej do listopada. Zwalniam się ze szkoły. Mamy nagrać płytę w północnej Kalifornii. Podpisaliśmy umowę. Chciałem być wreszcie z Bunny i tak się stało. Kiedy wrócę, muszę z tobą porozmawiać o czymś bardzo ważnym. I ej, nie szkodzi, że nie odpisujesz. Rozumiem. Mam nadzieję, że u ciebie wszystko dobrze. Wszystkiego najlepszego z okazji urodzin, Charlie.

Wlepiam wzrok w słowo *urodzin*. Zamykam pocztę i wychodzę z biblioteki.

Dopiero po czterdziestu minutach jazdy rowerem trafiam na odpowiednie miejsce. Muszę zapaść się daleko na południe miasta, nim znajduję to, czego szukam. Jest to niewielka, dość podła z wyglądu *panaderia*, która pachnie jak raj; spośród ciastek umieszczonych w brudnawej gablocie wybieram najbardziej kremowe, z najgrubszym lukrem. Przeglądam menu z kawą i proszę o *café de olla*. Siadam na lepkiem krzeselku przy oknie, słodycz ciastka wypełnia mi usta, karmelowy kremowy napój grzeje dłonie. Zastanawiam się, co takiego ważnego chce mi powiedzieć Mikey, że nie mógł napisać o tym w mailu. Może Bunny jest w ciąży. Może za chwilę będzie wiódł idealne życie z żoną, dziećmiakami i zespołem, i wszystkim, czego kiedykolwiek pragnął, podczas gdy ja tu umieram z odwodnienia i zmęczenia, i choć powinnam pić wodę, piję kawę. Właśnie wydałam siedem dolarów i sześćdziesiąt osiem centów, by życzyć sobie samej wszystkiego najlepszego z okazji, kurwa, urodzin, o których całkiem zapomniałam.

KĄŻDEGO RANKA JEŻDŻĘ DO GALERII I POMAGAM Tony'emu i Aaronowi przygotowywać wystawę. Pozostali artyści są starsi ode mnie, mają grubo ponad dwadzieścia lat, niektórzy przekroczyli trzydziestkę. Tony każe im eksperymentować przy rozmieszczaniu prac, chodzi dookoła, zamyślony pociera podbródek. Postanowił, że nie oprawi moich rysunków, tylko po prostu przyczepi je do ściany. Wcześniej powiedział prawdę; rzeczywiście jest tu mnóstwo instalacji, w tym czyjś pokój dziecięcy, w którym można znaleźć kompletną kolekcję kucyków My Little Pony oraz oryginalne buty do baletu zestawione z większymi martensami i kabaretkami. Ktoś inny sklecił znalezione fragmenty nagrań. Na jednej ze ścian wyświetla się zapętłony film, przedstawiający ludzi z psami skaczących na trampolinie. Kolory są sprane i senne, skaczący zdają się przecinać w ruchu rozwodniony blask słoneczny, pastelowe niebo. Facet z wygoloną jedną połową głowy i wysokim irokezem na drugiej połowie sklecił osiemnaście piłek plażowych w kształt piramidy i wypisał na każdej z nich wulgarne słowa. Jedna z kobiet pokazuje coś w rodzaju obrazów, ale nie jest to farba na płótnie. Są zrobione z przyklejonego futerka wiewiórek, wronich piór i fragmentów jej własnych włosów.

Szczupła kobieta o wściekłym wyrazie twarzy, imieniem Holly, zamierza leżeć nago na podłodze.

– Wystawiam samą siebie – tłumaczy mi, przygryzając czarny paznokieć kciuka. – Konieczność skonfrontowania się z moją obecnością będzie dla większości ludzi przytłaczająca.

Nie do końca rozumiem, jak to ma funkcjonować (a jeśli ktoś jej dotknie? a jeśli będzie musiała iść do toalety?). Spoglądam na Tony'ego, który czeka, aż kobieta sobie pójdzie, po czym puszcza do mnie oczko i szepcze:

– Obrona pracy autorstwa Holly będzie spektakularna z bardzo złych powodów, niemniej spektakularna.

Używają słów i zdań takich jak: „teoria”, „tożsamość zrealizowana”, „tożsamość skonstruowana”, „fragmentacja”. Kiedy Holly zobaczyła mnie z podciągniętymi rękawami, powiedziała szczerym i gniewnym tonem:

– Musisz zrozumieć i zanalizować swoje przekroczenie norm społecznych. – Chwyciła mnie za nadgarstek. – Czy pojmujesz, że akt, którego na sobie dokonałaś jest, kurwa, rewolucyjny? Przygotuję ci listę lektur. Musisz się sporo nauczyć.

Zapisuję sobie w pamięci, co mówią, chodząc po galerii, wykonując polecenia Tony'ego, przesuując różne rzeczy w jedną bądź w drugą stronę. Na dłoniach mam małe białe rękawiczki jak Myszka Miki. Wydaje mi się, nie, wiem, że niektórzy śmieją się z moich rysunków i ze mnie. Chichoczą z gruzłowatych twarzy i kiepskich zębów Hectora i Manny'ego, z pełnego nadziei uśmiechu Karen. Po wyjściu z galerii idę do biblioteki, szukam wszystkich terminów, słów, zdań i przedzieram się przez nie.

Nie chcę, żeby uważali mnie za głupią, i nie chcę być głupia, dlatego poświęcam czas, by nauczyć się ich języka.

Kiedy patrzę na swoje ramiona, nie przychodzi mi do głowy słowo „rewolucyjny”, może takie słowa jak „smutek” i „ból”, ale na pewno nie „rewolucja”.

Za to następnym razem na widok Holly przychodzi mi do głowy słowo „pinda” i przez cały dzień uśmiech nie znika z mojej twarzy.

TEMPLE PODAJE MI TELEFON.

– Tylko się pośpiesz, okej? – szepcze. – Chcemy zdążyć do Tap, póki jeszcze podają alkohol.

Spoglądam na nią z zazdrością; wszystkie dziewczyny chodzą razem po pracy do barów, na imprezy, mnie nigdy nie proponują. Próbowалам więcej z nimi rozmawiać, ale zdaje się, że

tworzą ścisłą grupkę. Zresztą, i tak jestem za młoda, nie wpuszczą mnie do baru. Tylko Linus się mną interesuje, głównie w matczyzny sposób – podsuwa mi talerze z kartoflami i miski soczewicy. Linus nie wychodzi z dziewczynami. Czasami wyjaśnia, że ma spotkanie po pracy.

– Uzależnienie nie trwa od dziewiątej do piątej – mówi wesoło. – Raczej czujesz się jak gówno dwadzieścia cztery na siedem. Częściowo dlatego tyle pracuję. Trzeba zająć się czymś, trzymać demony na odległość.

– Charlie. Słodka Charlie. – To kobieta, ma chrypliwy, pewny siebie głos. – Charlie Davis, siostra duchowa, tyle czasu spędziłyśmy razem, tak długo dzieliłyśmy się krwawymi historiami, a ty nie poznajesz mojego głosu?

Serce na chwilę mi się zatrzymuje, całe ciało ogarnia płomień.

– Cześć, Blue.

CZEŚĆ TRZECIA

Co teraz?

PRZEZ TELEFON BLUE OPOWIADA, ŻE WYSZŁA trzy miesiące temu i mieszka w Madison z matką. Nie dogadują się zbyt dobrze, więc pomyślała, że wybierze się na wycieczkę do Kansas, żeby zobaczyć się z Isis. Ona przeniosła się do Kansas z powodu faceta, teraz sprzedaje torebki z suszonym mięsem i magazyny do walenia konia w zajeździe dla kierowców ciężarówek. Isis i Blue właśnie siedziały sobie w barze, popijając dzin i piwo imbirowe, gdy przypomniały sobie o mnie, o tym, że mieszkam teraz w ciepłym miejscu, i o mojej matce.

– Zadzwoiłam do Creeley i pogadałam z Bruce'em. Podał mi jej nazwisko. Brawo, Bruce, ale na pewno nie za trzymanie w tajemnicy informacji o pacjentach. Wiem, że różnie między wami bywało, ale pod całą tą pozą zadufanego buca kryje się porządny gość,

Blue zadzwoniła do mojej matki.

– Jest bardzo miła! Wnioskując z tego, jak zawsze cicho siedziałaś na terapii grupowej, myślałam, że to jakiś potwór. Twój chłopak przekazuje jej, co u ciebie słyhać. Albo może raczej nie-chłopak. – Urwała, usłyszałam dźwięk zapalniczki, a w tle ujadanie Isis: „Zamknij mordę”. – Powiedział jej, gdzie pracujesz, a ja znalazłam numer. Internet to wspaniała sprawa, nie? Jak wielki stary głaz. Wystarczy kopnąć i pokazują się te wszystkie pełzające pod spodem paskudy. – Blue wzięła długi wdech, słyhać w nim było ulgę. – Tęsknię za tobą. – Zaczęła pociągać nosem. – Jest mi tak trudno, Charlie. Koszmarnie. Potrzebuję, kurwa, przerwy.

A teraz czekam na nią na dworcu Greyhound, ignorując podejrzliwe spojrzenia, które rzucają mi panowie o złotych zębach i fryzurach na pletwę. Wbijam czubek buta w ziemię.

Poprzedniej nocy Riley'a nie było w domu. Nie było go też, kiedy rano obudziłam się w jego łóżku i zaczęłam się trochę martwić. Jest ciepło, co prawda chłodniej niż do tej pory, ale wciąż ładnie i słonecznie. Mamy początek listopada, w Minnesocie ludzie chodzą już w kurtkach i wysokich butach, kuląc się w zimnych podmuchach wiatru.

Za godzinę muszę być w pracy. Kupuję colę z automatu, przyglądam się, jak kolejne szare autobusy wjeżdżają na parking. Od coli w ustach robi mi się lepko, zbyt słodko.

Blue wysiada ostatnia. Potyka się o schodek, odzyskuje równowagę, mruga w słońcu, przysyłając oczy dłonią.

Ma prawie trzydzieści lat, ale w obcisłych spodniach i koszulce z Lady Gagą wygląda jak nastolatka. Dopiero z bardzo bliska widać na jej twarzy, w kącikach oczu, ślady ciężkiego życia.

Wypuszcza z ręki neseser, ściska mnie mocno.

– Charlie! Moje ulubione Krwawe Ciasteczko. – Cofa się o krok, bacznie mi się przygląda. – O rany, nieźle wyglądasz, Cicha Sue. Jak ci włosy urosły! Powiedz, jak ma na imię. – Zapala papierosa.

– Twoje zęby – mówię zaskoczona. – Naprawiłaś zęby.

– Król Drwali w Madison sypnął kasą. Chyba czuł się winny za to, że pieprzył mnie przez tyle lat. Nie potrafię nawet, kurwa, opisać, jak to kurewsko bolało, kiedy je robili. Nieważne. – Sięga do torebki, grzebie w niej. – Dupa. Skończyły mi się papierosy. Gdzie twój samochód? Możemy zatrzymać się gdzieś po drodze?

Zęby Blue wyglądały jak małe tępe pieńki. Od mety starły się, pokryły ohydłą warstwą, zrobiły miękkie jak plastelina. Teraz Blue pokazuje w uśmiechu pełen zestaw lśniących, równych

białych zębów. Jej twarz nie jest już spuchnięta i pokryta plamami od leków, ale wygładzona zabiegami kosmetycznymi, podkładem i pudrem. Włosy mają głęboki złoty kolor.

– Nie mam samochodu, ale mieszkam niedaleko, tylko kilka przecznic stąd. Daj, poniosę twoją torbę.

Blue wbija we mnie wzrok.

– Poważnie mówisz? Nie masz samochodu? W tym ukropie? Umieram, Charlie. –

Wkłada na nos wielkie czarne okulary przeciwsłoneczne.

Wzruszam ramionami.

– Czemu nie przyleciałaś samolotem? – pytam. – Króla Drwali na pewno stać.

Blue prychna.

– O nie. Żadnych samolotów. Śmiertelnie się ich boję. Nie ma mowy. Miejsce człowieka nie jest w powietrzu. Takie jest moje zdanie.

Ostrożnie kroczy obok mnie na wysokich obcasach. Zerkam w dół: nadal nosi pierścionki na palcach u nóg. Z jakiegoś powodu ten widok mnie uspokaja. Pokazują jej hotel Congress i niewielkie kino, w którym sprzedają popcorn z parmezanem i pieprzem cayenne oraz prezentują czarno-białe filmy o ludziach, którzy mają głębokie, pełne smutku głosy.

– To gdzie mieszka ta gwiazda rocka? Poznam go?

Jesteśmy na rogu Dwunastej, pokazują gdzieś przed siebie, mniej więcej w kierunku domu Riley'a.

– Nie ma go teraz. – Tak mi się przynajmniej wydaje. Może już wrócił, odsypia, zmęczony tym, co robił.

– A później?

– Może – odpowiadam wymijająco.

Sama nie wiem, dlaczego nie bardzo chcę, żeby Blue poznała Riley'a, ale tak jest. Lekko macham do siedzących na ganku Hectora i Leonarda. Hector prostuje się na krześle i pociera płamę potu na piersi na widok Blue. Spogląda na mnie z uniesionymi brwiami.

– Jestem ciut zdenerwowana, wiesz? – odzywa się Blue. – Muszę się napić.

Wskazuję na sklep z alkoholami, chociaż na samą myśl o pijącej Blue czuję przerażenie i rozczarowanie. Miałam nadzieję, że jest czysta. W każdym razie czystsza ode mnie.

– Panowie – mówi słodko Blue i rusza w stronę sklepu, stukając obcasami.

Leonard nabija fajkę, palce mu drżą, kawałeczki tytoniu spadają na dżinsy. Hector rzuca się do pomocy.

Leonard chrypi:

– Tylko żadnych problemów, Charlie. Pamiętasz? Nie mam nic przeciwko twojej koleżance, ale nie chcę tu żadnych problemów.

O, Leonardzie, myślę, cały czas tkwię w problemach po uszy.

BLUE PRZEGLĄDA MOJE RYSUNKI I SZKICOWNIKI.

– O ja pierdole, Charlie. – Muska sportretowane twarze palcami. – To jest niebywałe. Nie miałam pojęcia, że potrafisz tak rysować. O rany. I jeszcze ta szalona ściana.

Zagląda do łazienki.

– Tu nie ma drzwi.

– Blue, zarabiam na zmywaku. Za taką pensję nie można liczyć na drzwi w mieszkaniu. W korytarzu jest zamykana toaleta, ale korzystają z niej faceci. Jeśli twoja skromność wygra, nie zapomnij papieru toaletowego.

Blue zapala papierosa, sięga do papierowej torby z alkoholowego, wyciąga butelkę. Otwiera, szuka szklanek w zlewie, nalewa do każdej wódki na trzy palce i podaje mi jedną.

Unosi swoją szklankę.
– Napijesz się? To miejsce jest koszmarnie, Charlie. Wszyscy lokatorzy wyglądają jak ci goście z ganku?
Biorę od niej szklankę – to takie proste. Wypijam jednym haustem, nie dbam o to, że za pół godziny zacznę pracę. Teraz to takie proste.
– Miałam nadzieję – mówię cicho – że już nie pijesz ani nic?
Blue wydyma wargi.
– Po wyjściu z Creeley długo nie potrwało, zanim znów zaczęłam. Pić, znaczy. Nic poza tym. – Wzrusza ramionami, ale unika mojego wzroku.
– Byłaś... grzeczna? – pytam bardzo ostrożnie.
Blue klęczy na podłodze, powoli przegląda kolejny szkicownik. Bluzka unosi się, odsłaniając plecy. Skóra jest jasna i delikatna.
Blue krzywi się za chmurą dymu.
– Robiłam beznadziejne rzeczy tylko wtedy, kiedy brałam. Totalnie traciłam kontrolę. Muszę coś wziąć, żeby zacząć się ciąć czy przypalać, bo normalnie tchórzę. Zerka na mnie z boku. – A ty? Tniesz się? – Jej oczy przesuwają się wzdłuż moich rękawów.
– Nie – odpowiadam. – Nic z tych rzeczy. To tylko...
Co by powiedziała na moje wyprawy po dragi? Wbijam wzrok w kolana.
Blue przekrzywia głowę.
– Wszystko w porządku, Charlie?
Tkwię w gównie i nie potrafię się wydostać, odpowiadam w myśli, bo słowa utykają mi w gardle. Z trudem przełykam ślinę i słowa z powrotem spadają w głąb.
Blue przygląda mi się przez długą pulsującą chwilę.
– A gwiazda rocka? Dobrze się do ciebie odnosi? Niektórzy faceci, zwłaszcza muzycy, lubią traktować kobiety jak szmaty.
Uważnie myję swoją szklankę, wyciągam czystą koszulkę do pracy.
– W porządku. Jest okej. No wiesz.
– Jest trochę starszy od ciebie, co?
– Aha. Ma dwadzieścia siedem lat.
Odwracam się i przebieram. Czuję na sobie wzrok Blue.
– Charlie, czy ty w ogóle miałaś wcześniej chłopaka?
Opuszczam koszulkę, zasłaniając twarz, tak że mój głos dochodzi spod niej stłumiony.
– W sumie to nie.
Blue mówi coś cicho, nie słyszę.
– Co powiedziałaś?
– Nic – odpowiada pospiesznie, podnosi się i gasi papierosa w zlewie. – Nic takiego. –
Dodaje wesoło: – A teraz pokaż mi telewizor i kompa, to jakoś wytrzymam do twojego powrotu.
Uśmiecham się sztucznie, chociaż przez cały czas zastanawiam się, co przed chwilą powiedziała.
– O, Blue. Mam dla ciebie złe wieści.
W Grit przez całą noc dziewczyny rozmawiają o *All Souls* i płonącej urnie. Chodzi o wielką paradę na cześć zmarłych, odbywającą się na Czwartej Alei. Ludzie przebierają się i malują twarze jak kościołotrupy; dzieje się mnóstwo dziwnych i ciekawych rzeczy.
– Jest niesamowicie – mówi Temple. – Panuje niesamowity ruch. Wszyscy są niezwykle nakręceny i dają z siebie mnóstwo pozytywnej energii. A kostiumy! Po prostu, kurwa, boskie.
W kawiarni jest pusto, nie mają nic do roboty. W pewnym momencie Julie dzwoni

z pytaniem, czy jesteśmy bardzo zajęte, a kiedy Temple odkłada słuchawkę, Randy domyślnie kiwa głową, zbiera swoje rzeczy i idzie do domu. Tanner już nie pracuje na dzienne zmiany, raz w tygodniu przychodzi na nockę, a Julie nadal zmywa naczynia. Od ponad dwóch tygodni gablota na ciasta stoi pusta i zakurzona. Bianca miała dosyć czekania na zapłatę.

Temple majstruje przy ekspresie.

– W zeszłym roku zrobiłam skrzydła ozdobione lampkami choinkowymi, ale jakiś palant wpadł na mnie i je podarł. A moja kumpela nadziała się na artystę tańczącego z ogniem, obłąd.

Pociąga za filtr, a ten gwałtownie wyskakuje, kawowy szlam bryzga na powiewną niebieską bluzkę, tę, która skrycie tak mi się podoba, bo ma na brzegu naszyte maleńkie dzwoneczki. Temple klnie. Pochylam się ze ścierką, żeby zetrzeć fusy z jej spódnicy.

Linus zostawia swoje stanowisko przy grillu, wyciera dłonie w ręcznik.

– To Dzień Zmarłych, Charlie. *Día de los Muertos*. Dwadzieścia tysięcy ludzi tworzy żywy łańcuch, kroczą przez śródmieście i palą życzenia skierowane do zmarłych. Patrząc na to wszystko, można by pomyśleć, że poskutkuje, nie? Energia wspólnoty i tak dalej. Ale świat wciąż jest gówniany, prawda, Temple?

– Nie krytykuj – odpowiada Temple. – Pozytywna energia ma wielką siłę.

– Tam w domu też macie coś podobnego, Charlie? – pyta Linus, omiatając wzrokiem pustą kawiarnię.

Zawsze określa Minnesotę wyrażeniem: „tam w domu”. „Macie tam w domu tortillę?”. „Pewnie tęsknisz za śniegiem, tam w domu wam go nie brakuje”. „Wybierasz się wkrótce do domu, Charlie?”.

Spoglądam na nie i mówię:

– Nie interesujemy się za bardzo śmiercią. Nie żyjesz, to nie żyjesz. Nie cenimy rozrywek, które mogłyby nam przeszkodzić w uprawianiu wędkarstwa pod lodem – rzucam lekko, ponieważ nie chcę w tym momencie myśleć o tacie.

Wlepiają we mnie oczy.

– Żartowałam – mruczę.

Temple unosi pokrywkę parownika.

– Na paradzie jest naprawdę niesamowicie, Charlie. Myślę, że byłabyś zachwycona. To wielka artystyczna impreza na cześć ludzkiego ducha.

Ścieram ostatnie ziarenka fusów ze spódnicy Temple, poruszam jednym z dzwoneczków, który robi „dzyń-dzyń”. Ludzki duch. Mój ojciec. Dokąd poszła jego dusza? Czy mnie widzi? A Ellis, ta jej część, która znikła? Czy gdzieś coś z niej zostało? Te myśli mnie przerażają.

Temple chyba się myli. Nie sądzę, żeby taka impreza mogła mi się spodobać.

Blue pojawia się w True Grit tuż przed zamknięciem, przebrała się w szorty, trampki i bluzę z kapturem. Ma zamglone spojrzenie. Ciekawe, ile wódki wypila. Z wściekłością myję podłogę, zastanawiam się, co też ona opowiada Linus i Temple. Ramiona ma zakryte, ale czy dostrzegły kreski na jej łydkach? Na moje czoło występują krople potu. Raz po wuefie jedna z dziewczyn wyważyła drzwi od toalety i przyłapała mnie w samym staniku, z koszulką gimnastyczną w rękach. Zawsze przebierałam się w toalecie, z dala od pozostałych dziewczyn, i zawsze wkładałam pod czerwono-białą koszulkę bluzkę z długim rękawem. Zaśmiała się, po czym zasłoniła usta dłońmi. Potem za każdym razem, kiedy podchodziłam do szafki i wyciągałam strój sportowy, wszystkie omijały mnie szerokim łukiem. Wydawały z siebie przenikliwe syki, kiedy zabierałam rzeczy i szłam zamknąć się w toalecie. Temple przyjaznym tonem rozmawia z Blue. Kim była w liceum? Jedną z tych, co syczą, czy jedną z tych, co uciekają? Czy Linus kiedykolwiek wepchnęła do kibla głowę koleżanki ze szkoły, a może musiała opuszczać swoją i jakoś przetrwać do trzeciej? Ludzie mają tyle sekretów. Nigdy nie są

tym, czym się wydają.

W drodze do domu Blue mówi trochę bełkotliwie:

– Leonard powiedział mi, jak tu trafić, pomyślałam, że po ciebie pójde. Mam nadzieję, że nie jesteś wściekła ani nic. Nie chciałabym naruszyć twojej przestrzeni czy coś, rozumiesz? – Unosi głowę i spogląda na palmy. – To miejsce jest totalnie pokręcone. Te wszystkie rośliny wyglądają jak z bajek dla dzieci, nie uważasz?

Przez chwilę idziemy przed siebie w milczeniu, wreszcie Blue pyta:

– Może gdzieś skoczmy? – Patrzy na mnie z nadzieją, wskazując w kierunku barów na Czwartej Alei.

Unoszę ręce w obronnym geście.

– Mam tylko osiemnaście lat. Jak chcesz pójść do baru, musisz iść sama.

Po namyśle proponuje:

– W takim razie sprawdzmy, czy gwiazda jest w domu. – Posyła mi szeroki uśmiech.

Chyba dłużej nie mogę robić uników, więc się zgadzam. Ciekawe, czy wrócił. Mam nadzieję, że tak.

* * *

Słysząc z daleka, jak brzdąka na gitarze, jego głos wznosi się i opada. Niespodzianka, przez kilka ostatnich tygodni w ogóle nie grał. Na twarzy Blue pojawia się wyraz rozmarzenia.

– To on? O rany, niesamowite.

Siedzi na ganku, ze stojącej u jego stóp popielniczki unoszą się delikatne smużki dymu.

– Charlie. – Jest dziwnie radosny. – Oraz... koleżanka Charlie.

– Blue – przedstawia się i sięga w dół. Zaciąga się jego papierosem.

Ten gest wywołuje we mnie paskudną falę – nagle Blue czuje się milion razy bardziej komfortowo i poufale w towarzystwie Riley'a niż ja kiedykolwiek dotąd. Nie rozumiem, jak jej się to udaje. Co jest ze mną nie tak, że nie potrafię? I zaraz, czy ona flirtuje?

– Blue. Jakie piękne imię. Jestem Riley West. – Opiera gitarę o balustradę.

Czy on też flirtuje? Nie potrafię odczytać sygnałów.

– Dzięki – mówi Blue. – To w sumie nie jest moje prawdziwe imię, ale bardziej mi się podoba.

Rzucam jej zaskoczone spojrzenie. Na chwilę zapominam o gniewie.

– Co? Poważnie? To jak masz na imię?

Blue znów zaciąga się papierosem, powoli wypuszcza dym.

– Patsy. Patricia. Czy ja według ciebie choćby w najmniejszym stopniu wyglądam jak Patsy?

– Nie – stwierdzam, z uśmiechem potrząsając głową. – Ani trochę nie wyglądasz jak Patsy.

Riley śmieje się głośno. Chyba wypił już kilka piw, bo wygląda na szczęśliwego. Szkoda, że Blue tu jest. Skoro Riley zamierza być szczęśliwy, chciałabym mieć w tym udział, wyłącznie ja. Ostatnio potrzebuje trzech, czterech, żeby chociaż się uśmiechnąć. Schyla głowę przed Blue.

– Może coś do picia, drogie panie? – Wchodzi do środka.

Blue chichocze.

– Fajny – szepcze.

Spogląda na sąsiadów Riley'a, którzy siedzą na gankach, popijają wino i kołyszą się w fotelach bujanych, wachlując się gazetami.

– Pewnie mu się podoba, że ma prywatną publiczność. To znaczy, prócz ciebie. – Lekko uderza w struny gitary.

Trzępię ją po palcach, zirytowana tą poufałością w stosunku do jego rzeczy. Rzuca mi wściekle spojrzenie.

Riley wraca z butelkami zimnego piwa. Przelotnie gładzi mój policzek, wyciąga butelkę w moją stronę. Z wahaniem stukam się butelką z nim, a potem z Blue.

Blue wypija dwa potężne hausty piwa, ociera usta, wodząc wzrokiem od Riley'a do mnie i z powrotem. Chichocze.

– Zabawni jesteście.

– Dlaczego? – Upijam piwa.

– Nie wiem. Po prostu. – Jej twarz błyszczy. – Możecie się całować i tak dalej. Mną się nie przejmujcie.

Czuję, że się czerwienię.

Riley zakłada nogę na nogę i proponuje Blue papierosa.

– Wyczuwam ciekawą historię. Pewnie poznałyście się w tragicznych okolicznościach.

Blue prychnie i wydmuchuje serię idealnych kólek.

– Jezu, kocham papierosy bez filtra. – Wzdycha. – Po prostu kocham. – Znowu wypija potężny łyk. – Spotkałyśmy się w klinice dla dziewczyn, które lubią się ciąć. Spędziłam tam najwięcej czasu ze wszystkich. – W jej głosie pobrzmiewa coś na kształt dumy. – Po mnie przyszła Isis, potem Jen, później Charlie. A Louisa była tam od zawsze. Hej, człowieku, wszystko w porządku?

Twarc Riley'a znieruchomiała, jakby wstrzymywał oddech. Blue patrzy na mnie czujnie.

– Charlie, nie opowiadałaś mu o Creeley?

Riley odchrząkuje.

– Charlie raczej się nie zwierza, ale nic nie szkodzi. Każdy ma jakieś sekrety. – Głos Riley'a brzmi łagodnie. Wyciąga rękę i przyciąga mnie bliżej. Czuję się lepiej. Ogarnia mnie ulga.

Blue kiwa głową.

– Mówiłam na nią Cicha Sue, bo przez jakiś czas nic nie mówiła. Jak oni to nazywają, Charlie?

Zaciskam zęby, rozważam, czy mam odpowiedzieć.

– Mutyzm wybiórczy. – Blue przypomina sobie nagle. Siada na balustradzie, ma gładkie lśniące nogi. – Czasem w pewnych sytuacjach niektórzy przestają mówić. Ja jestem wszystkim po trochu. Można powiedzieć, że mam mutyzm mentalny.

– Interesujące – stwierdza Riley. – Szpitale są ciekawe, prawda? Wszyscy ludzie, których się tam spotyka, są jak nasze odbicie w lustrze. Odsiedzialem swoje, więc wiem. Bardzo irytujące. – Drgają mu kąciki ust.

Czuję, że ogarnia mnie panika; nie podoba mi się sposób, w jaki o mnie mówią, jak dobrze im się rozmawia. Zgrzytam zębami i spoglądam na Blue.

– Charlie na okrągło rysowała. – Blue gasi papierosa. – Jak raz poszła na zajęcia plastyczne, to potem każdego dnia musieli ją stamtąd wyciągać niemal siłą. Tylko ona lubiła te zajęcia. Ja za nic nie potrafię niczego wyprodukować.

– Ma świetne oko do linii. – Riley patrzy na mnie bez uśmiechu. – Słyszałaś o wystawie?

Blue gada dalej, jakby go w ogóle nie słyszała:

– Jezu, nienawidziłam tego miejsca. Nie mogłam się doczekać, kiedy wyjdę. Trzymali nas tam jak bydło w zagrodzie, po kawalku odcinali nam mózgi, co nie, Charlie?

– A ty, Charlie? – Riley dopija piwo. – Ty też gryzłaś wędzidło, nie mogąc się doczekać, kiedy stamtąd wyjdiesz?

Twarc Riley'a jest zmęczona i przystojna, tak dobrze mi znana, że kiedy tak patrzę, jak się przekomarzają, wzbiera we mnie tęsknota, nim zdążę ją stłumić.

– Nie – odpowiadam cicho. – Pokochałam to miejsce. W ogóle nie chciałam stamtąd odchodzić.

Blue rechocze.

– No jasne. Wcześniej spałaś na kracie wentylacyjnej. Co miało ci się nie podobać.

Riley mruży oczy.

– Na kracie wentylacyjnej? – powtarza powoli.

Patrzę na niego i nagle uświadamiam sobie, że on nie pamięta, jak tamtego wieczoru, dawno temu, w porze monsunów, siedzieliśmy na ganku, a ja mu powiedziałam, że przez jakiś czas byłam bezdomna. Nie pamięta, ponieważ przez cały czas jest nawalony bądź naćpany. Zalewa mnie fala ciężkiego smutku.

Blue wodzi wzrokiem od Riley'a do mnie. Jej twarz blednie. Rozmazuje niedopałek na balustradzie, mamrocze: „Przepraszam”.

– Hmm – mruczy Riley, po czym znika w środku.

Przynosi kolejne piwa, zapala nowe papierosy, steruje rozmową. Mówią o mnie tak, jakby mnie nie było, drażnią się ze mną i śmieją się, kiedy twarz mi czerwienieje. Sąsiedzi powoli znikają w domach, światła gasną, na ulicy zapada cisza, lecz Riley i Blue wciąż są pełni energii, podają sobie papierosy, chichoczą i wymieniają sarkastyczne uwagi na temat muzyki i polityki.

W końcu zbieram butelki i przepełnione popielniczki, chowam gitarę do futerału, chwytam Blue za łokieć i pomagam jej się podnieść.

– Czemu nie możemy zostać? – jęczy. – Jest tak, kurwa, wcześniej! Jestem na wakacjach, kurwa mać.

Ale i tak zabieram ją do siebie, pomagam jej utrzymać się prosto na wąskich schodach. W pokoju nagle ogarnia mnie zwątpienie. Patrzę na wciśnięty pod ścianę jedyny materac. Blue chwiejnym krokiem idzie do łazienki, opuszcza džinsowe szorty.

– Przepraszam – mówi. Jej siki odbijają się echem od muszli klozetowej.

Pada na materac i macha stopami.

– Niech ktoś zdejmie mi buty, błagam. – Ściągam z niej niebezpiecznie wysokie koturny i rzucam je w kąt pokoju.

– Zgaś światło. Ta lampa mnie zabija.

W ciemności idę do łazienki, sikam i myję zęby, ochlapuję twarz wodą, wciągam spodenki i T-shirt, spoglądam na Blue zwiniętą na posłaniu, wreszcie kładę się obok niej. Muskam ją biodrem. Nagle ogarnia mnie tęsknota za Ellis. Przypominam sobie, jak razem zwijałyśmy się na łóżku, jak szeptałyśmy, czując na twarzach swoje gorące oddechy. Ostrożnie przysuwam biodro do biodra Blue. Jest bardzo ciepła.

Gdzieś mruczy telewizor.

– Co powiedziała gwiazda na twoje blizny, Charlie?

Zamykam oczy.

– Co tu robisz? – pyta sennie Blue. – Wracaj do swojego chłopaka.

– Nie.

Po chwili milczenia Blue mówi:

– Nie musisz się mną przejmować ani nic. No, lubię czasem poflirtować, miło jest, ale nie... nigdy bym... Tylko się wygłupiam, tyle chciałam powiedzieć, jasne, Charlie? – Podciąga koc i obraca się twarzą do ściany. – I wiesz – dodaje, a jej głos jest jeszcze bardziej senny, ale też odrobinę złośliwy – dziewczyna ma prawo dotykać gitary swojego chłopaka. Wściekłaś się na mnie, że na niej grałam. Założę się, że nawet nie pomyślałaś, że możesz jej dotykać, ale możesz. On nie jest bogiem.

Trochę boli świadomość, że Blue ma rację, ale nie wiem, co odpowiedzieć, więc się nie

odzywam. Kiedy już mi się zdaje, że zasnęła, kiedy jej oddech staje się ciężki, a ja też powoli osuwam się w ciemność, nagle mruczy:

– Hej. Przypomnij mi. Mam coś dla ciebie. Od Louisy.

Rano Blue jest biała jak ściana, lecz bardzo energiczna, chciwie pije kawę, którą kupiłam w kawiarni przy naszej ulicy. Bierze kąpiel w mojej miniaturowej wannie, a ja w tym czasie myję kubki w zlewie. Nie jest nieśmiała jak ja. Kiedy odchyła się do tyłu, a woda obmywa jej piersi, widzę zapisaną na niej historię. Po kąpeli łyka lekarstwa, jedno po drugim, potem ustawia na parapecie buteleczki z zaleceniami. Myślę o mailu, w którym napisała, że bierze mnóstwo leków.

– Muszę zjeść coś tłustego na kaca. – Blue wciąga koszulkę z krótkim rękawem. Blizny po przypalaniu tworzą staranny, przemyślany wzór. – I jakiś napój. Może gigantyczną colę.

Pokazuję na koszulkę, na ramiona.

– Nie... A jak ktoś zobaczy?

Robi naburmuszoną minę.

– A co mnie to, kurwa, obchodzi? Tak jest i kropka. To ja. – Pociąga za długi rękaw mojej bluzki. – Zamierzasz przez całe życie kryć się w ciemnościach? Uważam, że lepiej to pokazać i tyle. I wiesz, co mnie wkurwia? Że jak facet ma blizny, to wszyscy uważają go za bohatera czy coś w tym rodzaju. Ale laski? My jesteśmy tylko dziwacznymi świruskami. Weź na przykład swojego chłopaka. Nie zrozum mnie źle, nie chcę być złośliwa ani nic. Lubię go, ma urok czarującego drania, który działa naprawdę skutecznie, ale ma też poważne problemy. – Pokazuje gest towarzyszący picciu. – Dlaczego nie powiedziałeś mi o szpitalu i o życiu na ulicy? On może mieć problemy, a ty nie? – Słowa wypadają z jej ust gniewnym strumieniem, zaskakują mnie.

Czuję łzy pod powiekami. Blue porusza się stanowczo za szybko jak dla mnie.

– Nie wiem. – Z trudem przełykam ślinę. – Chciałabym znaleźć coś do jedzenia, okej?

Możemy się tym zająć?

Szukam pieniędzy, ale Blue mnie powstrzymuje.

– Nie. Ja stawiam. Przepraszam. Serio.

Zarzuca torebkę na ramię.

– Ruszamy. Jak zaraz nie wypiję czegoś z bąbelkami, to chyba się porzygam.

Blue kupuje nam jajecznicę i burrito z plackami ziemniaczanymi i zielonym chili, a do picia zmrożone napoje. Pożera jedzenie z wilczym apetytem i rzuca uszczypliwe uwagi, komentuje szeptem szeroki tyłek kelnerki, opowiada sprośne kawały na temat solniczki i pieprzniczki w kształcie kaktusów karnegia. Zamawia drugi napój i bułeczkę cynamonową, lukier przykleja się do jej górnej wargi.

Potem buszujemy w sklepie ze śmiesznymi perukami. Blue kupuje kolczyki z piórek i przymierza kolorowe peruki. Snujemy się bez celu po centrum, gapimy się z zachwytem na przypominającą ciastko świeżą fasadę katedry Świętego Augustyna, filigranową i opuszczoną Świątynię Życzeń El Tiradito, pełną wypalonych świeczek. Blue długo przygląda się kawałkom darni w bladej kruszejącej ścianie, wszystkim życzeniom i darom, które złożyli tu ludzie, sztywnym, wyblakłym fotografiom. Dotykam pustej niszy. Może powinnam przynieść tu zdjęcie Ellis? Przesuwam palcami po gładkim kamieniu.

W drodze powrotnej Blue prawie się nie odzywa. Wciągam w płuca listopadowe powietrze, patrzę w bezkresne błękitne niebo. W Minnesocie liście już opadły na ziemię, a niebo jest szare, gotuje się na chłód i zimę. Może nawet z raz czy dwa padał śnieg. Tutaj jednak niebo wciąż jest niebieskie, a temperatury są wysokie.

W pokoju Blue siada w fotelu z telefonem w ręku, stuka i przewija. Kiedy pytam, jak długo zamierza zostać, jej oczy zachodzą mgłą.

– Chyba mówiłam, że nie mam dokąd pójść, Charlie. Tobie się poszczęściło. Tutaj jest tak przyjemnie. Spójrz tylko na to kurewskie słońce, świeci nawet w zimie! Są siedemdziesiąt trzy stopnie. – Opuszcza głowę i dodaje: – Nie chcesz mnie tutaj, Charlie?

Chcę, ale nie chcę; chcę, ale nie.

Zmieniam temat.

– A jak wszyscy w Creeley?

Blue potrząsa głową.

– Nie wiem, nie utrzymuję z nimi kontaktu. Isis wyjechała zaraz po tobie. Louisa nigdy stamtąd nie wyjdzie, głupi pojeb. Umrze tam albo odsiedzi dożywocie, przysięgam. O kurwa!

Podnosi się z fotela, przez chwilę grzebie w neseserze, w końcu wyciąga plik dziesięciu czarno-białych zeszytów związanych czerwoną wstążką.

– Louisa prosiła, żeby ci to dać.

Czuję ich ciężar w dłoniach. Wyobrażam sobie Louise, jej złotoczerwone kręcone włosy, uśmiech, który pojawiał się za każdym razem, kiedy pytałam, co pisze w tych swoich zeszytach. „Historię mojego życia, Charlie”.

– Nie zajrzysz? – pyta Blue.

– Może później. – Wsuwam zeszyty do plecaka. Blue chyba nie majstrowała przy wstążce, ale jednak. Nie chcę ich tu zostawiać. Może są tam rzeczy przeznaczone wyłącznie dla mnie. Może chcę zachować jej słowa tylko dla siebie.

Blue wtula się w fotel.

– Jen S. do mnie napisała. Dooley ją rzucił. Straciła jakieś stypendium i chyba wróciła do dawnych zwyczajów, ale jej rodzice jeszcze nie wiedzą.

– Rozmawiasz z kimś? – pytam Blue. – Znaczący, chodzisz na spotkania i tak dalej?

Blue upija piwa, które kupiła w drodze do domu.

– Niee, nie mam nic więcej do powiedzenia. A ty?

– Przez jakiś czas pisałam maile do Casper, ale na ostatni długo nie odpowiada.

– Byłaś jej ulubienicą. Wszystkie dobrze o tym wiedziałyśmy. Też mi coś. – Blue gwałtownie zrywa się z fotela, zaczyna wyciągać ciuchy z torby i rozkładać je na materacu.

Powoli zasuwam plecak.

– Casper lubiła nas wszystkie – odpowiadam obojętnym tonem, ale słowa Blue wywołują we mnie poczucie winy. Może faktycznie Casper trochę mnie faworyzowała, może byłam jej specjalnym projektem.

– Nieprawda. Mnie w ogóle nie lubiła. Myślisz, że pisała do mnie maile po moim wyjściu? Nie.

Odwrócona do mnie plecami, Blue zbiera włosy w koczek. Na jej karku widnieje jaskółka, pulchna i niebieska, obserwuje mnie.

Pytam, co będzie robiła pod moją nieobecność, żeby rozluźnić napiętą atmosferę. Blue wzrusza ramionami i człapie do kuchni.

Kiedy ściąga butelkę z parapetu i płucze szklanke, chciałabym zawołać „stop!”. Ale kim ja jestem, żeby jej rozkazywać? Jestem tak samo zagubiona jak ona.

– No wiesz. Wyjdę, pochodzę. Może pogadam z twoimi sąsiadami. – Odwraca się w moją stronę, uśmiecha, nowe idealne zęby tworzą lśniąca ścianę w jej ustach.

Już przy drzwiach mówię:

– Blue, nie przesadzaj z tym, okej? Może wieczorem przejdziemy się tylko we dwie.

W nocy jest ładna pogoda. – Posyłam jej uśmiech z nadzieją, ale ona tylko pokazuje mi V palcami i zaczyna przeglądać telefon.

Nie zastaję jej po powrocie. Znajduję ją u Rileya. Słyszę śmiech z daleka, skręcając za

róg w stronę jego domu. Żołądek zaciska mi się ze zdenerwowania, wchodzę po stopniach na ganek, zatrzymuję się, patrzę przez siatkowe drzwi. Siedzą na podłodze, pośród pełnych popielniczek i szklanek, Blue brzdąka na hummingbirdzie Riley, a on delikatnie poprawia układ jej palców. Sypie żarcikami, Blue śmieje się, rumieni, zanurzona w kosmosie jego uwagi. Sam widok jego dłoni na jej palcach sprawia mi ból. Wiem, powiedziała, że nigdy nic by z nim nie zrobiła, ale jednak. A potem czuję się beznadziejnie, bo przecież mówiła też, że jest samotna. Teraz dobrze się bawi w towarzystwie kogoś, kto poświęca jej uwagę i czas.

Włosy zasłaniają jej policzek niczym jedwabisty wachlarz. Blue – Patsy, Patricia – wygląda na autentycznie szczęśliwą i nagle mój żołądek odrobinę się rozkurcza. Czy nie zasłużyła na tę chwilę po tym, co powiedziała na temat mnie i Casper?

Staję w drzwiach, a ona posyła mi szeroki uśmiech, opowiada, że Riley postawił jej drinki w Tap Roomie i obiad w the Grill. A jutro rano zabiera ją na przejażdżkę, by pokazać okolicę.

Mój żołądek podskakuje. Mnie nigdy nie zabrał na przejażdżkę. Wygląda na bardzo zadowoloną, palcami muska struny gitary. Spoglądam na Riley, akurat jest zajęty skubaniem etykiety na butelce z piwem.

Może naobiecował jej różnych rzeczy, ale wcale nie dotrzyma słowa, chciał być miły, a teraz ją rozczaruje. Skąd niby weźmie samochód? I jak? Zamierza olać pracę? Czuję, że narasta we mnie gniew.

Siadam ciężko na burgundowej sofie. Riley podnosi wzrok, wreszcie mnie dostrzega, pochyła się, podciąga nogawkę moich ogrodniczek i całuje mnie w kolano.

– A, ej, przyszedł facet, od którego wynajmujesz mieszkanie. – Blue zaciąga się papierosem. – Lonnie?

– Leonard – odpowiadam bezbarwnym głosem.

Blue zagryza wargę, skupia uwagę na położeniu palców na strunach gitary. Ma ładne paznokcie, białe i starannie opiłowane.

– Chciał wiedzieć, jak długo zostanę, bo pokój jest taki mały i tak dalek, może będziesz musiała dodatkowo mu zapłacić.

Krew odpływa mi z twarzy. Blue dostrzega to i prędko potrząsa głową.

– Nie martw się, Charlie. Mam kasę, poza tym zarobię na dodatkowy czynsz. – Promienieje. – Zostałam złotą rączką. Te wszystkie wizyty z tatą na placach budowy nie poszły na marne. Widziałas schody? Dzisiaj je naprawiłam. Mogłybyśmy już zawsze dzielić pokój. – Uśmiecha się szeroko, oczy jej błyszczą.

Wygląda na tak szczęśliwą i pełną nadziei, że trochę mięknie. W sumie nawet miło się z nią mieszka. Jest inna niż w Creeley.

Dziewczyny z True Grit, Temple, Frances i Randy, ciągle opowiadają o swoich współlokatorkach. Chyba całkiem fajnie jest z kimś mieszkać.

– Aha – mówię z wymuszonym śmiechem. – Mogłoby być super, Blue.

Riley też się śmieje, ale w jego głosie pobrzmiwa ostry ton.

– Hej, Blue! Nie mów tak. Nie chcę stracić dziewczyny przez jej najlepszą przyjaciółkę. Tylko ona trzyma mnie w pionie. Zaklepuję ją. – Ścisła moje kolano trochę za mocno.

Blue unosi brwi. Próbuje uchwycić moje spojrzenie, ale ja podnoszę się i proponuję, że przyniosę coś do picia. I przynoszę wiele razy, im i sobie, aż wreszcie potykam się i chwieję tak samo jak oni.

Staję się coraz cięższa i cięższa, pozwalam sobie na to, ponieważ chciałam, żeby Blue była inna, kiedy wyjdzie, chciałam, aby okazała się lepsza, żebym ja też nabrała odwagi i mogła stać się lepsza.

Może jest dokładnie tak, jak ma być.

Później w sypialni Riley'a – w domu zapadła cisza, Blue zasnęła na sofie, z rękami wciśniętymi między kolana – czuję jego oddech na ramieniu. W pomieszczeniu jest chłodno, okna są otwarte.

Riley leży za moimi plecami, przyciska mnie do siebie, oddycha tuż przy moim policzku.

– Twoja koleżanka nie mówiła poważnie o tym wspólnym mieszkaniu, co? Nie bardzo wiem, co o tym myśleć.

Zamykam oczy. Wszystko wiruje, mam dosyć picia i sprzątanego po nim, kiedy przesadzi. Zaciągania go do łóżka. Budzenia do pracy. Gdzie jestem? Co robię?

Głos zawodzi, gardło boli od papierosów, ale próbuję i głos wydobywa się wściekły. Wiem, że on to czuje, bo odsuwa się odrobinę.

– Nie pozwolisz mi nawet mieć przyjaciółki? Jednej przyjaciółki? – mówię bełkotliwie, zaczynam trochę panikować. Nie chcę stracić panowania nad sobą, ale kula jest coraz większa, alkohol chciwie ją popycha.

– Hej – mówi Riley łagodnie. – Ja nie...

– Czy ty wiesz, jak ciężko jest przebywać przez cały czas wyłącznie z tobą? Kiedy ciągle jesteś nawalony?

Riley milczy.

Mój głos przybiera na sile. Odpycham jego dłonie, przyciskam się do ściany pod otwartym oknem. Czy sąsiedzi mnie słyszą?

– Nigdy nie próbowałeś dowiedzieć się czegoś na mój temat. Nie zapytałeś nawet o bliźni. Ani o rodziców. Blue przynajmniej wie, rozumie...

– Hej, posłuchaj, skarbie, wszyscy mają za sobą jakieś gówniane doświadczenia, nie pytałem, bo...

– Nie pytałeś, bo tak naprawdę cię to nie obchodzi, bylebym była obok ciebie, kiedy mnie potrzebujesz. „Ciastko, książka, płyta na półce”, jak powiedziała Julie.

Przekręcam się. Ledwo widzę jego twarz, bo w głowie okropnie mi wiruje, a w pokoju jest ciemno. On też jest bardzo pijany, powieki mu opadają. Czy chociaż tę chwilę zapamięta?

– Oto cała moja historia, Riley. Oto moje gówniane doświadczenia. Miałam przyjaciółkę, przeze mnie próbowała się zabić. Złamałam matce nos, a ona wywaliła mnie z domu. Nigdy nie zaliczyłam spania na kracie wentylacyjnej, ale inne rzeczy tak: bochenek chleba może starczyć na tydzień, lecz skutkiem jest zatwardzenie.

Słowa wypadają z moich ust, zbijają się w bełkotliwe chmury w gardle, ale nie mogę przestać.

– Jeśli poproszę cię o drobne, to mi je dasz, ponieważ jestem taka drobna, smutna i brudna, a w twojej głowie rodzą się sekretne myśli na mój temat, ponieważ jestem drobna, smutna i brudna. Wyobrażasz sobie, że mógłbyś robić ze mną różne rzeczy, a ja bym ci pozwoliła, ponieważ potrzebuję pieniędzy. A ja o tym wiem, więc kiedy mówię, że powinniśmy pójść do parku i jeszcze trochę porozmawiać na osobności, idziesz ze mną szczęśliwy, podekscytowany i nerwowy.

Riley szepcze:

– Nie. – Zakrywa twarz dłońmi.

– Nie spojrzę na ciebie, kiedy moi kumple wyskoczą z krzaków i cię obrobiją. Ani kiedy będziesz płakać, bo okładają cię łańcuchami, zabierają pieniądze, niszczą drogi garnitur. Ja zrobiłam swoje. Zresztą po co ci tyle gotówki w portfelu? Jesteś beznadziejnym palantem, człowieku, prawdziwym palantem.

Riley mówi: „przestań”, ale nie przestaje, ponieważ chcę go zranić tylko trochę i bardzo mocno za to, jak patrzył na Regan, za wszystko, co być może wydarzyło się z Wendy, za to, jak

śmieje się razem z Blue, i dlatego, że nie pozwala mi się z nią przyjaźnić, ale przede wszystkim dlatego, że jestem taka zmęczona.

Jestem zmęczona pić i desperacją. Jestem zmęczona i wściekła na samą siebie. Za to, że staję się coraz mniejsza i mniejsza, w nadziei, że on mnie dostrzeże. Ale jak ktoś może cię dostrzec, jeśli stajesz się coraz mniejsza?

Skopuję prześcieradło, przełożę przez niego, wciąż mówiąc. Próbuję wciągnąć ogrodniczki i zapiąć szelki. Nie mogę. Mam niezborne ruchy. W końcu zawiązuję te cholerne szelki w talii.

– Dziewczyna usiłuje przetrwać w pojedynkę, ale facet próbuje ją zgwałcić w tunelu, jest niesamowicie wysoki i silny. Wciska ręce w majtki, palce do środka ciała, jego ramię jest tuż przy jej ustach, żeby nikt nie słyszał krzyków. Może uratuje ją dwóch chłopaków, dwóch miłych chłopaków. Ale kiedy trzymasz się z grupą, lepiej pamiętaj o obowiązujących zasadach, lepiej pamiętaj, kto rządzi, bo inaczej znów może spotkać cię krzywda.

Pochyliłam się nad twarzą Riley'a. Zaciska powieki.

– Mieszkałam w domu, do którego przychodzili faceci na płatny seks. Ktoś próbował mnie sprzedać, więc próbowałam umrzeć. Oto moja historia, Riley. Kiedy usłyszysz twoją?

Ciężko dyszę. Zakrył twarz skrzyżowanymi ramionami.

– Riley – mówię schrypniętym głosem – musimy przestać. Ty musisz przestać. Nie chcę, żebyś umarł, Riley. Przestań, proszę. Nie chcę, żebyś umarł. Przystaniesz?

Jego głos okazuje się mocniejszy, niż się spodziewałam.

– Nie.

Wypadam z pokoju, o mało się przy tym nie przewracam. Ciągnę Blue za koszulkę. Blue chwieje się, szuka oparcia.

– Co jest, kurwa, Charlie? No coooo? – Włosy opadają jej na twarz.

Wypycham ją na zewnątrz, na ganek wciągając buty, wtykam jej stopy w sandały.

– No co jest? Pokłóciliście się czy jak?

– Po prostu chcę już stąd pójść. Chodźmy. Proszę, pospiesz się, Blue. – Zbiegam po stopniach, chciwie łykam powietrze. Nie wiem, co się wydarzyło, jestem oszołomiona i pijana, skóra mnie swędzi. – Chcę się znaleźć w bezpiecznym miejscu. Proszę. Chcę do domu.

– No dobra, dobra. – Blue zapina dżinsy i posłusznie drobi przed siebie. Jest zaspana i pijana.

Nie chcę więcej pić. Nie chcę więcej pić. Nie chcę więcej pić. Nie chcę być sama.

Muszę ją podtrzymywać, jej ciało jest bezwładne i galaretowate. Mówię łagodnie:

– Blue, przestańmy, przestańmy robić te wszystkie rzeczy. Pić i tak dalej.

– Jasne – mruży. – Dobrze, niech ci będzie.

– Proszę.

Niebo zakrywają mleczne chmury. Czuję słodki zapach szamponu Blue, pogrzebany gdzieś pod alkoholem i papierosami. Mojej uwadze nie umknęło, że Riley nie wołał za nami, kiedy wychodziłyśmy, nie wybiegł na ganek. W ogóle nie zareagował.

Kula w moim wnętrzu zbiera to i dodaje do stosu.

RANO STOJĘ Z DWOMA KUBKAMI KAWY NA WYNOS w rękach, głowa mi pęka z powodu kaca, gapię się na ścianę na klatce schodowej. Blue mówiła prawdę: zalepiła wszystkie dziury i pęknięcia, wyszlifowała wszystkie nierówności. Ściana jest gładka i piękna. Blue ma dumną minę.

Klatka schodowa pachnie czystością. Kiedy wróciłam z kawiarni, Blue stała obok

ociekającego mopa i wiadra z wodą. Ściany wyremontowała poprzedniego dnia, teraz myła korytarz i klatkę, by spod brudu wylazła podłoga z drewnianych desek, być może również wymagająca wygładzenia. Blue wyglądała zdumiewająco świeżo jak na poranek po nocy pijaństwa.

Wydaje mi się, że ona nic nie pamięta. Riley na pewno nie pamięta. Musiałam powstrzymać się z całych sił, idąc po kawę, by nie ruszyć w przeciwnym kierunku, nie skręcić za róg, nie wejść po schodkach prowadzących na ganek i...

Czoło Blue lekko błyszczy od potu.

– Co się robi po studiach humanistycznych? – pyta. – To. – Śmieje się i robi zabawną minę. – Uniwersytet w Madison – dodaje. – Nie jestem całkiem do niczego, Charlotte.

– Wiem, Blue. Dobra robota.

– Dzisiaj twój wielki dzień! Cieszysz się? – Bierze ode mnie jeden z kubków i z pełną wdzięcznością miną przytyka go do ust. – O kurwa, moja głowa.

– Aha, cieszę się. – Myślę o nadchodzącym wieczorze, odsuwam od siebie myśli od Rileyu. – Bardzo.

– Fajnie. Powinnaś. Może spotkamy się później tutaj i pójdziemy razem do galerii?

– Jasne. Zdrzemnę się przed pracą, okej?

Blue salutuje, a ja wracam do pokoju. Żołądek zaciska mi się w supeł. Nadal jestem przygnębiona po kłótni z Rileyem, zastanawiam się, czy będzie w domu, czy przyjdzie na otwarcie wystawy. Czuję, że sprawy między nami są w zawieszeniu, i wcale mi się to nie podoba.

PRACUJĘ OD PIĄTEJ DO SIÓDMEJ, POTEM TEMPLE mówi, że mogę już iść do galerii. Dzisiaj Tanner stoi za kontuarem, a ona obsługuje ekspres do kawy. Ludzie tłoczą się w środku, przebrani w najbardziej szalone kostiumy, twarze mają pomalowane na ciemno i w czaszki. Julie jest na zewnątrz, nalewa ciepły cydr z wielkiego metalowego naczynia.

Tanner ustawił na gablotach do ciasta termosy z kawą, stopy kubków jednorazowych i pudełko na pieniądze. Temple wydrukowała napis: KAWA 1 DOLAR. Linus pracuje przy grillu, a Randy zastępuje mnie przy zmywaku i podaje jedzenie.

– Wszystko w porządku – mówi Temple. – Kontrolujemy sytuację. Pokaż im, dziewczyno.

Na ulicy, gdzie odbywa się parada *All Souls*, czy raczej *Día de los Muertos*, panuje prawdziwe szaleństwo. Tancerki wykonujące taniec brzucha, dzieciaki i dorośli w czarnych kostiumach, o twarzach pomalowanych tak, by wyglądały jak czaszki, najmłodsze dzieci z delikatnymi złotymi skrzydełkami przyczepionymi do pleców. Połykacze ognia, ludzie na szczudłach, dudziarze w spódnicach i z trupim makijażem. Panuje niesamowity zgiełk, a nad wszystkimi dźwiękami górują potężne odgłosy bębnów *taiko*. Ludzie noszą ogromne szkielety na patykach, ubrane w kołyszące się na czaszkach cylindry. Jedna z kobiet, cała na czarno, z twarzą pomalowaną w złotą czaszkę i oczami obrysowanymi czernią, by wyglądały jak oczodoły, niesie czarną parasolkę ozdobioną na brzegu miniaturowymi czaszkami. Grupa ludzi ubranych w białe powiewne szaty, o twarzach pomalowanych tak, by przypominały czaszki z cukru (Temple pokazała mi coś takiego na telefonie: twarz maluje się na białą i pokrywa barwnymi kwiatowymi wzorami), trzyma nad głowami długi węża z masy papierowej. Gliny i wozy policyjne, ludzie w maskach, ludzie o wyglądzie wskazującym na spożycie różnych substancji, ludzie z instrumentami muzycznymi. Przed Goodwill stoi grupka punków, zwykle wysiadujących pod Dairy Queen, palą papierosy i przyglądają się tłumowi z pochmurnymi minami. Oni też pomalowali twarze na białą, a oczy obwiedli czernią. Jakaś dziewczyna wieszka mi się na

ramieniu, wysuwa język spomiędzy fioletowych warg.

Idę chodnikiem, mieszam się z tłumem. Hałas towarzyszący paradzie, dźwięki bębnów i muzyki, są ogłuszające. Wokół stoi policja, próbuje przeganiać wszystkich na jezdnię, ale jest to proste, ludzie przemykają tam i z powrotem, krzyczą, śmieją się. Wszędzie są mimowie i stoiska z przeróżnymi drobiazgami. Mija mnie grupa połykaczy ognia; zapiera mi dech w piersiach na widok kobiety, która zatrzymuje się tuż obok mnie i gładkim ruchem wsuwa płomień do ust i głębiej, do gardła. Potem wyciąga go, wypluwa, biegnie dalej. Przechodzę przez tunel, uciekam na drugą stronę ulicy, przepycham się przez tłum i ruszam do mieszkania, zostawiając za sobą paradę, krzyki i bębny.

Blue nie ma w pokoju. Jej ciuchy leżą rozrzucone na materacu, a powietrze jest gęste od dymu. Przeklinam, patrząc na burdel, który po sobie zostawiła: pełne popielniczki, szklanki wysmarowane szminką, zmięte reklamówki ze spożywczego przy naszej ulicy. Na dywanie walają się kawałki sałaty i pomidorów. Na bocznej stronie umywalki widnieją smugi pasty do zębów. Spoglądam na jej wypasiony telefon leżący na stole, na wyświetlaczu widać pajęczynowate pęknięcie, jakby ktoś nim rzucił. W brzuchu odzywa się dziwne uczucie – Blue zawsze delikatnie obchodzi się z telefonem.

Jeszcze raz rozglądam się dookoła, omiatam wzrokiem cały bałagan i nagle dociera do mnie, że coś jest nie tak, że stało się coś złego. Gdzie jest Blue? Może u Riley'a. Biorę wdech, próbuję za bardzo się nad tym nie zastanawiać. Może Blue po prostu dostała złą wiadomość i straciła panowanie nad sobą. Nie bardzo wiem, co robić, od razu pobiec do Riley'a, sprawdzić, czy Blue tam jest, czy też szykować się do galerii. Robię balony. Postanawiam przygotować się na wieczór. Blue pewnie wściekła się o jakąś głupotę. Przygotuję się i wtedy pójdę do Riley'a.

Po raz pierwszy od wielu miesięcy włożę coś innego niż ogrodniczki z obciętymi nogawkami. W Goodwill natrafiam na luźną spódnicę z czarnej bawełny i ciemnobrązową bluzkę w stylu folkowym. Wkładam ciuchy, wsuwam stopy w sandały, które znalazłam w jakiejś uliczce, ochlapuję twarz wodą. W małym lusterku w łazience na korytarzu, w którym widzę tylko część twarzy, czeszę włosy. Sięgają już prawie za ucho. Ściągam je eksperymentalnie do tyłu, patrzę na puste dziurki w uszach.

Chyba fajnie jest zobaczyć swój naturalny kolor po tak długim czasie, po tylu latach farbowania na czerwono, niebiesko i czarno. Ciemny blond przetykany brązowymi pasmami.

Twój wygląd znacznie lepiej niż kilka miesięcy temu, skóra jest w lepszym stanie, cienie pod oczami się zmniejszyły. Zastanawiam się, czy Riley uważa, że jestem piękna czy ładna, czy w ogóle jakkolwiek, bo nigdy nic nie mówi. Na myśl o nim znów gorzej się czuję. Wspomnienie ostatniej nocy wywołuje dziwny ucisk w żołądku.

„Nie”, powiedział.

Patrzę na siebie w lusterku. Choćby nie wiem co, obiecuję sobie, dzisiaj nie piję.

Wracam do pokoju i przeglądam zieloną torbę Blue, znajduję tubkę różowego błyszczaka, przesuwam nim po wargach. Oczy obrysowuję jej ołówkiem, rozcieram kreski palcami, w nadziei, że osiągnę tajemniczy efekt. Staram się robić to wszystko, co zapamiętałam, obserwując, jak Ellis nakładała makijaż.

Poruszam palcami w sandałach, czuję się trochę nieswojo. Bluzka, spódnica, błyszczak, to wszystko razem jest zbyt nowe. Zrzucam sandały, wciągam czarne skarpetki i martensy. Jestem gotowa i zdenerwowana, lecz najpierw muszę odszukać Blue.

Gitara Riley'a stoi na ganku, obok papierosów i piwa. Ze środka płynie muzyka ska. Na całej ulicy jest głośno, ludzie siedzą na gankach i podwórkach, piją, grillują, śmieją się. Pod niebem dudnią odgłosy tłumy i bębny z parady.

Zbieram papierosy i butelki po piwie, wnoszę je do domu.

Blue siedzi na środku pokoju dziennego, na podłodze, plecami do mnie, skulona wśród chmury dymu, dookoła walają się okładki płyt.

– Blue! – wołam, ale nie słyszy mnie z powodu muzyki.

Dotykam jej ramienia. Blue podskakuje, popiół spada na jej nagie kolana. Obraca się, jej oczy są wielkie jak spodki, źrenice skaczą.

– Blue? – Marszczę nos, czując woń palonego plastiku, i nagle uświadamiam sobie, że to ona śmierdzi jak palony plastik.

Ociera twarz, zmiata popiół z kolana, zwiniętą pięścią gasi papierosa na podłodze. Cały dom śmierdzi, jakby płonął, od chemicznego zapachu łzawią mi oczy. Po chwili dociera do mnie, co się dzieje.

Blue przewraca oczami. Ochrypłym głosem wypowiada moje imię.

– O Jezu. – Cofam się chwiejnie, moje nozdrza płoną. Zbiera mi się na mdłości. – Coś ty, kurwa, zrobiła? Dlaczego to zrobiłaś, Blue? Twoje zęby.

Tylko ta jedna myśl krąży mi po głowie: twoje piękne zęby.

Fajka leży na podłodze, koło jej gołych kolan. Z podbródka zwisa długa smużka śliny.

Błysk przemyka w jej oczach; smutek rysuje się na twarzy, ściąga skórę na policzkach.

Mówi:

– Louisa się podpaliła.

Zaczynam trząść się tak mocno, że butelki, które trzymam w dłoniach, obijają się z brzękiem o siebie.

Paznokcie Blue drapią moje buty. Próbuje zatrzymać mnie blisko siebie. Jej oddech jest schrypnięty i trzeszczący, a oczy rozbiegane. Odpycham ją kopniakiem, cofam się. Louisa? Louisa nie żyje? Moje ciało staje się zimne, potem gorące, później odrętwiałe.

Uszy wypełnia ocean i grzmot. Louisa. Ellis. To nie może znów się stać.

Chwiejnym krokiem idę do kuchni, wołając Rileyę. Jeśli go znajdę, wszystko będzie dobrze. Riley mnie przytuli, powstrzyma wszystkie złe rzeczy. Potrafi to zrobić, przynajmniej na chwilę, prawda? Jak wtedy, kiedy zachorowałam. Przynajmniej tyle mogę od niego oczekiwać.

Przed oczami latają mi czarne kropki, skóra mrowi, coś drapie w gardło.

Blue płacze, cienko, piskliwie zawodzi.

Przykromiprzykromiprzykromiprzykromi.

Podpaliła się. Louisa się podpaliła. Nie mogę oddychać.

Pierwsze, co widzę w kuchni, to matowa plama czerwieni i żółci, rozmazana twarz Wendy nad ramieniem Rileyę, jej uśmiech pełen ostrych zębów zwrócony w moją stronę. Posuwa ją tak mocno, że jej głowa odskakuje jak u szmacianej lalki. Rzną się na blacie kuchennym, on wciska twarz w jej szyję, jej gołe nogi dyndają wokół jego bioder, na palcu u nogi wiszą zaczezione dżinsowe szorty.

Wendy wydaje z siebie dźwięk podobny do czkawki, puszcza mi oczko.

Płyta w pokoju nagle się zatrzymuje, rozlega się długi koszmarny dźwięk – to Blue przeciąga igłą. Oczy Wendy przypominają dwa wirujące lizaki.

Butelka z piwem wysuwa mi się z ręki i rozbija na podłodze.

Wendy się śmieje.

– Wracaj do swoich noży i petów, dziewczynko. – Znowu czkawka.

Riley gwałtownie unosi głowę. Obraca się. Nie poznaję tej twarzy. Jest inna, pełna

wściekłości, napawa mnie takim przerażeniem, że całe ciało drętwieje i znika. Nie mogę się poruszyć.

Riley chwyta brązowe spodnie, wciąga je i rusza w moją stronę. Zastygam w miejscu. Krzyczy, ale ja opuszczam siebie, odrywam się, odlatuję od zlodowaciałego ciała. Tak jak przy Jebanym Franku. Jak przy matce.

Riley mocno popycha na ścianę dziewczynę, która jest mną. Oprawiona w ramki okładka albumu *Little Crises Everywhere* spada ze ściany. Szkło rozsypuje się na kawałki, muska tylną część jej łydek, ściele się na podłodze wokół ich stóp.

Riley wrzeszczy:

– Tu nic nie ma! Nie rozumiesz? Nie widzisz?

Ślina z jego ust pokrywa wilgocią policzek dziewczyny. Jakimś sposobem dziewczyna odnajduje swoje dłonie. Tłucze w jego pierś.

Ogień, ogień, wszędzie, w środku niej.

– Nie wiem, za kogo mnie brałaś, ale to właśnie jestem ja. – Wcisną policzek dziewczyny w ścianę. – Wynoś się z mojego domu – szepcze chrapliwie. – Wracaj tam, skąd przyszedłaś. Wynocha.

Parada dotarła do miejsca przeznaczenia w samym centrum. Urna płonie, do nieba lecą wielkie kłęby dymu, życzenia i modlitwy za zmarłych. Wróciłam do swojego ciała w samym środku pandemonium, pośród ludzi łkających za zmarłych. Wzrok rozmyty od wilgoci, w środku rosnąca czerń. Czaszki dookoła mnie zdają się szeptać i klekotać zębami. Biegnę, odbijając się o głowy dzieci. Na ziemi jakaś kobieta w czerni płacze, na twarzy ma rozmazaną farbę. Ludzie popychają mnie ze wszystkich stron, wystawiają języki, a ja myślę o Louisie, której zabrakło przestrzeni, o Ellis, która cięła zbyt głęboko. Pojawia się obraz: Louisa w aureoli ognia, czerwonozłote włosy płoną. Oblewa mnie fala rytmicznego śpiewu, bębny i dudy tworzą ocean w moich uszach. Na rogu koło hotelu Congress widzę Ellis, tańczy do The Smiths, a ja przystaję raptownie, ludzie wpadają na mnie, popychają. Odwracam się, ale ona znów tam jest. Ellis, pochylona nad maszyną do szycia, wystawia koniuszek języka. Ellis szepcze mi do ucha w środku nocy, opowiada ze szczegółami, co jej zrobił pewien chłopak i jakie to było uczucie. Ellis przebija mi ucho wysterylizowaną igłą, daje wino w ramach środka przeciwbólowego. Pierwszy raz, kiedy wzięliśmy razem kwas na imprezie, patrzyliśmy na siebie przez wiele godzin, śmiejąc się, obserwując, jak nasze twarze przeobrażają się i przybierają różne barwy. Słuchając, jak Ellis uprawia w garażu seks z jakimś chłopakiem, czułam zapach oleju i rozpuszczalnika, zastanawiałam się, jak długo to potrwa. Mnie wywalili ze szkoły, ona została, oddalałyśmy się od siebie, chłopak-wilk, a potem jej rodzice próbowali nas rozdzielić. Ellis lubiła się włóczyć, łamać zasady, ale lubiła też wracać do domu, do przytulnego łóżka, czipsów, lodów i matki, która wciąż czasem przeczesywała jej włosy palcami i uważała, że częste zmiany koloru to wyraz wolnego ducha. Przeciskam się przez grupę kościotrupów, obracam się, zgubiłam drogę. Wielkie łzy Ellis, kiedy Jerry, jej ojciec, mnie wyrzucił. Nie miałam dokąd pójść, mieszkałam u nich przez kilka tygodni. Prochy na podłodze nie należały do mnie, tylko do chłopaka, lecz Ellis nic nie powiedziała. Jej esemesy po tym, jak z nią zerwał. *Za bardzo Boli*. Tak, coś jest nie tak. Ellis i Louisa, i Riley, i Blue, i Evan, i mój ojciec martwy w odmętach rzeki, ściągnięty smutkiem na dno. Czy czuję smutek z jego powodu, czy też po prostu go odziedziczyłam? Skorupy. Ludzkie skorupy. Rozglądam się dookoła, szukając pustego miejsca pośród tych pustych skorup, tysięcy twarzy, które życzą duchom, by znalazły lepsze miejsce, które przywołują dusze zmarłych. Wszystkie wyglądają jak czarne głowy z dziurami zamiast oczu i ust, uparcie rozwartymi dziurami w skorupach śmierci. Mam zbyt wielu ludzi w głowie. Drapię swoje ciało, żeby się ich pozbyć, aby wydrapać czerń rozlewającą się w moim wnętrzu.

Biegnę przed siebie na oślep, a duchy mnie połykają.

CIEMNO. W MOIM POKOJU JEST CIEMNO. We mnie jest ciemno.

Udało mi się wydostać z tłumu i jak za dawnych czasów chowałam się i kurczyłam na ulicy, znalazłam zaułek, śmietnik, wcisnęłam się między śmietnik a mur budynku, otoczona ciemnością.

A teraz wróciłam wydrażona, a mój pokój został przewrócony do góry nogami. Zielony neser Blue, jej torebka, ciuchy, wszystko porwane, zniszczone, podeptane i pocięte. Na stoliku stoi niedopita butelka whiskey. Mural jest zasmarowany szminką, twarze pomazane jak krwią. Napis głosi: „Całusy, Wendy!”.

Przyszli tu po tym, jak mnie wygonił? Zniszczyli moje rzeczy, naćpani, rżąc z radości? Jeszcze jeden sposób, żeby odlecieć?

Z fotela wyłazi wypełnienie, na poduszce leży nóż.

Ściągam nowe ciuchy i staję nago pośrodku pokoju.

Nigdy nie będzie lepiej.

Wypijam cztery łyki whiskey. W uszach bzyczy mi rój pszczół. Mali robotnicy w moim wnętrzu ostrzą pazury, szykują gwoździe. Śpiewają. Wypijam jeszcze trochę, opadam na czworaka, czołgam się do walizki Louisy, przewracam skrzynkę po mleku, w której trzymam naczynia, wszystkie wypadają na podłogę, rozbijają się na tysiąc białych gwiazdek, tysiąc ziarenek soli. Ciągnę walizkę wciśniętą pod wannę, aż wreszcie ustępuje.

Z moich ust wydobywa się krótki dźwięk, okrzyk. Mój szkicownik znikł. Fotografie i stare rysunki porwano na kawałki. A zestaw awaryjny zdeptano, zniszczono i rozwleczono, gaza wała się wszędzie w walizce, kawałki szkła są zgniecione.

Czemu posłuchałam Casper, Mikeya? Co właściwie próbowałam zrobić? Myślałam, że coś się zmieni? Powtarzałam sobie, że mam się uspokoić. Oddychać. Zaczekać, aż wszystko minie. Co za bzdury.

Odpycham walizkę kopniakiem, podnoszę się. Zamykam oczy, dopijam whiskey i rozbijam butelkę o ścianę. Moje wnętrze jest ciemne, całe ciemne. Muszę to wyciąć, to coś we mnie, co miało się zmienić. Nie mogę zapominać, jaka byłam głupia, jaka, kurwa, głupia...

Stop. Czy tak czuła się Ellis? Ten moment pewności? Przed oczami przelatują mi esemesy.

Boli. Nie mówiłaś, że tak boli. Za bardzo. U moich stóp rozpościera się lśniące jezioro szkła. Zanurzam się w nim. Zanurzam skórę w jeziorze szkła. Ile siły mam w sobie? Ile siły mam w sobie. Mogę wetrzeć szkło w twarz, zetrzeć oczy, jeść szkło, zniknąć od środka. Tam, okno, moje ręce, ta ręka, zaciśnięta i boląca. Ta ręka, pięść, dajcie więcej, dajcie więcej szkła, mogę wypić wszystko. Szkło sypie się na mnie z rozbitej szyby, czuję się jak w domu.

SĄ TU JACYŚ MĘŻCZYŹNI, CHCIAŁABYM, ŻEBY SKOŃCZYLI i sobie poszli. Ja nie skończyłam. Czy byliby panowie tak uprzejmi i zostawili mnie, aż skończę? Muszę pociąć siebie kawałek po kawałku, aż nic nie zostanie.

Chciałabym, żeby przestali gadać, żeby przestali płakać. Ciekawe, dlaczego płaczą.

Ciepło mokrej myjki. Rozsmarowana maść. Czysty zapach i delikatny dotyk gazy, „zip” plastra. Mężczyźni już nie płaczą. Teraz jest tu kobieta. To nie moja matka.

Chciałabym otworzyć oczy.

Nie chcę otwierać oczu.

Znowu słyszę płacz i poznaję, że to ja płaczę.

A TERAZ SŁYSZĘ GŁOSY KOBIETY I MĘŻCZYZNY, noc prędko się porusza. Kołyszę się na morzu, w górę i w dół, ciemność nade mną, ciemność dookoła. Ciemność we mnie.

Kobieta mówi:

– Zatlukę go, przysięgam.

Mężczyzna się śmieje, ale nie okrutnie.

– Chyba każdy mógł to przewidzieć.

Kobieta mówi:

– Na pewno nie ta dziewczyna. Jezu, potrzebujemy żarcia. Dużo śmieciowego żarcia.

Morze się burzy. Głosy oddalają się coraz bardziej i bardziej, długo nie słyhać w ogóle nic. A potem morze znów się burzy, coś łapie mnie za nogi. Chcę krzyknąć, ale nie mogę. Moje usta wypełniają mokre kamienie, tak jak wcześniej, dużo wcześniej. Przed Creeley. Kamienie do mnie wróciły.

– Jest trochę nieprzytomna – odzywa się mężczyzna – ale opatrunki wyglądają dobrze. Przez kilka dni będzie miała spore problemy z chodzeniem.

– Ty dupku, zezarłeś wszystkie cheetosy? – mówi kobieta.

– Załapałaś, co ona mówiła? – pyta mężczyzna – o tej przyjaciółce? Że jest warzywem czy coś takiego.

– Musiałam się wyłączyć. – Kobieta ma smutny głos.

Ja też się wyłączam.

* * *

Kobieta i mężczyzna znowu wyszli. Krople deszczu uderzają o powierzchnię morza. Muszę do łazienki.

Muszę do łazienki. Nikt nie odpowiada, bo nie powiedziałam tego na głos.

Macam dookoła i nagle ramię przeszywa znajomy ból. Jestem w samochodzie, na tylnym siedzeniu, czuję pod palcami wybrzuszenia sztucznej skóry, dostrzegam wygaszony kwadrat światła w oklapniętej tkaninie na suficie. Podciągam się, mrugam. Muszę do łazienki. Za oknem widzę tylko ciemność i podobne cieniem drzewa.

Ostrożnie przysuwam się do drzwiczek, zagryzam wargę, żeby nie krzyknąć z bólu, popycham drzwiczki, czuję naciąganie i gorąco w poszarpanych ramionach i dziwne palenie w żołądku. Wysuwam nogę, pochylam się do przodu, próbuję wstać. Kiedy moje palce dotykają podłogi, przez podeszwy stóp przenikają błyskawice.

Padam, uderzam nosem i ustami prosto w twardą ziemię. Jęczę, niechcący łykam ziemię, zaczynam się krztusić.

Czyjeś ręce odwracają moje ciało, strzepują ziemię, zabierają kamienie z moich oczu i ust. Mrugam.

Pomarszczona i spalona słońcem twarz Linus. Zadowolony uśmieszek Tannera. Piegi na ich twarzach, podobny wzór jak z „połącz kropki”.

Pluję ziemią. Muszę siku. Poruszam rękami, dotykam się, żeby zrozumieć, o co mi chodzi.

Wybuchają śmiechem.

– To będzie trochę bolało – mówi Tanner, szczerząc zęby w uśmiechu.

Linus podstawia pode mnie wiadro i rozsuwa mi nogi. Mój tyłek leży częściowo na siedzeniu samochodowym. Linus ściąga ze mnie brzydkie spodnie dresowe. Zerka na moje uda, potem na twarz – jest zaskoczona. Oczywiście. Skąd miała wiedzieć o bliznach? Myślała, że mam tylko te na ramionach.

– Dziewczyno. – Nie mówi nic więcej. Wzdycha.

Przeprasza za spodnie, to była pierwsza rzecz, którą wyciągnęła ze swojego plecaka, gdy weszli z Tannerem do mojego pokoju. Szukali mnie. W pierwszej chwili nie zorientowała się, co robią Hector, Manny i Leonard, wściekła się, zaczęła ich odpychać i okładać pięściami. Linus to silna kobieta.

– A potem zobaczyłam, że płaczą – mówi. – Byli pijani, ale próbowali cię umyć najlepiej, jak potrafili, za pomocą papierowych ręczników i chusteczek.

Opowiada, że wszyscy wybrali się na otwarcie wystawy, ale wrócili, bo nie przyszłam.

Moje siki wpadają do wiadra. Linus czeka, aż skończę, podaje mi chusteczkę i wylewa zawartość wiadra pod drzewo. Potem wrzuca je do bagażnika.

– To był naprawdę świetny pomysł, deptać po rozbitym szkle. Będiesz za to jeszcze długo płacić. – Wciąża spodnie na moje trzęsące się nogi, zakłada na tyłek i unosi do talii. Potem pomaga wsiąść z powrotem do samochodu. – Twoja przyjaciółka Blue mówiła, że przez jakiś czas pewnie będziesz trochę milcząca. Muszę wyznać, że jest to dosyć irytujące. – Uśmiecha się do mnie, ale jest to uśmiech smutny i zrezygowany. – Jesteśmy na cmentarzu w Truth or Consequences, w Nowym Meksyku. Wiedziałaś, że Tanner jest moim bratem? Zatrzymaliśmy się na krótką wizytę u taty.

Nieco dalej, pośród czerni, Tanner kopie w grobowiec i pluje na ziemię.

– Niebył dobrze dogadywaliśmy się z tatusiem.

Linus ociera twarz twardym ruchem pięści, potem woła Tannera, mówi, że czas ruszać dalej.

* * *

Tanner zerka na mnie we wstecznym lusterku, w kącikach ust ma sól po chipsach.

– Wyglądało groźniej niż faktycznie było. – Oblizuje sól czubkiem języka. – Pamiętasz? Uczę się na ratownika medycznego. Miałem ze sobą torbę ze sprzętem. Od razu cię poskładałem.

Niebo przesuwają się za oknem, czerń usiana tysiącem białych jak śnieg gwiazd. Ciekawe, która godzina. Moja ręka wsuwa się pod koszulkę, w którą ubrała mnie Linus, dotyka bandaży.

Jestem teraz Louisą. Nie została mi ani odrobina przestrzeni.

Czuję się pusta jak skorupa, lecz nie z głodu. Próbuję znaleźć coś w tej pustce, ale bez skutku. Plecy mnie bolą od leżenia na tylnym siedzeniu samochodowym. Wszystko mnie boli. Siadam, ignorując ukłucia bólu wewnątrz brzucha. Tanner zasnął. Jego głowa kołysze się, oparta o szybę.

Linus chrząka, patrzy na mnie w lusterku.

– Wendy, dilerka Rileya, ukradła ci pieniądze i zdemolowała pokój. Poszła za twoją koleżanką po tym, jak wyszłaś. Stłukła ją na kwaśne jabłko. Ten chudy facet z parteru, ten, co ma tyle książek, zajął się twoją koleżanką. Riley i Wendy zwinęli samochód niejakiemu Luisowi, dokupili od kogoś dragów i ruszyli do kasyna. A wcześniej wyczyścili nocny depozyt w True Grit. Riley kradł od wielu miesięcy, wiesz, żeby kupować to gównno. – Zaciska palce na kierownicy, nie odrywa wzroku od ciemnej drogi.

Przypominam sobie, ile razy dawał mi pieniądze i wysyłał do Wendy po towar, jak Julie martwiła się o stan kasy. Zamykam oczy. Tak mi wstyd.

– Riley głównie grzeje gorzałę, ale mieszał ją z różnymi innymi syfami. Rozrywkowy z niego chłopak, ale pewnie sama zauważyłaś?

Pudełko z drewna wiśniowego. Torebki wypełnione drobnymi kryształkami, dziwny zapach palonego plastiku.

– Nie dotarli do kasyna. – Linus skubie chrupka kukurydzianego. – Riley rozbił

samochód. Ćpunka nieźle się poturbowała, Riley, jak to on, prawie nie ucierpiał. Zawsze spada na cztery łapy.

Przed restauracją stoi różowy dinozaur pomalowany odłóżką farbą, ryczy, pokazując braki w uzębieniu. Po drodze widziałam mnóstwo przeróżnych kiczowatych figurek: dinozaury, roboty, rakiety, kosmitów z pękatymi głowami. Czy taki jest Nowy Meksyk? Plastikowe dinozaury i kosmici? Zaginiony ład.

Patrzę przez okno na Tannera i Linus. Siedzą w jednym z boksów. On przeżuwa hamburgera i gada przez komórkę. Linus miesza herbatę, pisze coś w zeszycie. Raz powiedziała w kawiarni, że codziennie pisze, „żeby uporządkować sprawy w głowie”.

Zastanawiam się, czy przyniosą mi coś do jedzenia, i czy Tanner da mi więcej środków przeciwbólowych. Linus mu nie pozwala, słyszałam, jak szeptali, myśląc, że śpię. A ja bardzo potrzebuję tych środków, pragnę dryfować pozbawiona formy. Nie chcę jeszcze lądować.

Niebo tutaj wygląda inaczej niż w Tucson, błękit jest jaśniejszy. Chmury wiszą na nim tak delikatnie, jak kłębki dymu. Powietrze w samochodzie jest gęste od zapachu śmieciowych przekąsek i słodkich napojów. Po suficie łazi mucha. Myślę o widzianej w kuchni twarzy Riley, przerażającej twarzy obcego. Ból znowu we mnie narasta, wyjący i wściekły. Mocno przyciskam dłoń do oczu.

Linus śpi w fotelu pasażera. Znowu jest noc. Do wnętrza samochodu napływa ciepłe pustynne powietrze. Ślinię palec i wsadzam go do pustej torby po chipsach, zlizuję sól, przypominam sobie, jak tamtej nocy w świetlicy Jen S. wylizowała sól z miski po popcornie. To wszystko wydaje się odległe o milion lat. Czysty szpital, miła lekarka, ciepłe łóżko. Wróciłam do punktu wyjścia: znowu dryfuję poraniona.

Kiedy się zorientowali, że zapomnieli mnie nakarmić, okazało się, że jedyne miejsce, które udało nam się znaleźć, to sieciówka Allsup z wyschniętymi burritos o podejrzanym wyglądzie. Tanner kupił torbę chipsów, napój izotoniczny, precle i colę. Teraz bierze głęboki wdech.

– Jezu, kocham Nowy Meksyk. Jeśli ci się wydawało, że Tucson to dom wariatów, to jeszcze nic nie widziałas. – Bębni palcami w kierownicę. – Kręci ci się w głowie? Jedziemy do góry. Za kilka dni będzie lepiej. Pij napoje izotoniczne.

Za każdym razem, kiedy przypominam ich sobie w kuchni, próbuję z całych sił wymazać ten obraz z pamięci, ale moje wnętrze znowu wypełnia gorąco, wstyd, a oni dalej tam są, rzną się, jej mokre usta rozwierają się w krzywym uśmiešku, kompletnie pijany Riley odwraca się i coś jeszcze krzyczy, mówi mi...

Często płaczę na tylnym siedzeniu, z twarzą przyciśniętą do szyby, Linus i Tanner wbijają wzrok w drogę. Nic nie mówią, tylko ja wydaję dźwięki. Zapadam w sen, budzę się z twarzą tuż przy winylowym siedzeniu, z drętwiejącymi stopami, zanurzona w bólu, który zalewa mnie i ustępuje raz po raz niczym fale oceanu. Powoli, jak przez długi tunel, docierają do mnie stłumione głosy z przednich siedzeń, Słowa krążą wokół mnie: „klinika”, „wiadomości”, „matka”, „Riley”.

Riley. Riley. Wciskam twarz w siedzenie, szloch ściska moje gardło.

A potem, jak mysz w nocy, kiedy cały dom pogrążył się we śnie, skrada się kolejny obraz: Ellis. Jak się czuła, zanim to zrobiła. Ocean bólu i wstydu. Ocean, w którym tonęła.

A ja jej na to pozwoliłam.

Budzę się, półświadomie rejestrując, że samochód się zatrzymał. Tanner wysiada, rozprostowuje nogi. Linus rozpina pas, uśmiecha się do mnie.

– Pobudka, mała – oznajmia wesoło.

Na końcu zwirowego podjazdu starszy facet we włochatych kapciach macha do nas z szerokiego drewnianego ganku. Z górnej belki zwisa całe mnóstwo dzwonek wietrznych, dźwięczą jak szkło przy lekkim powiewie. Jest tu znacznie chłodniej niż w Tucson. Trzęsę się na swoim miejscu z tyłu, obserwuję całą trójkę.

Mężczyzna ma na sobie turkusowy szlafrok, w rękę trzyma kieliszek wina. Włosy sterczą mu jak białe kępki bawełny. Tanner i Linus przecinają podjazd, witają się, ściskając go mocno, po czym wracają do samochodu. Mężczyzna powolnym krokiem idzie za nimi, pochyła się i patrzy, jak mnie wyciągają. Ma oczy ciekawskie jak ptak.

– Aha – mruczy. – Aha, no tak. O rany.

Tanner i Linus wnoszą mnie do ciepłego wnętrza, pomagają przejść korytarzem do niewielkiego pokoju z pojedynczym łóżkiem i jednym oknem. Spoglądam na wielki, zdobiony krzyż na

ścianie. Przypomina mi się ten, który ukradłam Ariel. Cieszę się, że go oddałam, chociaż nigdy nie przyznałam się, że to była moja sprawka.

Kładą mnie na łóżku i przykrywają niebieskim kocem. Tanner wciska mi do ust dwie tabletki, przytyka do warg szklanek z wodą.

Przez pozbawione zasłon okno widzę niebo i niesamowicie wielkie białe gwiazdy. Przesypiam dwa dni.

Trzeciego dnia, kiedy stawiam stopy na podłodze, okazuje się, że już tak nie boją. Kuśtykam korytarzem, odwodniona i oszołomiona szukam łazienki. Na glinianych ścianach wiszą rzędy dużych czarno-białych zdjęć, oprawionych w ramy, przedstawiających ludzi i stare gliniane kościoły.

Łazienkę ozdobiono kolorowymi krzyżami i pękami pachnącej szaławii. Obok sedesu wznoszą się stopy grubych białych rolek miękkiego papieru. Nie ma prysznicza, jest tylko bardzo głęboka wanna. Siadam na sedesie, dotykam gazy na ramionach i brzuchu. Rozważam, czy ją oderwać i zajrzeć, ale jednak tego nie robię. Długo nie wychodzę z łazienki, słucham ciszy, obserwuję ćmę tłukącą się na parapecie. Stwierdzam, że to najpiękniejsza łazienka, w jakiej kiedykolwiek byłam. Nigdy nie przypuszczałam, że łazienka może być taka piękna. Że komuś zechce się poświęcić czas, by urządzić coś tak kojącego i ładnego.

Starszy mężczyzna siedzi w głównym pokoju przy długim sosnowym stole, trzyma gazetę tuż przy twarzy. Na stole stoją miski pełne orzechów i dorodnych owoców, talerz z bagietką i naczynie z kremowym masłem. Mężczyzna spogląda na mnie zza okularów.

– Kawy? – Napełnia kubek z kafetieri, przesuwa w moją stronę karafkę z mlekiem. – Ciepłe. O ile używasz mleka. Moje wnuki karmią konia.

Smaruję bagietkę masłem. Czuję, że jestem głodna, w brzuchu głośno mi burczy. Wgryzam się w bagietkę, jest lekka i chrupka, łamie się i zasypuje moją bluzę lawiną okruchów. Mężczyzna się śmieje.

– Ciągle mi się to zdarza, ale nigdy nie wstydzilem się, że robię bałagan przy jedzeniu.

Strząsam okruchy. W środku bagietka jest miękka i wilgotna. W domu panuje cisza, słychać tylko moje żucie i czasami szelest gazety. Stopniowo uświadamiam sobie, że na zewnątrz też jest cicho. Dziwnie cicho. Żadnych samochodów, żadnych głosów, nic.

– Kwaczy wierzą, że dzięki ciszy wpuszczamy świętość do naszego wnętrza, do serca. Wiedziałaś o tym? – Mężczyzna potrząsa gazetą, pochyła się w moją stronę. Jego brwi przypominają śpiące białe gąsienice. – Nigdy nie bałem się ciszy, a ty? Niektórzy ludzie się jej boją. Potrzebują zgiewu i hałasu. Santa Fe. Pustynny płaskowyż. Czyż nie jest tu pięknie? Mieszkam w tym domu od czterdziestu dwóch lat. Ta cudowna cisza, którą teraz słyszysz – chyba powiedziałem coś zabawnego – sprawia, że jest to najświętsze miejsce na całej ziemi.

Przynajmniej dla mnie. – Wyciąga rękę i zakrywa dłonią moją dłoń. Jego skóra jest sucha, pylista. – Miło mi gościć cię w moim świętym domu, Charlotte.

Czuję pod powiekami łzy, gorące i pełne wdzięczności.

MA NA IMIĘ FELIX, JEST DZIADKIEM LINUS I TANNERA. Linus wprowadza mnie po domu, pokazuje obrazy na ścianach, rzeźby ustawione w kątach i na podwórzu, rozległy widok na falujące wzgórza i stajnię. Zabiera mnie do ogromnego budynku, gdzie światło wpada do wnętrza przez świetliki w suficie. Na ścianach wiszą płótna, a wszędzie stoją puszki z farbą, wiadra pełne pędzli i pojemniki z terpentyną. Gdzieś tam płótna są ustawione pod ścianami po trzy, jedno za drugim. Na odległym końcu zbudowano coś w rodzaju stryszku czy antresoli, stoi tam stół, na nim stara maszyna do pisania, a przy nim proste krzesło. Na górę prowadzą szerokie schody. Pod nimi wznoszą się półki pełne niedbale ułożonych książek. W rogu, przy wysokim sosnowym stole, pracuje w milczeniu młoda kobieta, przegląda slajdy, unosi je do światła, układa na odpowiednich kupkach.

– To Devvie – mówi Linus – jego asystentka. Też tu mieszka.

Kuśtykam dookoła, delikatnie dotykam rzeczy Felixa, ołówków, kawałków papieru, słoików i tubek, niesamowitych przedmiotów, takich jak ptasie pióra, kamienie różnych rozmiarów, stare kości zwierząt, pomarszczone fotografie, zapelnione pochyłym pismem pocztówki z egzotycznymi znaczkami, czerwona maska, pudełka zapalek, albumy w ciężkich płóciennych okładkach, słoiki i zaskorupiałe tubki z farbami, mnóstwem farb. Na jednym ze stołów leżą rozsypane akwarele przedstawiające delikatne purpurowe kwiaty o stożkowatym kształcie. Inny stół zajmują wyłącznie książki otwarte na reprodukcjach obrazów i rysunków, do każdej ze stron przyklejone są karteczki post-it ze słowami, takimi jak „klimat palety”, „echo/odpowiedź”, „nie kłam”. Podłogę pokrywa warstwa starej farby, potykam się o obtłuczone drewniaki.

Jeszcze raz oglądam płótna na ścianach, chciałabym określić je jako prezentacje zachodu słońca, nie są jednak tak oczywiste. To coś głębszego, coś w środku ciała, uczucie? „Czyż nie jest tu pięknie?”, zapytał Felix. Zestawione razem barwy tworzą nową jakość, grają, opisują jakieś zależności, związki, których nie umiem określić, ale spoglądanie na obrazy budzi we mnie ekscytację, napętnia mnie, tłumi ból. Patrząc na to wszystko, pragnę natychmiast zrobić coś swojego. Przypominam sobie, co powiedziała Ariel na temat malowanych farbami do łodzi obrazów Tony’ego Padilli: „Kolory też mogą opowiadać historie”. Obrazy Ariel są opowieścią pod powierzchnią światła i ciemności. Posyłam Linus nieśmiały uśmiech.

– Pyszne, co? – Klaszcze w dłonie.

Felix dźga mięso na grillu, jakby nadal żyło. Okulary mu zaparowują, wyciera je o brzeg koszuli. Spoglądam na jego sękaty palec, grube nadgarstki i knykcie. Na skórze widnieją blade plamy po farbach.

Siedzimy na zewnątrz przy długim drewnianym stole. Powietrze jest rześkie. Tanner pożyczył mi bluzę z polaru. Linus kroi mocno pachnący biały ser, a jej brat awokado. Asystentka Devvie przygotowuje w domu drinki i karmi starego utykającego wilczarza. Ze stajni dobiega rżenie konia. W głębi ciemnej pustyni słychać dziwne dźwięki. Pohukiwania i gwizdy, szelesty i kłótnie okrzyki.

Felix rzuca błyszczące mięso na półmisek, stawia go na stole.

Spogląda w niebo.

– Pewnie jeden z ostatnich wieczorów, kiedy da się siedzieć na zewnątrz. – Patrzy na mnie. – W grudniu pada śnieg. To tutaj najpiękniejszy miesiąc.

Jeszcze raz mierzy mnie wzrokiem zza okularów, upija wina, przetyka i wzdycha

z zadowoleniem.

– Masz złamane serce – mówi, siadając przy stole i kładąc sobie serwetkę na kolanach. – I wcale nie z powodu tego młodego człowieka, ponieważ te sprawy przychodzą i odchodzą, to jedna z najbardziej bolesnych lekcji, jakich się uczymy. Moim zdaniem masz złamane serce z zupełnie innego powodu. Może dlatego, że jesteś na świecie, żyjesz, a nie wiesz, jak to się robi, czy to ma jakiś sens.

Znów upija wina.

– Chyba każdego człowieka spotyka coś podobnego, kiedy zdarza się rzecz tak wielkiej wagi, punkt zwrotny, który rozbija wszystko, czym jesteś, w drobny mak. Wówczas trzeba się zatrzymać. Długo zbiera się te wszystkie kawałeczki. A trwa to tak długo dlatego, że nie da się ich ułożyć tak jak wcześniej, ale trzeba od nowa, w inny sposób, niekoniecznie lepszy. W sposób, z którym potrafi się żyć do chwili, kiedy wie się na pewno, że ten fragment powinien trafić tam, a ten tu.

– Strasznie dużo od niej wymagasz, dziadku – mówi Tanner. – To jeszcze dzieciak.

Felix śmieje się.

– Skoro tak, to już się zamykam. Nie zwracajcie na mnie uwagi. Jestem tylko starym bredzącym pierdzielem.

Trzymam głowę spuszczoną. Nie chcę się rozplakać przy tych wszystkich ludziach, więc zapycham usta słonym mięsem. Wsuwam palce pod uda, żeby nie drżały, słucham rozmów. Jestem w środku tak pusta, tak wygłodniała, że mogłabym jeść przez wiele dni, a i tak nie zdołałabym zapełnić tej pustki.

Później, kiedy już leżę w łóżku przy uchylonym oknie, za którym widać jaśniejące niebo, czując na twarzy chłodne powietrze, myślę o zmieniającym nas punkcie zwrotnym, o którym wspominał Felix. Czy to mój ojciec? Był, a potem go nie było, a ja nie miałam prawa o niego pytać ani płakać, ani w ogóle istnieć, ponieważ matka pogrążyła się w rozpacz.

Może Ellis stanowiła fragment układanki, wielki i piękny, może była punktem zwrotnym, który wyrzuciłam z pudełka. Nie jestem pewna, czym był Riley. Może również częścią tej całości? Może jeszcze nie zebrałam wszystkich fragmentów?

Czuję się wybrakowana. Nie wiem, gdzie są wszystkie części mnie i jak je ułożyć, jak sprawić, by utworzyły całość, i czy w ogóle potrafię to zrobić.

PO TYGODNIU MGŁA NIECO USTĘPUJE. Wciąż dużo śpię i nadal jestem bardzo zmęczona, ale chodzenie już nie sprawia mi takiego bólu. Chyba w najbliższym czasie nigdzie się nie wybieramy, więc odbywam wycieczki po domu Felixa, bardzo rozległym i pełnym zakamarków. Z zewnątrz wydaje się mały i kwadratowy, ale jak tylko znajdziesz się w środku, okazuje się rozciągać na wszystkie strony, a jego złożoną naturę kryją rosnące wokół drzewa bawełniane i podobne do ośmiornic drzewa kaktusowe. (Znam ich nazwy z książeczki, którą dostałam od Linus. Zabieram ją ze sobą na spacer. Zajmuję uwagę prostymi czynnościami, takimi jak odnajdywanie nazw roślin).

W domu jest kilka sypialni, we wszystkich stoją proste łóżka i drewniane komody. W nogach każdego łóżka leży starannie złożony wzorzysty koc z wełny. Główny pokój jest ogromny, jego sufit przecinają niczym kości szkieletu ciężkie ciemne belki – Tanner mówi, że nazywa się je *vigas* – a przy jednej ze ścian króluje wielgachny kamienny kominek. Devvie podtrzymuje w nim ogień w chłodniejszej nocy i lubię siadywać właśnie przy nim, blisko bijącego zeń ciepła.

Jeden z pokoi przeznaczono wyłącznie na książki, inny na płyty, sprzęt grający i zapomniane krzywe pianino stojące pośrodku. Kuchnia znajduje się na tyłach domu, przy

tarasie wychodzącym na falujące ciemne wzgórza. Na stoku wzniesienia stoi stajnia otoczona ogrodzeniem powstrzymującym kojoty.

Linus powiedziała mi, że pracownię zbudowano wiele lat temu za pieniądze noszące miano „grantu dla geniuszy”. Nocami wychodzą kojoty, wyją, krążą po okolicy. Któregoś dnia Feliks pokazuje mi lecące nisko jastrzębie, ich ciemne kształty zataczają łuki nad drzewami bawełnianymi. Linus, Tanner i Felix gotują razem: przyrządzają obfite posiłki z mięsa i owoców, chleba i sera, sałatki z podobnego do papieru szpinaku, orzechów włoskich i słonej fety.

– Wiesz – mówi do mnie Felix któregoś ranka, nakładając mi na talerz jagody – niech ci się nie wydaje, że ze mnie jest taki stary koń roboczy, który codziennie haruje przy sztalugach. Czasami w ogóle nie pracuję, tylko siedzę, słucham muzyki, przeglądam książki. Innym razem zapisuję wspomnienia, piszę list.

Dolewa sobie kawy i dodaje:

– Czasem beczyność też może być pracą, tylko spokojniejszą. Ważne jest, Charlie, by od czasu do czasu po prostu być.

Moje stopy mają się coraz lepiej. Rany ładnie się goją, chociaż jeszcze pobolewają. Tanner zdejmuje mi bandaż z ramienia i pozwala obejrzeć nowe nacięcia, nowe rzeki. Z wahaniem przeciągam dłonią po kreskach na brzuchu, ale nie patrzę.

Mówi, że nie są głębokie, nie trzeba było zakładać szwów.

– Powiedzmy, że to pozytywna strona całej historii. – Wyrzuca stare bandażę do śmietnika i rozwija świeżą rolkę gazy.

Któregoś wieczoru, kiedy Felix otwiera kolejną butelkę wina, Linus woła, żebym podeszła. Siedzi przy kuchennym stole, przed niewielkim laptopem. Minęły dwa tygodnie, zauważyłam, że Linus co wieczór po kolacji znika z laptopem na godzinę. Tanner powiedział, że rozmawia z dziećmi na Skypie. „O”, tylko tyle zdołałam z siebie wykrzesać. Nie wiedziałam, że ma dzieci. Pewnie mi mówiła, tylko nie słuchałam. Stwierdzam z zawstydzaniem, że nigdy tak naprawdę nie pytałam Linus o jej życie, problemy z alkoholem, taka byłam zajęta Rileyem.

Linus wskazuje na ekran. Mrużę oczy. To artykuł z gazety, opatrzony zdjęciem mojego rysunku wiszącego na ścianie. Manny i Karen, Hector i Leonard. Artykuł opublikowano dwa dni po wernisażu.

– Patrz, durna. To relacja z otwarcia wystawy. Posłuchaj.

Czyta artykuł, który jest dość łaskawy, ale i odrobinę kąśliwy; autor używa wielu słów, których nie rozumiem. Zastanawiam się, dlaczego nie mogą po prostu napisać, czy coś im się podobało, czy nie. Wychwytyuję fragmenty tego, co czyta Linus:

„... pośród nowoczesnych technologii i nostalgii w technikolorze zaplątała się seria portretów węglem... pełne empatii... klasyczny traf...”.

– Chyba spodobały im się twoje rysunki, Charlie!

Linus daje mi kuksańca w biodro. Jej oddech pachnie miodem i zieloną herbatą. Feliks podchodzi do nas i macha paluchem.

– Kliknij tutaj, kliknij tam – rozkazuje.

Linus posłusznie klika, ekran wypełniają twarze Hectora i Karen, Leonarda o smutnych oczach i pełnym nadziei uśmiechu.

Felix wyrokuje:

– Bardzo ładne. Mocna kreska, moja droga – zdejmuje okulary – ale nie czujesz tego.

Z zaskoczeniem potrząsam głową. Jak może tak twierdzić? Lubię ich wszystkich i bardzo się starałam. Chciałabym odpowiedzieć, ale moje słowa wciąż są pogrzebane.

– Wszystko tu jest. Oko do szczegółów. Pięknie uchwycony gest, moment. – Patrzy mi

prosto w oczy. – Ale nie kochasz takiego rysowania. Nawet nie darzysz go skomplikowaną namiętnością. Potrzebujesz przynajmniej jednej z tych rzeczy. Ambiwalencja nie sprzyja sztuce. – Felix klepie mnie po policzku. – Masz talent, Charlotte. Teraz dodaj do niego emocje. – Wraca do stołu, bierze do ręki butelkę z winem. – Mam puste pomieszczenie, z którego możesz korzystać! – woła. – Devvie przygotuje je na jutro.

Linus kiwa głową.

– Na razie nigdzie się nie wybieramy. True Grit jest zamknięte, nie wiadomo, na jak długo. Riley zwinął mnóstwo kasy, ludzie nie dostali pieniędzy. Równie dobrze możemy poświęcić się wypoczynkowi.

LEŻĘ NA ŁÓŻKU W NIEWIELKIM SCHLUDNYM POKOJU, serce mi wali, w głowie mam mętlik. Co Felix miał na myśli, mówiąc o emocjach? Ciężko pracowałam nad tymi rysunkami, przejrzałam książki w bibliotece, zrobiłam wszystko według zaleceń z podręcznika rysowania, ćwiczyłam i ćwiczyłam. Chyba tak postępuje artysta? Wracam myślami do wernisażu Tony’ego, kiedy to Ariel zaprosiła mnie na swoje zajęcia. Powiedziała, że niczego nie osiągnę, jeśli nie przeanalizuję samej siebie. Nie uczynię samej siebie tematem. Duszę w gardle śmiech. Czego Felix oczekuje? Że narysuję autoportret? Kto by chciał oglądać dziewczynę o zniszczonej skórze i smutnej twarzy?

Przyciskam głowę do ściany. Słyszę ich, siedzą na tarasie na tyłach domu, słuchają muzyki, przejmującego śpiewu, głosy mieszają się z krzykami dochodzącymi z ciemnej pustyni. Nie mam teraz nic. Nie mam Riley’a ani Mikeya, ani Ellis, ani rysowania. Wstrzymuję oddech, próbuję zatamować świeżą falę łkania. Znowu czuję się zmęczona, zmęczona wszystkim. Cieknie mi z nosa, oczy szczypią od powstrzymywanych łez. Zwijam się w kłębek, przyciskam kolana do piersi. Strasznie tęsknię za Rileyem, chociaż wiem, że to beznadziejne: jego dymny, alkoholowy zapach wrył mi się w pamięć, moje palce bołą, kiedy przypominam sobie aksamitne wygięcie jego pleców, serce katapultuje w piersi.

Kołyszę się na łóżku, w przód i w tył. W mojej głowie pojawia się obraz łazienki w korytarzu, pod umywalką leżą pudełka pełne zyletek. Kuchnia oferująca obietnicę noży. Prostuję się, zmuszam, by dotykać skóry, policzyć blizny i bandaże, wyrazisty dowód wyrządzonego sobie zniszczenia.

Nic więcej nie mogę dla siebie zrobić.

Nagle pojawia się Louisa, obraz znikąd: cała w ogniu, jej piękne włosy unoszą się w płomieniach, skóra topnieje jak masło.

Siadam na posłaniu tak gwałtownie, że odkleja mi się plaster na brzuchu. Przyciskam go, krzywiąc się z bólu. Mój plecak leży w szafie. Klękam, grzebię w nim. To jedyna rzecz, której Wendy nie zniszczyła. Zeszyty Louisy, wciąż ciasno związane wstążką. Rozwiązuję ją.

Na pierwszej stronie widnieje drobne, staranne czarne pismo: *Życie dziewczyny to najkoszmarniejsza rzecz na świecie. Życie dziewczyny: przychodzisz na świat, krwawisz, płoniesz.*

Słowa Louisy bołą, ale są prawdziwe, rozbrzmiewają w moim wnętrzu. Tej nocy czytam wszystko. Nie mogę przestać.

JEST WCZESNY RANEK, A JA JESZCZE NIE ZMRUŻYŁAM OKA, słowa Louisy wciąż przenikają moje ciało niczym prąd. *Cięcie jest jak mur, który budujesz wokół swojego ciała, by trzymać ludzi na dystans, chociaż jednocześnie tak bardzo pragniesz, by ktoś cię dotknął. Ale mur jeży się kawałkami szkła. I co teraz?* W końcu zwlekam się z łóżka, a Linus mówi, że Feliks pozwolił mi pracować w jednej z pustych sypialni, tej najmniejszej. Devvie

i Tanner przenoszą tam wysoki stół, krzesło i pudło z przyrządami – bloki, pióra, tusze, ołówki, farby. Devvie to koścista dziewczyna przejawiająca upodobanie do flanelowych koszul i spodni dresowych. Jest w trakcie robienia doktoratu na Uniwersytecie Nowojorskim.

W pokoju pachnie stęchlizną. Z zewnątrz dobiega rżenie konia. Tanner każdego ranka o tej porze zabiera go na przejażdżkę. Siadam na podłodze, kurz i pył przyklejają mi się do łydek.

Felix powiedział, że powinnam robić to, co kocham albo darzę namiętnością. Ariel stwierdziła, że powinnam wykorzystać samą siebie. Louisa podarowała mi historię swego życia. *Spotkało się dwoje pijaków i zrobili coś strasznego: mnie. Urodziłam się ze złamanym sercem.*

Przesuwam palcami wzdłuż blizn na nogach, wyczuwam pod bluzką nacięcia z wielu lat, zagojone i niezagojone. To wszystko, czym teraz jestem, te linie i oparzenia oraz kryjące się za nimi chwile. *Dziewczyna przychodzi na świat.*

W zatęchłym pokoju wybieram szkicownik z grubego kremowego papieru i ciemne pisaki. Za pomocą linijki wyrysowuję ramkę, sprawdzam, jak pisaki ślizgają się po papierze, jak leżą w moich palcach. Suną jak woda, nie poruszają się twardo jak węgiel. Na drugiej kartce szkicuję od niechcenia, wypróbuję samą siebie i pojawiające się obrazy.

Dziewczyna przychodzi na świat. Zaczynam od siebie: dziewczyna o strąkowatych włosach, w żółtawym włochatym swetrze, pierwszy dzień w nowej szkole, wszystkie blizny schowane pod swetrem i dżinsami. Smutna dziewczyna, jej usta są mocno zaciśnięte, oczy płoną, w środku wibruje pole siłowe gniewu i lęku. Obserwuje pozostałe dzieciaki, z jaką łatwością się poruszają, śmieją, poprawiają słuchawki, szepczą. Ma ochotę powiedzieć: „Mój ojciec leży w rzece”, ale nic nie mówi. Poznaje piękną dziewczynę o fioletowych włosach i bardzo białej skórze. Ta piękna dziewczyna pachnie słodko i kremowo jak puder do twarzy i za dużo czarnej kredki do oczu.

Ta piękna dziewczyna jest „kurwa, anielska”.

Louisa napisała: *Każda zmiana na mojej skórze jest pieśnią. Przyciśnij wargi do mojej skóry. Usłyszysz śpiew.*

Rysuję, tracę poczucie czasu.

W miarę jak historia się rozwija, postać Charlie traci ubranie, kawałek po kawałku, na młodej bladej skórze pojawia się coraz więcej uszkodzeń. Zasypiam z głową na stole. Budzę się i dalej rysuję. Nie umiem mówić, nie potrafię wydobywać odpowiednich słów z umysłu, przenosić ich do ust i dalej, na zewnątrz, ale w tym jestem dobra – w rysowaniu i słowach, które mogę pokazać na papierze. W tym jestem dobra.

To właśnie Felix miał na myśli. To, co robisz, powinno przepływać przez twoją krew, dokąś cię nieść.

Palce zaczynają mi drętwieć, potrzebuję przestrzeni i powietrza. Po cichu wymykam się z domu. Długo spaceruję po pustyni, znajduję ocienione miejsce pod drzewem bawełnianym, siadam tam z jednym z zeszytów Louisy na kolanach. Pustynia wypełnia mnie ciszą, poczuciem pustki, i pełni zarazem. Otulam się polarem Tannera.

Louisa napisała *Ludzie powinni o nas wiedzieć. O dziewczynach, które zapisują swój ból na własnych ciałach.*

Od nowa czytam historię jej życia. Jest to trudne, boli, ale dała mi swoje słowa, własną historię, wszystkie jej krwawe fragmenty.

Nikt mi nie przeszkadza. Nikt nie przychodzi zapytać, co robię. Kiedy głodnieję, idę do kuchni i robię kanapkę, napełniam szklankę wodą, wracam do pokoju i dalej rysuję komiks.

Trwa to trzy dni, może cztery, nie umiem określić, nie wiem, ale w pewnym momencie pojawia się uczucie, coś czystego i ostatecznego, co mówi: „Skończone. Na razie skończone”.

Delikatnie zbieram wszystkie papiery, porządkuję je, układam w staranny stos na stole,

sprzątam pisaki, wyrzucam wiórki z temperówki do kosza pod oknem.

Narysowałam wszystko, co chciała ode mnie usłyszeć Casper.

Mam głos. Mam miejsce dla swego głosu.

Spoglądam na luźne, zbyt duże spodnie dresowe, które dała mi Linus, zawinięte w pasie trzy razy, i ogromny T-shirt z logo Uniwersytetu Nowojorskiego pożyczony od Devvie.

Przypominam sobie ogrodniczki pozostawione w zdemolowanym, zakrwawionym mieszkaniu, dżersejowe koszulki z długim rękawem, ciężkie czarne buty. Nadszedł czas na zmianę. Nadszedł czas, bym znów przemówiła.

Ściągam pożyczone ciuchy, drżąc w chłodnym powietrzu płynącym od okna. Owijam się szarym wełnianym kocem i wychodzę, wymykam się tylnym wyjściem. Długo siedzę na schodach w orzeźwiająjącym chłodzie, słuchając odgłosów pustyni, świergotów, pisków i wycia, głosów dochodzących z wnętrza – mruczenia Felixa, Linus i Tannera grających w karty.

To odgłosy domu.

KILKA DNI PÓŹNIEJ NADCHODZI CZAS ROZSTANIA, Felix ściska nas wszystkich na pożegnanie, nawet mnie. Najpierw kulę się w sobie pod jego dotykiem, ale potem świadomie zmuszam się, żeby rozluźnić ciało. Pociera moje plecy solidnymi dłońmi. Całuje mnie w czoło. Linus i Tanner pakują bagaż do samochodu, Devvie zrobiła nam kanapki na drogę, przygotowała torbę z owocami i serem, chociaż podejrzewam, że Tanner i tak będzie chciał kupić chipsy i inne słone przekąski.

Poprawiam pasek spódnicy. Jest z bawełny w kolorze khaki, sięga tuż przed kolano, kosztowała cztery dolary w sklepie charytatywnym w Santa Fe. Spoglądam na proste czarne tenisówki, T-shirt z logo miejscowego liceum, jasnobrązowy i z krótkim rękawem, na blizny na nogach. Co powiedziała Blue? „Pierdolić to”.

Linus zawiozła mnie na zakupy i w sklepie od razu skierowała się do części z dżinsem. Zaczęła przeglądać wieszaki pełne spodni i ogrodniczek, sądząc, że właśnie tego szukam. Zostawiłam ją tam i ruszyłam na obchód sklepu. Kiedy mnie odnalazła, trzymałam w rękach stos prostych bawełnianych spódnic i T-shirtów oraz czarny zmechacony sweter zapinany na błyszczące srebrne guziki. Na widok ogrodniczek, które dla mnie wyszukała, potrząsnęłam głową i powiedziałam:

– Koniec z tym.

Uniosła brwi, uśmiechnęła się i zaniósła je z powrotem.

Felix powiedział mi:

– Wiesz, Charlotte, że samookaleczenie ma bardzo długą i interesującą historię? – Kiwa głową. – To prawda, moja droga. Niektórzy ludzie stosowali je, by znaleźć się bliżej Boga. – Unosi głowę, celuje podbródkiem w moją stronę. – Czy próbujesz zbliżyć się do Boga, Charlotte?

Potrząsam głową.

– Nie, kurwa, skąd.

Felix śmieje się i pomaga mi wsiąść do samochodu.

Linus odpala i ruszamy, ale w miejscu, w którym powinniśmy skrócić na drogę, zatrzymuje samochód i spogląda we wsteczne lustro. Odwracam się. Felix człapie przez zwirowy podjazd, jego włochate kapcie wznoszą chmury pyłu. Zdyszany pochyla się przy oknie po mojej stronie, pokazuje, że mam się przysunąć do szyby. Szepcze mi do ucha:

– Bądź sobą, Charlotte. Bądź sobą.

W ALBUQUERQUE TANNER PRZENOSI SIĘ NA TYLNE SIEDZENIE i zasypia. Linus częściej mnie chipsami. Wysypuję trochę na dłoń.

– Linus – pytam cicho – dlaczego mi pomagacie? Nawet mnie nie znacie, a ja zachowywałam się samolubnie. Nigdy nawet nie próbowałam niczego się o tobie dowiedzieć. Przepraszam. Byłam beznadziejna. – Biorę wdech. To właśnie chciałam powiedzieć.

Jedzenie wypycha jej policzek jak u wiewiórki.

– Z powodu picia straciłam dzieci. Przez te wszystkie lata, kiedy usiłowałam zachować trzeźwość, mieszkały z tatą i nie chciały mnie widzieć, i słusznie. Robiłam straszne rzeczy, na samo wspomnienie chce mi się rzygać ze wstydu.

Ociera usta wierzchem dłoni. – Życie bez mamy jest dość gówniane. Są na mnie wściekli. Trochę się to zmienia, ale bardzo powoli. To dobre dzieciaki. Myślę, że musiały zaznać po drodze trochę dobroci, odrobinę pomocy i miłości na początek. Dlatego to robię. Dlatego ci pomagam. Nie znam historii twojej mamy, ale wierzę, że ma nadzieję, iż ktoś się tobą opiekuje.

Kruszę chipsy w dłoni, zlizuję okruchy.

– Moja matka nie myśli w ten sposób.

Linus długo milczy, w końcu odpowiada:

– Owszem. Myśli. Któregoś dnia może zdecydujesz się na dzieci i zrozumiesz, o czym mówię. I padniesz z wrażenia.

KIEDY LINUS PODWOZI MNIE POD DOM, JEST JUŻ PÓŹNO. Na ulicy panuje spokój, sklep alkoholowy już zamknęli. Zacisnęłam powieki, kiedy przejeżdżaliśmy przez Dwunastą Ulicę. Nie chciałam ryzykować, że spojrzę w stronę turkusowego domu.

Światło w holu jest słabe, ale od razu dostrzegam, że balustradę i podłogę pomalowano na jasnobrzoskwiniowy kolor, ściany na spokojny błękit, a drzwi wejściowe błyszczą świeżą bielą. Pachnie bzem i czystością. Podchodzę do drzwi swojego mieszkania. W środku gra muzyka. Tracę resztki nadziei. Leonard zdążył je komuś wynająć. Ciekawe, czy zostawił rzeczy. Może zapakował je w pudła i wstawił do piwnicy. Ale gdzie jest Blue? I dokąd mam pójść? Serce zaczyna mi bić bardzo szybko. Odwracam się i już mam sobie pójść, ale w tym momencie drzwi się uchylają.

Sińce na twarzy Blue zbladły, ale wokół oka wciąż widnieje napuchnięty fioletowo-żółty krąg. Po szwach zostały czerwone kreski i rzędy małych kropek.

Blue wydaje westchnienie ulgi.

– Charlie. Tak się cieszę. – Szerzej otwiera drzwi. – Mówisz? Wszystko w porządku? Pomyślałam, że może na jakiś czas znów przestałaś mówić.

W pokoju panuje idealny porządek, znikły wszystkie popielniczki, pod ścianą stoi nowa drewniana komoda. Linoleum zerwano, drewnianą podłogę pod spodem wypiąskowano i pomalowano na różowo. Dociera do mnie, że na linoleum pewnie zostały plamy mojej krwi; czuję ukłucie wyrzutów sumienia. Blue pochyła się i przesuwając dłoń po drewnie.

– Sosna – mówi miękko.

Pocięty materac zastąpiło podwójne łóżko, zakryte zachęcającą puchatą narzutą. W kuchni Blue zamontowała proste metalowe półki i zappełniła je różowymi talerzami i kubkami, słoikami sosów i dżemów, puszkami jedzenia, paczkami herbatników. Na innej półce stoi mikrofalówka. Wannę otacza zasłonka prysznicowa z mapą świata, a sedes – materiałowa zasłonka w irysy.

– Podoba mi się tu – mówi z nieśmiałym uśmiechem Blue.

W ciągu sześciu tygodni Blue zrobiła z tego miejsca normalny dom, a ja nie potrafiłam tego dokonać przez sześć miesięcy.

Na stole pracochłonny projekt: Blue próbuje skleić kawałki podartego szkicownika oraz zdjęcia przedstawiające mnie i Ellis. Niektóre fragmenty są naprawdę maleńkie, Wendy była bardzo skrupulatna.

Blue wyrzuca z siebie:

– Jen... Jen S. zadzwoniła do mnie, jak wyszłaś do pracy, powiedziała mi o Louisie i Jezu, Charlie, totalnie mi odbiło. Poleciałam do Riley'a i razem poszliśmy do domu tej dziewczyny. Chciałam tylko odlecieć, rozumiesz? Nie... nie wiedziałam, co to będzie, i nie mogłam się powstrzymać. Jezu, Charlie, wiedziałas, że on to bierze?

Małe torebki pełne kryształków. Plastikowy zapach pierwszego ranka, kiedy przyszedłam go obudzić. Spoglądam na Blue i zaczynam płakać. Jej oczy rozszerzają się z przerażenia.

– Charlie, no co?

Mówię jej, że jest mi przykro, bardzo przykro, ale kłamałam, kupowałam towar dla Riley'a, wszystko było straszne, a ja tonęłam, ale już nie chcę być pod wodą.

Blue gwałtownie potrząsa głową.

– Ja z tym skończyłam, Charlie. Poważnie. Więcej nie wezmę tego gówna. Przysięgam. Podoba mi się tutaj. To miasto jest takie, kurwa, miłe. Boże, i to słońce.

Przyciskam czoło do ściany, nagle ogarnia mnie wyczerpanie, czuję się pusta.

Blue mówi:

– W Creeley tak naprawdę nie byłam sobą. Czasami człowiek wśród innych ludzi staje się inny, bo taka rola ci się przydarza, nie wybierasz jej. Dopuściłam do tego, kiedy tu przyjechałam. Pozwoliłam, żeby mnie przejęła, chociaż wcale tego nie chciałam. Ja nie... nie jestem taka, Charlie. Chcę być twoją przyjaciółką. Myślę, że mogłybyśmy się wzajemnie wspierać. Tak bardzo cię lubię.

Na plecach, przez koszulkę, czuję jej ciepłą dłoń.

– Nie chcę być Louisą – szepcze Blue. – Nie chcę umrzeć. Pomóż mi, a ja pomogę tobie.

Wierzę jej. Raz po raz wypowiada moje imię i imię Louisy. Płacemy przez kilka godzin, ja przy ścianie, Blue przyciśnięta do moich pleców. Tuląc się do siebie tak, jak należy.

ZIELONE SIATKOWE DRZWI ZATRZASKUJĄ SIĘ ZA MNĄ. Wszyscy się odwracają, ich usta się zamykają. Wieszam plecak na kołku na ścianie, podchodzę do zmywarki, zawiązuję fartuch, wyciągam metalowy kosz i zaczynam wyładowywać talerze i kubki. Kiedy odwracam się z czystą tacą, gapią się na mnie: Randy w swoich czarno-białych półbutach, Temple uwijająca się przy termosach, z podzwaniającymi bransoletkami przy kostkach u nóg.

Randy wrzuca do wody z płynem naręczę kubków, ochlapując przy tym mój fartuch. Lekko stuka mnie w ramię.

– Najwyższy, kurwa, czas – mówi. – Od trzech dni znów mamy otwarte i zastanawiamy się, gdzie nasza ulubiona laska od zmywania garów.

Drugiego wieczoru Julie prowadzi mnie do biura. Nie patrzę na sofę. Staram się skupić wzrok wyłącznie na pomarszczonych od wody rękach, a Julie mówi mi to, o czym w większości już wiem: Riley i Wendy rozwalili samochód Luisa, Wendy ma trzy złamane żebra, pęknięty obojczyk i przebite wnętrzności. Zaatakowała Blue w naszym mieszkaniu, kiedy Blue próbowała ją powstrzymać przed demolowaniem mojej własności.

Julie przekręca pierścionki na palcach, jej głos drży i słabnie.

– Riley wywinął się z kilkoma siniakami, karą za jazdę w stanie nietrzeźwości i bez dokumentów, prawdopodobnie karą za kradzież pieniędzy z nocnego depozytu oraz kradzież pojazdu. – Kładzie dłoń na misie z lapis lazuli. – Był w więzieniu. Teraz przebywa na odwyku na północy, w ośrodku wyłącznie dla mężczyzn. Nie pierwszy raz na odwyku, ale tego pewnie się

domyśliłaś. – Stuka kamykami. Jej oczy wilgotnieją. – Sporo myślałam, wiesz? Może częściowo ponoszę winę za to, co się stało, bo zawsze mu pomagałam, jak coś spierdolił. Nigdy więcej nie może tu pracować. Ma zakaz. Jeśli nie chce znów trafić do więzienia, musi odbyć roczny program w ośrodku i pozostać czysty. A ja mam wnieść przeciw niemu oskarżenie o kradzież pieniędzy? – Łzy płyną jej po twarzy. – Czasem świat jest tak, kurwa, beznadziejny! Człowiek musi poważnie się zastanowić, jaki ma w tym udział. Czy jakoś się do tego przyczyniłam?

Czuję w środku wielki ciężar. Chciałabym się go pozbyć.

– Julie – mówię. – Wiedziałam, znaczy chyba wiedziałam, ale nie chciałam wiedzieć, że on kradnie z kasy. I... nawet mu pomagałam. Kupowałam dla niego towar. Przepraszam. Zrozumiem, jeśli mnie wylejesz.

Julie potrząsa głową, ociera oczy.

– Kupowałaś mu towar?

Przytakuję, twarz płonie mi ze wstydu.

– Chciałam, żeby mnie kochał – wyznaję, ale bardzo cicho.

Julie wyciąga rękę i ujmuje moją dłoń.

– Miłość to straszny syf, Charlie, ale na pewno nie na tym polega. Nie na kupowaniu dla kogoś drogów. Nie zasłużyłaś na coś takiego, skarbie.

Próbuję przyjąć jej słowa, nie odrzucać ich od razu. Nie jest to proste, a jednak mi się udaje.

Słowa wylatują ze mnie w szybkim tempie:

– Linus mówiła, że Grit ma poważne problemy. Rozmawialiśmy na ten temat w drodze powrotnej z Nowego Meksyku i tak sobie pomyślałam, znaczy obie tak pomyślałyśmy, że miałybyśmy kilka pomysłów, jak można postawić Grit na nogi, gdyby chciało ci się posłuchać.

Julie mruga powiekami i pociąga nosem. Bierze z biurka długopis i otwiera notes.

– Słucham – mówi. – Strzelaj, bo chyba przyjdzie mi tu zdechnąć.

PODOBA MI SIĘ WSPÓLNE MIESZKANIE Z BLUE. Podoba mi się, że znów mam przyjaciółkę. Ellis nadal zajmuje miejsce w moim sercu i zawsze tam będzie, lecz Blue jest na swój sposób świetna i dobra.

Czasami, kiedy wracam ze zmiany, wsiadamy w autobus i jedziemy na nocny seans do kina, kupujemy słony popcorn i zbyt mocno zmrożone napoje. Z przyjemnym zaskoczeniem stwierdzam, że pieniądze Blue nigdy się nie kończą. Za każdym razem, kiedy pytam, wzrusza ramionami.

– Ojciec ma wyrzuty sumienia. Kasa je uspokaja. Dziwne – stwierdza, a jej twarz przybiera skomplikowany wyraz bólu i smutku. – Nie chcę o tym mówić. Może któregoś dnia. Tym razem kupmy dodatkowe masło do popcornu, co?

Nie mogę siedzieć w pokoju i ryczeć, czy tkwić w wannie, wbijając wzrok w sufit, i myśleć o tym, że tyle rzeczy mogłam zrobić lepiej: pomóc Rileyowi, wcześniej to skończyć, ocalić Ellis, postawić samą siebie na nogi. Nie mogę, bo uświadamiam sobie, że takie myśli niczego nie rozwiążą, na nic zda się rozważanie, co mogłam zrobić inaczej. Teraz to wiem.

Trzeba przeczeekać negatywne uczucia, to zaś oznacza, że muszę być ciągle zajęta, pracować w Grit, przez długie godziny rysować komiks, ponownie czytać zeszyty Louisy, zastanawiając się, kto chciałby przeczytać jej i moją historię.

Oznacza to również, że chodzę z Blue na spotkania. Siedzę w jasno oświetlonej piwnicy nieużywanego kościoła, na twardych krzesłach, które szurają na cementowej podłodze, piję błotnistą kawę i słucham ludzi opowiadających swoje historie. Naprawdę słucham i myślę o nich, myślę o sobie.

Blue i ja szukamy grupy takich jak my, tych, które się tną i przypalają, tych od samookaleczeń, ale bez skutku. Blue stwierdza:

– He, w takim razie chyba musimy dalej ze sobą rozmawiać, co? Kto by pomyślał, że się zaprzyjaźnimy, Cicha Sue?

Tęsknię za Casper, ale rozumiem, że musiała pozwolić nam odejść. Może w ostatecznym rozrachunku byłam dla niej po prostu kolejną cierpiącą dziewczyną, ale była dla mnie miła i musi być miła również dla innych, ponieważ jej dobroć, chociaż było mi dane zaznać jej tak krótko, naprawdę wiele znaczyła.

Bardzo wiele.

Któregoś wieczoru Blue wraca do domu z lśniącem nowiutkim laptopem. Od razu każe mi założyć konto na Facebooku. Stwierdza ze śmiechem:

– Media społecznościowe to dla ciebie idealne rozwiązanie. Są dla ludzi, którzy nie lubią kontaktów osobistych. Twitter raczej nie, bo tam się dużo gada.

Nie bardzo się udzielam, głównie przeglądam wiadomości i sprawdzam stronę Blue. Którejś nocy dostaję zaproszenie.

To Evan.

Nie czuję przerażenia, że się ze mną skontaktował. Ani zdenerwowania. Czuję wielką wdzięczność, że mogę szczerze i z całego serca nacisnąć *Akceptuj*, ponieważ on żyje, a byłam niemal pewna, że nie.

Pierwsze, co mi przesyła, to artykuł z gazety sprzed kilku miesięcy. Na widok zdjęcia serce na chwilę przestaje mi bić.

Evan pisze ZŁO ZŁAPANE.

Seed House zamknięto, a Jebanego Franka aresztowano za handlowanie nieletnimi dziewczynami, podawanie narkotyków i alkoholu nieletnim i jeszcze za wiele, wiele innych przestępstw. Na zdjęciu jego twarz jest zapadnięta, już nie pełna i wściekła. Maluje się na niej przerażenie.

A potem Evan pisze: *A tak poza tym nie biorę nic już od 92 dni. A jak TY się miewasz, Charlotte?*

Odpisuję mu i uśmiech nie schodzi mi z twarzy.

CIASTKA Z MEKSYKAŃSKIEJ PIEKARNI WYPRZEDAJĄ SIĘ każdego dnia.

Wpadłyśmy z Linus na pomysł, żeby kupować je po niższej cenie, zanim wyrzucą resztki do śmietnika. Julie pozwoliła Linus opracować nowe menu lunchowe, oparte w większym stopniu na zdrowych potrawach, a w mniejszym na kartoflach, tłuszczu i serze. Zgodziła się na karty z punktami za kawę. Któregoś dnia, zbierając naczynia ze stołów, spostrzegam na ceglanych ścianach nową porcję wulgarnych graffiti. Przyglądam im się przez dłuższą chwilę, obracam się na wszystkie strony, obejmuję wzrokiem całe pomieszczenie, światło wpadające przez umieszczone wysoko okna, i zastanawiam się, co można by z tym zrobić.

Blue przychodzi któregoś wieczoru, by pomóc przy malowaniu ścian i łazienek, przynosi puszki farby, wałki i szczotki ze schowka Leonarda. Temple pomaga mi wynieść drabiny z biura Julie i przesunąć stoły i krzesła na środek sali. Randy i Tanner przecierają blaty papierem ściernym i malują je na różne kolory, na niektórych dodają wzorki, na innych przyklejają stare pocztówki. Blue, Julie i ja malujemy ściany na blady słomkowy kolor, który jaśnieje w ciągu dnia, a w nocy wygląda eterycznie.

– Ale teraz ściany są gołe – stwierdza Julie. – Wyglądają okropnie pusto.

– Nie na długo – odpowiadam.

Pewnego wieczoru pracuję przy kontuarze, zastępując Temple, która wyszła na dymka,

gdy do środka nieśmiało zagląda Ariel, jakby nie była pewna, czy dobrze trafiła. Na mój widok uśmiecha się i woła:

– To ty! Jaka miła niespodzianka. Byłam na twoim wernisażu, ale cię nie widziałam.

Biorę głęboki wdech.

– Ukradłam twój krzyż. To moja sprawka. Przepraszam.

Ariel pochyla głowę.

– Wiem. Rozumiem. Dziękuję, że go zwróciłaś. – Wyciąga rękę w moją stronę. – Mogę?

Kiwam głową.

Ostrożnie kładzie dłoń na mojej dłoni.

– Straciłam syna, więc wiem, co to znaczy czuć się pustym, ale zarazem pełnym, tyle że pełnym piekła. Ty też wiesz, co to znaczy. To wszystko, co chciałam na ten temat powiedzieć. I jeszcze: cieszę się, że u ciebie wszystko w porządku. Bardzo, bardzo się cieszę.

Kiwam głową, próbuję powstrzymać łzy. Ariel poklepuje moją dłoń i prosi o podwójne espresso. Co za ulga, że mogę się odwrócić i czymś zająć, żeby nie widziała moich łez spływających po policzkach. Czekać na kawę, przechadza się po sali.

– Nie byłam tu od wielu lat! – przekrzykuje ekspres. – Zrobiło się bardzo alternatywnie. Koleżanka powiedziała, że powinnam zajrzeć. – Spogląda na ściany. Wiszą na nich niesamowite pracowicie utkane pejzaże: pracujące na polach kobiety, krajobrazy miejskie, płowa góra, nad którą zawisło słońce.

– O rany – mówi cicho Ariel, podchodząc bliżej. – Kto je zrobił? – Jej głos rozbrzmiewa wyraźnie pośród czystych ścian.

– Kucharka – odpowiadam z dumą, ocieram twarz i odwracam się z filiżanką demitasse w rękę. – Linus Sebold.

LINUS PROSI, ŻEBYM Z BIURA JULIE przyniosła pudełko bloczków do zamówień. Panuje spory ruch, od czasu metamorfozy odwiedza nas inna starsza klientela. Artystyczna młodzież nadal bywa, lecz straciliśmy kilku muzyków. Tęsknię za nimi, ale Julie musi rozkręcić interes, Grit potrzebuje klientów, którzy kupują jedzenie i napoje, a nie takich, którzy rzygają na podłogę.

Przerzucam rzeczy za biurkiem Julie, kolejne pudła, gdy nagle pojawia się wetknięty pod telefon służbowy kawałek papieru.

Widnieje na nim numer telefonu, jego imię w otoczeniu bazgrołów, kółek i gwiazdek.

W jednej sekundzie patrzę na ciąg cyfr, a w następnej mówię:

– Czy mogłabym rozmawiać z Rileyem Westem? – Czuję się, jakbym fruwała pod sufitem, patrzę na swoje trzęsące się dłonie, przyciskające telefon do ucha. Na drugim końcu słyszę powolne kroki, ciężkie westchnienie.

– Tak?

Czy słyszy, jak wali mi serce? Czy zorientuje się po ciszy, że to ja? Słowa utykają mi w gardle. Czy dlatego znowu wzdycha? Czy dlatego pyta:

– Kochanie?

– Riley.

– Nie możesz tu dzwonić. Rozumiesz, nie możesz...

Jego głos jest wyważony, ostrożny i łagodny. Pewnie próbuje nie zwracać na siebie uwagi. Czuję przyływ gniewu i próbuję go stłumić, ale na próżno. Wybucho.

– Czy w ogóle pamiętasz, że ze mną byłeś, Riley?! Czy w ogóle cię to kiedykolwiek obchodziło?! – Napędzana adrenaliną, mówię dalej: – Byłam dla ciebie tylko jakimś dziwadłem? Świrem?

Jestem przerażona i zagubiona, lecz każde słowo, które wychodzi z moich ust, wydaje się pełne mocy.

Na linii odzywa się beznamienny automatyczny głos: „Jeszcze cztery minuty rozmowy”. No tak. Pamiętam, że w Creeley telefon rozłączał się po dziesięciu minutach.

– Charlie.

Płacze jak dziecko, brzmi jak ktoś, kto nie chce, by go usłyszano. Dźwięk zakrada się do mojego wnętrza, drapie w serce. Riley znów wypowiada moje imię. Pocieram mokrą twarz wierzchem dłoni.

– Kochałam cię, Riley. – Powiedzenie tego na głos boli, słowa jak balon odfruwają do góry, w dal.

– Proszę. – Płacze. – Kochanie...

Na linii zapada cisza.

Otwieram szufladę w biurku Julie: spinacz, ciężkie błyszczące nożyczki, pinezki. Trochę leków.

W drodze powrotnej z Santa Fe Linus powiedziała:

– Moje życie jest jak seria dziesięciominutowych interwałów. Czasem mam ochotę wręczyć sobie, kurwa, medal za to, że przetrwałam kolejną godzinę bez picia, lecz tak już musi być. Przeczekać.

Zamykam szufladę. Muszę przeczekać to pulsowanie w moim wnętrzu, przeczekać w dziesięciominutowych interwałach, pięciominutowych interwałach, ile będzie trzeba, zawsze, teraz i po wieczność.

Biorę bloczki, wychodzę i starannie zamykam drzwi.

TEMPLE WŁAŚNIE PROWADZI KOLEJNY *OPEN MIC* – tym razem przyszło mniej ostrych muzyków, a więcej poetów – gdy Linus podaje mi słuchawkę telefonu stojącego na kontuarze. Muszę przykucnąć, żeby w ogóle usłyszeć głos po drugiej stronie. Dostrzegam drobinki kurzu i fusy po kawie pod brzegiem kontuaru, zapisuję sobie w pamięci, by potem dokładniej posprzątać.

– O, moja droga Charlotte. – Głos starszego mężczyzny, łagodny i łamiący się. – Nie chciałybyś przyjechać i trochę dla mnie popracować?

To Felix Arneson.

– Jestem w Nowym Jorku – dodaje – a Devvie, na pewno pamiętasz moją asystentkę Devvie, skończyła pisać doktorat. Opuszcza mnie. Zostałem porzucony, ale zamierzam przetrwać.

– Ja nie... co? – Przysuwam się bliżej do słuchawki, niepewna, czy przypadkiem się nie przesłyszałam. – Chcesz, żebym dla ciebie pracowała? Ja?

Felix chichocze.

– Potrzebuję kogoś, kto nie boi się pustyni, izolacji. Jest tu dosyć nudno, rozumiesz. Cóż, w pobliżu znajduje się wspaniałe miasto, ale akurat tam, gdzie mieszkam, hm, sama wiesz. Byłaś przecież! Porządkowałaś moje slajdy, teczki z papierami. Mnóstwo różnych zajęć. Odpowiadanie na telefony, maile. Zamawianie zakupów. Pokój z wyżywieniem plus niewielkie wynagrodzenie. Co ty na to? Chyba ci się tam podobało.

Nie muszę długo się zastanawiać. Tutaj czuję ból, radzę sobie, ale czuję ból i chciałabym znaleźć się w jakimś cichym miejscu, gdzie nie straszy duch Riley'a.

W domu Felixa panowały cisza i spokój.

– Tak – odpowiadam. – Tak, chcę dla ciebie pracować.

Zamówi dla mnie bilet do Nowego Jorku i spotkamy się w hotelu. Obiecuje, że w wolnych chwilach oprowadzi mnie po mieście, zabierze do muzeów, księgarń. A potem razem polecimy do Santa Fe.

– Boję się latać – wyznaje szeptem. – Czy to nie zabawne w moim wieku? W końcu niedługo umrę, a obawiam się drobnego skoku w przestworza. Wolę ściągnąć cię najpierw tutaj, żebym nie musiał lecieć sam.

Przyznaję, że nigdy dotąd nie podróżowałam samolotem.

– A to dopiero – mówi. – Będzie z nas wspianała para. Dostaniesz też tamten pokoiik, w którym rysowałaś. Linus wspominała, że pracujesz nad czymś w rodzaju książki. Nie mogę się doczekać, kiedy mi o niej opowiesz.

JULIE I LINUS PATRZĄ NA MNIE ZDETERMINOWANE. Znów stanowczo mówię: „nie”.

– Za cztery dni wyjeżdżam – upieram się. – Nie mam ochoty tam iść.

Linus mówi:

– Wiem, że ta perspektywa wydaje się okropna, Charlie, ale on naprawdę ciężko pracował na tę chwilę i uważam, że należy go wesprzeć w drodze do wyzdrowienia. Nawet palant czasem potrzebuje pomocy.

Julie ujmuję moje dłonie.

– Zmienia się na lepsze, Charlie. To jeden z kroków do celu. Mówię szczerze, nigdy nie widziałam go takim jak teraz.

Wypuszczają Rileya na koncert dobroczynny dla Luisa Alvareza. Będzie mu towarzyszył pracownik ośrodka, na kostce Riley ma nosić bransoletkę elektroniczną. Występ to warunek, pod którym żona Luisa nie wniosła oskarżenia o kradzież samochodu. Ale tak czy inaczej będzie musiał dokończyć roczny program w ośrodku odwykowym. Chce, żebym przyszła na koncert.

Blue stawia na kontuarze kubek z kawą, do tej pory w milczeniu przysłuchiwała się naszej rozmowie. Robi podbródkiem nieznaczny ruch, subtelne „nie pozwól do niczego się zmusić”. Nauczyłam się wszystkich nowych znaków, które potrafi dawać twarzą, opuszczonych podbródków, rozszerzonych oczu, grymasów dezaprobaty. W Creeley miała tylko dwie miny: wściekłą i żalowaną. Pobyt tutaj otworzył ją w sposób, który mnie nigdy się nie przydarzył.

Wyciskam mop, kij chwieje się w mojej dłoni. To tłuszczyk na palcach czy coś innego?

– Dobra – mówię w końcu. – Dobra.

BLUE SPOGLĄDA NA MÓJ PLECAK I NOWĄ RÓŻOWĄ WALIZKĘ, którą kupiła mi w Goodwill. Wszystko spakowane. Wargi lekko opuszcza w dół.

– Nie mogę uwierzyć, że wyjeżdżasz – mówi cicho.

– Wiem.

– To znaczy, cieszę się. Fajna sprawa, ale będę za tobą tęsknić.

– A ja za tobą. – Biorę ją za rękę.

– Felix ma komputer?

– Tak.

– Odezwiesz się na Skypie? Raz w tygodniu? – Patrzy prosząco, uparcie.

– Jasne.

– A telefon? Kupisz komórkę?

– Nie stać mnie. Felix ma telefon, będę korzystać.

– I będziesz do mnie często telefonować? Zadzwoń i dasz mi jego numer, dobra?

Przyjadę z wizytą. Będzie fajnie. Będę cię odwiedzać raz w miesiącu, okej? – Mówi to wszystko bez tchu.

Zaciska palce na moich palcach.

– Tak, Blue.

– Znajdziesz jakąś grupę? Ja będę chodziła z Linus.

– Tak, obiecuję.

– Okej – mówi w końcu. Jej oczy napętniają się łzami.

– Okej – odpowiadam.

– Musimy trzymać się razem, Charlie. Nie możemy stracić kontaktu. – Łzy spływają jej po twarzy.

– Nie możemy. – Ściska mnie w gardle.

– Różnimy się od innych ludzi.

– Tak.

– Jesteś teraz moją rodziną. A ja twoją. Rozumiesz?

Te ostatnie słowa wypowiada w moje włosy, bo obejmuje mnie mocno, a ja nie chcę, żeby kiedykolwiek puściła.

– Tak – odpowiadam. – Tak.

NA BENEFIS DLA RODZINY LUISA ALVAREZA PRZYSZŁY TŁUMY. Ludzie stoją na ulicy przed hotelem Congress. Ustawiono osobne sceny dla supportujących zespołów, droga jest zamknięta dla ruchu samochodowego. Przez tłum przedziera się kapela *mariachi*. Przed wejściem do hotelu wiszą plakaty ze zdjęciem Luisa. Zmarł krótko po tamtej nocy, kiedy Riley ukradł mu samochód. Tiger Dean gawędzi z ekipą telewizyjną, ma nastroszone włosy i okulary słoneczne na czubku głowy.

Dostrzegam Mikeya z Bunny, trzymają się za ręce, Mikey już nie ma dredów, tylko krótką złocistą czuprynę. Nie widziałam go od powrotu.

Odwraca się i mnie zauważa. Rusza z uśmiechem w moją w stronę, a mnie ściska w żołądku. Bunny zostaje, nie przerywa rozmowy. Mojej uwadze nie umyka błysk złota na jej palcu. Milcząca Blue trzyma się obok mnie.

– Hej – mówi nieśmiało Mikey.

– Hej.

– Charlie. Tak się cieszę, że przyszedłeś. Dobrze cię widzieć.

Pokazuję na jego palec.

– W twoim życiu sporo się zmieniło.

Mikey kiwa głową.

– Można tak to ująć. – Śmieje się.

Biorę głęboki wdech.

– Przepraszam za to, jak zareagowałam, Mikey. Michael. Przepraszam. Powinnaś odpowiedzieć na twoje maile.

Wzdycha.

– Myślałam, że je wykasowałaś. I tak zamierzałem wkrótce cię odwiedzić w Grit. Trasa przedłużyła się nam o parę miesięcy, a na koniec nagraliśmy płytę. Wszystko idzie w dobrym kierunku. – Bierze głęboki oddech. – Mam coś dla ciebie, Charlie. Zamierzałem przynieść to do Grit, gdybym cię tu nie spotkał.

Sięga do kieszeni dzinsów i wyciąga złożoną kartkę papieru. – To dla mnie bardzo trudne, Charlie, więc daj mi to po prostu powiedzieć.

Zamyka oczy, zaraz je otwiera i patrzy prosto na mnie, uważnie, ale z uśmiechem.

Serce mi podskakuje, czuję lekkie zdenerwowanie.

– Co? Co to jest? – Zaczynam rozkładać kartkę.

– Widziałem ją, Charlie. Zatrzymaliśmy się w Sandpoint, w Idaho, ona tam jest.

Widziałem ją.

Blue mocno chwyta mnie za łokieć, wyjmując kartkę z mojej drżącej dłoni. Ledwo cokolwiek widzę przez wilgotną mgłę. Ledwo mogę oddychać. Ona. Ona.

Ellis. Ręce mi się trzęsą, papier szeleści.

– O Boże, Charlie, ona kontaktuje. To znaczy, nie do końca, ale nie znikła tak całkiem. Ona jest. Trzeba długo z nią siedzieć i zadawać bardzo, bardzo konkretne pytania o konkretne rzeczy, ale jest, a kiedy wypowiedziałem twoje imię, przysięgam na Boga, jej twarz się rozpromieniła.

Mikey popłakuje, ciężko oddycha. Spoglądam na adres, jej nazwisko. Moje ciało płonie, ale w pozytywny sposób, z podekscytowania.

Jak buchający płomień miłości.

Ellis, moja Ellis.

– O kurwa, zarabicie – mruczy Blue. – Zarabicie.

– Dzięki, Mikey – szepczę. – Bardzo, bardzo ci dziękuję.

TIGER DEAN DAŁ JULIE DARMOWE BILETY I PRZEPUSTKI na *backstage*. Julie, Blue, Linus i ja stoimy teraz na zapleczu, z zaciekawieniem przyglądając się koncertowej kuchni, krążącym członkom ekipy, czując bijącą od tłumu energię. Pierwsze grają kapele punkowe, zbyt głośne, spocone i zbyt mocno wijące się na scenie, ale młodsze dzieciaki są zachwycone, drą się i pogują pod sceną. Pogoda dopisała, jest idealnie, chłodnawo, niebo współpracuje, nieskończenie błękitne i piękne. Tiger Dean gra kilka kawałków z grupą młodych chłopaków ubranych w identyczne szare garnitury i kowbojskie krawaty. Tłum go uwielbia, ponieważ to Tiger Dean, ale jak zawsze powtarzał Riley, teksty są do dupy.

Regan, dziewczyna z *open mic* w Grit, wynurza się z przeciwległego końca sceny, ubrana w tę samą poszarpaną spódnicę i te same zniszczone martensy. Mamrocze swoje nazwisko do mikrofonu i zaczyna. Tłum kołysze się, totalnie zauroczony. Dalej, na krańcu sceny, kilku facetów gapi się na nią intensywnie, nagrywając ją na uniesione telefony komórkowe. Julie szepcze do Linus:

– Wyszukiwanie talentów. Riley wspominał, że wysłał jej demo swojemu dawnemu menedżerowi.

Kiedy Regan kończy śpiewać, na scenę znowu wkracza Tiger Dean, na wpół ściska, klepie ją po ramieniu. Regan schodzi ze sceny. Tiger odchrząkuje.

– Dzisiejszy wieczór uświetni specjalny gość. Jeden z moich najstarszych i najbliższych przyjaciół oraz świetny muzyk, za którym na pewno tęsknicie od dobrych paru lat. – Tiger wyciąga chusteczkę w tureckie wzory i ociera czoło. – Od jakiegoś czasu przechodzi naprawdę trudne chwile, ale zdaje się, że jest na dobrej drodze. Przynajmniej taką mam nadzieję. Bo jest mi potrzebny, chcę, żeby napisał dla mnie kilka kawałków. – Kończy udawanie konspiracyjnego szeptu. Publiczność się śmieje.

Julie pochyla się w moją stronę:

– Wypuścili go tylko na ten występ. Ma na kostce specjalną bransoletkę, która mierzy poziom zawartości alkoholu w pocie, więc wykryje wszystko, nawet jeśli Riley upije małego łyżka.

Tiger zbliża usta do mikrofonu.

– Riley West.

Thum klaszcze, woła i gwizdże. Ludzie podnoszą się i tłuką stopami w podłogę. Serce jąka mi w gardle. Blue wsuwa swoją dłoń w moją.

I jest.

Wychodzi z drugiej strony sceny, ma na sobie prostą biało-niebieską kowbojską koszulę z krótkim rękawem, z jasnobrązową lamówką na piersi, oraz brązowe spodnie i czarne sportowe buty. Zastanawiam się, gdzie podział ulubione ciężkie buciory, ale nagle dostrzegam błysk srebrnej bransoletki wystającej z nogawki. Nie zmieściłaby się w bucie z cholewką. Potargane brązowe włosy przycięł krótko, teraz widać całą twarz, jakby czystsza, nie taką spuchniętą. Patrząc na niego, uświadamiam sobie, jak koszmarnie wyglądał, a ja tego nie widziałam, bo nie chciałam widzieć. Nic nie wypycha kieszonki na jego piersi.

– Palenie też rzucił – szepcze Julie. – Gwałtowne odstawienie wszelkich używek.

Jest przerażony. Widzę to, ponieważ lekko się waha, wychodząc na scenę, po drodze zarzuca gitarę na ramię. Unosi drżącą dłoń, by pomachać publiczności. I w tym momencie dostrzegam coś, czego nigdy nie widziałam na twarzy Riley Westa – wściekle czerwony rumieniec.

Oblizuje wargi, poprawia mikrofon, upija ze szklanki stojącej na krześle. Robi zdziwioną minę.

– Smakuje jak woda. To do mnie niepodobne.

Wszyscy się śmieją. Ktoś woła:

– Riley, stary, świetnie wyglądasz!

Riley przysłania dłonią oczy, wodzi wzrokiem po publiczności.

– Serio? Chcesz się umówić? Bo w tym momencie chyba nie ma innych chętnych.

Znowu śmiech. Kolejny łyk wody.

– Po raz pierwszy zaśpiewam przed publicznością, mając tylko wodę do picia.

– Dalej, Riley!

– Dasz radę, Riley!

Bierze głęboki wdech, przysuwa gitarę do ciała, wyciąga szyję i patrzy prosto w naszym kierunku. Nasze spojrzenia się spotykają.

Twarz mu tężeje. Odwracam wzrok, serce tłucze jak szalone. Kiedy znów spoglądam na scenę, Riley stoi przodem do publiczności, na jego twarzy maluje się ten szeroki, krzywy uśmiech, który posłał mi, kiedy po raz pierwszy zobaczyłam go stojącego przed True Grit, w tle śpiewał Van Morrison, obok siedzieli gracze w go, a punki jadły lody przed Dairy Queen.

Odchrząkuje.

– Wiecie, niedawno spotkałem pewną dziewczynę, była śliczna, tylko nieco smutna, wiecie, jak to czasem dziewczyny. Pomyślałem: hej, Riley, może dla przeciwwagi potrzebna ci właśnie smutna dziewczyna, może jeśli położysz na jednej szali swoje kłopoty, a na drugiej jej smutek, to razem będziecie szczęśliwi. Czy nie tak?

Zamieram. On mówi o mnie.

Publiczność zgodnie odpowiada:

– No ta-ak.

– Przez jakiś czas było dobrze, ale znacie mnie, musiałem wszystko spierdolić.

Zapomniałem, że czasem trzeba rozmawiać. A może byłoby inaczej, gdybym czasem, kurwa, wytrzeźwiał.

Śmiech.

– Na szczęście dzięki doskonale zorganizowanym ośrodkom karnym i resocjalizacyjnym w stanie Arizona mam obecnie całe mnóstwo czasu, by przemyśleć swój błąd. A teraz zaśpiewam

piosenkę o tej dziewczynie.

Zaczyna grać, jego ciało z każdym ruchem, z każdą minutą się odpręża. Raz powiedział: „Robię to, ponieważ czuję się wtedy bogaty. Nie w sensie zamożny. Chodzi mi o ten cudowny ciężar w środku”.

Piosenka jest wolna, mawiał, że takie ballady smętnie powłóczą nogami i chyba każdy potrafi je bez trudu zapamiętać, a potem zaśpiewać.

Wpatruję się w niego, w swobodne ruchy placów na strunach, odmienioną twarz, i czuję, jak w moim wnętrzu coś się rozplątuje. Wypełnia mnie uczucie skrajnego, nieprzewyciężalnego smutku, kiedy patrzę i słucham, jak śpiewa o mnie. Bez alkoholu i papierosów jego głos brzmi inaczej. Jest wyższy i bardziej interesujący. Piosenka jest zatytułowana: *Kto przewidział, że przeze mnie będzie taka smutna*. Stopniowo dociera do mnie, że piosenka opowiada o tamtej nocy, kiedy znalazł mój zestaw awaryjny i gdy pokłóciliśmy się w kuchni. To piosenka o nas obojgu.

Nie rozmawiałam z Rileyem. Nie powiedziałam mu, jak się czuję, aż było za późno. Pozwoliłam, by mnie prowadził, ponieważ żywiłam wdzięczność, że ktoś w ogóle mnie zauważył. A on też ze mną nie rozmawiał, bo był ciągle pijany albo czuł, że musi się napić, i nigdy nie powiedział „stop”.

Ta piosenka to dla niego słowa w takim samym sensie jak dla mnie mój komiks, jak dla Louisy jej zeszyty. Ta piosenka to przeprosiny skierowane do mnie: przykromiprzykromiprzykromi.

Kiedy się kończy, Julie trzyma pięść w ustach, a Linus dłubie przy oku. Blue ściska moją dłoń tak mocno, aż bołą kości. Wszyscy podnoszą się z miejsc i krzyczą. Riley znów upija wody.

– Zaczekajcie moment – mówi i schodzi ze sceny, rusza prosto w naszą stronę.

Z każdym jego krokiem świat coraz bardziej kołysze się, zamazuje, wycisza, jakby w uszach fruwały mi chmury, ale dzielnie stoję w miejscu. Julie mówi: „och”. Linus: „Riley”. Blue puszcza moją rękę i się odsuwa.

Riley pachnie inaczej; to zapach czysty i rześki, mydło owsiane i woda po goleniu. Już nie głęboka woń papierosów, potu i alkoholu. Unoszę głowę, moje oczy są pełne łez.

Otwiera usta, by coś powiedzieć, ale się rozmyśla. Unosi moją rękę, chowa w niej coś, zamyka na tym moje palce.

I znów: nagły przepływ prądu, gorąca fala, od niego do mnie, ode mnie do niego.

Kiedy otwieram oczy, on znów stoi na scenie.

Śpiewa *Christmas in Prison* Johna Prine’a, dwa utwory Dylana z *Nashville Skyline*, potem milknie.

– Wiecie, ta dzisiejsza młodzież...

Śmiech.

– Jestem kucharzem w knajpce szybkiej obsługi, często przychodzili ci wszyscy hipsterzy, ciągle pokazywali sobie coś na tych swoich telefonach i przerzucali się zabawnymi uwagami w rodzaju „Hej, a gdyby Coldplay zrobił cover Madonny, a gdyby Jay-Z zrobił cover Joan Baez”. Sami wiecie.

– Riley, zrób mi dziecko! – woła z rechem jakaś kobieta.

– Nie słuchałaś pierwszej piosenki, moja pani? – odpowiada Riley.

Publiczność znów się cieszy.

– Nieważne. – Odchrząkuje. – Jak chcecie wiedzieć, to jest pewna dziewczyna, tak się składa, że obecna tu dzisiaj, i ten pierwszy utwór napisałem właśnie dla niej...

Ludzie wyciągają głowy, rozglądają się. Chowam się za Blue.

– Ta wspaniała dziewczyna miała wspaniały pomysł. Kacie wam spadną.

Dramatycznie przechyla głowę do tyłu, potem do przodu. Na chwilę, zanim jego podbródek dotknie piersi, znów odchyła ją do tyłu i macha nią tak przez chwilę, zaczyna wściekle szarpać struny.

– *I got chills!* – ryczy.

Tłum załapuje i wyje z radości, zapewne widząc w wyobraźni, jak Sandy i Danny tańczą na huśtawce w wesołym miasteczku, ona z natapirowanymi włosami, a on z obłędem w oczach z powodu jej skórzanych spodni.

Ellis uwielbiała *Grease*, oglądałyśmy ten film na okrągło i za każdym razem mówiła: „Ale w sumie wolałabym zaliczyć Kenickiego, nie Danny’ego”, a ja, jak przystało na najlepszą przyjaciółkę, niezmiennie udawałam, że nigdy wcześniej tego nie powiedziała.

Riley daje mi jej piosenkę.

Julie i Linus się śmieją. Blue unosi brwi. Publiczność klaszcze do rytmu i zaczyna śpiewać.

Zza kulis wychodzą Tiger Dean z gitarą basową i potężny młodzieniec o mocnej szczęce, mający na sobie tylko bardzo skąpe gatki z motywem Kapitana Ameryki. Wali w werbel marszowy.

Śpiewają razem z Rileyem i we trzech chodzą w kółko po scenie, zmieniając cover z leniwej, seksownej piosenki country w porywający rytmiczny utwór.

Ellis miała rację, myślę bez smutku. Byłaby zachwycona tą wersją.

Wszyscy zgromadzeni przy głównej scenie stoją, niektórzy trzymają w górze telefony, tu i tam błyskają flesze. Na scenę wchodzi inne zespoły, dołączają. Pojawia się Regan Connor, nieco zażenowana wygłupami, ale dzielnie stukająca butami w podłogę i śpiewająca z całą resztą. Julie i Linus podskakują i też śpiewają. Blue stoi z boku. Tylko ona widzi, jak w pewnym momencie odwracam się i cofam. Znów bierze mnie za rękę.

Spoglądam na scenę. Riley jest wśród swoich, na swoim miejscu.

Blue pochyla się do mojego ucha.

– Co robią płatki, Charlie?

– Płatki mnie nie żrą – powtarzam tyle razy, aż Blue stwierdza, że mogę przestać.

– Chodźmy – mówię.

Opuszczamy *backstage*, przepychamy się wśród widzów i pracowników, zostawiamy za sobą Rileya Westa.

I ruszamy w długą drogę do domu.

W SAMOLOCIE POWSTRZYMUJĘ SIĘ Z CAŁYCH SIŁ, żeby nie wbijać paznokci w uda ani się nie rozplakać, chociaż moja krew buzuje. Młoda kobieta siedząca obok mnie męczy się z pasem.

– O, hej – mówi. – Pierwszy raz? Nie przejmuj się. Guma. Potrzebujesz gumy do żucia. Ja wzmacniam się xanaxem. Chcesz gumę? – Zaczyna grzebać w ogromnej czekoladowobrązowej skórzanej torbie.

Podaje mi kwadracik gumy do żucia, lecz ja potrząsam głową. Skopuje sandały, porusza palami u nóg, zbiera włosy w koński ogon i wzdycha.

– Rozmowa pomaga. Trzeba odwrócić uwagę. Dokąd lecisz?

– Do Nowego Jorku. – Casper kazała gadać, więc będę gadać. – Nigdy tam nie byłam.

– O, spodoba ci się! Jest super. A co tam będziesz robiła?

Przełykam ślinę. Ma otwartą, ufną twarz pokrytą piegami.

– Będę pracowała jako asystentka pewnego artysty. Zresztą, sama jestem artystką. –

Brzmi całkiem nieźle.

Robi wielkie oczy.

– Poważnie? Super. Ja byłam z kilkudniową wizytą u taty. – Udaje, że się krztusi. – Gaa. Rodzice. Beznadzieja, co?

Ma smukłe palce, a na nich kolorowe pierścionki. Zwiewna sukienka klei jej się do ciała, ramiączka zsuwają się z kremowych ramion. Na szyi wiszą słuchawki na splątanym kabelku, na kolanach leży lśniący telefon, który buczy, podzwania i błyska. Jest dobrze odżywiona. Jest kochana. Może mówić, że rodzice są beznadziejni, bo wcale nie są. Dokądkolwiek by poszła, zawsze będzie mogła do nich wrócić.

Może w Nowym Jorku kupię pocztówkę dla mamy. Może zdołam na niej napisać krótką wiadomość. Może kupię znaczek. Może nawet wyślę maila do Casper, tyle że tym razem nazwę ją Bethany. Zobaczymy.

Już nie mam zestawu awaryjnego. Po raz pierwszy od bardzo dawna wkraczam w przyszłość bez zabezpieczenia.

Pulchny chłopak siedzący po przeciwnej stronie przejścia pochyla się w stronę dziewczyny, pokazuje jej telefon.

– Spójrz, Shelley. Prawdziwe hity.

Śmieje się, przechyla telefon w moją stronę.

– Wczoraj wieczorem byliśmy na świetnym koncercie. Popatrz na tego gościa.

Jest na YouTube, obok niego na scenie stoją Tiger Dean i zespoły z Tucson. Z tym swoim szerokim uśmiechem szarpie gitarę, śpiewa *You're the One That I Want*.

– O rany, ale seksowny. – Shelley wzdycha. – To było zabawne. – Zwraca się do pulchnego: – Nick, a tamta druga piosenka, taka smutna, jaki miała tytuł? Normalnie się poryczałam, a ty nie?

Nick przestaje majstrować przy laptopie.

– *Byłaś smutna* czy jakoś tak.

„Ping”, słowa rozlegają się w mojej głowie zupełnie jak poprzedniego wieczoru, kiedy wracaliśmy z Blue do domu.

*Zagubiliśmy się w burzy,
chmury zebrały się nad naszymi głowami,*

*wolałaś do mnie,
cały ból w twoim sercu,
który próbowałem ci dać,*

smutna dziewczyno,

cała miłość, którą zostawiłem,

*ale gdy przychodzi co do czego,
jestem równie pusty jak cała reszta.*

Ściskam dłonie razem, ponieważ się trzęsą. W głośnikach rozlega się sygnał. Shelley i Nick wyłączają telefony i komputery i je chowają.

Kiedy samolot rozpędza się na pasie, coraz szybciej i szybciej, pod moimi powiekami pojawiają się łzy. Sięgam do plecaka, walcząc z napierającym pasem.

Drżącymi dłońmi wyciągam dwa kawałki papieru. Jeden z nich to kartka, którą Riley

wetknął mi do ręki podczas koncertu. Rozkładałam ją powoli.

Charlotte – pamiętam. I tak. Wciąż. Trzymaj się.

Podpisał się prawdziwym nazwiskiem.

Irwin David Baxter.

Śmieję się i płaczę jednocześnie. Samolot przechylił się, głowa wbija mi się w fotel. Siedzimy daleko z tyłu, dźwięk jest ogłuszający, nasza część kołysze się i drży. Głowy odwracają się w moją stronę. Mam to gdzieś.

Nie jest mi przykropprzykropprzykrop.

Shelley spogląda na liścik, potem znów na moją twarz. Składa kartkę i wciska mi ją w dłoń, potem ujmuje moją drugą rękę w obie dłonie. Ściska ją bardzo mocno. Przez moment widzę, jak zapiera jej dech, zaraz potem czuję lekkie muśnięcie palców na moim nagim ramieniu.

– Moja koleżanka w liceum też to robiła – szepcze. Potem konspiracyjnie opuszcza głowę i dodaje: – Oddychaj. Jest strasznie tylko przez krótką chwilę. A potem znajdziemy się w powietrzu i wszystko będzie dobrze. Jak już tam będziemy, to będziemy, nic nie da się na to poradzić, prawda? Trzeba się poddać. Najtrudniej jest się tam dostać.

Myślę o Louisie i jej notatkach, jej skórze i opowieściach, o swojej skórze, o Blue, Ellis, o nas wszystkich. Jestem warstwami kolejnych historii i pamięci. Shelley wciąż szepcze, jej słowa brzmią miękko w moich uszach. W dłoni nadal trzymam drugą kartkę, tę, którą Mikey dał mi na koncercie, tę, na której jest napisane:

Eleonor Vanderhaar, 209 Ridge Creek Driver, Ametyst House, Sandpoint, Idaho.

Blue mówiła, że musimy wybierać, kim chcemy być, nie poddawać się biegowi wydarzeń.

Punkt zwrotny, tłumaczył mi Felix.

Wybieram swój kolejny punkt zwrotny.

Zamykam oczy i zaczynam w myślach list, który napiszę pierwszego wieczoru, nie w Paryżu, nie w Londynie ani na Islandii, ale w Nowym Jorku, otoczona światłami i zgiełkiem, i życiem, i nieznanym.

Droga Ellis, muszę ci powiedzieć coś naprawdę, kurwa, anielskiego.

OD AUTORKI

Kiedy Charlie Davis widzi, jak jej koleżanka z pokoju Louisa zdejmuje bluzkę, przeżywa zaskoczenie. Myśli: nigdy nie widziałam dziewczyny z taką skórą jak moja.

Wiele lat temu nie chciałam napisać tej historii.

Wiele lat temu w autobusie, robiąc notatki do innej książki, nad którą pracowałam, uniosłam wzrok, gdy obok mnie usiadła dziewczyna. Chciałam tylko zerknąć i wrócić do notatek, ale nagle straciłam dech w piersiach.

Miała taką skórę jak moja. Czując na sobie mój wzrok, prędko opuściła rękaw, zasłaniając cienkie świeże blizny.

Nie potrafię opisać, jak bardzo chciałam podwinąć swoje rękawy, powiedzieć: „Jestem taka jak ty! Spójrz! Nie jesteś sama!”.

Nie zrobiłam tego. Szczerze mówiąc, wytrąciła mnie z równowagi. Po latach noszenia bluzek z długim rękawem, ukrywania tego, co sobie robiłam, w nadziei że jakoś „ułożę sobie życie”, nagle znalazłam się z powrotem w tym samym miejscu, co kiedyś, na głębokim dnie, pogrążona w najdotkliwszej samotności.

Wiele lat temu nie chciałam pisać o moich bliznach ani historii o tym, jak to jest być dziewczyną z bliznami, ponieważ wystarczająco ciężko jest być dziewczyną na tym świecie, a co dopiero dziewczyną o skórze poznaczonej bliznami.

Pozwoliłam tamtej dziewczynie wysiąść, nie mówiąc ani słowa. Niesłusznie. Powinnam była pokazać jej, że nawet pogrążona w głębinach własnego wnętrza, nie jest sama.

Bo nie jest.

Obliczono, że jedna na dwieście dziewczyn między trzynastym a dziewiętnastym rokiem życia umyślnie uszkadza swoje ciało. Siedemdziesiąt procent z nich się tnie. Należy jednak pamiętać, że statystyki dotyczą jedynie zgłoszonych przypadków, nie biorą też pod uwagę rosnącej liczby chłopców dokonujących samookaleczenia. Przypuszczam, że każdy z was zna kogoś, kto to robi.

Samookaleczenie polega na celowym cięciu, przypalaniu, dźganiu i wszelkich innych sposobach uszkadzania skóry jako metodzie radzenia sobie z problemami emocjonalnymi. Może być rezultatem różnych przeżyć, takich jak przemoc seksualna, fizyczna, werbalna bądź emocjonalna. Mobbing. Poczucie bezradności. Smutek. Uzależnienia.

Samookaleczenie nie jest próbą zwrócenia na siebie uwagi ani nie sygnalizuje, że ktoś ma skłonności samobójcze. Świadczy o tym, że ktoś próbuje walczyć z bardzo niebezpiecznym chaosem w swojej głowie i w sercu, że taki jest jego mechanizm obronny. Taka osoba zajmuje bardzo niskie miejsce w bardzo realnym i bardzo wielkim gronie ludzi, którzy cierpią z powodu depresji i chorób psychicznych.

Nie jesteś sama. Historia Charlie Davis to historia ponad dwóch milionów dziewcząt i młodych kobiet w Stanach Zjednoczonych. One dorosną, podobnie jak ja, nosząc prawdę o przeszłości na własnych ciałach.

Historia Charlie Davis jest przeznaczona dla wszystkich, którzy się tną i przypalają, dla wszystkich dzieciaków żyjących na ulicy, które nie mają gdzie spać. Dla ich matek i ojców, dla ich przyjaciół.

Charlie Davis odnajduje własny głos i ukojenie w rysowaniu. Ja znalazłam je w pisaniu. A co jest twoim ukojeniem? Wiesz? Odnajdź je i nigdy nie przestawaj tego robić, nigdy. Znajdź bliskich sobie ludzi (ponieważ musisz rozmawiać), swój szczerp, powód istnienia, a przysięgam, dotrzesz na drugą stronę. Powoli, ale jednak. Nie zawsze świeci tam słońce, nie zawsze kwitną

różne, czasem ciemność jest naprawdę ciemna, lecz pełna ludzi, którzy rozumieją. Jest tam też śmiech, akurat tyle, by złagodzić ostre brzegi i pomóc ci przetrwać do następnego dnia. Więc ruszaj.

Ruszaj i bądź absolutnie, totalnie anielska.

PODZIĘKOWANIA

Zanim ta książka trafiła w twoje ręce, musiało minąć dziewięć lat i powstać czternaście szkiców. Niewykluczone, że na początku jest tylko pisarz, kartka, długopis czy ołówek (bądź komputer, tablet i tak dalej), ale na końcu potrzeba było całej gromady ludzi, by ta historia przybrała kształt, w jakim ją przeczytałaś.

Nie powstałaby, gdyby Julie Stevenson nie postanowiła zaryzykować i dać mi szansy (mnie i Charlie). Dziękuję ci z całego serca, dzięki tobie spełniły się moje pisarskie marzenia. Dziękuję za wyrozumiałość, kiedy moja córka zwinęła mi telefon i schowała go w swoim wózku.

A propos marzeń pisarskich: miałam ogromne szczęście, że trafiłam na wydawcę-wróżkę w postaci Kristy Marino. Otworzyłaś moją książkę na niesamowite możliwości, na które sama nigdy bym nie wpadła. Dziękuję, że uwierzyłaś w Charlie, i za to, że zawsze popychałaś mnie do przodu.

Podziękowania niech przyjmie cały zespół działu dziecięcego w Random House: Beverly Horowitz, Monica Jean, Barbara Marcus, Stephenie O’Cain, Kim Lauber, Dominique Cimina, Felicia Frazier, Casey Ward i Alison Impey (Alison, dzięki za to, że znalazłaś Jennifer Heuer, która stworzyła tę wspaniałą, przejmującą okładkę!) – dziękuję za przyjęcie mnie, niewyczerpane wsparcie i entuzjazm.

Dziękuję Minnesota State Arts Board za to, że pomagają artystom i pisarzom z Minnesoty realizować marzenia. Ta książka powstała dzięki grantom, które dostawałam przez kilka lat w różnych miejscach: niewielkim biurze nad Trend Bar w Saint Paul w Minnesocie i w bibliotekach na Hamline University.

Dziękuję również programowi kreatywnego pisania na Uniwersytecie Minnesota za opiekę nade mną: jako pisarką podczas studiów i później jako koordynatorką programu. Otrzymywałam ciągle ciepłe słowa zachęty ze strony Julie Schumacher, Charlesa Bastera, Patricii Hampl i M.J. Fitzgerald.

Dr Justin Cetas i dr Alivia Cetas służyli mi wiedzą medyczną i zabawnymi tekstami w środku nocy podczas redagowania książki. Elizabeth Noll, Tom Haley i Holly Vanderhaar rozweselali mnie i słuchali moich skarg i płaczów. Współuczestnicy warsztatów na letniej konferencji pisarzy w Nowym Meksyku okazali się wspaniali i zabawni, przekazywali mądre rady i uwagi krytyczne; szczególnie dziękuję Summer Wood, mózgowi warsztatów, która dodawała mi odwagi na długo po tym, jak dobiegł końca nasz pobyt na pustyni.

Podziękowania niech przyjmą również: Marshall Yarbrough, Diana Rempe, Caitlin Reid, Nick Seeberger, Diane Natrop, Isabelle Natrop, Kira Natrop, Mikayla Natrop, Swati Avasthi, Amanda Coplin, Lygia Day Penaflor, Laura Tisdell, Joy Biles, John Muñoz i Chris Wagganer oraz wszyscy koledzy pisarze z grupy Sweet Sixteens, szczególnie Jeff Giles i Janet McNally, dzięki którym nie wyskoczyłam przez okno.

I wreszcie podziękowania dla Nikolaia i Saskii za to, że każdego dnia zalewają mnie falami miłości, i dla Chrisa za dwadzieścia lat cierpliwości, śmiechu i niepozmywanych naczyń.

O AUTORCE

Ta książka to debiut Kathleen Glasgow, która mieszka i pracuje w Tucson w Arizonie. Aby dowiedzieć się więcej o niej i jej pisarstwie, zajrzyj na stronę kathleenglasgowbooks.com, śledź ją na Twitterze na @kathglasgow i na Instagramie @Kathglasgow.

¹ Trzydzieści sześć stopni w skali Celsjusza (przyp. tłum.)

² Prawie pięćdziesiąt stopni Celsjusza (przyp. tłum.).

³ Trzydzieści siedem i czterdzieści dwa stopnie Celsjusza (przyp. tłum.).